

ZAUROCZONA

Jane Green



*Dla Tabithy Faye,
która z każdym dniem oczarowuje mnie coraz bardziej...*

Prolog

Jest to opowieść o Alice Chambers, która przeprowadziła się do domu niegdyś należącego do pisarki Rachel Danbury i która przy tej okazji dowiedziała się czegoś o sobie, o swoim małżeństwie i o tym, co znaczy kochać. I która zmieniła swoje życie.

Pod koniec lat trzydziestych ubiegłego wieku pisarka Rachel Danbury przeniosła się do miasta o nazwie Highfield. Wiele lat po tym, jak Scott i Zelda Fitzgeraldowie spędzili lato w pobliskim Westport, Rachel stała się częścią tętniącej życiem artystycznej społeczności byłych mieszkańców Manhattanu, w ucieczce na przedmieścia starających się odnaleźć uroki przepelnionego ciszą i spokojem życia.

Napisała dwie powieści, które przeszły bez echa, lecz trzecia, *Kręta droga*, wywołała wielki skandal, zmuszając ją do ucieczki z ukochanego miasta tam, gdzie nikt nie wiedział, kim była.

Stało się tak, ponieważ Rachel Danbury napisała o swoim życiu. Opisała swoje małżeństwo, swego uganiającego się za kobietami męża Jeffersona i swoją miłość do mężczyzny o nazwisku Edward Rutherford.

Napisała o Highfield, małym miasteczku w Connecticut, i o mieszkających w nim ludziach, którzy uważali, że łączy ich przyjaźń. Miasteczko i jego mieszkańców ukazała z pełnym ciepła humorem, niestety jednak nad wyraz celnie, a oni nigdy nie wybaczyli jej zdrady.

Rachel Danbury starała się ignorować niewierność swego małżonka. Wmawiała sobie, że po prostu jest mężczyzną o wyjątkowym, nieodpartym wręcz uroku osobistym, gdy jednak wdał się w romans z niejaką Candice Carter, była gwiazdką wy-

twórni Paramount i właścicielką teatru miejskiego, nie mogła dłużej udawać, że o niczym nie ma pojęcia.

Pocieszenia i zemsty poszukała w ramionach Edwarda Rutherforda, sąsiada, zawsze miłego i chętnego do pogawędki, lecz nic poza tym — póki Rachel skutecznie nie postanowiła go uwieść.

I stało się, że Rachel i Edward zapalali do siebie uczuciem. Nadszedł wreszcie moment, gdy Rachel musiała dokonać wyboru pomiędzy miłością, która znaczyła dla niej więcej niż wszystko dotąd w życiu, a mężem.

Wybrała męża.

Odtąd aż do końca swoich dni nauczyła się przymykać na wszystko oko. Nauczyła się gasić światło w sypialni, starając się jednocześnie nie zwracać uwagi na fakt, iż jej męża przy niej nie ma, i nie zastanawiać się, gdzie i z kim może właśnie przebywać.

W latach czterdziestych historia Rachel i Jeffersona stała się znana w całej Ameryce. W Highfield wszyscy znali uczestników dramatu i przez długie lata mówiło się, że dom, w którym Rachel i Jefferson mieszkali — nawet gdy Rachel już go sprzedała — jest przeklęty. Czy historia może się powtarzać? Dom kilkakrotnie zmieniał właścicieli, aż wreszcie zamieszkali w nim Alice i jej rozpustny mąż Joe.

I tu właśnie rozpoczyna się historia Alice.

24 grudnia 1996

Alice z głośnym westchnieniem otwiera szafę i wyjmuje z niej suknię. Ostrożnie kładzie ją na łóżku, obok starannie układa pantofle, welon, pończochy i podwiązki, wciąż nie mogąc uwierzyć, że za kilka zaledwie godzin wszystko to nałoży na siebie. Za kilka zaledwie godzin zostanie oblubienicą Joe.

— Oto kroczy panna młoda—nuci sama do siebie, drobnym, posuwistym kroczkiem zmierzając przez przedpokój do kuchni, by zaparzyć sobie kolejną kawę. Choć żołądek ma ściśnięty ze strachu, uśmiech nie znika jej z twarzy. Mimo że adrenalina aż w niej buzuje, jest przekonana, że musi ratować się kawą bo inaczej zaśnie, poprzedniej bowiem nocy prawie nie zmrużyła oka. Lada moment powinna zjawić się Emily, jej druhna, i wreszcie będzie miała z kim dzielić swoje podekscytowanie.

Wraca do sypialni i przez chwilę przygląda się sukni. Choć sama wybrałaby chyba inną, nie może zaprzeczyć, że jest naprawdę piękna, elegancka, niesamowicie wręcz gustowna.

Alice zawsze sądziła, że będzie miała wesele na wsi. Marzyła, jeszcze jako mała dziewczynka, o kamiennym kościółku, do którego wkroczy przez białą drewnianą furtkę, w zwiewnej kobiecej sukience, ze świeżymi kwiatami we włosach i pękiem własnoręcznie zebranych białych stokrotek. Pan młody w zasadzie był nieważny: jej marzenie kończyło się u wejścia do kościoła, wie jednak, że nigdy nawet jej się nie śniło, iż jej wybranek będzie tak przystojny i wspaniały jak Joe.

Na uniwersytecie, gdy do późnej nocy wraz z Emily dyskutowały o swoich rycerzach w lśniących zbrojach, Alice nie-

zmiennie twierdziła, że jej wymarzony mężczyzna będzie prawdopodobnie artystą, rzemieślnikiem albo ogrodnikiem. Zawsze się przy tym śmiała, podobnie jak śmiała się, mówiąc, że przecież i tak nie ma szans na żaden trwały związek, o małżeństwie nie wspominając, zważywszy na to, że w owym czasie najdłużej udało jej się być z mężczyzną trzy tygodnie.

Zanim zaś spotkała Joe, jej najdłuższy związek trwał trzy miesiące.

— Kiepski wynik — jęczała, gdy wraz z Emily planowały, jak to będą się razem starzeć.

— To o niczym nie świadczy — uspokajała ją Emily. — Kiedy go wreszcie znajdziesz, będziecie małżeństwem aż do grobowej deski. A ja? Na pewno rozwiodę się po pół roku.

Alice roześmiała się wtedy, w duchu jednak żalując, że nie jest choć trochę do Emily podobna, do Emily, która za nic nie chciała się ustatkować, flirtowała z zapamiętaniem, zmieniała chłopaków jak rękawiczki, z uporem twierdząc, że stałe związki wywołują u niej ciężką alergię.

Wesele zaplanowano na wsi, z gromadką brzdąców (miała nadzieję, że gdy w końcu będzie wychodzić za męża, jeśli będzie wychodzić za męża, ktoś skądś zorganizuje uśmiechnięte małe dzieci), które krocząc za nią kościelną nawą, usypywać będą dywan z różanych płatków.

Widziała morze słomianych kapeluszy i kwiecistych sukien, i promienie słońca ogrzewające jej nagie ramiona, gdy opuszczać będzie kościół wsparta na ramieniu swojej drugiej połowy.

Kiedy Joe jej się oświadczył, opowiedziała mu o swoim wymarzonym ślubie, na co on uśmiechnął się pobłaźliwie i powiedział, że to urocze, ale oni nie mogą przecież pobrać się na wsi, skoro oboje mieszkają w Londynie, a poza tym, czy nie jest jednak skłonna zgodzić się z nim, iż śluby w zimie są o wiele bardziej e l e g a n c k i e? Nie była skłonna, czuła jednak, że powinna, bo w końcu to Joe płacił za wszystko. Rodzice Alice byli bez grosza przy duszy, a Joe zdecydowany był na ślub, który według niego przystoi szefowi działu opieki medycznej Fuzji & Zakupów w Godfrey Hamilton Saltz.

Do kościoła pojedą wspaniałym starym bentleyem (żegnajcie, konie z Shire i uroczy powozie), ona wystąpi w prostej, lecz eleganckiej kreacji (do widzenia, długa, kremowa, zwiewna suknie), a jeden z jego przyjaciół, który był jubilerem, pożyczy jej olśniewającą diamentową tiarę (bywajcie, świeże kwiaty).

I tak Alice krok po kroku planowała własny ślub, kiedy jednak Joe dowiadywał się o podjętych przez nią decyzjach, za każdym razem musiała dzwonić do florystów, krawców, fotografów, by ich zawiadomić, że właśnie rozmawiała z narzeczoną i plany uległy zmianie. Chyba nie będą mieli nic przeciwko temu, upewniała się, że zamiast pięknych fioletoworóżowych tulipanów i hortensji będą ciemnoczerwone róże i jagody, a miejsce sukni z tiulową spódnicą, której pozazdrościliby jej w *Jeziorko łabędzim*, zajmie obcisła, wąska suknie z długimi, bufiastymi rękawami i narzutką (Joe przejrzał kilka czasopism z modą ślubną i pokazał jej, w czym według niego wyglądać będzie odpowiednio), i naprawdę ogromnie jej przykro, ale nie będzie zabawnych, swobodnych zdjęć, lecz oficjalne, grupowe, zrobione podczas przyjęcia.

Alice wypija kawę i szybko, ukradkiem spogląda w wiszące w przedpokoju lustro, by znaleźć w nim potwierdzenie tego, o czym i tak dobrze wie: że głębokie, ciemne wory pod oczami wywołane napięciem ostatnich godzin to nie tylko czczy wymysł starych mężatek. Alice przez całą noc wierciła się i przewracała z boku na bok, nękana napadami strachu i mdłości, tłumacząc sobie, że przecież to czysta głupota. Czyż nie jest najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem? Która kobieta nie chciałaby wyjść za Joe? Joe o ujmującym uśmiechu i nieodpartym uroku? O szerokich barach i zabawnym poczuciu humoru? Joe, który mógł mieć dosłownie każdą ale wybrał Alice. Alice!

Mężczyźni w rodzaju Joe na ogół nie patrzą na kobiety takie jak Alice, a jeśli im się zdarzy, to jest to jedno szybkie, pełne zaciekawienia spojrzenie, po którym następuje natychmiastowe lekceważenie, bo wszystkie Alice tego świata nie mają mężczy-

znom w stylu Joe nic do zaoferowania. Jako jedyne dziecko uwielbiających go rodziców wyrósł w przekonaniu, że jest bogiem (wina mamusi); w wierze, że każda kobieta musi się w nim zakochać (wina mamusi); przeświadczeniu, iż życiową rolą kobiety jest spełnianie wszystkich jego zachcianek (tu znowu podziękowania należą się mamusi).

Nawet dzisiaj, w dniu swojego ślubu, Alice czuje, że musi się uszczypnąć. Trzydziestoletnia, przyzwyczajona do tego, że nieustannie zakochiwała się w facetach, którzy nawet jej nie zauważali, tak naprawdę nigdy nie wierzyła, że kiedykolwiek znajdzie drugą połowę. Cóż z tego, że wymarzyła sobie swój ślub, skoro w skrytości ducha i tak żywiła przekonanie, iż jako wystrojona w kimono stara panna dożyje starości w towarzystwie kotów, otaczając się ekscentrykami i żyjąc życiem swoich młodszych, piękniejszych przyjaciółek.

Alice od początku uważała się za raczej brzydką. Wszyscy znajomi myśleli o niej podobnie. Na podwórku była zawsze tą nieśmiałą, myszowatą dziewczynką, do drużyny wybieraną na końcu i to tylko dlatego, że poza nią była jeszcze Tracy Balcombe, a Tracy Balcombe miała płaskostopie i śmierdziała.

Alice była zawsze na końcu, bo po prostu nikt jej nie zauważał. W czwartej klasie zasłużyła sobie na wymawiany ze złośliwością przydomek Ściana, co jej jednak nigdy specjalnie nie przeszkadzało. Nawet się cieszyła, że zlewa się z tłumem, gdyż w ten sposób mogła obserwować innych i nie niepokojona przez nikogo myśleć sobie swoje.

Nadszedł jednak czas, gdy zaczęli interesować ją chłopcy. Dotąd wystarczały jej konie, których fatalnie narysowane łby wypełniały jej brudnopis obok serduszek z napisami, że Alice kocha Betsy i Betsy dla Alice, marzenia zaś ograniczały się głównie do wizji Betsy i Alice w wielkim stylu odnoszących zwycięstwo w zawodach hippicznych.

Jednakże pewnego ranka czwartoklasistki obudziły się i odkryły szalejącą w ich ciałach burzę hormonów, Alice zaś zauważyła, że Betsy coraz mniej miejsca zajmuje w jej marzeniach, wypie-

rana przez obraz wytartych dzinsów i czarującego uśmiechu należących do chłopca o imieniu Joe, ze szkoły męskiej za rogiem.

Jeździli tym samym autobusem i Alice całymi godzinami wystawała obok kiosku z gazetami, czekając, aż zjawi się Joe. Stała za nim i wpatrywała się w tył jego głowy, modląc się, by ją zauważył, i chociaż raz czy dwa najwyraźniej wyczuł jej spojrzenie i odwrócił się, spoglądając na nią, było jasne, że nie wzbudzała w nim najmniejszego zainteresowania, bo zaraz wracał do rozmowy z kolegami.

Z czasem nabrało to cech swoistego rytuału. Jako dwudziestolatka Alice zadurzała się w mężczyznach, którzy jej nie zauważali. W silnych, przystojnych, pewnych siebie mężczyznach. Mężczyznach, którzy przez życie kroczyli bez wahania, czego Alice zupełnie nie potrafiła, łudziła się jednak, że przynajmniej jakaś część tej umiejętności udzieli się i jej, pod warunkiem, że zbliży się do nich wystarczająco, co jednak nigdy nie następowało.

Aż ponownie spotkała Joe.

Znała go od lat. W szkole przyjaźnił się z Tyem, jej starszym bratem, i był jednym z chłopaków, w których szaleńczo i beznadziejnie się kochała. Pamiętała, jak przyglądała mu się, gdy w miejscowej dyskotecie rozmawiał z najładniejszą dziewczyną ze szkoły, jak śmiał się do niej, nachylając się, by ją pocałować, a później ujął ją za rękę i poprowadził do drzwi.

Krążyła plotka, że odprowadził ją do domu, pocałował na dobranoc, a po godzinie wspiął się do jej pokoju po rynnice i pozbawił dziewictwa. W ten sposób powstawały legendy, a Joe — już wtedy — był legendą. W wieku czternastu lat chodził z dwudziestoletnią Dunką, która jako au-pair pracowała w sąsiedztwie. Według innych chłopaków wyglądała jak skrzyżowanie Farrah Fawcett z Jerry Hall.

Joe miał na sumieniu tysiące złamanych nastoletnich serc, a Alice i Emily godzinami dyskutowały o tym, jak to szczerze go nienawidzą w skrytości ducha zaś marzyły, by któregoś dnia i na nie zwrócił uwagę.

I nagle któregoś dnia rozległ się dzwonek do drzwi. Alice po-

biegła otworzyć, nieomal mdlejąc, gdy okazało się, że na progu stoi Joe we własnej osobie. Jej piętnastoletnie serce zdradziło ją, barwiąc policzki szkarłatnymi rumieńcami.

Joe, wyraźnie rozbawiony, uniósł brew. Co prawda Alice zupełnie nie była w jego typie, ale lubił obserwować, jakie wrażenie wywiera na kobietach. Dodawało mu to pewności siebie, czuł się bezpiecznie, nie widział też nic złego w tym, by dla zabawy nieco ją ośmielić.

— Witaj, siostró Tya — powiedział z uśmiechem cichym, zalotnym tonem. — Wyglądasz prześlicznie. Czyżbyś się dokądś wybierała?

Z rozbawieniem przyglądał się, jak rumieniec na jej twarzy pogłębia się, a ona nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa. W końcu udało jej się coś wybełkotać, a gdy pojawił się Ty, uciekła spłoszona.

— Cześć, Joe — powiedział jej brat, chwytając płaszcz. — Mam nadzieję, że nie zawracasz mojej siostrze głowy.

Roześmiali się obaj, bo już sam pomysł wydał im się co najmniej idiotyczny, i wyszli, znikając za furtką.

Alice jednak była jak w gorączce. Natychmiast zadzwoniła do Emily, która od razu przybiegła, by obie mogły bez końca analizować, badać i rozkładać na czynniki pierwsze każde słowo. Zamknęły się w pokoju Alice, gdzie rozwalone na pufach pischwały z podniecenia, wciąż od nowa roztrząsając znaczenie jednego zdania, które Joe wypowiedział, i starając się domyślić, o co też mogło mu chodzić.

— Powiedz mi jeszcze raz — błagała Emily. — Powtórz, jak ci powiedział: „Wyglądasz prześlicznie”.

Ułożyły plan działania. Ze szczegółami opracowały, co Alice powie Joe, gdy znowu się z nim zobaczy, jakiego użyje tonu, w co się ubierze, gdy razem się dokądś wybiorą, ponieważ nie było żadnych, najmniejszych wątpliwości, że jest nią zainteresowany. Jedynym problemem było, czy już na pierwszej randce Alice pozwoli mu przejść z bazy pierwszej do drugiej.

Joe nigdy więcej nie zwrócił na Alice uwagi.

Czternaście lat później Alice była właścicielką dobrze prosperującej firmy cateringowej. W końcu jakoś udało jej się zapomnieć o Joe, zdać maturę, pójść do college'u, a potem na dwuletni kurs gotowania. W wieku dwudziestu dziewięciu lat zatrudniała trzy osoby, które pomagały jej przygotowywać i podawać wykwintne kolacje na zamówienie kobiet, zbyt zajętych lub zbyt leniwych, by robić to osobiście.

W czasie tych przyjęć Alice trzymała się na uboczu. Uwielbiała przygotowywać posiłki, kiedy jednak pomocnice podawały kanapki i koktajle, sama zostawała w kuchni, gdzie pilnowała, żeby nic się nie przypaliło. Bywało, że na wyraźne życzenie pana lub pani domu wyłaniała się z niej, by przyjąć wyrazy uznania, co czyniła niechętnie, lecz z wdziękiem, walcząc z niesfornymi lokami wymykającymi się spod gumki spinającej je w koński ogon i rozdając wizytówki.

W Kensal Rise miała niewielkie mieszkanie z dużą kuchnią, dwa koty, Molly i Paolo, i wiodła skromne życie towarzyskie, które zawdzięczała po części sukcesowi swojej firmy, po części zaś wrodzonej nieśmiałości.

Ostatnio związana była — przez trzy miesiące — z aktorem o imieniu Steve, lecz trzy miesiące masowania mu spiętych mięśni karku sprawiły, iż znajomość zaczęła jej ciążyć, i ucieszyła się, gdy w końcu po którymś przesłuchaniu udało mu się złapać trzymiesięczny kontrakt w Manchesterze. Przyrzekli sobie pozostawać w kontakcie, ona obiecała go odwiedzić, wiedziała jednak, że to tylko cześć słowa.

Stała właśnie w kuchni, o jakiej zawsze marzyła, w piwnicy wielkiego domu w Primrose Hill, teraz już doprowadzonej do pierwotnego idealnego stanu, z talerzami w zmywarce, kryształowymi kieliszkami schnącymi na suszarce koło zlewu i naczyniami na zapiekankę wymytymi i spakowanymi w bagażniku jej samochodu.

Goście popijali kawę i delectowali się *petits fours* domowej roboty, a Alice żegnała się z dwoma dziewczętami, które jej po-

magaly, wiedząc, że pozostało już tylko umyć filiżanki po kawie, z czym doskonale może poradzić sobie sama.

— Och, koniecznie musicie poznać Alice. — Usłyszała zbliżający się na schodach stukot wysokich obcasów pani domu.

— To istny anioł i gotuje fantastycznie. A poza tym — głos gospodyni opadł o jakąś oktawę lub dwie — w porównaniu z innymi jest naprawdę niedroga.

„Bodaj cię” — pomyślała Alice. „Pora podnieść ceny”. Chwyła ścierkę, by wyglądało, że jest zajęta, i z wystudiowanym, promiennym uśmiechem, który miał zachęcać potencjalnych klientów, słysząc kroki już w kuchni, zaczęła szybko polerować granitowe blaty.

— Witaj, Alice. — Ten głos poznałaby zawsze i wszędzie.

— Cześć, Joe — odparła, czując, jak jej uśmiech zastępuje głęboki, purpurowy rumieniec.

Joe podszedł, by przywitać się ze swoimi друзami, którzy zgromadzili się wokół niego konspiracyjnie.

— No i?

— Zrobiłeś to?

— Była tego warta?

— Mogłeś się jej oprzeć?

— Do cholery, musiała być warta za tę kasę, jaką musieliśmy zapłacić.

— Nie wiedzieliśmy, czy starczy ci energii.

— No, Joe, nie bądź taki tajemniczy. Jaka była? Uległeś jej? Joe uśmiecha się błogo i unosi rękę, by uciszyć tłumy.

— Chłopcy — powiada, podczas gdy oni czekają wstrzymując oddech. — Dzisiaj się żenię. Okażcie odrobinę szacunku.

— Porozmawiajmy poważnie — mówi Adrian, jego świadek, i obejmując Joe ramieniem, odciąga go od reszty kumpli.

— Panienska kosztowała majątek i po prostu chcemy wiedzieć, czy twoja forsa nie poszła na marne.

— Chyba chciałeś powiedzieć: czy twoja forsa nie poszła na marne? — uśmiecha się Joe.

— No dobra, niech ci będzie. Zrobiłeś to?

— Zapewne chodzi ci o to, czyją faktycznie zerznąłem?

— Nie. — Adrian kręci głową. — Znam cię od jedenastego roku życia. Jasne, że ją zerznąłeś. Chcę wiedzieć, czy nasza forsa nie poszła na marne?

Joe poprzysiągł sobie, że czasy uganiania się za spódniczkami ma już za sobą i że odtąd będzie wierny, czym ogromnie rozbawił swoich przyjaciół. Dzień wcześniej, podczas wieczoru kawalerskiego, koledzy zamówili dla niego luksusową call-girl, która miała na niego czekać w limuzynie. Jak powiedzieli, chcieli w ten sposób sprawdzić, czy rzeczywiście zamierza dotrzymać obietnicy.

— Sami się przekonacie, zdam ten test — oświadczył im z niezachwianą pewnością gdy zdradzili mu swoje plany, i faktycznie, po kilku drinkach podszedł do czekającej limuzyny z twardym postanowieniem, iż powie panience: dziękuję, ale nie. W samochodzie powitała go grzywa złocistoblond włosów, dokładnie takich, jakie uwielbiał, niebotyczne nogi i nadzwyczaj obiecujący dekolt.

— Jasna cholera — jęknął, wsiadając do samochodu. — A co tam, ten ostatni raz mogę chyba zaszaleć.

Była to długa, niesamowita, wyjątkowa noc. Rano obudził się w hotelu Sanderson, dręczony koszmarным poczuciem winy, kiedy jednak miękka dłoń zaczęła z wolna pieścić jego udo, pomyślał sobie, że jeden poranny numerek i tak nie robi już żadnej różnicy. W końcu dziewczyna najwyraźniej dostała kasę za całą noc. A poza tym to tylko seks.

I Alice nigdy o niczym się nie dowie.

— No więc jak? Forsa poszła na marne czy nie? — nalegał Adrian.

— To była wysoka na metr osiemdziesiąt Rosjanka o włosach blond, z figurą, której Lara Croft mogłaby jej tylko pozazdrościć, i z ustami, które ani przez chwilę nie odpoczywały. I co t y na to?

Adrian zgina się wpół i jęczy z zazdrości.

— Kurwa — cedzi przez zaciśnięte zęby. — Wiedziałem. To znaczy, że to była najlepsza noc w twoim życiu?

— Adrian! Błagam! — Joe udaje święte oburzenie. — Najlepsza noc w życiu czeka mnie dopiero dzisiaj.

— No dobra, więc to była druga najlepsza? — Adrian szczerzy się w uśmiechu.

— Można tak powiedzieć. A już ten numer, który Swietłana zafundowała mi na koniec, to był istny majstersztyk.

— Swietłana? — Adrian parska śmiechem. — To jej prawdziwe imię?

— Wiesz co? — mówi Joe nonszalancko, obracając się ku wejściu do kościoła. — W sumie guzik mnie to obchodzi.

Joe nigdy nie sądził, że któregoś dnia się ożeni. Życie stuprocentowego kawalera bardzo mu odpowiadało, kiedy jednak stuknęła mu trzydziestka, zaczęły go nachodzić myśli, że miło byłoby mieć kogoś na stałe, kogoś, kto czekałby na niego w domu, troszczył się o niego.

Problem w tym, że wszystkie dziewczyny, z którymi się spotykał, nie były odpowiednimi kandydatkami na żonę. Owszem, prezentowały się wspaniale. Wysokie, olśniewające blondynki, czasem brunetki lub rude, zadbane do przesady, lecz tak zimne i oschłe, że czasem Joe bał się, iż jeśli zegnije je nie w tę stronę, po prostu pękną.

To były kobiety, które czekały na bogatych mężów, mających zapewnić im życie, do którego ich uroda je predestynowała. Nie pracowały zawodowo, wiadomości nie oglądały, jakby w obawie, że mogą się od nich zarazić jakimś paskudztwem, nie umiały gotować, nie sprzątały, w życiu nie zdarzyło im się niczego wyprasować („Kochanie, gdyby Pan Bóg chciał, żebyśmy prasowały, nie wymyśliłby pralni chemicznej”) i żywiły głęboko zakorzeniony strach, że zdarzy im się poślubić mężczyznę, którego nie będzie stać na „kobietę z klasą”.

Od Joe oczekiwały pewnych, ściśle określonych rzeczy: kolacyjek w Ivy & Hakkasan, wyjść do Atticus & Home House, prezencików od Harveya Nicksa, w zamian oferując nieograniczony

seks na najwyższym poziomie, zero stresów (te panienki dobrze wiedziały, że najlepszym sposobem na złowienie ryby jest luźne prowadzenie wędki) i stuprocentową zazdrość wszystkich jego znajomych. Dopiero gdy zaczynały napomykać o związku bardziej stałym, Joe w możliwie najmielszy sposób oznajmiał im, że było im razem cudownie, on jednak od początku wiedział, że nie są sobie przeznaczeni, po czym ruszał po kolejną zdobycz.

Wiedział, że nie chce zenić się z kobietą, która pragnie go jedynie ze względu na jego premie (choć ani jego wygląd, ani charakter nie pozostawiały nic do życzenia), tak jak i wiedział, że odpowiedniej kandydatki na żonę nie ma co szukać w modnych barach, restauracjach czy klubach, których był stałym bywalcem, lecz w lśniących blond włosach, nogach odzianych w pończochy od Woldorfa, biustach upchniętych w staniki La Perle, gdyż temu po prostu nie potrafił się oprzeć.

I wtedy spotkał Alice. Alice, która oblewała się szkarłatem, gdy tylko wymówił jej imię, która pamiętała go ze szkoły, choć on jej sobie za nic w świecie nie potrafił przypomnieć. Alice o rozpuszczonych mysich włosach, bez śladu makijażu. Ubraną w tanie czarne legginsy i rozciągnięte, bezkształtne swetrzyska, skutecznie skrywające jej kształty. Normalnie kogoś takiego jak Alice nie zaszczyciłby nawet drugim spojrzeniem, lecz bawił go rumieniec, którym oblewała się za każdym razem, gdy na nią popatrzył, i ujmowała słodycz obca kobietom, do których przywykł.

Alice była słodka, była wdzięczna, a to sprawiało, że Joe czuł się dobry i szczodry niczym jakiś dobroczyńca. Nie oczekiwała od niego niczego poza tym, by przy niej był, a gdy jej to zapewniał, zdawało się, iż wprost nie posiada się ze zdziwienia, że pragnie być z dziewczyną taką jak ona.

Na dodatek bardzo szybko przekonał się, że w Alice drzemie wielki potencjał. Była uroczą dziewczyną gotową po prostu wyśmienicie i niewiele trzeba będzie wysiłku, by zaczęła wyglądać o niebo lepiej. Dzięki odpowiedniej diecie, zdolnemu fryzjerowi i nowej garderobie ani się obejrzy, jak stanie się zupełnie nową kobietą.

24 grudnia 2001

— Pomóc ci z tymi torbami, kochaniutka? — Taksówkarz udaje, że ma zamiar otworzyć drzwi, kobieta jednak go powstrzymuje.

— Nie, nie, proszę się nie kłopotać — uśmiecha się niespodziewanie ciepło (Bóg jeden wie, już on zna ten typ i może powiedzieć, że miał fart, jeśli usłyszał zwykle „dziękuję”, o uśmiechu nawet nie wspominając). — Poradzę sobie. Wesołych świąt! — Zbiera swoje pakunki i idzie ku drzwiom.

Taksówkarz chwilę jej się przygląda. Piękne nogi. Piękny uśmiech. Piękne włosy. Szkoda, że nie jest trochę młodszy. Ale widzieliście ten wielki kamień na jej palcu? I torebkę z aligatora, szykowną jak cholera i na pewno wartą majątek? Na dodatek mieszka w Belgravii*, słowo daję. Kręci głową ruszając w stronę Lanesborough, gdzie ma nadzieję złapać jakichś bogatych turystów z Ameryki (dają takie napiwki, że warto poczekać).

Alice wbiega po frontowych schodach, otwiera drzwi i rzuca na podłogę torby, z ulgą zdejmując buty na obcasach.

— Cholerne szpilki od Jimmy'ego Choo — mruczy pod nosem, masując sobie śródstopie. Kamienne płytki na podłodze w holu przyjemnie chłodzą jej obolałe stopy. — Cholerne Beauchamp Place. Cholerne zakupy.

Z leżących u jej stóp toreb wyciąga przepięknie zapakowane

* Belgravia — ekskluzywna dzielnica Londynu. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

pudełka z prezentami i nachyla się, by rozłożyć je pod ogromną choinką, odsuwając na bok białe kryształowe bombki, które zwisają z choinkowych gałęzi i zaczepiają o jej rozprostowane, rozświetlone pasemkami włosy.

W czasie ich pierwszych wspólnych świąt Alice miała nadzieję, że razem z Joe ubiorą choinkę. Godzinami szukała po sklepach świątecznych ozdób: pomalowanych na jaskrawe kolory drewnianych żołnierzyków, kolorowych koralików, wielobarwnych światełek, błyszczącej lamety. Joe zadzwonił, że nie może wyrwać się z zebrania, więc postanowiła zrobić mu niespodziankę i sama ubrała drzewko.

Rozkoszowała się każdą chwilą. Kiedy skończyła, usiadła na podłodze i zajadając prażoną kukurydzą z wielkiego kubelka, podziwiała swoje dzieło. Przypominała sobie wszystkie święta swojego dzieciństwa i marzyła, by Joe wrócił do domu i ujrzał ich przepiękną wystrojoną, pierwszą wspólną choinkę.

Gdy przekroczył próg domu i zobaczył drzewko, zamarł.

— Co. To. Jest?

— Nasza choinka — odparła ze śmiechem Alice i podbiegła, żeby go ucałować.

— Ale czym ją obwiesiłaś?

— To nasze świąteczne ozdoby — powiedziała wolno, jakby miała do czynienia z dzieckiem.

— Nie. — Joe pokręcił głową. Alice nie mogła pojąć, o co mu chodzi.

— Nie.

Wreszcie pojęła.

Joe zdjął z drzewka wszystko, a następnego dnia wrócił do domu z nowymi dekoracjami. „Wszystko — oświadczył — musi być białe albo drzewka nie będzie w ogóle”. Białe kryształowe bombki, najlepsze i najdroższe, jakie można kupić, maleńkie białe światełka i białe aksamitne kokardy jako jedyny ukłon w stronę tradycji. Nawet wróżka musiała zniknąć, a jej miejsce na szczycie drzewka zajęła srebrzysta piramida.

Od tamtego czasu Alice nigdy już nie potrafiła tak się cieszyć choinką chociaż gdy teraz patrzyła na swój trzymetrowy

norweski świerk, połyskujący lodowatym blaskiem w przyćmionym świetle holu, musiała przyznać, że choć nie jest specjalnie strojny, czy nawet szczególnie ładny, bez wątpienia robi wrażenie.

Tak jak i cały ich dom, jeśli już o tym mowa, lecz prawdę mówiąc, Alice przestała już na to zwracać uwagę. Wynajęli architekta słynącego ze współczesnego, minimalistycznego stylu, zdolnego stary warsztat specjalizujący się w reperaturze wiekowych pojazdów przeistoczyć w cud sztuki designerskiej.

Wapienne podłogi i sufity ze szkła. Armatura ze stali nierdzewnej i ciężkie, kwadratowe, nowoczesne meble, kawowo--kremowe zasłony, żadnych jaskrawych kolorów. I wielki, imponujący hol, wysoki na dwa piętra, wystarczająco duży, by zmieściła się w nim choinka niewiele mniejsza od tej przy Trafalgar Square.

Alice wchodzi na górę, do kuchni i włącza czajnik (Alessi), żeby zrobić sobie herbatę. Dzisiaj przypada piąta rocznica ich ślubu i wybierają się do Nobu — ulubionego miejsca Joe — na kolację. Sprawdza zegar na mikrofalówce — jest szósta czternaście. Stolik zarezerwowany mają na ósmą trzydzieści, ale doświadczenie nauczyło Alice, że wszędzie powinna przychodzić spóźniona co najmniej o dwadzieścia minut, co i tak nie zmienia faktu, że zwykle jest wcześniej od Joe.

Alice przywykła już do tego, że do restauracji, na spotkania i przyjęcia zwykle wchodzi sama. Do perfekcji opanowała sztukę prowadzenia towarzyskich rozmów, a skrępowanie tuszuje pogodnym uśmiechem.

Joe niezmiennie się spóźnia, albo po prostu go nie ma. Dawniej Alice próbowała odwoływać spotkanie, gdy Joe niespodziewanie oznajmiał, że musi wyjechać, ale teraz miała zbyt wiele zobowiązań, poza tym ciężko jest nieustannie wymyślać jakieś w miarę prawdopodobne usprawiedliwienia. Jeśli Joe jest w Londynie, tylko nie może w porę wyrwać się z pracy, Alice wie, że koniec końców, co prawda w przekrzywionym krawacie i my-

ślami wyraźnie gdzie indziej, ale w końcu się pokaże. Z początku przerażała ją jego arogancja i brak szacunku, z czasem jednak i do tego przywykła, choć trudno powiedzieć, by dobrze jej się z tym żyło.

Nie tak wyobrażała sobie swoje życie. I nie o takim małżeństwie marzyła. A Joe wcale nie jest rycerzem w lśniącej zbroi, jak jeszcze do niedawna wierzyła.

Nienawidzi siedzieć samotnie przy stoliku w restauracji, czując na sobie zaciekawione spojrzenia innych gości („Nie zostałam wystrychnięta na dudka” — miała ochotę wszem wobec ogłosić. „Mój mąż będzie tu lada chwila”), lecz jakoś udaje jej się to znosić, bo wciąż jeszcze jakaś jej część uwielbia widok pojawiającego się Joe, natychmiast wcielając się w rolę jego żony, udając, że od tej chwili i ona jest takim samym klientem restauracji jak wszyscy pozostali, wciąż od nowa przeżywając dreszczyk emocji wywołany jej uczuciem do niego.

Tak więc i dzisiejszego wieczoru, w ich rocznicę, Joe zjawi się spóźniony. Przedtem być może zadzwoni — albo i nie — by z góry ją przeprosić, lecz Alice wie z całą pewnością, że postara jej się to wynagrodzić, obdarowując ją bukietem wspaniałych kwiatów lub cudownym prezentem, zapewne jakąś biżuterią, na widok której aż tchu jej zabraknie z zachwytu. Od początku jej małżeństwa sejf zdążył się wypełnić kosztownościami, których nigdy ani specjalnie nie potrzebowała, ani nawet nie pragnęła.

Wszystkie te cuda z radością oddałaby za możliwość częstszego przebywania z mężem. Wychodziła za niego, marząc o wspólnym życiu, szybko jednak się przekonała, że stała się jeszcze bardziej samotna niż przedtem. Gdy była panną, miała przynajmniej swoją pracę i Emily, teraz zdarza jej się gotować tylko sporadycznie, dla odwiedzających ich z rzadka przyjaciół Joe, Emily zaś tak jest zajęta swoim życiem osoby bez zobowiązań, że Alice w zasadzie przestała ją widywać.

Alice wchodzi z herbatą na górę i zaczyna przygotowywać sobie kąpiel. Przysiada na brzegu wanny i przegląda się w wiszącym naprzeciwko lustrze, czując — jak ostatnimi czasy zda-

rza jej się to coraz częściej — że patrzy na kogoś obcego, z trudem rozpoznając w odbiciu osobę, którą niegdyś była.

W ciągu tych kilku minionych lat zdarzało się kilkakrotnie, że na jakimś przyjęciu spotykała któregoś ze swych dawnych klientów. Zawsze zachowywali się jak uosobienie wdzięku i chyba nikt z nich nigdy jej nie rozpoznał.

Parę razy wspomniała, że swego czasu miała firmę cateringową, na co oni odpowiadali: „Doprawdy? A jak się nazywała?”, ponieważ zaliczali się do ludzi, którzy z podobnych usług korzystali regularnie. Gdy podawała nazwę, mówili: „Ach tak. Wydaje mi się, że dawno temu ktoś taki nas obsługiwał”. Nie mieli pojęcia, że Alice przyglądała się ich kuchniom, znała zawartość ich szafek i lodówek, a nawet rodzaj ścierek, których używali.

„Czemu jednak miałiby mnie pamiętać?” — myśli Alice, popijając herbatę. Pamiętali przecież dziewczynę, którą była niegdyś. Znikły myszowate, kręcone włosy. Znikła blada, wymizerowana cera, bez śladu makijażu. Alice krzyżuje łydki i spogląda na obcisłe spodnie od Gucciego, tak wspaniale podkreślające długość i smukłość jej nóg. Rozczapierza palce i widzi krótkie, kwadratowe paznokcie, nienagannie pokryte francuskim manikiurem. Wstaje i nachyla się w stronę lustra, by lepiej móc się przyjrzeć własnemu odbiciu.

Jej włosy opadają długą lśniąca kaskadą a ich niegdyś mysi, nijaki kolor jest niewidoczny spod złocistomiodowych pasemek; skórę ma delikatnie opaloną, makijaż subtelny, a ubrania wysmakowane. Teraz nosi tylko to, co najlepsze, mimo że cierpi na patologiczną wręcz awersję do wysokich obcasów, a w obcisłych kreacjach, które Joe tak lubi, czuje się jak oskubany, gotowy do sprzedaży indyk.

Wciąż trzyma w szafie swoje ukochane, wysłużone lewisy, ale nosić ich nie może. Czasami je przymierza, gdy pragnie sobie przypomnieć, kim jest, a raczej kim kiedyś była, ale dzinsy są teraz dla niej za duże — może je włożyć bez rozpinania.

Dzisiaj, gdy zdarza się jej — niezmiernie rzadko — wkładać

dżinsy, to tylko od Earla lub Diesla. Obowiązkowo muszą to być biodrówki w kolorze ciemnego indygo, elegancko i seksownie odsłaniające spiczaste noski butów. Nosi do nich delikatne szyfonowe bluzki od Alberty Ferretti i długi płaszcz z owczej skóry z kołnierzem z lisa. Musi się tak ubierać, jeśli ona i Joe chcą uchodzić za członków modnej londyńskiej elity, na dodatek o dziesięć lat młodszych niż w rzeczywistości, zwłaszcza gdy wieczorami wybierają się do Fłush, Home House czy klubu K.

Mimo swego wieku Alice bez trudu zrezygnowałaby z tego wizerunku, bo tak naprawdę wcale jej na nim nie zależy. Ubrania nigdy, tak teraz jak i dawniej, jej nie interesowały, wie jednak, że musi grać swoją rolę, a z odgrywaniem różnych ról nigdy specjalnie nie miała problemu, podobnie zresztą jak z przywdziewaniem różnych strojów.

Bywało, iż rano, zanim jej transformacja w pełni się dokonała, schodziła na śniadanie w którymś ze swych starych, workowatych swetrów, Joe jednak nauczył ją, że zawsze powinna wyglądać nienagannie, nawet jeśli chce tylko napić się mleka, bo nigdy przecież nie wiadomo, na kogo może się przy tej okazji natknąć. Alice niewiele obchodziło, na kogo może się natknąć, ani też jak wygląda, pragnie jednak, by Joe był szczęśliwy, a skoro doskonały wygląd czyni go szczęśliwym, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę może dawać z siebie wszystko, by sprostać tym oczekiwaniom.

Wieczorami wkłada delikatne, jedwabne negliże, dobrane odpowiednio szlafroczy i kaszmirowe pantofle od Loro Piana. Ze starych czasów zachowała sobie męską piżamę i gdy Joe wyjeżdża, z rozkoszą się w nią ubiera, a potem kładzie się do łóżka z pilotem w jednej ręce i kromką z masłem i miodem w drugiej. (Joe nie pozwala jeść śniadań w łóżku, bo a nuż — Boże, uchwaj — jakieś okruszki dostaną się do pościeli).

Na ostry dźwięk telefonu wybiega z łazienki i serce w niej zamiera, gdy na wyświetlaczu widzi numer komórki Joe.

— Spóźnisz się, tak? — pyta bezbarwnym tonem.

— Och, kochanie, tak mi przykro. Utknąłem na tym choler-

nym zebraniu i — Joe zniża głos — powiedziałem im, że mamy dzisiaj rocznicę, ale praca to praca. Mam nadzieję, że nie przeciągnie się to zbyt długo. Po prostu chciałem, żebyś przesunęła rezerwację na dziesiątą. Do tej pory zdążę na pewno.

— Joe, to nasza rocznica. Dlaczego właśnie dzisiaj? Dlaczego ciągle musisz pracować? — Alice nie potrafi ukryć złości. Zawsze kłócą się o to samo: o jego pracę, podróże, ciągłą nieobecność. „Więc co mam zrobić?” — zwykle w takich sytuacjach syczy Joe. „Rzucić pracę? Musielibyśmy sprzedać dom, zmienić styl życia. Chyba tego nie chcesz, prawda? Nie chcesz mieć pieniędzy? Świetnie. Powiedz tylko słowo i złożę wypowiedzenie”.

Albo sięga po jej ulubiony argument: „Przecież robię to dla ciebie, dobrze wiesz”.

„Myślisz, że lubię tak ciągle wyjeżdżać?” — próbuje od czasu do czasu z innej beczki. „Myślisz, że lubię zrywać się o czwartej nad ranem i gnać na lotnisko, latać ze spotkania na spotkanie, tęsknić za tobą i marzyć o tym, żeby wreszcie być w domu? Pewnie ci się wydaje, że to takie przyjemne: siedzieć samotnie w pokoju hotelowym, bez przyjaciół, rodziny i szwendać się po nudnych służbowych kolacjach?”

„Nie jestem głupia” — myśli Alice. „Wiem wszystko o tych twoich służbowych wyjazdach. Wiem o wielkim, czarnym, wygodnym mercedesie, który odwozi cię na lotnisko. Wiem o twoich podróżach pierwszą klasą i złotej karcie British Airways. I znam te twoje hotele — poniżej Four Seasons żaden nie wchodzi w rachubę. I te kolacje z klientami, z sześciu dań, do tego rzadkie, wyśmienite wina, kubańskie cygara, najlepsze porto. Och, niech to wszyscy diabli!”

Od czasu do czasu Alice staje okoniem i mówi: „Tak. Tego właśnie chcę. Z wielką radością pozbyłabym się tego cholernego domu-muzeum i zmieniła nasz styl życia. Myślisz, że mi na tym wszystkim zależy? Ani trochę, marzy mi się mały domek poza Londynem. Proszę bardzo. Odejdź. Rzuć tę swoją cholerną pracę”.

„Świetnie” — powiada wtedy Joe wyzywająco. „Zrobię to

od razu jutro". I na tym cała dyskusja się kończy, przynajmniej do następnej kłótni.

Teraz Alice słyszy, jak Joe bierze głęboki oddech i mówi ściszym głosem:

— Alice, nie chcę się teraz kłócić. Mam spotkanie, które się trochę przeciągnie, potrwa dłużej, niż planowałem. Nie chcę tego w naszą rocznicę. — Jest wyraźnie spięty, a Alice nie ma siły się spierać.

— Tylko proszę, bądź nie później niż o dziewiątej — mówi wreszcie.

— Jeszcze raz cię przepraszam, kochanie. — Ulga w jego głosie jest wyraźnie słyszalna, ulga, że Alice się zgodziła i nie jest zła. — Obiecuję, że będę punkt dziewiąta i na pewno ci to wynagrodzę.

Alice wzdycha. Cóż jej pozostało?

— Do zobaczenia o dziewiątej. Ko... — urywa w pół słowa. Joe już się rozłączył.

Opada na poduszki i spogląda na wiszące nad łóżkiem fotografie. Trzy czarno-białe zdjęcia, na których Alice i Joe wyglądają jak najszczęśliwsza para pod słońcem. Wyszli na nich tak doskonale, że z powodzeniem mogłyby posłużyć jako reklama Calvina Kleina. Alice jednak dobrze pamięta tamten dzień. Czekał, aż Joe raczy się w końcu pojawić, fotograf niecierpliwił się coraz bardziej, a Alice robiła, co w jej mocy, by go jakoś ułagodzić, rozśmieszyć. Gdy Joe w końcu przyszedł, zostało im zaledwie pięć minut, gdyż fotograf śpieszył się na następną sesję (nie mógł ich zawieść — „V o g u e”). Oboje z Joe nie posiadali się ze zdumienia, że w tak krótkim czasie udało mu się zrobić tak doskonale zdjęcia.

Alice spoglądająca prosto w obiektyw, ze smutkiem i pełną tęsknoty zadumą, niezwykle piękna, i Joe, całujący ją w czoło, przepraszający za spóźnienie. Jego profil widoczny w lekkim cieniu, jej w ostrym światłocieniu. Joe tulący Alice, obejmujący ją swymi mocnymi ramionami, z brodą wspartą na jej ramieniu, roześmiany, jej oczy uśmiechnięte i pełne miłości.

Zdjęcia zrobiono przed trzema laty, ale jej się wydaje, że od tamtej chwili zdążyła upłynąć cała wieczność. Co się z nimi stało przez te trzy lata? Gdzie podziała się radość i poczucie bliskości?

Trzy minuty po dziewiątej (naturalnie w Nobu bez mrugnięcia okiem zgodzili się na zmianę rezerwacji w ostatniej chwili

— w końcu Joe Chambers należy do ich najlepszych klientów) Joe wbiega po schodach po trzy stopnie naraz. Przemierza restaurację, idąc ku stolikowi, przy którym, jak dobrze wie, czeka na niego Alice. Odsuwa włosy z jej karku i nachyla się, by pocałować ją w policzek.

— Trzy minuty. — Udaje rozgniewaną, choć naprawdę jest wdzięczna, że dzisiaj nie kazał jej na siebie czekać.

— Mówiłem ci, że się nie spóźnię — uśmiecha się do niej.

— Wyglądasz przepięknie. Wybacz. Wszystkiego najlepszego z okazji naszej rocznicy. — I kładzie na stole przed nią niewielkie, turkusowoniebieskie pudełeczko.

— Kolejny prezent na przeprosiny? — żartuje Alice, ale Joe sztywnieje.

— Nie rozumiem?

— Za każdym razem, jak się spóźniasz, przynosisz mi prezent.

— Wcale nie za każdym razem, kochanie. — Rozluźnia się.

— A dzisiaj jest przecież nasza piąta rocznica ślubu.

— Pięć lat. Aż trudno uwierzyć. — Alice bawi się białą wstążeczką ozdabiającą pudełeczko i zastanawia się, czy dzisiejszego wieczoru uda im się porozmawiać, czy Joe będzie chciał słuchać, gdy po raz kolejny powie mu, że pragnie spędzać z nim więcej czasu. Alice wie jednak, iż najprawdopodobniej skończy się na kolejnej kłótni, a dzisiaj jest ich rocznica. Może będzie lepiej, jeśli zaczeka z tym do jutra.

— Pięć najszcześniejszych lat mojego życia — mówi Joe, jak co roku przy tej okazji, a Alice wciąż nie ma pewności, czy są to szczerze słowa.

— Naprawdę? — pyta dzisiaj, odkładając pudełeczko, by

spojrzeć na niego. — Czy to naprawdę są najszcześniejsze lata twojego życia?

— Alice — wzdycha Joe, a w jego głosie słychać ostrzegawczą nutę. — Naprawdę nie mam dzisiaj siły ani ochoty na żadne dyskusje. I nie mam zamiaru siedzieć tutaj i wysłuchiwać, jaka to jesteś nieszczęśliwa z powodu mojej pracy, bo i tak nie mogę tego w tej chwili zmienić, a nie chcę się kłócić w naszą rocznicę. Otwórz prezent. Napijmy się szampana i spędźmy miło wieczór.

Alice odpakuje pudełeczko od Tiffany'ego, otwiera je i znajduje w środku małe brylantowe serduszko na długim łańcuszku z platyny.

— Och, jest przepiękne — mówi.

— Daj. Założę ci je.

Alice nachyla się posłusznie i Joe zawiesza jej serduszko na szyi, po czym prostuje się, by móc w pełni podziwiać swój doskonały gust i swoją piękną żonę. Ma świadomość, iż nie jest w tym odosobniony, bo ostatnio Alice wciąż przyciąga pełne zachwyty spojrzenia. Dokonał właściwego wyboru. Jest dobrą żoną i sprawia, że jest szczęśliwy. Nie jest ani tak bierna, ani tak skłonna do wybaczenia, jak niegdyś sądził, i na pewno nigdy by nie tęsknił do ich ostatnio coraz częstszych kłótni, z drugiej jednak strony zdawał sobie sprawę, że mało która kobieta by z nim wytrzymała, na dodatek zaś Alice była znacznie mniej wymagająca od innych.

Poza tym proszę, jaka piękna zrobiła się z niej kobieta, aż trudno uwierzyć, że ta niegdyś szara brzydula stała się elegancką wysmakowaną istotą. Jest wszystkim, czego w życiu pragnął. Nachyla się i łagodnie ujmując jej twarz w swoje dłonie.

— Kocham cię — mówi.

— Wiem — odpowiada z uśmiechem.

— Nie. Ja cię naprawdę kocham.

— Ja też kocham cię naprawdę.

— Ale ja kocham cię bardziej — uśmiecha się, bo to jest ich taka prywatna gra.

— Nie. Ja bardziej.

— W porządku. — Wzrusza ramionami z wesołym uśmiechem.

Oboje wybuchają śmiechem i całują się, zapominając o wszelkich animozjach.

Wieczór upływa im wspaniale. Specjalności szefa kuchni jak zwykle są wyśmienite, szampan rozgrzewa im serca, przepęlnia ich radość i czułość. Alice jest nieomal pijana ze szczęścia, bo oto ma przy sobie tego Joe, którego niegdyś pokochała, a którego ostatnio widuje coraz rzadziej.

Jest zabawny, czarujący i uwodzicielski. Być może nieco za bardzo flirtował z kelnerką, ale Alice zdążyła już przywyknąć do jego stylu bycia i udaje, że tego po prostu nie zauważa.

— Nie przeszkadza ci to — spytała kiedyś Emily — że czaruje każdą napotkaną babę?

— Ależ skąd — skłamała Alice. — Tylko dużo gada, nic poza tym. Gapi się, ale żadnej nie tknie.

I chociaż wie, że to prawda, wie, że nigdy by jej nie zdradził, że tak naprawdę w głębi duszy wciąż jest małym, niepewnym siebie chłopcem, który nieustannie musi się utwierdzać w przekonaniu, że wciąż podoba się kobietom, z trudem znosi jego zaloty w swojej obecności.

— Co? — pyta, wzruszając ramionami. — Czemu tak na mnie patrzysz?

— Dobrze wiesz, czemu.

— Przecież nic nie robię. Boże, Alice, zawsze podejrzewasz, że flirtuję z każdą.

— Bo tak jest.

— Po prostu staram się być miłym facetem.

— Raczej lizusem.

— Wszystko jedno. To ciebie wybrałem. I z tobą się ożeniłem.

— Hmm. — Alice unosi brew. — Nie wiem tylko, czy to źle, czy dobrze.

Rachunek został już zapłacony, a Alice i Joe kończą dopijać kawę. Ręka Joe pod stołem gładzi udo Alice i oboje uśmiechają się do siebie, dobrze wiedząc, zapowiedź czego to niesie i że dzisiejszy wieczór tak szybko się nie skończy.

— Alice! Joe! — rozlega się przenikliwy głos z przesadnie francuskim akcentem. Ręka Joe zsuwa się z uda Alice, gdy oboje odwracają się i widzą przed sobą Valerie i Martyna.

Alice nie lubi Valerie. Znają się od kilku miesięcy, spotkały się na paru imprezach charytatywnych i Valerie za każdym razem oznajmiała, iż koniecznie muszą któregoś dnia zjeść razem lunch, naturalnie jednak nigdy do siebie w tej sprawie nawet nie zadzwoniły.

Prawdę powiedziawszy, Alice trochę się Valerie obawia. Choć wie, że teraz już wygląda jak należy, ma jednocześnie świadomość, że tak naprawdę udaje kogoś, kim nie jest. Valerie natomiast to niesamowita McCoy*. Pochodząca z Genewy, wychowana w Nowym Jorku, obecnie nieustannie lata między Londynem, Nowym Jorkiem i Paryżem. Zadbana i wymuskana, że niemal się błyszczy, a przy tym tak twarda, że bliższe z nią spotkanie grozi poważnymi obrażeniami, jest bystra, zjadliwa i aktualnie uwielbiana przez kroniki towarzyskie.

Poza tym przy każdym spotkaniu bez cienia skrupułów flirtuje z Joe. Pocieszające jest — choć dość niezwykle — że Joe tych awansów nie odwzajemnia.

— Ta baba to modliszka — powiedział, gdy Alice wspomniała o niej po raz pierwszy. — Strach do niej podejść. Chyba za nią nie przepadam.

Alice aż westchnęła z ulgą.

— Valerie. — Joe wstaje, całuje ją w oba policzki, wymienia uścisk dłoni z Martynem, jej aktualnym, choć ze względu na dość skromne zasoby chyba niezbyt ważnym przyjacielem.

— Alice! — Valerie nachyla się, by ucałować Alice, owie-

* McCoy — tytułowa bohaterka filmu *Niesamowita McCoy*, grana przez Kim Basinger.

wajac ją mocnym zapachem Caleche. — Kiedy tak siedzicie wpatrzeni w siebie, wyglądacie niczym dwa gruchające, zakochane bez pamięci gołąbki. Jakież to romantyczne!

— Naprawdę? — pyta Alice swobodnie, w duchu myśląc: „No właśnie, widzisz, jacy jesteśmy szczęśliwi? Może t o cię oduczy umizgiwać się do mojego męża”. — Dzisiaj mamy rocznicę.

— Och, *cherie*, gratuluję. To cudownie. Którą?

— Piątą— Alice nie spuszcza z tonu.

— *Mon Dieu!* To prawie wieczność! Moje pierwsze małżeństwo przetrwało dziewięć miesięcy, a i tak było o wiele za długie, uprzejmie dziękuję. Jeszcze się sobą nie znudziliście?

— Valerie obraca się do Joe i unosi brew. Joe jest wyraźnie zdenerwowany.

— Znudzić się? Moją piękną żoną? Absolutnie nie.

— Powiadają jednak, że różnorodność dodaje życiu smaku

— rzuca Valerie niedbale. — Po pięciu latach — zwraca się ponownie do Alice — chyba zaczęłabym tęsknić za jakąś odmianą.

— My jej nie potrzebujemy — mówi Alice przez zaciśnięte zęby. — Mamy przecież siebie. Chodźmy, Joe, mój kochany. Pora wracać do domu. — Czyni dramatyczną pauzę. — Do łóżka.

Valerie unosi brew i uśmiecha się.

— Bawcie się dobrze, moi drodzy. I nie róbcie niczego, czego ja bym nie zrobiła.

Twój tata i mama, czy nie chcą, czy chcą Co z tego, życie ci spieprzą i tak Przeniosą na ciebie każdy własny błąd I coś ci ekstra dorzucą na smak...

Philip Larkin*

Joe kończy zapinać koszulę i sięga po krawat, starannie przewieszony przez oparcie fotela w kącie sypialni. Zakłada krawat na szyję i przez kilka sekund stoi w kręgu łagodnego światła rzucanego przez nocną lampkę, spoglądając na leżącą w łóżku postać. Kobieta spoczywa plecami do niego, z głową wspartą na ramieniu i wygląda zupełnie jak pozująca do impresjonistycznego obrazu modelka. Jest taka piękna, z włosami rozrzuconymi na poduszce i połyskującymi w świetle krągłościami.

Joe, uśmiechając się z żalem, nachyla się i całuje ją delikatnie w nagie ramię, na co ona odwraca się i przeciąga z rozkoszą.

— Musisz już iść? — pyta.

— Tak.

Wyciąga rękę i gładzi go po policzku.

— Kiedy cię znowu zobaczę?

— Niedługo. Zadzwonię. — Wzdycha, wiedząc, że to się musi skończyć, a jej pojawienie się wczorajszego wieczoru w restauracji było przekroczeniem wszelkich norm przyzwoitości i chociaż dla niej mogłaby to być tylko zwykła gra, on ryzykował swoje małżeństwo.

* P. Larkin, *This be the verse*.

— A może ja zadzwonię do ciebie pierwsza? — Valerie uśmiecha się, podnosi się na kolana i zarzuca mu ręce na szyję, czekając, jak na to zareaguje.

— Valerie — mówi Joe ostrzegawczo, wyraźnie zdenerwowany. — Przecież wiesz, o co chodzi. Alice jest moją żoną kocham ją nie chcę jej zranić i nie mam zamiaru od niej odchodzić.

— Wiem, kochanie — mruczy Valerie, ponieważ nie po raz pierwszy toczy podobną gierkę i jakkolwiek uwielbia droczyć się ze swoimi żonatymi kochankami, nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, by niszczyć ich małżeństwa. Po prostu lubi się trochę zabawić i przeciągać strunę, żeby zobaczyć, jak daleko może się posunąć. — To nie ma nic wspólnego z twoim małżeństwem, wiem, wiem.

— Nie, Valerie — mówi łagodnie, uwalniając się z jej objęć. Musi z tym skończyć, wczoraj o mało nie dostał zawału serca, gdy ujrzał ją w Nobu ledwie trzy godziny po tym, jak opuścił jej łóżko, gdzie zdradził jej, dokąd zabiera Alice dla uczczenia ich rocznicy.

Na początku pewnie by mu to pochlebiło, a element zagrożenia niezmiernie by go podniecił. Ale widuje się z Valerie już od jakiegoś czasu i chociaż seks z nią jest fantastyczny, ekscytacja, jaka towarzyszy wszelkim nowym zdobyczom, zdążyła minąć bez śladu, a perspektywa, iż zostaną przyłapani — szczególnie po ostatnim wieczorze — teraz raczej go przeraża, niż podnieca.

W końcu obowiązują w tej grze pewne reguły, oczekiwania każdej ze stron i oczywiste porozumienie, że będą one obustronnie przestrzegane.

Tak więc przede wszystkim kochanka zawsze pamięta, by chronić małżeństwo swego przyjaciela, wie bowiem, iż ono jest na pierwszym miejscu i choćby składane jej przez niego dowody miłości były niepodważalne, on swej żony nigdy nie opuści.

Publicznie nigdy nie wolno jej się do niego odnosić inaczej niż platonicznie, musi mieć świadomość, że on nie zawsze może dotrzymać słowa, bo jego rodzina liczy się przede wszystkim.

Musi czekać na jego telefon lub dzwonić wyłącznie na jego

komórkę, która i tak będzie wyłączona, gdy on będzie z rodziną. A jeśli jest z rodziną, a telefon mimo wszystko zadzwoni, porozumiewać się będą ustalonym szyfrem, który ona zrozumie i natychmiast się rozłączy. Nigdy nie będzie dzwonić do niego do domu, nawet wtedy, gdy potrzeba usłyszenia jego głosu stanie się wprost nie do zniesienia, i będzie do dyspozycji zawsze, gdy on wyrazi życzenie spotkania się z nią.

Joe zna te reguły na pamięć, poznał je na długo przedtem, zanim sam zaczął je stosować w praktyce. Obserwował je od najwcześniejszych lat, gdy był jeszcze zbyt mały, by zrozumieć, że to, co robi jego ojciec, jest złe i może zranić jego matkę, a on sam będzie musiał iść przez życie z brzemieniem tajemnicy, żeby zadowolić ojca i chronić matkę.

Wszyscy jesteśmy dziećmi naszych rodziców, więc i Joe, choć dobry i kochający, nie mógł pójść inną drogą.

Erie Chambers miał dwadzieścia siedem lat, gdy w 1964 roku Joe przyszedł na świat. Od roku był mężem Avy, której uroda — ciemna karnacja i czarne włosy — przywodziła od razu na myśl Avę Gardner, po której zresztą dostała imię. Erie zakochał się w Avie, gdy ona nieodmiennie odrzucała jego awanse, odmawiała mu i powtarzała, że nie jest nim zainteresowana.

Znana jej była reputacja, jaką się cieszył, widywała go rozbijającego się po mieście jaguarem typu E, zawsze w towarzystwie oszałamiającej blondynki w apaszcze na głowie i wielkich, ciemnych okularach przeciwsłonecznych. Ava wiedziała, że jest pozeraczem serc niewieścich, tak jak i wiedziała, ile jej znajomych cierpiało z jego powodu.

Erie był jednak uparty. Nie przywykł, by go odrzucano, a jej obojętność tylko rozpaliała coraz bardziej jego pożądanie. Przez moment, podobnie jak później jego syn, wierzył, że potrafi być idealnym mężem, myślał, że jedna kobieta mu wystarczy.

Przez jakiś czas sądził, że zdoła tylko patrzeć, nie dotykać, podziwiać tysiące pięknych kobiet, przyglądać się, jak ich minispódniczki ocierają się o smukłe uda, a lśniące włosy krótkich fryzurek opadają na kości policzkowe, kiedy jednak cięża Avy stawała się

coraz bardziej widoczna, Erie stwierdził, iż tęskni za nieznanym, dreszczykiem, jaki wywołuje nowe ciało, nowy smak i zapach.

Walczył najdłużej, jak potrafił, lecz jeden niewinny skok w bok tuż przed narodzinami Joe, w pierwszym roku życia syna urósł do kilku, by wreszcie zaowocować jedną, choć często zmienianą kochanką na stałe plus kilkoma przygodami na jedną noc, jeśli tylko mu się poszczęściło, jako że idea wolnej miłości lat siedemdziesiątych nie od razu trafiła do Guildford.

Szybko natomiast Erie się zorientował, że mały Joe stanowi świetną przykrywkę.

— Biorę go na spacer — powiadał Avie, która z wdzięcznością chroniła się w swoim pokoju, by szukać w nim odpoczynku od jakże wymagających i męczących obowiązków macierzyństwa. Opatuliwszy Joe, pakował go do wózka i szedł do domu Betty, gdzie mały radośnie gulgotał i turlał się po podłodze w salonie, podczas gdy Erie „pomagał” cioci Betty w pokoju obok.

Po cioci Betty nastąpiła ciocia Sandra. Potem przyszedł czas na ciocię Sally, później na ciocię Terry, ciocię Pat i ciocię Barbarę. Ciocię Pat Joe lubił najbardziej. Zawsze mocno go tuliła i mówiła: „Coty tam wiesz Joe?”, miała kolorowy telewizor, pozwalała mu się objadać słodyczami, pić oranżadę i oglądać *Kapitana Scarlet*.

Wszystkie ciocie się do niego mizdrzyły, ale gdy nadszedł czas cioci Barbary, Joe odmówił współpracy. Uznał, że żadne ciocie nie są mu już potrzebne, a poza tym zmieniały się tak szybko, że nie widział sensu, by zdobywać sobie ich sympatię.

— Nie chcę iść do cioci Barbary — powiedział. — Czemu nie możemy pójść do cioci Pat?

Naturalnie czegoś podobnego nigdy nie powiedziałby w obecności mamy, bo Erie wytłumaczył mu, że pracuje dla cioci w tajemnicy, a mamie wcale by się to nie podobało, chociaż on robi to tylko po to, żeby zarobić trochę dodatkowych pieniędzy, za które będzie mógł kupić jej coś ładnego, więc Joe nie może się z niczym zdradzić.

Joe, mimo że miał dopiero pięć lat, wiedział już, że kryje się

za tym coś więcej. Przeczucie mówiło mu, iż ojciec czuje się w pewnym sensie winny, i nienawidził prezentów, które kupował mu w drodze do domu, by kupić sobie jego milczenie. Nienawidził chwili, w której przekraczali próg domu, a matka całowała ich obu serdecznie, pytając, czy dobrze się bawili w parku albo w muzeum. Wzruszał tylko ramionami i milczał, po czym — najszybciej jak się dało — uciekał do swego pokoju, żeby uniknąć dalszych pytań.

— Dobry chłopiec — szeptał Erie, mierzwiąc mu włosy. — Kto jest ukochanym synkiem tatusia?

— Ja — bąkał Joe, nie mogąc spojrzeć ojcu w oczy. Najbardziej lubił, gdy ojciec wyjeżdżał. Wtedy byli tylko

Joe i mama, on mógł się nią opiekować i rozśmieszać ją, pilnować, by o nic nie musiała się martwić. Najbardziej zaś radował go fakt, że nie musiał wtedy kłamać, choć ojciec uparcie twierdził, że on wcale nie kłamie, po prostu nie mówi całej prawdy, a to przecież zupełnie coś innego.

Jego rodzice byli małżeństwem od trzydziestu jeden lat, gdy wydarzyło się niewyobrażalne. Ava zostawiła Erica dla Briana, mężczyzny, z którym grywali w brydża, którego znali od lat i którego żona wiele lat wcześniej zmarła na raka.

Spadło to na nich jak grom z jasnego nieba. Joe był w biurze, gdy zadzwonił telefon. Kiedy podniósł słuchawkę, usłyszał w niej gwałtowny, przerywany szloch. Dla mężczyzny, który w życiu nie widział płaczącego ojca, był to największy wstrząs w życiu.

— Ona odeszła — powtarzał Erie. — Odeszła. Co ja teraz zrobię?

— Oczywiście, że wiedziałam — oznajmiła jego matka, gdy Joe rozmawiał z nią później tego samego dnia. — Od lat wiedziałam o wszystkim, ale nie chciałam tego wiedzieć, więc udawałam, że niczego nie zauważam. Myślałam, że jeśli będę milczeć, on w końcu zrezygnuje z innych kobiet, ale plotki docierały do mnie nieustannie, a nigdy nie ma dymu bez ognia.

— Ale on cię kocha — błagał Joe, zrozpaczony, że matka rzeczywiście zostawiła ojca i że jego jedyna oaza bezpieczeń-

stwa tak błyskawicznie legła w gruzach. — Jest załamany. Nie ma pojęcia, co ze sobą począć.

— Poradzi sobie — powiedziała ze smutkiem. — Kocham go, ale już dłużej nie mogę żyć z nim i z jego kłamstwami. Nie zniosę więcej telefonów, że właśnie poszedł do pubu, podczas gdy wiem, że jest z inną kobietą. Nie chcę żyć z człowiekiem, który wychodzi do drugiego pokoju, kiedy zadzwoni ta jego głupia komórka, i z kimś tam szeptem rozmawia. Na miłość boską, przecież on ma prawie sześćdziesiąt lat i wciąż robi to samo, a ja już mam tego dość.

Ava wyszła za Briana — bardzo miłego, lecz koszmarnie nudnego księgowego — a Erie w końcu przywykł do samodzielnego życia.

— Dasz sobie radę — powiedział mu Joe na samym początku. — Pomyśl, jakie wspaniałe życie cię czeka teraz, kiedy jesteś wolny, pomyśl o tych wszystkich kobietach, które aż palą się, żeby poznać takiego przystojniaka jak ty.

Ale od odejścia Avy Erie nigdy nie doszedł w pełni do siebie. Jej postępek wstrząsnął nim do głębi i dopiero gdy jej zabrakło, pojął, że nie tylko bardzo ją kochał — on jej przede wszystkim potrzebował.

Wreszcie poznał Carol, rozwódkę po pięćdziesiątce, i wspólnie ułożyli sobie życie. Joe nie przebywa z nimi zbyt często, nie wie więc, czy ciocie wciąż istnieją podejrzewa jednak, że owszem. Było nie było, który lampart zmienia na starość cętki?

Joe poprzysiągł sobie nigdy nie pójść w ślady ojca. Jeszcze jako młody chłopak zarzekał się sam przed sobą, że nigdy w jego życiu nie pojawi się plejada cioc, nie będzie ranił swojej żony tak, jak ojciec ranił matkę, i nie przeżyje swojego małżeństwa, okłamując żonę.

Niestety. Czyż miał jakiś wybór?

Joe kocha Alice. Szczerze i bez reszty. Kochają tak bardzo, jak tylko taki mężczyzna jak Joe może kochać kobietę. Kochają i za nic w świecie nie chce jej skrzywdzić. Ale kocha też inne kobiety i podobnie jak wcześniej jego ojciec, sam przed sobą się

tłumaczy, że jego uwielbienie dla kobiet to wyłącznie fizyczna fascynacja i dopóki nie rani żony, póki ona o niczym nie wie, on tak naprawdę nie robi niczego złego.

Jak dotąd spotkał tylko jedną kobietę, która nie rozumiała, na czym ta zabawa polega. Z Sashą zdradził Alice po raz pierwszy i być może, gdyby w nie tak oczywisty sposób dawała mu do zrozumienia, że jest nim zainteresowana i mniej uporczywie go nagabywała, udałoby mu się nie stoczyć po równi pochyłej.

Miała to być jednorazowa przygoda. Po dwóch godzinach dzikiego, zwierzęcego seksu wrócił pokornie do domu, szarpany poczuciem winy i wstydu, wślizgnął się do łóżka obok Alice, przysięgając sobie, że nic podobnego więcej się nie powtórzy.

Następnego ranka wyszedł z domu wcześniej, nie potrafił bowiem spojrzeć Alice w oczy, a wieczorem wrócił do domu z wielkim bukietem białych lilii, które miały zatuszować jego ulgę, że nie został przyłapany. Upiekło mu się i choć nie zamierzał więcej spotykać się z Sashą to skoro raz mu się udało, mogło tak być i następnym razem, a Alice o niczym nie musi wiedzieć.

Jednakże po czterech miesiącach potajemnych schadzek z Joe Sasha miała dość. Wystarczająco długo była sama, zbyt dużo czasu straciła na poszukiwanie mężczyzny takiego jak Joe, wolnego od zobowiązań. Potrzebowała trzydziestu dziewięciu lat, by stwierdzić, że mężczyźni tacy jak Joe — atrakcyjni, inteligentni, z poczuciem humoru i furą pieniędzy — nigdy nie są wolni od zobowiązań. Nie pozostawało jej więc nic innego jak ukraść kóregoś innej. Bo cóż innego mogła zrobić?

Poważnie wzięła sobie do serca słowa Jeny Hall i stała się kucharką w kuchni, damą w salonie, a dziwką w sypialni. Joe w życiu nie uprawiał takiego seksu: była gotowa na wszystko, wszędzie i o każdej porze. Z początku zachłysnął się tym jak narkotykiem — najpierw seks, potem jedzenie — i to wszystko pod jego dyktando, bo Sasha była na każde jego skinienie, spełniając wszelkie zachcianki.

A kiedy już się zorientowała, że połknął haczyk, zaczęła naciskać, niezbyt mocno, na tyle jednak, by Joe zrozumiał, że nie

jest bezinteresowna. Kilka niebezpiecznych SMS-ów. Niespodziewane telefony do domu, żeby usłyszeć jego głos (zawsze blokowała wtedy numer, na wypadek gdyby odebrała Alice i gdyby zmuszona była odłożyć słuchawkę). Miłosne liściki wsunięte do kieszeni marynarki w nadziei, że Alice je znajdzie.

Nie znalazła. Znalazł je Joe. I był wściekły. To nie mieściło się w tym układzie — powiedział jej z furją, która miała zamaskować jego strach, że kochanka posunie się dalej. Wiedziała przecież, że nigdy nie odejdzie od żony, jakże więc mogą kontynuować znajomość, skoro Sasha tak bardzo zawiodła jego zaufanie?

Sasha z miejsca się zorientowała, że podrzucając mu do kieszeni liściki, przekroczyła dozwoloną granicę, próbowała więc przeproszać, przekonać go, by nie zrywali, Joe jednak nie chciał ryzykować.

Niektórzy mężczyźni mogliby się przestraszyć, znalazłszy się o krok od katastrofy, i wrócić na drogę cnoty. Joe również przeżył wstrząs tak silny, że stał się wzorem wiernego męża. Na jakiś czas. Codziennie był w domu o ósmej, a gdy dzwonił, że wróci później z powodu przeciągającego się spotkania, rzeczywiście był w pracy, a nie na kolejnej schadzce.

Wyjeżdżał w interesach i zatrzymywał się w najlepszych hotelach, spotykał się z klientami w barze na drinka, jadł z nimi kolacje i pił wino, po czym wracał do swojego pokoju, sam, i tuż przed pójściem spać dzwonił do Alice, żeby jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha.

Jakiś czas potem, w czasie podróży do Danii, poznał Inge, kelnerkę w kawiarni tuż obok hotelu. Poznali się pierwszego dnia, trzeciego wylądowali w łóżku. Podróż służbowa się nie liczy, powiedział sobie, wypierając ze świadomości poczucie winy. Musi się tylko pilnować w Londynie, nie kłaść własnego gniazda.

W postanowieniu udało mu się wytrwać dokładnie cztery miesiące.

A teraz jego najnowszą zdobyczą jest Valerie. Valerie, na tyle wyrafinowana, by nie dać się zwieść jego urokowi, na tyle niebezpieczna, by wieść własne niezależne życie i prowadzić

grę wyłącznie dla zaspokojenia ciekawości, jaką też reakcję wywoła swoim zachowaniem.

Joe wie, że z jednej strony Valerie to bezpieczna opcja. Zbyt doświadczona jako kobieta i kochanka, żeby wierzyć, iż za seksem kryje się coś więcej niż tylko seks, i tak naprawdę istnieje małe prawdopodobieństwo, by uczyniła coś, co mogłoby zaszkodzić jego małżeństwu, lecz Alice głupia nie jest i do wczoraj, gdy Valerie zjawiła się w restauracji z zamiarem delikatnego pomieszania mu szyków, nie do końca był świadomy, jak daleko zdolna jest się posunąć.

Od jakiegoś już czasu Joe, wybierając sobie kobiety, jest bardziej uważny, najwyraźniej jednak nie dość. I w takich sytuacjach, gdy nieomal zostaje przyłapany i z przerażeniem uświadamia sobie, jak wiele ryzykuje, gdyby Alice dowiedziała się o jego romansach, przyrzeka sobie, że z nimi skończy, ustatkuje się i na powrót stanie się przykładowym mężem.

— Valerie. — Spogląda na nią, świadomy, że dzisiaj pójda do łóżka po raz ostatni. — Nie mogę już tego ciągnąć.

— Spodziewałam się, że to powiesz. — Valerie sięga po szlafrok, bo choć jest twarda i bezwzględna, na myśl, iż może zostać porzucona w chwili, gdy jest naga, czuje się krucha i bezbronna, musi się więc okryć. — Czy z powodu wczorajszego wieczoru? A może po prostu zacząłeś się mną nudzić? — Nie jest przybita, tylko najzwyczajniej w świecie ciekawa i oboje doskonale zdają sobie sprawę, że minie najwyżej parę dni, gdy pojawi się kolejny Joe, a nawet że kilku już czeka za kulisami.

— Cóż. Samo życie. Ale bawiłam się wyśmienicie. — Przykłada mu rękę do policzka i całuje go w usta, łagodnie gładząc po włosach. — Będziesz się starał być wiernym mężem?

Joe kiwa głową. Valerie uśmiecha się.

— Do następnej Valerie. — Odwraca się i kładzie do łóżka. — Uważaj na siebie, mój drogi.

— A ty na siebie.

Joe odczuwa ulgę, jest jej wdzięczny, że przyjęła to tak spokojnie, jak prawdziwa profesjonalistka. Zaczyna nawet wątpić, czy postępuje słusznie. Valerie dostrzega błysk w jego oku i kręci głową.

— Nie, Joe. Żadnych pożegnalnych numerków. Wolę kończyć znajomości szybko i bez zbędnego zamieszania. — Posyła mu w powietrzu całusa. — Wracaj do żony i bądź dla niej dobry. Nie zapomnij jej ode mnie pozdrowić.

Joe wzdycha z ulgą i schodzi po schodach. Nie ma już żadnych wątpliwości. Ostatnie słowa Valerie utwierdziły go w przekonaniu, że postępuje ze wszech miar słusznie.

— Nienawidzę tego cholerstwa.

Alice na czworakach, ze słuchawką telefonu wetkniętą pomiędzy ucho a ramię, pokrywa farbą nóżki czereśniowego stolika w kształcie półksiężyca, który znalazła w sklepie ze starociami.

— Wiem, kochanie — z drugiego końca linii dobiega błagalny głos Joe. — Ale to tylko otwarcie galerii i obiecuję ci, że nie zostaniemy długo.

Dawno temu Alice z radością przyjęłaby zaproszenie na otwarcie galerii artystycznej. Czułaby się szczególnie wyróżniona, mogąc uczestniczyć w takim wspaniałym wydarzeniu, niesamowicie przejęta, że oto będzie miała okazję obejrzeć obrazy, zanim zobaczą je inni. Zatrzymywałaby się przed każdym, przyglądała się i delektowała, wyrabiając sobie zdanie.

Szybko się jednak tego oduczyła. Przekonała się, że otwarcie galerii to po prostu kolejna okazja, by widzieć i być widzianym. Po przybyciu bierze się z trzymanej przez kelnera srebrnej tacy kieliszek z szampanem, po czym krąży po sali, całując w powietrzu każdą znajomą twarz i wygłaszając komentarze na temat wspaniałej sztuki, tak naprawdę ginącej w natłoku setek ludzkich ciał zgromadzonych w jednym niewielkim pomieszczeniu.

— Obiecujesz, że potem wrócimy prosto do domu? Żadnych kolejnych przyjęć? — Wrzuca pędzel do puszki i bierze do ręki kłębek waty stalowej.

— Obiecuję. Co teraz robisz, Alice? Co to za hałas?
— Czyszcę stolik, który właśnie znalazłam. Joe wybucha śmiechem.
— Naprawdę nie rozumiem, czemu zawsze musisz robić to sama. Przecież możesz sobie kupić te swoje meble dosłownie wszędzie.
— Bo to lubię — odpowiada Alice. Po raz setny. — Wiesz, że sprawia mi to przyjemność.
— Dziwadło z ciebie. Jesteś jedyną znaną mi kobietą, która lubi brudzić sobie paznokcie i paćkać się farbą.
„Dlatego — myśli Alice — że jestem jedyną znaną ci kobietą, dla której życie nie kończy się na manikiurze i zdjęciu w »Tatlerze«".
— Przyrzekam, że do wieczora zdążę się umyć.
— A ja ci przyrzekam, że jak znajdziemy się w łóżku, znowu się pobrudzisz.
— Kiedy w końcu wyrośniesz z tego szczeniackiego poczucia humoru?
— Naprawdę tego chcesz?
Alice uśmiecha się, czując się kochana i pożądana. Uwielbia, gdy są sobie z Joe tak bliscy. Ostatnio zdarza się to niezmiernie rzadko, bywa jednak, że napięcie opada i chmura rzucająca cień na ich związek znika na chwilę, Joe przestaje być daleki i roztargniony, a ona odnajduje w nim mężczyznę, którego pokochała.
Gdy jego praca zdaje się nie pochłaniać go bez reszty, nie jest zmuszony przesiadywać w niej do późna, a służbowe wyjazdy zdarzają się jakby rzadziej.
Kiedy napięcie w pracy maleje, Joe rozluźnia się, na powrót staje się kochającym, skorym do żartów mężem, jak w czasach, gdy się poznali. Alice nauczyła się cenić te momenty, wie bowiem, że nie będą trwały wiecznie.
Od czasu do czasu docierają do niej plotki na temat męża, woli je jednak ignorować. Zdrada to coś, o czym nawet nie potrafiłaby myśleć.

Taksówka z piskiem zatrzymuje się przed galerią na Cork Street i nawet z tak dużej odległości Alice widzi, że Joe jest już na miejscu, o głowę górując nad resztą towarzystwa, pogrążony w ożywionej rozmowie z ludźmi, których widują od czasu do czasu przy podobnych okazjach lub sporadycznie na prozanej kolacji.

Trudno nazwać ich przyjaciółmi. To raczej znajomi. Niewiele jest osób, które Alice i Joe zaliczają do swoich przyjaciół, przynajmniej nie w takim sensie, w jakim przyjaciółką jest Emily, nie w prawdziwym znaczeniu tego słowa.

Są oczywiście ludzie, którzy uważają Alice za swoją przyjaciółkę, zwłaszcza ci przekonani, że pokazanie się w towarzystwie Alice Chambers może przynieść im jakieś korzyści, Alice jednak jest w pełni świadoma, iż wszystko to są znajomości powierzchowne, i nauczyła się traktować wszelkie deklaracje przyjaźni życzliwie, ale i z równą dozą podejrzliwości.

Mimo to ludzie pragną jej przyjaźni. Chcą o niej jak najwięcej wiedzieć, pragną, by choć część jej powodzenia i sukcesu spłynęła także i na nich. Kobiety przyciąga do niej nie tylko jej wrodzone ciepło, ale i otaczająca ją aura tajemniczości.

Nie mają pojęcia, skąd pochodzi, wiedzą jedynie to, że Joe, przez całe życie hołdujący wolności i nie zdradzający żadnych inklinacji do ustatkowania się, nagle oznajmił, iż się żeni, na dodatek z kobietą, o której dotąd nikt nie słyszał.

Robią więc wszystko, by zbliżyć się do niej jak najbardziej, ona jednak, z niezmiennie czarującym uśmiechem, zawsze tak zręcznie kieruje rozmową, by zaczęły zwierać jej się z tego, co

robią, myślą i czują a że wszystkie one wprost uwielbiają mówić o sobie, po chwili, oczarowane i mile połechtane, stwierdzają, że o Alice nie dowiedziały się niczego.

Ludzie oczywiście mówią o niej. Co bardziej złośliwe panie z towarzystwa utrzymują, że kiedyś była kelnerką wspominając, jak to wiele lat temu podawała na przyjęciach sushi. Inne z kolei twierdzą, iż miała własną firmę, była odnoszącą sukcesy niezależną kobietą interesu, a aktualnie najmodniejsze firmy cateringowe — choćby tylko Rabarbar i Musztarda — wzorowały się na jej wyjątkowym i nowatorskim stylu.

Nic z tego nie jest prawdą, ale plotki to ulubione zajęcie tych dam. Zwłaszcza gdy same tak niewiele mają do roboty.

Alice często bywa u nich na lunchach. Zawsze nienaganna w najnowszych strojach od najlepszych projektantów, z wdziękiem przysłuchująca się, jak zapamiętałe plotkują, nigdy jednak z żadną zbytnio się nie spoufalając, z upływem lat obgadywana jest coraz zacieklej.

Powiadają że nie chce kochać się z Joe, nic dziwnego więc, że niezaspokojony małżonek ugania się za spódnicami i co chwila z inną łąduje w łóżku. Lubi różnorodność i prawda jest taka, że oboje z Joe nieraz dzielą się jego co bardziej wyuzdanymi kochankami. Bez wątpienia też lubi zabawy sadomaso i według przyjaciela architekta piwnica jej domu została zamieniona na jaskinię rozpusty wyposażoną w narzędzia tortur i łańcuchy.

Prawda zaś jest taka, że Alice Chambers najzwyczajniej w świecie fascynuje spotykające się na lunchach panie, ponieważ kompletnie nic na jej temat nie wiedzą. Marzą by choć na chwilę w czapce-niewidce znaleźć się w jej sypialni, uwielbiają patrzeć, jak wchodzi do restauracji, na premierę czy inaugurację, obserwować, w co jest ubrana, wciąż niestrudzenie polując na nowy materiał do plotek.

Alice otwiera drzwi prowadzące do galerii i na powitanie macha do Joe ręką, posyłając mu przy tym uśmiech. Dzieli ją od niego dziki tłum, przez który musi się przepchnąć. Już zauważyła co najmniej kilka znajomych twarzy. Obdarzenie ich

wszystkich zdawkowymi pocałunkami i sakramentalnymi formułkami: „Jakiśmaciecouwasłyszeć?” zajmie jej dobre kilka minut.

Na obrazy nikt nie zwraca uwagi. Powietrze aż drży od prowadzonych wszędzie rozmów, słyszeć śmiech i co chwila ktoś odwraca się w stronę drzwi, by sprawdzić, kto się w nich pojawi.

Najwyraźniej galeria to miejsce, gdzie dzisiaj należy widzieć i być widzianym. Spójrz tam, na tę platynową blondynkę w bluzeczce na jedno ramię, czy to nie ta sławna dziewczyna z „It”? A tamta rozczochrana brunetka o cudownie powiększonych ustach, czy to nie ta no-wiesz-kto? O, a tam w kącie jest gwiazda pop z zupełnie nową twarzą.

Wszyscy są tu dzisiaj, a paparazzi porozstawiani w strategicznych punktach kręcą się gorączkowo, niepewni, kogo powinni fotografować najpierw.

Wielcy i sławni obracają się i prezentują przed obiektywami olśniewające bielą zębów uśmiechy, zawsze pamiętając, by pokazać lepszy profil, z gracją wysuwając przed siebie nogę w możliwie najwdzięczniejszej pozie. Wdają się z fotoreporterami w przyjazne pogawędki, co zawsze procentuje, gdyż człowiek póty istnieje w mediach, póki flirtuje z ich przedstawicielami.

Kobiety, które sława ominęła, z furją spoglądają na paparazzich, marząc, by ich karta się odwróciła, i łudząc się, iż ich pełne niesmaku miny przekonają fotografów, że i one mogą stać się sławne, i zachęca do zrobienia im choć jednego zdjęcia.

Fotoreporterzy z zainteresowaniem odwracają się w stronę Alice. Kilku z nich rozpoznaje w niej twarz widzianą już kiedyś w kronikach towarzyskich i wystarczyło, że jeden uniósł aparat i błysnął w jej stronę fleszem, by reszta zbiegła się ze strachu, iż coś może im umknąć. W jednej chwili — ku przerażeniu Alice — wszystkie oczy skierowane są na nią.

Ale pozowanie nie leży w naturze Alice. Ani jej w głowie szczerzyć zęby w sztucznym uśmiechu czy kusząco prezentować smukłe, opalone udo spod długiej, miękko układającej się sukni. Alice wbija wzrok w podłogę, spuszcza głowę i przepy-

cha się obok nich, za wszelką cenę starając się jak najszybciej dotrzeć do Joe, modląc się jednocześnie w duchu, by wszyscy ci ludzie dali jej święty spokój.

— Alice? — Podnosi wzrok na Emily, która właśnie obejmuje ją w serdecznym uścisku. — Co za pieprzony koszmar.

— Och, Em! — szepcze Alice. — Jak ja ich wszystkich nie znoszę.

— Wspaniale. — Emily wypuszcza ją z objęć. — Czemu więc mnie zaprosiłaś?

— Bo przez myśl mi nie przeszło, że przyjdiesz. Nigdy nie przychodzisz, czyżby więc dzisiaj była jakaś szczególna okazja?

— Masz rację, nigdy nie przychodzę, bo nienawidzę tych wszystkich ludzi, ale ty jesteś moją przyjaciółką i ciebie kocham, i nie widziałam cię sto lat, więc postanowiłam się tym razem poświęcić.

— Nie widziałaś mnie sto lat, bo wiecznie jesteś zajęta.

— Pleciesz, Alice. Nie ja, tylko ty włączysz się z imprezy charytatywnej na premierę filmową a potem jeszcze tylko na kolacyjkę do Ivy.

— Niech ci będzie, obie nie mamy czasu. To jedyne ustępstwo z mojej strony, na jakie możesz liczyć.

Emily śmieje się.

— W porządku. Przyjmuję.

— Chodź, przywitasz się z Joe. — Alice widzi, że Joe przerwał rozmowę i czeka, by do niego dołączyła. — Bardzo się ucieszy z waszego spotkania.

Emily nigdy nie mogła się zdecydować, co właściwie sądzi o Joe. Zawsze drażniła ją jego skłonność do flirtowania (nie, z nią nigdy tego nie próbował — nie ośmieliłby się) i choć Alice z uporem twierdzi, że mu ufa, Emily wręcz przeciwnie. Joe jednak ma w sobie tyle uroku, nieodpartego wdzięku, że Emily, mimo iż bardzo chciałyby go nienawidzić za tę jego gładkość, jakoś nie potrafi.

Oczywiście słyszała krążące o nim plotki. Obraca się co prawda w zupełnie innych kręgach towarzyskich, jednak zdarza jej się czasami przekroczyć granice świata Alice, mimo iż nigdy

nie czuje się swobodnie wśród należących do niego ludzi, które to uczucie jest zresztą całkowicie z ich strony odwzajemnione.

Gdy Alice poszła do college'u, Emily wyruszyła w roczną podróż. Całkiem sama. Do małego plecaczka spakowała jeden sweter, dwa sarongi, trzy pary szortów, cztery podkoszulki, pięć par majtek i jedenaście butelek odżywki do włosów — jedyny luksus, na jaki sobie pozwalała, choć utrzymywała, że jest ona niezbędna do zapanowania nad skręconymi jak korkociągi lokami — i wskoczyła na wodolot do Francji.

Wszyscy mówili jej, że postradała zmysły. Podróże? Ależ owszem, jak najbardziej. Samotne? Kompletne wariactwo. Tylko jedna Alice popierała ją z całego serca, cierpiąc jednocześnie, że nie może jej towarzyszyć.

I tak Emily zawędrowała do Francji, zakochała się w chłopaku o imieniu Laurent, synu zamożnego hotelarza z St-Paul de Vence (którego poznała w paryskim barze pewnej szalonej, pijackiej nocy), pojechała na Lazurowe Wybrzeże, gdzie zamieszkała w cudownie luksusowym domu należącym do jego rodziny, skąd oboje w San Remo przekroczyli granicę z Włochami, pojechali do Neapolu, by następnie wzdłuż wybrzeża Amalfi wyruszyć do Sorrento i Positano.

Był to najcudowniejszy i najbardziej romantyczny okres w życiu Emily. Po przyjeździe do Positano Laurent musiał wyjechać, obiecał bowiem ojcu, że zacznie pracować w jego firmie. Gdy żegnali się z Emily, oboje wylali morze łez. Emily kusilo, by ruszyć za nim na południe Francji, lecz tę podróż planowała od miesięcy, lat nawet, i choć naprawdę kochała Laurenta, wiedziała, że jeśli nie wykona swojego planu, do końca życia sobie tego nie wybaczy.

Tak więc z Włoch pojechała do Grecji, a w Grecji związała się z grupą rozbrykanych Australijczyków i dziękując Bogu, że udało jej się zaoszczędzić dość pieniędzy, zarezerwowała bilet na czarterowy lot do Sydney, by przez osiem miesięcy pracować w Australii jako kelnerka, ostatnie sześć tygodni poświęcając na zwiedzanie kraju.

Do Alice słała długie listy, w których opisywała wszystkie swoje przygody i napotykanych ludzi, Alice zaś odwdzięczała się, za wszelką cenę starając się przedstawić swoje życie w college[^] w sposób równie ekscytujący, co niestety zupełnie jej się nie udawało. Ale czy miała jakiegokolwiek szanse?

Do powrotu do Londynu Emily miała na swoim koncie dwa przelotne romanse i trzy poważniejsze związki z wielkimi, opalonymi Australijczykami, Laurent zaś odszedł w całkowite zapomnienie.

Przyjaźń Alice i Emily trwała, jak gdyby ta ostatnia ani na chwilę nie opuszczała kraju.

— To znak, że nasza przyjaźń jest prawdziwa — mawiała Alice. — Możemy się nie widzieć przez rok, ale kiedy się już spotkamy, jest tak, jak gdybyśmy się nigdy nie rozstawały.

Tak było do tamtego pamiętnego wieczoru, gdy Alice natknęła się na Joe. Następnego dnia zadzwoniła do Emily tak podniecona, że prawie nie mogła oddychać, a co dopiero mówić.

— Nie uwierzysz — powiedziała. — Nie uwierzysz, kogo spotkałam wczoraj wieczorem i kto — tu przerwała, wciąż nie posiadając się ze zdumienia — wziął mój numer telefonu.

— Lepiej, żeby to było coś naprawdę interesującego, bo inaczej odkładałam słuchawkę — jęknęła Emily, nigdy nie będąca w najlepszej formie rano, a zwłaszcza kwadrans po ósmej, zważywszy na to, że do łóżka położyła się dopiero o drugiej. — Jest środek nocy, do ciężkiej cholery.

— Nieprawda. Jest piętnaście po ósmej. Myślałam, że mogę już dzwonić.

— Jasne, do diabła, że nie możesz. Wiesz, że w weekendy lubię sobie pospać.

— O Boże. Bardzo cię przepraszam.

— Nie przepraszaj, tylko gadaj, żebym mogła iść spać.

— Joe Chambers.

— Joe Chambers. Cudowny Joe Chambers?

— Tak!

— Niiieeeee!

— Tak!

— I wciąż jest taki cudowny?

— Tak!

— Niiieee!

— Tak! — Alice chichotała zachwycona.

— I poprosił o twój numer? Mówisz poważnie?

— Tak!

— Niiieee!

— Och, odpieprz się! — I obie zaczęły się śmiać.

— Naprawdę chciał twój numer? — Emily przypomniała sobie, jak lata wstecz Alice po szkole wyczekiwała na Joe na przystanku autobusowym.

— Naprawdę, słowo honoru. Em, on jest fantastyczny. Taki przystojny. Naprawdę. A ja wciąż nie mogę uwierzyć, że wziął mój numer.

— Pamiętał cię?

— Chyba nie, ale mówił, że pamięta, no i pamiętał mojego brata. Tak Bogiem a prawdą, to mam nadzieję, że mnie nie pamięta. Chryste, w szkole wyglądałam jak jakiś koszmar.

— Wszyscy tak wyglądali. Pamiętasz, jak wołali na mnie Panna Afro?

— Na mnie nie lepiej. Byłam Wielkim Ptakiem. Emily zaczęła się śmiać.

— Pieprzę cię, Em. To wcale nie jest zabawne.

— Wybacz. Ale wszyscy byliśmy szpetni.

— Z wyjątkiem Joe Chambersa.

— Z wyjątkiem Cudownego Joe Chambersa. Jezu, nie chce mi się wierzyć, że się z tobą umówił.

— Nie umówił. Po prostu poprosił o mój numer telefonu. Myślisz, że się ze mną umówi?

— Rany, ile ty masz lat? Dwanaście?

— No co? Po prostu pytam.

— Jasne, że się z tobą umówi. A po co by mu był twój numer?

— Żeby mu urządziła przyjęcie.

— Oj. — O tym Emily zapomniała.

— Chrzanić to. Na pewno chce, żebym mu urządziła przyjęcie. Niech to szlag—jęknęła Alice. — Do diabła, że też ja zawsze muszę się tak rumienić. Pewnie ma mnie za kompletną idiotkę.

— Prawdopodobnie — przytaknęła Emily.

— O nie. Naprawdę tak uważasz?

— A skąd niby do diabła mam to wiedzieć? Teraz będziesz musiała doświadczyć tego, przez co reszta nas, samotnych sióstr, przechodzi za każdym razem, gdy damy komuś swój numer. Całymi dniami siedzimy przyklejone do telefonu, nienawidząc całego świata i myśląc sobie, że gdybyśmy tylko były szczuplejsze albo grubsze, albo bardziej blond, albo bardziej ciemne, głośniejsze, a może cichsze, on by zadzwonił.

— Brzmi koszmarnie. Naprawdę jest aż tak tragicznie? — Jak dotąd Alice, zajętej prowadzeniem swojej firmy, udawało się unikać udręk i rozterek sercowych, ale jak sama powtarzała mnóstwo razy, w tej dziedzinie Emily z nawiązką nadrabiała za nie obie.

— Nawet gorzej. Dzięki Bogu teraz będziesz miała okazję przekonać się o tym na własnej skórze.

Dwa tygodnie później, kiedy to Alice szczerze znienawidziła swój telefon, a Emily jeszcze bardziej za to, że za każdym razem, gdy rozlegał się jego dźwięk, odzywała się z drugiego końca linii, Joe wreszcie zadzwonił.

Niestety jednak, zadzwonił dokładnie w tym celu, którego się tak bardzo obawiała: chciał mianowicie, by przygotowała dla niego przyjęcie.

Nie wiedziała natomiast, iż był to z jego strony pretekst, by spotkać się z nią ponownie, a po przyjęciu umówił się z nią, tym razem na prawdziwą randkę.

I stało się, przynajmniej z punktu widzenia Emily, że od tej chwili Alice nie była już tą samą osobą co niegdyś.

Gdzie się podziała skromna, nieśmiała, krągła Alice? Co stało się z dziewczyną, która kochała zwierzęta i dzieci i marzyła o domku na wsi z werandą porośniętą różami?

Za tę przemianę przyjaciółki Emily w pełni obwinia Joe. Dawna Alice za cenę życia nie włożyłaby obcasów wyższych niż dwa centymetry, nie wspominając nawet — Emily spogląda na stopy Alice — o spiczastych, z dziesięciocentymetrowymi obcasami, niewątpliwie koszmarnie drogich pantoflach. Dawnej Alice nigdy przez myśl by nie przeszło, żeby rozjaśnić sobie włosy (poza jedną katastrofalną próbą utleniaczem Jolene i zieloną farbą o nazwie „Szalony Kolor”, ale wtedy miały obie po szesnaście lat). Na pewno też nie odwiedzałyby regularnie co sześć tygodni salonu Jo Hansforda, gdzie z całą pewnością zostawiała za każdym razem setki funtów za miodowe pasemka. Dawna Alice z rozkoszą wałkoniłaby się na kanapie w starych kapciach, obżerając się pizzą (notabene własnej roboty, ze świeżą mozarellą i siekanymi listkami bazylii, wyhodowanej w terakotowej donicy na własnym patio) i oglądając jakieś bzdury w telewizji. Pomysł, że — jak dzisiaj — mogłaby spędzić wieczór, elegancko wystrojona, wśród równie eleganckich, snobistycznych i wyrafinowanych ludzi, przyjęłaby z nieskrywaną niechęcią i odrazą.

Dawna Alice wyśmiewała się z kobiet, dla których organizowała przyjęcia, a z którymi dzisiaj przyszła do galerii, jako jedna z nich.

Emily pamięta, jak po paru miesiącach widywania się z Joe Alice umówiła się z nią na szybki lunch do Prêt à Manger.

— Jestem na diecie — powiedziała, wybierając skromną sałatkę i dietetyczną colę, podczas gdy Emily szła do kasy z wielką kanapką klubową, czekoladowym biszkoptem i koktajlem bananowym.

— Na diecie? Przecież ty nie potrzebujesz żadnej diety. — Emily spojrzała na nią przerażona. Przecież to Alice. Alice, która żyła z gotowania. Alice, która jedzenie wprost uwielbiała.

— Wiem — wzruszyła ramionami Alice. — Ale Joe ciągle ogląda zdjęcia modelek i zachwyca się ich figurami, więc pomyślałam, że spróbuję zgubić kilka kilogramów.

„O, dobry jest” — pomyślała Emily. „Subtelny”.

— To idiotyzm — powiedziała na głos. — Figurę masz świetną, a on przecież kocha cię dla ciebie samej. — „Przynajmniej — dodała w duchu — powinien”.

— Po prostu chcę trochę schudnąć — burknęła Alice. — Nie za dużo. A po kolejnych kilku miesiącach na lunchu zjawiła się nowa Alice, o wiele szczuplejsza i z prostymi włosami.

— Gdzie się podziały twoje loki? — zdziwiła się Emily.

— Chciałam zobaczyć, jak bym wyglądała z prostymi włosami.

— Czy Joe przypadkiem nie napomknął, że uwielbia kobiety z prostymi włosami?

— No wiesz... — Alice wyraźnie skrepowana zaczęła się wiercić na krześle.

— Podejrzewam, że lada dzień każe ci się zrobić na blond. Mężczyźni tacy jak Joe zawsze woleli blondynki, dla nich to swojego rodzaju wyznacznik statusu.

— W zasadzie...

— O nie! Alice! Na miłość boską, przecież to kretynstwo. Chyba nie chcesz się przefarbować na blondynkę? Dla Joe?

— Nie dla Joe, co to, to nie. W czwartek idę do fryzjera i pomyślałam, że może trochę sobie rozjaśnię włosy. Ale to był mój pomysł — dodała szybko, dostrzegając minę Emily.

— A co na to twój ukochany?

— Ukochany uważa, że będzie mi bardzo do twarzy.

— Jasne, dałabym sobie głowę uciąć.

— Joe! — Emily przywołuje na twarz szeroki, nieszczerzy uśmiech, gdy podchodzi, by ucałować go na powitanie.

— Emily! — Joe uśmiecha się od ucha do ucha, dając jej do zrozumienia, że niczyj widok nie sprawiłby mu większej przyjemności.

— Wspaniale, że przyszłaś, czarująca jak zwykle.

Emily unosi brwi i kręci głową.

— Jak widzę, nic nie straciłeś ze swojego dawnego uroku.

— Mówię tylko, co widzę — uśmiecha się Joe.

Lubi Emily. Może za nią nie przepada — jak dla niego zbyt jest wygadana i pewna siebie (nie wspominając o tym, że zdecydowanie zbyt blisko przyjaźni się z Alice), ale naprawdę ją szanuje, a niewielu jest ludzi, o których mógłby to szczerze powiedzieć. „Emily jest OK” — mawiał do Alice. „Wie, co jest grane”.

— Co cię tu sprowadza? — pyta. — Albo moja cudowna żona — witaj, kochanie — odwraca się ku Alice i całuje ją — moja cudowna żona cię tu zaprosiła, albo przyszłaś powęszyć, co też nowego słyhać wśród plebsu.

— Ile razy mam ci tłumaczyć, że piszę o ważnych sprawach i fakt, iż jestem dziennikarką, wcale nie musi oznaczać, że interesuje mnie, z kim akurat obmacuje się Tamara Beckwith?

— Więc z kim się akurat obmacuje?

— Nie wiem — uśmiecha się Emily. — Ale przed chwilą się minęliśmy, może więc sam ją o to zapytasz.

— Aha! Przyłapałem cię. Myślałem, że plotki z wielkiego świata cię nie interesują, a ty, ot tak, mimochodem, wchodząc tu, zauważasz Tamarę Beckwith. Przyszłaś tu węszyć. Wiedziałem!

— Nawet jeżeli prywatnie interesują mnie plotki o moich ulubionych bohaterkach „OK!” i „Hello!”, zawodowo to nie moja działka.

— Pismak zawsze pozostanie pismakiem.

— Nie, jeżeli rzeczony pismak jest wolnym strzelcem pisującym głównie dla wielkoformatowców.

— Dzieci, dzieci — mityguje ich Alice, stając między nimi, jak gdyby chciała zapobiec bójce. — Zachowujcie się!

Naprawdę jednak cieszy się, słysząc, jak łagodnie się przekomarzają, bywa bowiem, że Emily zachwuje się wobec Joe agresywnie, wyraźnie dążąc do konfrontacji.

— To nie j a, to ona — mówi płaczliwie Joe, po czym parska śmiechem, gdy Emily wymierza mu mocnego kuksańca w bok.

Choć raz Alice bawi się dobrze. Cieszy ją spotkanie z Emily, choć na obcym i niezbyt przyjaznym gruncie, bo ma dzięki temu

koło siebie dwoje najdroższych jej ludzi na świecie. Joe jest pełen atencji i ani na chwilę nie spuszcza z niej rozkochanego spojrzenia, co sprawia, iż Alice niemal rozplywa się ze szczęścia.

Dzisiaj naprawdę czuje się swobodnie, zdumiona, że ilekroć spogląda na Joe, on nie gapi się na kuszący dekolt po przeciwnej stronie sali czy na parę niebotycznych nóg tuż obok. Gapi się na nią.

„Dlatego właśnie za niego wyszłam” — myśli, przytulając się do niego. On obejmuje ją w pasie ramieniem i mocno do siebie tuli, nie przestając śmiać się i żartować z Emily. „Teraz sobie przypominam”.

— No, to mów, chcę poznać wszystkie plotki.

Alice pochyła się do przodu, chroniąc w dłoniach filiżankę z capuccino, bo Emily walczy z płaczącą się wokół krzeseł i stolików smyczą Humphreya.

— Zaczekaj chwilę — mówi Emily. — Humphrey!

Niechętnie przyciąga do stolika małego terriera, wie bowiem, że w ten ciepły, słoneczny wiosenny wtorek w Primrose Hill i tak obok ich stolika w Cacao za chwilę przechodzić będzie kolejny pies i Humphrey — nowo nabyty pies z miejscowego schroniska dla bezdomnych zwierząt — rzuci się jak szalony, żeby się z nim przywitać.

— Na miłość boską, Humphrey! — Emily podnosi psiaka z ziemi i sadza go sobie na kolanach. — Pomyślałby kto, że w życiu nie widziałeś innego psa.

— Jak wam idzie szkolenie?

Emily i Humphrey zapisali się na kurs psych manier i w każdą niedzielę rano chodzą do Hampstead Heath ze specjalną smyczą i kieszeniami pełnymi psych przysmaków.

— Wspaniale. Póki siedzimy w salonie, jest najlepiej wychowanym psem, jakiego zdarzyło mi się mieć.

— W życiu nie miałaś psa.

— No właśnie. W domu idealnie reaguje na komendę „siad” i prawie już nauczyliśmy się „waruj”. — Emily stawia Humphreya na chodniku i zdecydowanym głosem wydaje mu polecenie: „Siad. Humphrey, siad”.

Humphrey spogląda na nią, po czym odwraca się i zaczyna obwąchiwać stołową nogę.

— Och, pieprzyć to — wzdycha Emily. — Humphrey, jesteś po prostu beznadziejny. Gdyby nie Harry, w ogóle nie zawracałabym sobie głowy tym całym szkoleniem.

— Ach tak. Harry. No więc, jak bardzo seksy jest psi trener?

— Seksy. I bardzo rozprasza uwagę. Pewnie dlatego Humphrey tak beznadziejnie wykonuje polecenia. Na zajęciach większość czasu koncentruję się na ustach Harry'ego.

— Tylko na jego ustach?

— Hm, nie, ale — Emily zniża głos i spogląda z ukosa na Humphreya — nie chcę za bardzo demoralizować Humphreya.

— To znaczy, że jeszcze do niczego nie doszło? — Alice słyszała wszystko o pierwszej lekcji, kiedy to Harry bez przerwy wybierał Emily i Humphreya, by reszcie uczniów demonstrowali kolejne ćwiczenia. Emily flirtowała z nim bez opamiętania, nagrodą za co było kilka spojrzeń trwających o kilka sekund za długo, a pod koniec zajęć długa rozmowa, która bardzo szybko z psów zeszła na tematy osobiste.

A gdy w następnym tygodniu Harry zapytał, czy ktoś nie ma ochoty wybrać się po lekcji na kawę, i zrobił to, kiedy prawie wszyscy już sobie poszli, a została jedynie Emily i starszy facet

O imieniu Lionel, jasno dał do zrozumienia, że chętnie poznałby Emily nieco lepiej.

(„Zawsze wiedziałam, że już dawno powinnam była sprawić sobie psa” — oświadczyła Emily po ich trzeciej randce. „Tylko pomyśl, gdybyśmy się spotkali z Humphreym dziesięć lat temu, dzisiaj pewnie byłabym mężatką z gromadką wrzeszczących dzieciaków”).

— Czy do czegoś doszło? A cóż to, do cholery, ma znaczyć?

— A jak, do cholery, myślisz? Czy z nim spałaś?

— Oczywiście, że z nim nie spałam! — Emily wrzeszczy z udawanym przerażeniem, widząc jednak, jak spacerujący po Primrose Hill przerywają prowadzone przez telefon rozmowy

i przyglądają się jej z zainteresowaniem, zniża głos. — On jest cudowny. Nie chcę tego schrzanić, wskakując z nim do łóżka zbyt wcześnie.

— No to coście robili?
— Mnóstwo całowania i trochę obmacywania.
— Na górze czy na dole? — Alice się uśmiecha, wiedząc, że jedyną osobą na świecie, której może zadać takie pytanie, zachowując się przy tym jak głupkowaty podłotek, jest Emily.
— Na górze oczywiście — odpowiada Emily. — O dole zapomnij, dopóki nie ogolę sobie nóg.
— Jeszcze tego nie zrobiłaś? Obrzydliwość! (Alice, która regularnie co sześć tygodni chodzi do salonu kosmetycznego na woskowanie nóg, nigdy nie mogła zrozumieć, jak Emily może całymi miesiącami nie pamiętać, że trzeba sobie ogolić łydki. „A po co mam sobie tym zawracać głowę?” — odpowiadała zawsze Emily. „Przecież i tak nie uprawiam seksu. Ty to co innego, musisz, bo twój mąż nie zniósłby owłosionych ud, aleja regularnie sypiam tylko z Humphreym, a jeśli o niego chodzi, im bardziej jestem owłosiona, tym lepiej, bo w ten sposób jesteśmy sobie bliżsi”).
— Ale tak sobie myślę, że chyba zrobię to w tym tygodniu.
— To znaczy, że *D-day** nadchodzi?
— No, chyba nadszedł już czas, żeby pozbyć się mojego odrodzonego dziewictwa.
Alice wybucha śmiechem.
— Dobrze ci się śmiać — obrusza się Emily. — Myślisz, że to takie zabawne, bo ty możesz się kochać, kiedy i gdzie chcesz. Wystarczy, że się obrócisz i dźgniesz Joe w brzuch.
— No, tym bardziej że nic bardziej nie podnieca mojego męża niż porządne dźgnięcie w brzuch.
— Z tego, co słyszałam, Joe i tak ma permanentną erekcję. — To miał być żart, ale niezbyt się Emily udał. Zapada niezręczna cisza, a Alice blednie i uśmiech znika z jej twarzy.
— Nie bardzo wiem, co chciałaś przez to powiedzieć? — pyta Alice lodowatym tonem, a Emily oddałaby wszystko, by

* *D-day* — kryptonim dnia lądowania wojsk alianckich w Normandii, 6 czerwca 1944 roku.

cofnąć wypowiedziane bez namysłu słowa. Żałuje, że w ogóle się odezwała, wie bowiem, że są tematy, na które powinna szczególnie uważać, a priapizm Joe bez wątpienia jest jednym z nich.

— Żartowałam — mówi cicho. — Sama nieraz mówiłaś, że Joe jest zawsze gotowy, to wszystko.

Obie wiedziały, że to nieprawda, przynajmniej od jakiegoś już czasu. Dawno temu, na początku ich małżeństwa, Alice rzeczywiście tak powiedziała. „Jak to możliwe, żeby mężczyzna chciał się tak bez przerwy kochać?” — spytała przyjaciółkę, nie posiadając się ze zdumienia, bywały bowiem noce, gdy Joe kładł się do łóżka i kochał się z nią dwa, trzy, nieraz nawet i cztery razy pod rząd.

„Nie wiem, ale na twoim miejscu bym się nad tym nie zastanawiała”. — Emily aż jęknęła wtedy z zazdrości. „Po prostu ciesz się, że znalazłaś takiego”.

Teraz, po pięciu latach, upływają nieraz całe miesiące, a Joe nawet Alice nie dotknie. Alice próbowała wszystkiego. Wydawała majątek na seksowną, koronkową bieliznę z La Perli, a gdy to nie poskutkowało, sięgnęła po arsenał z zupełnie innej beczki — na samo wspomnienie do dzisiaj odczuwa skrępowanie, że aż tak była zdesperowana — kupiła tanie nylonowe rajstopy bez kroku i strój pokojówki od Ann Summers.

Próbowała mówić sprośne rzeczy: głąskała Joe po udzie, szepcząc mu do ucha, co chciałaby z nim robić. Rumieniła się przy tym ze wstydu, a potem musiała znosić katusze upokorzenia, gdy on nawet się nie poruszył, udając, że śpi.

Zadzwoiła nawet do Tya i powiedziała mu, że organizują z przyjaciółkami wieczór panieński dla jednej z nich i pomyślały sobie, że byłoby fajnie załatwić na tę okazję jakieś filmy porno i czy on nie mógłby jej w tym pomóc? Skończyło się na tym, że oglądała filmy w samotności i masturbując się rozpaczliwie, żałowała, że kiedy poszła do Ann Summers, nie zainwestowała w wibrator.

Joe tłumaczy się trudną sytuacją w pracy, która tak go wykań-

cza, że na seks w ogóle nie ma ochoty, alternatywa zaś jest zbyt przerażająca, by Alice odważyła się o niej choćby pomyśleć. Wie, iż w którymś momencie to się skończy, Joe wróci do domu z bukietem kwiatów lub jakąś błyskotką ucałuje ją przytuli, powie, że sfinalizował kolejną niezmiernie ważną sprawę i tej nocy pójda do łóżka, będą się kochać do rana, a Alice w duchu zanosić będzie modły do Boga, by tym razem odzyskała męża na stałe.

Alice spogląda na Emily i widząc, jak w sumie niewinny był jej żart, wybacza. Emily prędzej oddałaby życie, niż umyślnie zraniła Alice, o czym zresztą Alice doskonale wie.

— Nie ma sprawy — mówi w końcu, kładąc kres niezręcznej ciszy. Na jej policzki wolno wracają rumieńce. — Nie przejmuj się. Tak się składa, że przez kilka ostatnich tygodni rzeczywiście miał permanentną erekcję. Jest cudownie. Przynajmniej raz w życiu cieszę się, że mam pod oczami sine wory.

Emily śmieje się z ulgą, kiedy Humphrey zaczyna szczekać na przechodzącego właśnie Rhodesian Ridgebacka.

— Biedny Humphrey. Musi trochę pobiegać. Zrobimy sobie spacer? —

Na dźwięk słowa „spacer” Humphrey zaczyna skakać jak oszalały, co rozbawia obie dziewczyny do łez. Smycz znowu zaplątała się wokół stolików, chwilę więc trwa, zanim mogą wyruszyć.

Alice idzie przodem, szczęśliwa, że mogła chwilowo zapomnieć o eleganckim ubiorze, bo wybierając się na spacer w towarzystwie Emily, nie musi zachowywać pozorów, mogła więc ubrać się w swoje najstarsze, wygodne ciuchy i być sobą. Co prawda dzinsy ma od Earla, ale poza tym włożyła zwykłe adidas, bluzę GAP i baseballową czapkę, wciśniętą głęboko na spięte w kucyk włosy. W takim stroju naprawdę może spacerować, siedzieć wygodnie z łokciami wspartymi na szeroko rozstawionych kolanach, biegać i bawić się z Humphreym, i tulić go bez obaw, że — Boże, uchwaj — pobrudzi sobie błotem żakiet od Chanel czy skórzany płaszcz.

Idą na wzgórze, przystając co chwila, by Humphrey mógł się

przywitać ze wszystkimi napotykanymi psami. Emily gawędzi z ich właścicielami, opowiadając im historię Humphreya, jak to wybrała się do schroniska po kota, ale zakochała się w Humphreyu i w końcu wróciła do domu z psem. Alice tymczasem z uśmiechem przygląda się psom i nagradza Humphreya smakołykiem, ilekroć do niej podbiegnie.

— Boże, ależ ja ci zazdroszczę — mówi do Emily, gdy przystają na szczycie wzgórza, by popatrzeć na ludzi puszczających latawce. — Cudownie musi być przychodzić tu w każdy weekend.

— Ty mi zazdrościsz? — Emily zaczyna się śmiać. — Popatrz na siebie, Alice. Mieszkasz w cudownym, odpieprzonym domu w Belgravii, a ja mam tylko malutkie mieszkanie w Camden. Ty masz męża, a ja wciąż jestem rozpaczliwie samotna i jak na razie moim jedynym Panem Właściwym jest Humphrey. Nie wspomnę już, że prowadzisz najwspanialsze życie ze wszystkich znanych mi ludzi, a dla mnie szczytem marzeń jest wyjście do cholernej Marinę Ices przy Chalk Farm Road. Na dodatek o tobie pisali już w „Tatlerze”, a moje nazwisko pojawia się w gazetach tylko wtedy, gdy wydawca łaskawie zgodzi się nim podpisać mój artykuł. Czego więc możesz mi zazdrościć?

— Twojej wolności. Możesz robić to, co lubisz, ilekroć tylko przyjdzie ci ochota. Jak chcesz, to możesz przychodzić na Primrose Hill choćby i codziennie, spacerować sobie z Humphreyem, rozmawiać z ludźmi i iść byle gdzie.

— A ty nie możesz?

— Nie, ja nie mogę. — Alice potrząsa głową. — Ja nie mogę mieć Humphreya, bo w naszym życiu nie ma miejsca na psa, to byłoby nie fair. Nie mamy ogrodu, mieszkamy w mieście, ciągle nas nie ma w domu. No i Joe nie znosi zwierząt.

— No, to pamiętam. Nienawidził Molly i Paolo, prawda?

— Boże, i to jak. Moje biedactwa. Zanim się oświadczył, udawał, że je toleruje, a potem musiałam wybierać: koty albo on. — Alice wzdycha. — Przynajmniej znalazłam dla nich dobry dom. Chyba powinnam być wdzięczna przynajmniej za to.

— Czy mi się zdaje, czy też zawsze mówiłyśmy, że nie należy ufać mężczyźnie, który nie lubi zwierząt?

— Nawet mi nie przypominaj — prycha Alice. — Ale pomijając już kwestię zwierząt, Joe w życiu by się na coś takiego nie pisał. Nie widzi sensu w spacerowaniu dla samego spacerowania. Prawdę mówiąc — wybucha śmiechem — czasem mi się wydaje, że jest beznadziejnie uczulony na przyrodę.

— Boże. I pomyśleć, że zawsze ci się marzył mały, kryty strzechą domek w Cotswolds. Miałaś, zdaje się, hodować konie i kury?

— Owszem. A ty poślubić milionera?

— Owszem. Cholera. Jak to się stało, że ty żyjesz moim życiem, a ja twoim?

— Słuszna uwaga. Chcesz się zamienić? — pyta Alice z uśmiechem.

— Pod warunkiem, że mogę sobie zatrzymać Harry'ego.

— Nic z tego. Jak się mamy zamienić, ty bierzesz Joe, a Harry jest mój.

— Przecież nie widziałaś go na oczy. Skąd wiesz, że by ci się spodobał?

— Facet, który żyje ze szkolenia psów? Już go kocham. Chyba nie jest aż taki tragiczny?

— Mogę ci zadać jedno pytanie? — Emily przystaje, by spojrzeć na Alice. — Dlaczego tak n a p r a w d ę wyszłaś za Joe?

Jest to pytanie, które Alice zadawała sobie wielokrotnie przez te wszystkie lata. Kiedy Joe jest dobry i kochający, Alice myśli, że wie dlaczego go poślubiła, kiedy jednak oddała się od niej i staje się jakby nieobecny, wtedy nie ma zielonego pojęcia.

Nawet gdy swoim zachowaniem stanowi wzór idealnego męża, Alice i tak zastanawia się nad swoim życiem, ponieważ Emily ma tu stuprocentową rację: nie tak sobie to wszystko wyobrażała i nie o tym marzyła.

Bywają dni, gdy czuje się całkiem szczęśliwa. Bawi ją jej

styl życia, mimo iż jest tak powierzchowny (co do czego nigdy nie miała wątpliwości). Lubi bywać w modnych restauracjach, wśród pięknych ludzi, na niekończących się koktajlach i spotkaniach. Patrzy na swojego męża i myśli sobie, że to najcudowniejszy mężczyzna na świecie, szczęśliwa, że może z nim być.

W takie dni tłumaczy sobie, że marzenia tym właśnie są: marzeniami, i niczym więcej. I gdyby kiedyś się spełniły, nigdy nie byłyby równie fantastyczne jak w wyobraźni.

Zdarzają się jednak złe dni i wtedy najchętniej uciekłaby na koniec świata. Zastanawia się, czy sama dałaby sobie radę, ale na szczęście jak na razie nie mają dzieci (znowu wyłącznie za sprawą Joe, ponieważ to on chciał, żeby spędzili przynajmniej pięć lat, ciesząc się wyłącznie sobą, mogąc w każdej chwili wyskoczyć do Włoch, Hiszpanii czy Francji i nie martwić się, co począć z dziećmi).

Pięć lat właśnie minęło i Alice czeka na odpowiedni moment, w którym będzie mogła podjąć temat dzieci, ponieważ zawsze sądziła, że po raz pierwszy zostanie matką dużo wcześniej niż w wieku trzydziestu pięć lat, a w tym wypadku czas zdecydowanie nie jest jej sojusznikiem.

W zły dzień Alice gotowa jest po prostu wstać i wyjść, zabierając ze sobą jedną walizkę z najbardziej niezbędnymi rzeczami, i zamieszkać gdzieś na wsi, możliwie jak najdalej od tego świata.

W takie noce, gdy Joe jest nieobecny, ciałem bądź tylko duchem, Alice leży w łóżku i marzy o rozwodzie. Nie płacze, już nie, tylko leży i myśli o innej Alice, Alice, która nie jest żoną--ozdobą.

Gdy na początku Joe z nią wychodził, zabierał ją do najlepszych restauracji, obsypywał prezentami, rano tulił i mówił, jaka jest piękna, czuła się, jakby jej dość nudne dotąd życie zamieniło się w film.

Nagle wszystko stało się tak ciekawe i ekscytujące, że bez żalu porzuciła starą Alice, myśląc, że już jej nie potrzebuje, więcej — nabrała przekonania, iż starej Alice już nie ma.

*

— Joe mnie kocha — Alice zwraca się do Emily, by usprawiedliwić swoje małżeństwo. — A ja kocham jego.

— I to wystarczy?

— Nie wiem. Ale myślę, że na razie musi.

Czasem Emily wie, że nie powinna naciskać, tak jak teraz. Szybko więc zmienia temat.

— Nie mogę uwierzyć, że wreszcie poznasz Harry'ego! Jestem taka zdenerwowana! Myślisz, że powinniśmy wybrać się gdzieś na kolację?

— Przyjedziecie do miasta w sobotę wieczorem? Masz na myśli jakieś specjalne miejsce?

— Jasne, że przyjedziemy, pod warunkiem, że nie będzie zbyt drogo. Może nie wiesz, ale trenerzy psów to nie bankierzy inwestycyjni.

— Wiem, wiem. Jasne, że nie będzie zbyt drogo. Coś wymyślę i dam ci znać.

— Cześć, kochanie. — Joe dzwoni, gdy Alice w żółwym tempie posuwa się Baker Street, co chwila gwałtownie hamując, by nie przejechać polujących na okazje tłumów pędzących z Selfridges do Marks & Spencer. — Gdzie jesteś?

— Już prawie w domu. Byłam z Emily i Humphreym.

— Wspaniale. Dzwonię tylko, żeby ci powiedzieć, że dzisiejsze wyjście jest odwołane. Eddie złapał grypę. Ale może masz jednak ochotę wyjść? Tylko my dwoje?

— Wiesz, na co naprawdę mam ochotę? Żebyśmy zostali dzisiaj w domu. Ugotuję coś dobrego na kolację i położymy się wcześniej spać.

— Brzmi cudownie — mówi z uśmiechem Joe. — Niczego nie lubię bardziej, niż wcześniej położyć się do łóżka z własną żoną. Będę w domu koło ósmej. Kocham cię.

— Ja ciebie b a r d z i e j.

— Nie, j a c i e b i e bardziej. Alice uśmiecha się.

— Okay — śmieje się Joe i odkładając słuchawkę, odwraca

się, by spojrzeć na parę długich nóg przemierzających właśnie biuro. Tuż przed jego biurkiem przechodzi wysoka kobieta, chyba koło trzydziestki, ze złocistymi włosami spiętymi w ciasny kok, a jej piękną opływową figurę podkreśla wspaniale dopasowany czekoladowo-brązowy kostium. Emanuje z niej zmysłowość pomieszana z pewnością siebie, płynącą z niezachwianej wiary, że każdy mężczyzna na piętrze jej się przygląda, czemu daje wyraz, ani na chwilę nie odrywając wzroku od jakiegoś punktu przed sobą. Po chwili znika za podwójnymi drzwiami prowadzącymi do windy.

— Je-zu. — Joe okręca się na swoim krześle, wydając długie, ciche gwizdnięcie. — A któż to był?

Dave podnosi wzrok znad telefonu akurat w ostatniej chwili, by dostrzec plecy blond zjawiska za zamykającymi się właśnie drzwiami do windy.

— To nasza nowa biurowa modliszka. Josie Mitchell. Kierowała działem Risk Arb w Goldmans, a tutaj ma być dyrektorem operacyjnym Rynków Kapitałów Akcyjnych.

— T o j e s t Josie Mitchell? Chryste, zawsze wyobrażałem ją sobie jako jakieś totalne bezguście. Drogi przyjacielu, to nie jest nowa biurowa modliszka. Widziałeś te nogi? To nowa biurowa ślicznotka.

Dave wzdycha i wymownie spogląda na sufit.

— Chcesz raczej powiedzieć: nowa biurowa ślicznotka Joe Chambersa. Uważaj, Joe. To nie jest taka sobie zwykła lalunia. Z nią trzeba uważać. Wiesz, jakie w zeszłym roku płacili premie u Goldmansa, możesz więc sobie wyobrazić, ile musieli jej u nas zaproponować, żeby dała się skusić.

— Może słyszała, że w Godfrey Hamilton Saltz pracują faceci z większą klasą.

Dave parska śmiechem.

— To nie jest lalunia w stylu tych, co to przelecisz i zapomnisz. Tylko tyle mam do powiedzenia. Po prostu bądź ostrożny.

— Ostrożny? To moje drugie imię. Zresztą nie mam ochoty

jej przelecieć. Jestem człowiekiem zreformowanym, nie wspominając już o tym, że żonatym. W związku z czym właśnie sobie przypomniałem — spogląda na zegarek i znowu podnosi słuchawkę — że przed wyjściem muszę jeszcze zadzwonić do biura podróży. — Wybiera numer i prostuje się wygodnie na krześle.

— Jackie? Cześć, kochanie, tu Joe. Udało ci się załatwić pokój w Lygon Arms? Naprawdę? Och, wspaniale, jesteś cudowna, czy ktoś ci to już mówił?

— Co to jest? — Alice spogląda na białą kopertę, którą Joe właśnie położył na jej poduszce.

Na kolację zjedli wspaniałą sałatkę z jagnięciny i tabbulę, a na deser dojrzałe świeże maliny z lodami waniliowymi domowej roboty. Do tego wyśmienite Bordeaux rocznik 1990, a na koniec po dwie kawy espresso. Każde rozebrało się osobno w swojej garderobie, po czym ponownie spotkali się w łóżku, gdzie z uśmiechem „chodź-do-łóżka” czekał na nią Joe, by wziąć ją w objęcia.

Teraz Joe leży na swojej połowie łóżka i czyta „Financial Times”, Alice zaś na swojej zagłębia się w lekturze najnowszej powieści, o której wszyscy ostatnio mówią.

— Otwórz. — Joe odkłada gazetę i spogląda na Alice z uśmiechem.

Alice rozrywa kopertę i wyjmuje z niej ulotkę reklamową Lygon Arms i przesłane faksem potwierdzenie rezerwacji dla dwóch osób w apartamencie Karola I na piątek piętnastego i sobotę szesnastego kwietnia. Najbliższy weekend.

— A to z jakiej okazji? — Alice uśmiecha się szeroko.

— Po prostu chciałem, żebyśmy spędzili gdzieś razem romantyczny weekend. Pomyślałem, że przydałby ci się odpoczynek od szaleństwa Londynu, a ponieważ wiem, jak bardzo kochasz wieś, postanowiłem zrobić ci niespodziankę.

— Och, to cudownie. — Alice uradowana przysuwa się, żeby go ucałować. — Cudowna, wspaniała niespodzianka. Już nie mogę się doczekać. O nie — jęczy nagle, przypomina sobie

bowiem, że w sobotę wieczór umówiła się na kolację z Emily i Harrym. — Co mam zrobić z sobotą? Z Emily i Harrym?

— Odwołaj — mówi Joe. — Na pewno się nie obrażą.

— Ale zawsze odwołuję wszystkie spotkania z Emily — protestuje Alice. — A ona tak się cieszyła. A poza tym chcę w końcu poznać Harry'ego. Może zmienimy rezerwację? Na przyszły weekend?

— To niemożliwe. Wszystko już załatwiłem i nie mam zamiaru niczego zmieniać. — Joe krzyżuje ramiona na piersiach.

— Mówię ci, Emily na pewno zrozumie.

— Nie. Zawsze musi rozumieć i obiecałam jej, że więcej tego nie zrobię. Nie możemy jechać.

— Alice, zachowujesz się kompletnie irracjonalnie. Jeśli teraz odwołamy rezerwację i tak będziemy musieli zapłacić, a to już głupota. Nie odwołam.

— Dobrze. W takim razie weźmy ich ze sobą.

— A kto za to zapłaci?

— Ty. To będzie mój urodzinowy prezent.

— Przecież urodziny masz dopiero w maju.

— Wiem. Taki trochę wcześniejszy prezent.

— Alice, chodziło o to, żebyśmy spędzili ten weekend razem.

— Ale przecież uwielbiasz Emily, a poza tym wiesz, że bawimy się o wiele lepiej, kiedy są z nami przyjaciele. — Nie jest to do końca prawdą, przynajmniej jeżeli chodzi o Alice, lecz Joe zawsze lepiej się czuje w tłumie, wobec czego, jak zresztą należało się tego spodziewać, teraz zgadza się ze wzruszeniem ramion.

— Niech ci będzie — mówi, widząc, jak ją to uszczęśliwia.

— Jutro możesz do niej zadzwonić.

— Mam nadzieję, że się zgodzą. — Alice nie posiada się z radości. — Ale jeszcze ze sobą nie spali, więc może poczują się trochę niezręcznie.

— Jeszcze nie? Cóż, w takim razie trafia im się idealna wręcz okazja. W zasadzie to ona powinna zapłacić mnie, a nie odwrotnie.

Joe składa gazetę i nachyla się, by zgasić swoją nocną lampkę.

Joe przepycha się przez kłębiący się wokół baru tłum chłopców z City i udaje mu się zwrócić na siebie uwagę barmana.

— Dwa Cosmopolitany, dwie pojedyncze whisky bez lodu i jedno piwo! — wykrzykuje do niego powoli, starannie wypowiadając każde słowo, by przebić się przez panujący w pubie piątkowy harmider.

Jak zwykle o szóstej wieczorem w Corney & Barrow jest tłoczno. Marynarki zwisają na oparciach krzeseł, krawaty są poluzowane, a kobiety i mężczyźni, dzięki którym pieniądze przepływają przez finansowe serce kraju, wreszcie mogą się napić czegoś mocniejszego i wyluzować.

Zasługują na to. Większość siedzi przy swoich biurkach już od szóstej rano. Od poniedziałku do piątku. I mogą mówić o szczęściu, jeśli do domu uda im się wrócić przed dziesiątą wieczorem. Te mordercze godziny pracy są dla nich do zniesienia dzięki obietnicy — nie zawsze spełnianej — wielkich premii wypłacanych w styczniu i świadomości, że ciężka praca pozwoli im wcześniej przejść na emeryturę i dopiero wtedy bawić się do upadłego.

Joe zanosz drinki do hałaśliwego stolika w kącie. Dave wychyla do dna swoje piwo, żeby zrobić sobie miejsce na następne. Wszyscy pozostali idą w jego ślady, wszyscy z wyjątkiem Josie, która nie chce kolejnego Cosmopolitana, tak naprawdę nie chce nawet tu być, ale wie, że musi poznać swoich nowych współpracowników, nie może zachowywać się z dystansem, a piątkowy wieczór w pubie to najlepsze miejsce, by dowieść, że jest jedną z nich.

Joe jest w zasadzie obojętne, czy Josie Mitchell jest jedną z nich. Przez ostatnie kilka dni nieustannie się jej przyglądał, spoglądając z zainteresowaniem, ilekroć przechodziła koło jego biurka. Josie intryguje go tym bardziej, że zdaje się go nie zauważać.

W końcu dzisiaj po południu znalazł się wraz z nią na spotkaniu i przedstawiając się jej, przywołał na pomoc cały swój wdzięk i czar, lecz jej opanowanie i całkowity niemal brak zainteresowania zdumiały go. Zdumienie jego stało się tym większe, gdy wieczorem zgodziła się pójść z nim i kilkoma innymi kolegami na drinka po pracy.

Jak można się było spodziewać, jej nieskrywana obojętność niezwykle go zaintrygowała. Joe lubi opanowane kobiety, stanowią dla niego wyzwanie i w pubie tak manewrował, by usiąść koło niej. W tej chwili nie zwraca na nią uwagi, swobodnie gawędząc z pozostałymi kolegami. Nie śpieszy się, jest bowiem całkowicie pewny, że dzisiaj jeszcze nadejdzie jego czas i uda mu się stopić lody, a wtedy się okaże, czy jest równie intrygująca jak piękna.

— Dobra, ja spadam. — Dave dopija trzeci kufel piwa i wstaje, sięgając po marynarkę. — Pora wracać do domu, do żony — mówi. — Idziesz? — Patrzy na Joe z cieniem uśmiechu, wie bowiem, do czego przyjaciel zmierza.

Joe wymownym gestem wskazuje na stojącą przed nim pełną szklaneczkę whisky.

— Chwilowo nie — odpowiada. — Muszę się jeszcze trochę napić.

— Ja także będę się już zbierać. — Sarah wstaje i po kilku minutach jedynymi pozostałymi przy stoliku osobami są Joe i Josie.

— Powinnam iść — mówi Josie i wstając, uśmiecha się do Joe, po raz pierwszy od tygodnia.

— Przynajmniej dokończ drinka. — Joe kiwa głową w stronę jej nietkniętego Cosmopolitana. — Szkoda, żeby się zmarnował.

Josie sprawdza, która godzina, i wzdycha. Tak naprawdę nie

ma się dokąd śpieszyć, czeka na nią tylko puste, nieskazitelne mieszkanie w Chelsea, schłodzona butelka Chardonnay i „Patrick Kielty Almost Live”*. A tak jej się miło siedzi w przytulnym kąciku, w tym pełnym ludzi pubie, w piątkowy wieczór, poza tym to tylko jeden Cosmopolitan, no i ciekawi ją czy reputacja słynnego Joe Chambersa jest rzeczywiście zasłużona. A co tam. To tylko drink. Cóż w tym złego?

Emily z miejsca i nieodwołalnie odmówiła, by Joe płacił za jej i Harry'ego wyjazd do Lygon Arms, zwłaszcza że ona ma bardzo miły domek na wsi, do którego mogą się wybrać całą czwórką. Jak powiedziała Alice, nie jest to nic nadzwyczajnego, a i jedzenie pewnie nie będzie dorównywało temu serwowanemu w Lygon Arms — chyba że na tym froncie zgodzi się działać Alice — ale na pewno będzie taniej, a bawić się będą równie dobrze.

I tak w piątkowe popołudnie Emily wraz z Harrym stoją w holu domu Alice, gotowi do wyprawy na wieś. Na widok niewiarygodnie wysokiego sufitu, szklanych ścian i olbrzymich rozmiarów pomieszczenia Harry'emu szczęka opadła niemal do ziemi.

— Jasna cholera! — udaje mu się wykrztusić. Alice zaczyna się śmiać.

— Wiem — mówi. — Witaj w moim muzeum.

— Coś niesamowitego. — Harry wreszcie odzyskuje mowę. — W życiu czegoś podobnego nie widziałem.

— Po jakimś czasie można się przyzwyczaić — uspokaja go Emily. — A teraz przywitaj się z moją przyjaciółką, Alice.

— Boże, najmocniej przepraszam. — Harry uśmiecha się szeroko i wyciąga na powitanie rękę. — Zachowałem się niewybaczalnie. Po prostu zatkało mnie na chwilę. Jestem Harry. Witaj, Alice.

— Witaj, Harry. — Alice z miejsca czuje do niego sympat-

* „Patrick Kielty Almost Live” — program BBC prowadzony przez popularnego prezentera i gospodarza chat show, Patricka Kielty'ego.

cię. „Ma dobre oczy” — myśli sobie. „Ładne zęby. Tak. Jest wystarczająco dobry dla Emily”. — Macie ochotę na kawę?

— Chcesz obejrzeć dom? — Emily trąca Harry'ego, który znowu gapi się wokół siebie. — Alice cię oprowadzi, jeśli chcesz. Psom nic się nie stanie, mogą chwilę poczekać na zewnątrz.

— Za zwiedzanie bierzemy tylko pięć funciaków, sześć, jeśli ma być kawa.

Harry parska śmiechem.

— Dobijmy targu. Ty mnie oprowadzisz, a ja was zawiozę.

— Chcesz mnie pozbawić pięciu funtów? Harry udaje oburzenie.

— Jako kierowca zwykle liczę sobie dwa razy więcej.

— Okay! Umowa stoi! — uśmiecha się Alice i rusza schodami na górę, kiwając, by udali się za nią.

— Widzisz? — Emily biegnie za nią i szepcze jej do ucha. — Mówiłam, że ci się spodoba.

Alice go zaskoczyła. Emily opowiadała o swojej wspaniałej przyjaciółce i pokazywała zdjęcia ich obu. Poznał uwiecznioną na zdjęciach historię Alice i Emily, poczynając od samego początku — obie jako uśmiechnięte małe dziewczynki trzymające skakankę, Emily i Alice siedzące na plaży ze ściśniętymi kolanami, uśmiechające się szeroko, ukrywające oczy za wielkimi słonecznymi okularami.

A potem zdjęcia już nowsze, ukazujące Emily z tymi samymi rozwianymi dziko włosami i tym samym szerokim uśmiechem, Alice natomiast już całkowicie odmienioną.

— To ta sama dziewczyna? — spytał zdumiony, oglądając zdjęcia z ubiegłorocznych urodzin Emily, na których widać było wytworną piękną kobietę, nienagannie umalowaną, której uśmiech nie był w stanie ukryć smutku czającego się w oczach.

Wiedział, że dziewczynę z wcześniejszych zdjęć polubiłby natychmiast, i bez trudu mógł sobie wyobrazić, jaka była.

— Będiesz zachwycony Alice — powiedziała Emily z oży-

wieniem. Kiedy jednak Harry ujrzał, kim się stała, nie był już tego taki pewny.

Znał takie wytworne, kosztowne kobiety jak Alice. Kupowały modne psy z hodowli, by potem oddać je na szkolenie, nie zgadzając się wpuścić ich do domu, zanim nie nabiorą odpowiednich manier. Traktowały zwierzęta jak akcesoria, kupując najmodniejsze w danym momencie psie wyposażenie, nigdy jednak nie próbowały nawet ich poznać czy zrozumieć, na czym polega ta wyjątkowa więź psa z jego panem. Czy panią.

Doszedł do wniosku, że gdyby Alice miała psa, byłby to Bichon Frise. Albo maltański pudel. Na pewno nie pies w stylu Humphreya, którego wprost uwielbiał. Ani taki jak jego własny mieszaniec collie, suczka Dharma, również przygarnięta ze schroniska.

Myślał, że wie, czego może się spodziewać, i zaczynał obawiać się nadchodzącego weekendu. Joe wyglądał na stuprocentowego palanta, a Alice na nadętą krowę, choć Emily zarzekała się, że jest inaczej, twierdząc, że nie należy oceniać książki jedynie po okładce.

Ogólnie rzecz biorąc, Harry starał się nie wchodzić w zbyt bliskie stosunki ze swoimi klientami. Przeważnie udawało mu się zachowywać z przyjacielską rezerwą, tym razem jednak stało się inaczej, bo w Emily było coś, co niezmiernie go pociągało.

Nigdy tego nie powiedział na głos, ale zawsze czuł większą sympatię do tych uczniów, którzy zamiast kupować, przygarniali psy, a poza tym Emily była taka wesoła i zawsze, ilekroć Humphrey wywoływał zamieszanie na zajęciach, wybuchała tak serdecznym śmiechem, że Harry szczerze się ucieszył, gdy w końcu wybrali się razem na kawę.

Świetnie się w jej towarzystwie bawił i szybko stwierdził, iż nie może się doczekać kolejnych zajęć, by się z nią znowu zobaczyć. W końcu w zeszłym tygodniu ją pocałował, wykorzystując moment, gdy w swojej maciupkiej kuchence przygotowywała kawę, i zaskoczył ją kiedy obie ręce miała zajęte, niosąc

kubki z rozpuszczalną Nescafe Gold Blend. Po prostu wiedział, że dłużej już nie może czekać.

Kiedy się od niej odsunął, zrobiła krok do tyłu i trzymając wciąż kubki, uśmiechnęła się do niego.

— Zastanawiałam się, kiedy w końcu to zrobisz — powiedziała i następne kilka godzin spędzili na kanapie, całując się.

— Jeszcze nie — szepnęła, gdy spróbował posunąć się dalej. — Nie jestem jeszcze gotowa.

Spędził z nią cały czwartek, a w sobotę wieczorem poszli do kina, później zjedli pizzę, by zakończyć spotkanie kawą u niego w mieszkaniu. W niedzielę prawie cały dzień spacerowali z psami po Heath. W poniedziałek Harry postanowił, iż zrobią sobie przerwę, ale ku swemu zaskoczeniu nie wytrzymał i zadzwonił do niej, by spytać, czy nie zjadłaby z nim lunchu. Ostateczny termin może zaczekać, roześmiała się i wybiegła z domu, żeby spotkać się z nim w Nando's, gdzie jedli kurczaka z grilla, a ona wypila więcej mrożonego jogurtu niż przez całe swoje życie.

Wieczorem postanowili rozstać się wcześniej i zamiast zjeść wspólnie kolację, dwie i pół godziny przegadali przez telefon, niechętnie — choć byli już bardzo śpiący — mówiąc sobie dobranoc za kwadrans dwunasta. Nad wyraz zdenerwowana Emily zdążyła jeszcze zaprosić go na weekend do Brianden.

Harry zgodził się bez wahania, a potem długo i serdecznie śmiał się, gdy usłyszał, jak powstała nazwa Brianden (Emily wyjaśniła mu, że przedtem było to Cliveden, od nazwiska poprzedniego właściciela), po czym natychmiast zorganizował sobie zastępstwa na zajęcia podczas weekendu.

Chociaż Harry nie chciał działać pochopnie, zbyt dobrze się bawił, by wdawać się w jakieś gierki czy udawać, że zależy mu mniej niż w rzeczywistości. Od dłuższego czasu nie był z nikim związany na poważnie, ale też od jakiegoś już czasu nie miał szczęścia spotkać takiej kobiety jak Emily. Nie mógł się już doczekać weekendu, skonsumowania ich związku, poranka, gdy po przebudzeniu ujrzy ją obok siebie.

*

— Naprawdę ci to nie przeszkadza? — Harry nerwowo spogląda na dno bagażnika upačkane już wielkimi, zabłoconymi śladami psich łap.
— Strasznie ci pobrudziłyśmy samochód, ale wszystko posprzątam, jak tylko dojedziemy na miejsce.

— Nie wygłupiaj się. — Alice siada za kierownicą. — Przecież to range rover. Powinien być brudny.

Emily i Harry zaczynają się śmiać, bo range rover aż lśni czystością i nigdzie nie ma nawet pyłka brudu, z wyjątkiem oczywiście bagażnika, zabłoconego przez Humphreya i Dharma, które tuż przed domem Alice odkryły wspaniałą kałużę.

— Usiądę z tyłu — zgłasza się na ochotnika Emily. — Harry ma dłuższe nogi i potrzebuje więcej miejsca. Ale — unosi ostrzegawczo palec — tylko sobie nie myślcie, że sami będziecie decydować, jakiej stacji mamy słuchać, a jak będziecie mnie ignorować, po prostu nie powiem wam, jak jechać.

— Kiss FM? — proponuje Harry.

— Nie! — krzyczą jednym głosem Emily i Alice.

— Mówiłaś, zdaje się, że mi się spodoba? — Alice obraca się do Emily. — Nic nie wspominałaś, że lubi Kiss FM.

— Wcale nie lubię — broni się Harry. — Chciałem być po prostu na topie. Magie?

— Tak! — wrzeszczą obie, a Harry jęczy zdruzgotany. Pięć minut później Humphrey i Dharma leżą w bagażniku,

dyszac, Harry siedzi z głową wspartą o okno i pojękuje, a Alice i Emily śpiewają na całe gardło: *I've been through the desert on a horse with no name...*

Piętnaście minut później, gdy wjeżdżają na autostradę A40, cała trójka wydziera się, wtórując Marvinowi Gaye'owi: *Let's get it on... mmm I love ya...*

— *If the spirit moves you, let me groove you* — zawodzi Harry, z przymkniętymi oczami, dając z siebie absolutnie wszystko. Po chwili podnosi powieki i widzi, że dziewczyny śmieją się z niego.

— O, naprawdę jest dobry — chichocze Alice. — Zastanawiałeś się kiedyś nad zmianą zawodu?

— *You know* — śpiewa Harry głośnym falsetem. — *What I'm talking about!*

— Mówi się, że nie dość, że jesteś wyjątkowo inteligentna

— Joe zawiesza głos — to jeszcze istna z ciebie modliszka. Nie wiedział, czy dodać, że jest na dodatek piękna. Jest piękna, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, ale coś mu podpowiada, że wciąż słyszy peany na temat swojej urody i że bardziej zyska w jej oczach, wychwalając jej zalety.

— Modliszka? — Josie uśmiecha się, unosząc jedną brew.

— Po raz pierwszy ktoś odważył mi się powiedzieć to prosto w oczy.

— Nie powiedziałem, że to moje słowa — mówi Joe gładko. — Taką masz opinię. Martwi cię to czy też raczej — jak podejrzewam — sprawia ci przyjemność?

— Ujmijmy to tak: wolę porzucić, niż zostać porzuconą.

— Wcale mnie to nie dziwi.

— A ty? — obraca się ku Joe, czując, jak trzy Cosmopolitany zaczynają działać. — Masz opinię seryjnego cudzołożnika. Martwi cię to czy sprawia przyjemność?

— Chryste. — Joe jest autentycznie zaskoczony. Woli myśleć o sobie jako o bawidamku, może łamaczu serc, ale seryjny cudzołożnik? Brzmi to po pierwsze dość obrzydliwie, na dodatek ma na swój sposób związek z jego małżeństwem, a on jak dotąd wolał trzymać Alice z dala od swoich pozamałżeńskich poczynań. — Chyba nie mówisz poważnie? Seryjny cudzołożnik? Coś okropnego.

— Zgadzam się. To okropne. Ale czy prawdziwe?

Joe wzdycha, nie bardzo wiedząc, w którą strunę uderzyć. Czy czarująco przyznać, że jest wierny, tylko dotąd nie spotkał nikogo takiego jak ona? Nie. Podejrzewa, że znalazłaby się za drzwiami, zanim zdążyłby dokończyć zdanie.

A może powinien zdobyć się na szczerłość i powiedzieć, że kocha swoją żonę, ale seks to seks i jedno z drugim w żaden sposób się nie łączy?

Albo powie jej, że jego małżeństwo jest nieszczęśliwe, z żoną od dawna już nie sypia i jest z nią tylko dlatego, że nie ma serca jej zranić, ale to tylko kwestia czasu.

Widzi, że Josie jest wyraźnie zainteresowana. Proszę, jak po kilku zaledwie drinkach się rozluźniła. Cóż za mowa ciała; jak się obraca, by patrzeć na niego, wodzi palcem po krawędzi kieliszka i uśmiecha się zachęcająco.

Chryste. Mógłby ją zerznąć tu i teraz.

Widzi, że jest zainteresowana, ale musi właściwie rozegrać karty, dokonać słusznego wyboru, bo inaczej wszystko schrzani.

— Jestem żonaty od pięciu lat — mówi powoli, pilnując się, by nie patrzeć na Josie, starając się przybrać jak najszczerzy ton. — Z czego trzy były po prostu fantastyczne. Moja żona jest cudowną kobietą, ale od dwóch lat oboje jesteśmy strasznie nieszczęśliwi. Co nie znaczy, że jej nie kocham. Wręcz przeciwnie...

Josie parska śmiechem, przerywając Joe w pół słowa.

— Pozwól, że sama zgadnę. Nie jesteś w niej zakochany i chcesz się rozwieść, tylko nie chcesz jej zranić.

— Skąd wiesz?

— Spotkałam cię już wcześniej. — Josie kręci głową, z rozbawionym niedowierzaniem. — Spaliśmy już ze sobą. Jezu, nawet się w tobie zakochałam. Nie do wiary, że wyskakujesz z takim tekstem i oczekujesz, że kobieta ci uwierzy. W życiu nie słyszałam niczego równie smutnego.

— Ale to prawda! — wybucha Joe, zmieszany, że tak łatwo go rozszyfrowała, i wściekły, że źle wybrał.

— Jasne. A ja jestem dziewicą — śmieje się Josie. Ponieważ wrócili na dobrze mu znane terytorium flirtu, Joe się rozluźnia.

— To z kolei — mówi, a wdzięk i czar emanują z jego wszystkich porów — z całą pewnością prawdą nie jest. W końcu sama stwierdziłaś, że już ze mną spałaś. Chociaż tu z kolei musisz kłamać, bo takiej kobiety jak ty w życiu bym nie zapomniał.

— Uwielbiam stacje przy autostradzie! — oświadcza Alice, ledwie minęli Oksford.

— Ee, a czemu? — Harry spogląda na nią z powątpiewaniem.

— Uwielbiam jedzenie, jakie w nich serwują. Jajka i frytki, kiełbaski i frytki, bekon i frytki. Mniam. — Alice oblizuje wargi.

— Mówiłam ci, że w głębi duszy jest nasza — uśmiecha się Emily.

— To znaczy, że nie jesteś jedną z tych, co to tylko-sałatkę-i-bez-sosu-proszę?

— Oczywiście, że jestem. — Alice udaje święte oburzenie. — Ale tylko sałatkę-i-bez-sosu-proszę to przykrywka, pod którą kryje się żarłoczne prosię.

— Czy w takim razie chcesz się zatrzymać na jajka z frytkami? — Harry jest wyraźnie rozbawiony, choć tak do końca jej nie wierzy.

— Aha. Na następnej stacji.

— Mam lepszą propozycję — wykrzykuje triumfalnie Emily. — Jeśli wytrzymasz jeszcze dziesięć minut, to możemy stanąć u Małego Kucharza!

— Idealnie! — śmieje się Harry. — Alice obżerająca się jajkami z frytkami unurzany w keczupie. Takiego widoku za nic sobie nie podaruję.

Alice marszczy czoło.

— A kto mówi o keczupie?

— Skoro już masz zamiar to zrobić — wzrusza ramionami Harry — zrób to przynajmniej jak trzeba.

Alice prostuje się na krześle i odpina guzik w spodniach.

— To — oznajmia — było obrzydliwe. Pochłonęłam tyle tłuszczu, że czuję się, jakbym zamieniła się w beczkę oleju. Pycha.

— Nie do wiary, że aż tyle zjadłaś. — Emily wciąż jeszcze jest na tym etapie związku z Harrym, że udaje, iż nie je wcale, i tak pięknie obchodziła się ze swoim jajkiem z frytkami, jakby

w ogóle nie była głodna, biorąc jednak pod uwagę fakt, że czeka ją t a noc, apetyt rzeczywiście ją tego popołudnia opuścił.

— Nie do wiary, że aż tyle zjadłaś. — Harry kręci głową. — Jesteś taka drobniutka. Gdzie ci się to wszystko mieści, na miłość boską?

Emily spogląda na zegarek.

— Którym pociągiem ma przyjechać Joe? O której się go spodziewasz?

Alice wzrusza ramionami. Najedzona i szczęśliwa, przynajmniej tym razem nie przejmuje się, że Joe nie ma. Może się odprężyć i dobrze bawić, nie zamartwiając się, czy Joe jest zadowolony; dobrze się czuje i dogaduje jakoś z chłopakiem Emily.

— A co za różnica? — pyta ze śmiechem, z doświadczenia wiedząc, że Joe na pewno i tak utknie na jakimś spotkaniu i nawet jeśli postanowił zjawić się o ósmej wieczorem, najprawdopodobniej zjawi się co najmniej półtorej godziny później. — Przyjedzie. W końcu.

Ruszają w dalszą drogę.

— Mogę poprowadzić, jeśli chcesz — proponuje Harry, kiedy dochodzą do samochodu.

— Dobra.

Alice wręcza mu kluczyki i nie obchodzi jej nawet, czy Harry jest ubezpieczony. Joe nigdy nie pozwoliłby nikomu obcemu usiąść za kierownicą swojego wozu, nawet nowemu chłopakowi Emily. Zwłaszcza nowemu chłopakowi Emily.

Alice sadowi się na tylnym siedzeniu i wyciąga wygodnie.

— Obudźcie mnie, jak dojedziemy na miejsce — ziewa, po czym zamyka oczy i szczęśliwa zapada w drzemkę.

— Chciałbym powiedzieć, że tu jest pięknie. — Harry zatrzymuje się przed domem i usiłuje dostrzec coś przez przednią szybę. — Tylko że nic nie widzę.

— Bo jesteśmy na wsi — mówi Emily. — Hej, Alice, obudź się, jesteśmy na miejscu.

Emily w kompletnych ciemnościach szuka po omacku klucza, po czym w końcu udaje jej się otworzyć drzwi. Szybkim krokiem obchodzi dom, zapalając wszędzie światła, i pokoje zalewa ciepłe brzoskwiniowe światło. Alice wraz z Harrym stoją w ogrodzie przed domem i dygocząc z zimna, czekają, aż psy po długiej podróży załatwią swoje potrzeby.

Alice od bardzo dawna nie odwiedzała Brianden i teraz stoi w drzwiach oniemiała na widok ogromu pracy włożonej przez Emily, sposobu, w jaki odmieniła w zasadzie brzydki, pozbawiony charakteru dom z lat osiemdziesiątych w przytulne i ciepłe lokum.

Zniknął łososiowo-różowy dywan, zastąpiony przez grubo, wełniany chodnik w kolorze miodu. Przed kominkiem stoją miękkie beżowe sofy, w kącie drewniany fotel na biegunach. Brązowa skórzana otomana ugina się pod stosami książek i przeróżnych bibelotów, a pod oknem znalazł miejsce wielki dębowy stół, znaleziony przez Emily w Stow.

Na stole stoją wysokie srebrne świeczniki, które Emily właśnie zapala, nie bacząc, że może zaczyna lekko przesadzać.

Dawna kuchnia była cała w bieli i na wysoki połysk, ze srebrnymi uchwytnymi i udającymi marmur laminatowymi blata-

mi. Emily przy pomocy miejscowego cieśli zmieniała drzwiczki w szafkach i pomalowała je na ciepły żółty kolor, a miejsce pseudomarmurowych blatów zajęły masywne drewniane płyty.

Na jednym końcu króluje długi, wyszorowany do białości stół z surowego drewna z kolekcją krzesel, każde z innej parafii, wyszukanych przez Emily w najróżniejszych miejscach, i choć w ogóle do siebie nie pasują, całość wygląda naprawdę dobrze. Ściany zdobi zbiór oprawionych w ramki zdjęć rodziny i przyjaciół i małe obrazki zakupione w miejscowych galeriach. Kuchnia jest ciepła i rodzinna, w zasadzie czysta, dokładnie taka, jak każda kuchnia — serce domu — być powinna.

Harry wnosi torby z zakupami — po drodze wstąpili do supermarketu — i stawia je na stole. Alice rozpakowuje je z wprawą Emily zaś w tym czasie ustawia na tacy trzy gigantyczne kubki z herbatą chwytając paczkę herbatników, rozrywa je zębami i wysypuje na talerz.

— Zostaw, później się tym zajmiemy.

Niesie tacę do salonu, ostrożnie stawia ją na stoliku, po czym z kubkiem w ręku opada na sofę.

Alice także bierze kubek i siada obok niej, zrzucając buty i podwijając stopy pod siebie. Harry zajmuje fotel naprzeciwko.

— Ależ cudownie! — Alice rozgląda się wokół z uszczęśliwionym wyrazem twarzy. — Coś niesamowitego, jak zmieniłaś to miejsce! Wygląda fantastycznie.

— Ja oczywiście jestem tu po raz pierwszy — kiwa głową Harry. — Ale muszę przyznać, że jest ślicznie. Wydawało mi się, że mówiłaś, że to zwykły, nowoczesny dom komunalny.

— Bo tak jest — śmieje się Emily. — Zaczekaj do rana i wtedy zobaczysz, jak wygląda z zewnątrz. Ale w środku jest bardzo ładnie i mamy stąd cudowny widok na dolinę. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżam, zachodzę w głowę, czemu nie spędzam tu więcej czasu.

— Ja nie wyobrażam sobie, jak możesz stąd wracać do Londynu — wzdycha Alice. — Gdyby to było moje, nie ruszałabym się stąd na krok.

— Masz przecież swoje muzeum — mówi Harry z uśmiechem.

— Boże, nawet mi nie przypominaj.

— Wiem, że nie uwierzysz, ale ten dom jest znacznie bardziej w stylu Alice — Emily ze śmiechem tłumaczy Harry'emu. W jednej z toreb zaczyna dzwonić telefon. — Jezu, to mój?

Emily zrywa się i zaczyna grzebać w swojej torbie. Alice w tym czasie niechętnie wstaje z kanapy i przechodzi przez pokój, żeby zajrzeć do swojej.

— Nie. To zapewne mój. Zapewne dzwoni mój szanowny małżonek, żeby mi powiedzieć, że się spóźnił na pociąg albo że w ogóle nie da rady przyjechać. No, zobaczmy. — Wyjmuje telefon i podnosi klapkę.

— Kochanie, to ja.

— Tak, Joe. Wiem.

— Posłuchaj, spotkanie się już skończyło, ale klient chce iść na kolację, więc dzisiaj chyba nie dam rady. Najlepiej będzie, jak wrócę do domu i rano złapię pierwszy pociąg.

— Dobrze. — Głos Alice jest zimny.

— Alice, proszę cię. Nic na to nie poradzę, taka praca. Co mam zrobić?

— Okay, okay. Zobaczymy się jutro. Miłego wieczoru.

— I nawzajem.

— Cześć. — Alice nie czeka nawet na zwyczajowe „kocham cię”, tylko wyłącza telefon.

Joe zamyka telefon, uśmiecha się do siebie i wraca do baru. Jest pewny, że szczęście mu dzisiaj sprzyja i że uda mu się zdobyć lodową królową, choć nieco zaskoczyło go, iż wszystko dzieje się tak szybko.

Ostatnie dwie godziny upłynęły im na rozmowie. Joe otrzymał nauczkę i wyciągnął wnioski. O sobie i swoim małżeństwie mówi najmniej jak to tylko możliwe, natomiast ją nakłania do zwierzeń, wypytując o pracę, poglądy i ambicje. Josie może i nie

jest głupia, ale uwaga, jaką poświęca jej Joe, wyraźnie jej schlebia, poza tym wypity alkohol także przyczynia się do tego, że zachowuje się swobodniej niż zwykle.

Wraz z upływem czasu Joe przysuwa swoje krzesło coraz bliżej, nachyla się nieco bardziej, by lepiej ją słyszeć, a Josie ze zdumieniem stwierdza, że nie pozostaje na to obojętna. Od tak dawna już nie pozwalała sobie, by ktoś jej się spodobał, i chociaż jasne jest, że prowadzi to donikąd — pracują razem, i on jest żonaty, doskonała recepta na katastrofę — znacznie weselej jest być tutaj w towarzystwie przystojnego mężczyzny, niż siedzieć samotnie w domu.

Chyba nie ma w tym nic złego?

Josie Mitchell nie dostała pracy w Godfreys dzięki imprezowaniu i bogatemu życiu towarzyskiemu. Zaraz po skończeniu uniwersytetu poszła na kurs dla analityków i bardzo szybko zrozumiała, że tylko jeśli zapomni o przyjaciółach, kochankach i bywaniu, skoncentruje się natomiast wyłącznie na karierze, uda jej się osiągnąć szczyt.

Miewała przelotne związki — w końcu jest tylko człowiekiem — ale jej kochankowie nie byli w stanie pojąć, że praca jest dla niej najważniejsza, nie rozumieli, czemu tak za wszelką cenę pragnie odnieść sukces, i gdy nudziła ich drugorzędna rola, szybko się z nią rozstawali.

Rozumiał ją jedynie James. Jako dyrektor w Schroder Salomon Smith Barney pracował równie ciężko jak ona, lecz wiedział też, że pewną równowagę trzeba zachować, i na chwilę zmusił ją, by zapomniała, iż praca to jedyne, co tak naprawdę się w jej życiu liczy. Przez chwilę liczył się tylko James.

Josie zakochała się w Jamesie, a kiedy James odszedł od niej, tłumacząc, że co prawda ją kocha, ale póki co nie dorósł do stałego związku — „Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie” — poprzysięgła sobie, że więcej nie popełni tego samego błędu i nikt jej już nigdy w podobny sposób nie skrzywdzi.

Przestało ją obchodzić, co myślą o niej inni, stała się twarda

i nigdy więcej nie stawiała żadnego mężczyzny ponad pracę. Oczywiście zdarzały się przelotne związki, ale Josie zawsze kontrolowała sytuację i nikogo nie dopuszczała do siebie na tyle blisko, by udało mu się choćby drasnąć jej serce, o złamaniu nawet nie wspominając.

— Wybacz. — Joe siada i przysuwa sobie krzesło na tyle blisko, że jego kolano styka się z jej. — Musiałem tylko zadzwonić.

— Żeby powiedzieć żonie, że utknąłeś na spotkaniu? — pyta rozbawiona Josie.

— A właśnie, że nie. Powiedziałem jej, że jestem z błyskotliwą i piękną koleżanką i bawię się tak świetnie, że szkoda mi wychodzić, więc prawdopodobnie będę w domu nieco później.

Josie kręci głową. Doskonale wie, że prawdopodobnie mówił to już milionom innych kobiet przed nią. Ma ochotę powiedzieć mu, jaki z niego dupek, że czyta w nim jak w otwartej księdze, sama zaś nie jest jakąś tam zwykłą lalunią która da się złapać żonatemu mężczyźnie, milczy jednak.

Milczy, bo zdążyła już zapomnieć, jak to jest czuć to miłe podniecenie, wyczekiwać na ciąg dalszy, być w towarzystwie kogoś, kto jej się podoba. Czuje delikatny ucisk kolana Joe i zdumiewa ją gwałtowna fala gorąca, jaka rozlewa się w dolnej części jej brzucha.

Wie, że to idiotyczne. Niebezpieczne. Dopiero co zaczęła pracę w Godfrey Hamilton Saltz i ostatnie, czego potrzebuje, to związek z którymś ze współpracowników. Powinna po prostu wstać i wyjść, zanim zabrnie na tyle daleko, że wyplątać się już nie będzie mogła. Joe bardzo jej się podoba, ale instynkt samozachowawczy bierze górę.

— Muszę już iść — mówi i sięga po żakiet, nie zwracając uwagi na rozczarowanie malujące się na twarzy Joe.

— Gdzie mieszkasz?

— W Chelsea.

Twarz Joe rozjaśnia się. Zdaje się, że pójdzie łatwiej, niż przypuszczał.

— Ja w Belgravii. Możemy wziąć jedną taksówkę.

Alice przygotowała potrawkę z wędzonego łupacza, wielką misę sałaty i gorący chrupiący chleb podgrzany w piekarniku. Harry zmywał, Emily wycierała i zanim wszystko posprząтали, zdążyli opróżnić dwie butelki wina.

Psy leżą rozwalone przed kominkiem, gdy Harry oświadcza, że wyprowadzi je przed snem. Nakłada kurtkę, grubą wełnianą czapkę („Żebyś nie mówiła, że się nie przygotowałem”) i zapina psy na smycz.

Alice i Emily, uśmiechając się, machają mu na pożegnanie, a kiedy drzwi się za nim zamykają, Emily głośno wypuszcza powietrze.

— No, co myślisz?

— Dom jest fantastyczny, przecież ci już mówiłam. Emily daje Alice potężnego kuksańca.

— Au!

— Wybacz, ale wiesz, że nie chodzi mi o dom. Co myślisz o Harrym?

— Harry też jest fantastyczny.

— No nie? — Emily wzdycha uszczęśliwiona.

— Tak. — Alice kiwa głową. — Jest, naprawdę.

Na chwilę zapada cisza, Emily jednak długo nie wytrzymuje i znowu atakuje Alice.

— No dalej, powiedz, co w nim jest fantastycznego?

— Przecież sama wiesz najlepiej.

— Ale chcę usłyszeć twoją wersję. Alice parska śmiechem.

— Niech ci będzie. Jest zabawny.

— Prawda? Rzeczywiście j e s t. — Emily obejmuje kolana ramionami.

— Tak. I ma piękny uśmiech.

— O tak, i to jaki piękny. Mówiłam ci przecież.

— Wiem, i rzeczywiście tak jest. Znowu cisza.

— Co jeszcze?

— Naprawdę interesują go ludzie i sam też jest interesujący.

— W i e m! I to w nim kocham.

— Potrafi zrobić potrawkę.

— Wiem! Umie gotować!

— Kocha zwierzęta. — Alice zaczyna już brakować koncepcji na dalsze fantastyczne cechy Harry'ego.

— Czy to znaczy, że jest idealny?

— W sumie chyba tak — śmieje się Alice. — Jest prawie idealny.

— J e s t, prawda?

— Musi coś mieć za uszami. — Alice zaczyna się zastanawiać. — Nie ma takich ideałów. Może na przykład nogi śmierdzą mu starym serem.

— F u j! Co za obrzydlistwo! — Emily wykrzywia się i wybucha śmiechem.

— Założę się, że tak właśnie jest — ciągnie Alice. — Cuchnące starym serem stopy z obrzydliwymi, pożółkłymi, długimi paznokciami.

— O Boże, jesteś koszmarna— jęczy Emily, nie przestając się śmiać.

— W życiu nie słyszałam czegoś równie obrzydliwego. Chyba mi się już odechciało z nim seksu.

Drzwi frontowe otwierają się i wpada Dharma, Humphrey tuż za nią. Na końcu pojawia się Harry. Emily blednie.

— Psiakrew — szepcze Alice do ucha, gdy ta wreszcie przestaje się śmiać, a Harry idzie na górę do łazienki. — Myślisz, że słyszał?

— Nie, na pewno nie — chichocze Alice. — A nawet jeśli, to nie jest chyba takim niewiniątkiem, żeby nie wiedział, co dzisiaj jest jeszcze w programie.

— Cii. — Emily trąca ją, bo Harry właśnie pojawia się na wąskich schodach. — To znaczy, że powiedział „tak”? — mówi, starając się, by jej ton brzmiał możliwie naturalnie.

Alice spogląda na nią dziwnie.

— Tak. Powiedział „tak”.

— To dobrze. — Głos Emily jest nienaturalnie lekki i ożywiony. — Ktoś ma ochotę na scrabble?

Nie mogąc jednak nigdzie znaleźć scrabble, dochodzą do wniosku, że Trivial Pursuit* jest nudne, chyba że gra się drużynowo, monopole zajmuje zbyt dużo czasu, wobec czego decydują się na boggle**.

Trzy kwadransy później Harry proponuje, że zrobi herbatę, i znika w kuchni.

Emily nachyla się ku Alice.

— Alice — szepcze. — Nie sądzisz, że już najwyższa pora iść spać?

— Już? — Alice spogląda na zegarek. — Przecież dopiero dziesiąta, a ja w ogóle nie jestem zmęczona.

— A-lice — wolno i przeciągle mówi Emily. — Myślę, że już najwyższa pora, żebyś ty poszła spać. — Unosi jedną brew.

Alice aż dech zaparło.

— Cholera, ależ jestem tępa. Tak się świetnie bawię, że kompletnie zapomniałam, że jestem tu piątym kołem u wozu. Rany boskie, wy powinniście się kochać przed kominkiem, a ja tu siedzę jak jakaś kompletna kretynka. Strasznie cię przepraszam, już się wynoszę.

Zrywa się i idzie szybko w kierunku schodów, Emily jednak łapie ją i prowadzi z powrotem do kanapy.

— Nie jesteś żadnym piątym kołem u wozu — szepcze. — Wszyscy świetnie się bawimy, a poza tym jakby to wyglądało, gdyby Harry wrócił z herbatą, a ciebie nie było? Po prostu szybciotko wypijesz swoją i pójdiesz do łóżka.

— Okay. Jaką masz bieliznę?

Emily nasłuchuje, sprawdzając, czy Harry wciąż jeszcze jest

* Trivial Pursuit — gra, w której uczestnicy muszą odpowiadać na pytania z różnych dziedzin, takich jak np. muzyka, sport, nauka.

** Boggle — gra słowna podobna do scrabble.

w kuchni, po czym szybko zadziera sweter i pokazuje koronkowy kremowy stanik.

— Oooch, śliczny. — Alice aż gwizdże z podziwu.

— Też mi się tak wydawało. Czarny jest trochę zbyt oczywisty, nie sądzisz? Ale czy ten jest dość seksy?

— O tak. Gdybym była facetem, byłabym zachwycona.

— Za to właśnie cię kocham. — Emily obejmuje Alice ramieniem i mocno ją ściska. — Zawsze mówisz to, co trzeba.

— Herbata dla trojga. — Do salonu wraca Harry z tacą. Pod nogami płacze mu się Dharma z nieodłącznym Humphreym. Oba psy najwyraźniej wyczuwają, że na tacy jest resztką herbatników. — Dharma, leżeć! — mówi Harry i suka posłusznie pada na podłogę. — Grzeczna dziewczynka! — Harry zwraca się do Humphreya, który w dalszym ciągu go nie odstępuje: — Humphrey, leżeć! — Humphrey podskakuje i opiera mu się przednimi łapami o uda. — Emily — mówi Harry surowo. — Sądziłem, że ćwiczycie.

— I owszem. — Emily jest wyraźnie skrępowana. — Ale najwyraźniej za mało.

Alice z książką w ręku wsuwa się pod kołdrę i uśmiecha się do siebie. Dawno już nie bawiła się tak dobrze, zwłaszcza że niczym, ani tym bardziej nikim, nie musiała się przejmować. Z jednej strony obawia się nieco jutrzejszego przyjazdu Joe. Brianden jest maleńkie, ale ich trójka — Emily, Harry i ona — mieści się w nim idealnie. Dom jest w sam raz, Alice jednak lęka się, że wraz ze zjawieniem się Joe dom się skurczy, a ona znowu zacznie odczuwać klaustrofobię, co ostatnio zdarza się jej nad wyraz często.

Wie też, że Joe będzie niewygodnie. Będzie narzekał na brak prysznic, wspólną łazienkę, łóżko, w ogóle na wszystko. Będzie chciał się przenieść, starał się ją przekonać, żeby wymyśliła jakiś pretekst, by sobotnią noc mogli spędzić w hotelu, ona jednak, leżąc teraz w łóżku, postanawia nie ulec. Choć raz będzie tak, jak ona chce.

*

Na dole Harry i Emily leżą na kanapie i uśmiechnięci łagodnie się całują.

— I co myślisz o Alice? — Emily głaszcze go po policzku, nie mogąc się nadziwić, że udało jej się znaleźć tak wspaniałego mężczyznę w tak nieoczekiwanym miejscu.

Harry uśmiecha się.

— Jestem zaskoczony — mówi. — Naprawdę jest zupełnie normalna i na dodatek przemiła.

— To prawda.

— A jej mąż? Emily marszczy czoło.

— Lubię go, ale chyba niezły z niego kawał drania. Powinien przypaść ci do gustu, potrafi być nadzwyczaj czarujący, ale także cały czas kontroluje wszystko, co Alice robi, poza tym jestem przekonana, że ją zdradza.

— Nie rozumiem jak, mając taką żonę jak Alice, można ją zdradzać? — dziwi się Harry.

— No właśnie. Alice zarzeka się, że po prostu stary flirciarz z niego i w życiu by się nie posunął za daleko, ja jednak nie byłabym tego taka pewna. Ale Alice, którą dzisiaj poznałeś, to prawdziwa Alice — kochana, naturalna i zabawna, a zobaczysz, jak się zmieni, kiedy Joe będzie w pobliżu.

— W jakim sensie?

— Przy nim jest znacznie cichsza, pozwala, żeby Joe zawsze był w centrum zainteresowania, no i bardzo uważa, co robi i mówi.

— Myślisz, że są szczęśliwi?

— O Boże. Nie wiem. Wiem tylko, że w życiu bym się nie spodziewała, że wyjdzie za kogoś takiego jak Joe ani że będzie prowadzić takie życie, ale kto tam wie, co naprawdę dzieje się za zamkniętymi drzwiami?

Harry nachyla się i ponownie całuje Emily.

— No dobrze, o Alice na razie wystarczy. Teraz ty interesujesz mnie znacznie bardziej.

— I dobrze. — Emily drży, gdy Harry unosi jej włosy i całuje ją w szyję. — Miałam nadzieję, że to powiesz.

Taksówka skręca gwałtownie w prawo i Josie z impetem wpada na siedzącego obok Joe.

W samochodzie panuje intymna cisza. Josie zastanawia się, czy jednak nie powinna była przestać pić Cosmopolitany kilka godzin wcześniej, Joe natomiast nie może się zdecydować, czy lepiej, żeby pojechali do niej, czy też raczej do niego. Nie, jednak do niej, postanawia w końcu. Jest co prawda draniem, ale stara się do siebie nie sprowadzać nikogo, później bowiem zawsze mogą się znaleźć dowody przestępstwa, nieważne, czy zostawione przypadkiem, czy też celowo.

— Tutaj, po lewej stronie. — Josie nachyla się do przodu i zbiera swoje rzeczy. Joe zaczyna przygotowywać się do wyjścia. Josie zwraca się do niego, absolutnie pewna, jak powinna postąpić. Powietrze aż gęste jest od niewypowiedzianej obietnicy, oboje bardzo się sobie nawzajem podobają i bez trudu wylądowałyby z nim dzisiaj w łóżku, byłby to jednak poważny błąd.

Wie o tym aż nadto dobrze.

— Nie wysiadaj — mówi szorstko. — Poradzę sobie.

— Ach. To znaczy, że nie zostanę zaproszony na kawę, czy tak? — Joe siada z powrotem, zawiedziony, ale nie pozbawiony nadziei. Jeśli nie dzisiaj, to kiedy indziej. Wie, że w końcu cel osiągnie.

— Nie, nie zostaniesz zaproszony na kawę — mówi Josie z uśmiechem.

W tym samym momencie Joe pochyła się ku niej i w ciemnościach taksówki całuje ją. Raz, drugi. Miętko i delikatnie, w usta. Bez języka, niezbyt namiętnie, ale w sposób dający jasno do zrozumienia, że nie przystanie na samą tylko przyjaźń i że to, do czego być może dzisiaj nie dojdzie, z pewnością prędzej czy później się s t a n i e. Tego jest absolutnie pewien.

Alice, ziewając, schodzi na palcach na dół, cichutko, żeby nikogo nie obudzić, i z jękiem masuje sobie kark i ramię.

Łóżko nie było takie złe, jak pamiętała — było gorsze. Przez pierwsze trzy godziny spała fantastycznie, a potem resztę nocy wierciła się i przewracała, by w końcu ostatecznie zbudzić się o szóstej z kompletnie zeszywniałym karkiem.

Przez godzinę jeszcze leżała i czytała książkę, w końcu jednak postanowiła zejść na dół, gdzie powitały ją rozradowane psy. Humphrey i Dharma skaczą na nią, po czym podbiegają do drzwi i popiskując, wściekle machają ogonami.

Alice narzuca płaszcz na piżamę i rozgląda się za swoimi kaloszami. Przypomina sobie jednak, że zostawiła je na górze. Nie chce jej się po nie wracać, wsuwa więc stopy w wielkie buciory Harry'ego, chwytając jedną z czapek Emily, naciąga ją głęboko na uszy i zapina psom smycze, jednocześnie starając się je choć trochę uciszyć. W końcu po cichu wychodzą na dwór.

Ranek jest przepiękny, powietrze rześkie i zimne, niebo czyste i błękitne, a na trawie połyskuje szron. Alice przechodzi przez trawnik, otwiera furtkę i wychodzi z psami na łąkę. Nachyla się i spuszcza je ze smyczy, z uśmiechem przyglądając się, jak ruszają oba przed siebie i z radosnymi pyskami i wywieszonymi ozorami kręcą szalone kółka po zmarzniętej trawie.

Zapomniała już, jak piękne mogą być widoki, jak uwielbia otwarte przestrzenie i świeże, czyste powietrze. Chroniąc się przed zimnem, krzyżuje ramiona i rusza za psami. Musi szurać nogami po trawie, bo inaczej wielkie kalosze Harry'ego pospadałyby jej z nóg.

Dwadzieścia minut później prawie umiera z zimna. Najciszej jak można woła psy, zapina im smycze i wraca do domu, marząc o gorącej kawie.

— Dzień dobry! — Harry siedzi przy kuchennym stole nad kubkiem parującej kawy. Ma na sobie dżinsy i wielką bluzę i Alice z ulgą dostrzega, że jego stopy wyglądają zupełnie normalnie.

— Jak na tak wczesną porę jesteś obrzydliwie szczęśliwy — śmieje się Alice, wiedząc, że tak właśnie działa na człowieka udany seks w nocy. Tak się składa, że ona sama jest rannym ptaszkiem i zawsze wstaje z łóżka całkowicie rozbudzona, nie potrzebując kofeinowego bodźca, by stawić czoło światu.

— Zawsze tak się czuję z samego rana — odpowiada Harry z uśmiechem. — Widziałem, jak wyszłaś z psami. Może nie powinienem ci tego mówić, ale wydaje mi się, że te buty są na ciebie odrobinę za duże.

— Owszem. Prawdę mówiąc, to twoje. Moich nie mogłam znaleźć, więc sobie pożyczyłam. Chyba ci to nie przeszkadza?

— Wręcz przeciwnie. Cieszę się, że mogłam się na coś przydać. W tym kapeluszu także ci do twarzy. Napijesz się kawy?

— Och, byłoby wspaniale.

— Jak zostałeś psim trenerem? — Alice kończy jeść płatki, a Harry stoi przy kuchence i wbija jajka na patelnię.

— Miałem zostać weterynarzem — śmieje się Harry. — Ale nie byłem dość zdyscyplinowany.

— Studiowałeś weterynarię?

— Aha. Ale zrezygnowałem w połowie drugiego roku.

— To okropne.

— Dlaczego?

— Tak niewiele ci już brakowało. Nie żałujesz?

Harry podaje Alice opakowanie bekonu, by je otworzyła, po czym wrzuca na patelnię cztery plastry.

— Czasami. Ale chyba nie należę do tych, co to lubią pracować od dziewiątej do piątej.

— Myślisz, że jako weterynarz tak byś właśnie musiał pracować?

— W zasadzie chyba nawet dłużej, musiałbym być na każde wezwanie, ale chodzi raczej o rutynę. Nie potrafię robić tego samego dzień po dniu, chociaż czasem rzeczywiście myślę sobie, że powinienem był skończyć studia, choćby po to, żeby mieć jakieś wykształcenie. Ale poza tym moje życie w zupełności mi odpowiada.

— A szkolenie psów to wszystko, o czym marzyłeś? Harry, śmiejąc się, podchodzi do stołu i zsuwa na talerze jajka z bekonem, Alice zaś kładzie na stole świeżo zrobione tosty i siada.

— Szkolenie psów to fantastyczne zajęcie, ale najlepsze w nim jest to, że pozostawia mi mnóstwo czasu na robienie innych rzeczy.

— Na przykład?

— Na przykład pasjonuję się ogrodnictwem. I garncarstwem. Nieźle mi też idzie stolarstwo.

— O? Co robisz?

— Półki na książki. Ławki. I takie tam różne.

— Dla siebie czy dla innych? Boże, ależ to wyśmienite! Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz jadłam jajka smażone na bekonie. Czuję się strasznie dekadenco!

— Co normalnie jadasz na śniadanie?

— Owoce.

— I?

Alice wzrusza ramionami.

— Nic. Tylko owoce.

— Cóż to za śniadanie! — Harry jest przerażony. — Na śniadanie trzeba się porządnie najeść. Będę musiał porozmawiać o tobie z Emily.

— A co ty w takim razie jadasz na śniadanie? Przecież chyba nie takie rzeczy jak dzisiaj? Tylko patrzeć, jak padniesz na zawał serca.

— Nie, takie śniadanie jem wyłącznie w weekendy. Na co dzień wystarczy mi miska owsianki, tost i owoce. Och, i czasem naleśniki.

— Naleśniki? Powinieneś być wielki jak szafa.

— Ogrodnictwo to dość wyczerpujące zajęcie. Ciężka fizyczna praca. Alice zaczyna się śmiać.

— Mógłbyś zapoczątkować nowe fitnessowe szaleństwo: wyciskanie potu w ogrodzie według Harry'ego.

— Ja nie żartuję.

— Wiem. Przepraszam. Mów dalej: jak to jest? Zajmujesz się tym na własny użytek czy też pracujesz dla innych?

— Jedno i drugie. Zacząłem się w to bawić parę lat temu, bo chciałem się nauczyć czegoś nowego, ale teraz robię całkiem sporo na zamówienie, zwykle dla znajomych albo znajomych znajomych. Staram się pracować wyłącznie dla ludzi, których lubię. Życie jest zbyt krótkie, żeby robić coś, na co nie ma się ochoty. A ty, Alice? Czym się zajmujesz?

Zapada chwila ciszy, bo Alice zastanawia się, jakiej udzielić odpowiedzi. Jak ma mu powiedzieć, że jada lunche? Pracuje w różnych komitetach dobroczynnych? Chodzi po zakupy? I na manikiur?

— W zasadzie niczym — mówi wreszcie, nie chcąc go okłamywać.

— Okay. Następne pytanie. Co chciałabyś robić?

— Gdybym żyła inaczej?

— No, gdybyś mogła robić to, co chcesz. Alice zastanawia się przez chwilę.

— Pewnie chciałabym pracować w ogrodzie i bawić się trochę w stolarkę — odpowiada i oboje wybuchają śmiechem.

— Dzień dobry! — W drzwiach staje Emily w szlafroku i przeciąga się. Uśmiecha się promiennie, najpierw do Harry'ego, później do Alice. Podchodzi do Harry'ego i zarzuca mu ręce na szyję, odchyła się nieco w tył i całuje go w usta.

Alice przygląda im się z zazdrością. Każdy związek na początku jest taki cudowny, ekscytujący, gdy ludzie nawzajem się odkrywają, zakochani w sobie bez pamięci.

— Wyspałaś się? — pyta Alice z niewinną minką i śmieje się, widząc rumieniec na twarzy Emily.

— Ja w ogóle się nie wyspałam, dzięki, że pytasz — ciągnie Alice. — To łóżko to istny koszmar. Nie mogę zrozumieć, czemu go jeszcze nie zmieniłaś.

— A niby po co? Przecież ja w nim nie śpię.

— No pięknie, bardzo jesteś gościnna. — Alice chrząka znacząco, widząc, jak Emily siada Harry'emu na kolanach. — Czy moglibyście się nie obmacywać tak z samego rana?

— Wcale nie tak z samego rana — śmieje się Emily, zarzucając Harry'emu rękę na szyję. — Dochodzi prawie dziesiąta.

— O Boże. Muszę włączyć komórkę. Joe pewnie stoi wściekły na stacji i czeka na mnie.

Alice biegnie po swoją torebkę, a Emily ze smutkiem potrząsa głową.

— Wiesz już, o czym mówiłam? — zwraca się szeptem do Harry'ego.

— Joe mówi: „skacz”, Alice pyta: „Jak wysoko?” — Dalej mówi już normalnym tonem. — Masz jakąś wiadomość? — Podnosi wzrok na Alice, która wraca do kuchni z komórką przy uchu. Przytakuje skinieniem głowy.

— Tak. Będzie w Stow o 10.55. Muszę się zbierać. Może chcecie jechać ze mną?

Emily spogląda na Harry'ego. Harry uśmiecha się do Emily i Alice jęczy z obrzydzeniem.

— Zakochani. Nie robi się wam od tego niedobrze? Zobaczymy się później.

I znika na górze, by się ubrać.

Joe jest ekspertem w kwestii podróżowania. Lubi samoloty, pociągi i długie podróże samochodem. W pierwszej klasie w samolocie natychmiast wkłada gratisowe skarpetki, oczy przysłania maską i poleca stewardesie, by obudziła go przed ostatnim w czasie lotu posiłkiem. W samochodzie pilnuje, by miał pod ręką zestaw ulubionych płyt i odpowiednią liczbę kanapek, w przypadku zaś, gdy przyjdzie mu jechać dokądś pociągiem, zjawia się na dworcu na tyle wcześnie, by zdążyć kupić sobie coś do jedzenia i każdą możliwą gazetę.

Dzisiaj jednak gazetami nie zawraca sobie głowy. Dzisiaj spędza całą podróż z zamkniętymi oczami i lekkim uśmiezkiem błakającym mu się po twarzy, marząc o tym, jak też będzie mu w łóżku z Josie.

Kiedy pociąg wjeżdża do Stow, Joe jest w doskonałym nastroju. Dzień jest jasny i słoneczny, jego piękna żona macha mu na powitanie, a on jest o krok od kolejnej seksualnej przygody — trudno wyobrazić sobie, by życie mogło być lepsze.

— To ma być t o?

Alice zatrzymuje rangę rovera na poboczu naprzeciwko Brianden i gasi silnik, podczas gdy Joe mówi szyderczym tonem, że tak paskudnego domu w życiu nie widział.

— Tak, to to. Daj spokój, Joe, nie bądź wredny. Przecież to tylko jedna noc.

Joe kręci głową.

— Wierzyć mi się nie chce, że zaciągnęłaś mnie aż do Cotswolds i teraz każesz nocować w czymś takim. Na pewno będzie okropnie.

— Wcale nie okropnie. W środku jest naprawdę ślicznie. A poza tym, na miłość boską, przecież to tylko jedna noc.

Joe wzdycha ciężko i sięga na tylne siedzenie po swoją torbę.

— I pomyśleć, że mogliśmy być w Lygon Arms. Oto, jak wykwinne zmienia się w idiotyczne.

Alice czuje zalewającą ją falę wściekłości, ale właśnie otwierają się drzwi frontowe i pojawia się w nich Emily, machając radośnie do Joe. Joe natychmiast odzyskuje panowanie nad sobą i posyła Emily jeden ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów.

— Emily! — mówi gładko, wysiadając z samochodu. — Jak się cieszę, że cię widzę. Cudownie, że nas tu zaprosiłaś. — Nachyla się i całuje ją w obydwie policzki. — A ty z pewnością jesteś Harry — mówi i wyciąga na powitanie rękę. — Jestem Joe. Naprawdę bardzo, ale to bardzo mi miło.

*

Cała czwórka wyrusza z psami przez pola. Emily, Harry i Alice opatuleni są szalami, mają czapki i rękawiczki, na nogach odpowiednie buty. Joe ma na sobie płaszcz, kaszmirowy sweter i ręcznie robione buty od Johna Lobba. Jego ubranie warte jest prawdopodobnie tyle, co cały dom Emily.

— Czyż to nie cudowne? — Joe oddycha głęboko. — Co za powietrze. Uwielbiam wieś. Kochanie, czemu tak rzadko wyrrywamy się z miasta?

— Bo w weekendy wiecznie jesteśmy zajęci? — podsuwa Alice. — I ponieważ nie znosisz wsi?

— Nienawidzę wsi? Jak można nienawidzić wsi? Tu jest fantastycznie.

Psy biegną przed nimi, a oni z pola wychodzą na wyboistą, pełną błotnistych kałuż ścieżkę. W jednej chwili ich buty zapadają się w grząskim błoku, a uśmiech zachwyconego wsią Joe szybko przechodzi w minę wyrażającą głębokie niezadowolenie.

— Cholera — mamrocze pod nosem, na próżno starając się omijać kałuże, ale jego eleganckie buty i tak zdążyły się już pokryć grubą warstwą błota.

— Może ktoś jest głodny? — pyta po pięciu minutach. — Jesteśmy już blisko?

— Głodny? Jeszcze za krótko spacerujemy, żeby nabrać apetytu — złości się Emily. — A zresztą pub jest jakieś trzy kilometry stąd.

Joe staje jak wryty, zapadając się na dobre parę centymetrów w błoto.

— Trzy kilometry? Żartujesz sobie chyba?

— Nie.

— Joe. — Alice już nie może się powstrzymać i zaczyna się śmiać. — Jak ci się wydaje, co mieliśmy na myśli, kiedy mówiliśmy, że idziemy na spacer?

— Że macie na myśli spacer, a nie jakąś cholerną wyprawę na koniec świata.

— Jezu, nie zachowuj się jak rozkapryszony bachor — beszta go Emily. — A poza tym wyjdzie ci to tylko na dobre.

Parę minut później Joe nawiedza przerażająca myśl.

— A jak właściwie wrócimy z tego pubu? — Pozostała trójka wybucha śmiechem, a Joe kręci gwałtownie głową. — O nie. Na mnie nie liczcie. Ja wracam taksówką.

— Rzeczywiście jest uroczy — szepcze do Emily Harry, gdy stoją przy barze, żeby złożyć zamówienie. — Chociaż chwilami zachowuje się jak palant, nie uważasz?

— Po prostu nie jest stworzony do wiejskiego życia. — Emily przytula się do Harry'ego, który obejmuje ją ramieniem. — Szkoda. Byłoby znacznie milej, gdyby nie przyjechał.

— Czyja wiem? Ta jego mina, kiedy zrozumiał, że będzie musiał wracać piechotą — już dawno się tak nie ubawiłem.

Po zjedzeniu dwóch porcji chleba z serem i marynowanymi warzywami, krewetek z frytkami, trzech lepkich puddingów toffi i jednej szarlotki Alice, Emily i Harry wstają, przeciągają się i z jękiem łapią za brzuchy, gotowi spalić nieco kalorii podczas drogi powrotnej do domu.

— Chodź, Joe — mówi Alice, stając nad siedzącym przy stole mężem, bardzo zadowolonym z filiżanki kawy i dzisiejszego numeru „The Times”, który ktoś zostawił na stoliku obok. — Wracasz z nami?

— Nie. Wezmę taksówkę. Zobaczymy się w domu. Zdrówko! — Unosi swoją filiżankę i z uśmiechem odprowadza wzrokiem pozostałą trójkę, która, kręcąc z dezaprobatą głowami, znika za drzwiami.

— Co za mięczak z tego mojego męża, aż mi się wierzyć nie chce.

— Zdaje sobie chyba sprawę, że posiedzi tam przez całe popołudnie — śmieje się Emily.

— Czemu?

— A co on sobie wyobraża? Że jest na Oxford Street? Wydaje mu się, że taksówki rosną na drzewach? Według moich obliczeń, zanim doczeka się taksówki, będzie pora na kolację.

— I dobrze. Należy mu się. O Boże. Kolacja —jęczy Alice. — Czy moglibyśmy przez jakiś czas nie wspominać o jedzeniu?

— Mam rozumieć, że nie piszecie się na porządny angielski podwieczorek? — pyta Harry z uśmiechem, co dziewczyny kwitują jękiem.

— Jutro — mówi Emily. — Na razie marzę, żeby wrócić do domu i pójść spać.

— Na pewno marzysz właśnie o tym? — Harry bierze ją za rękę i mruga porozumiewawczo, co widząc, Alice udaje za ich plecami, że zbiera jej się na wymioty.

— Możecie z tym poczekać, aż znajdziecie się w sypialni? Niektórzy z nas zaraz się wyrzyczą.

Gdy zjawia się Joe, na kominku płonie ogień, psy śpią wyciągnięte na podłodze, a Harry i Emily udali się na „popołudniową drzemkę”.

Alice siedzi zwinięta w fotelu i czyta książkę. Kiedy Joe wchodzi, podnosi głowę i uśmiecha się do niego. Joe podchodzi i całuje ją a ona się wykrzywia.

— Czuję whisky — mówi. — Piłeś przez całe popołudnie?

— Zacząłem rozmawiać z jakimś farmerem. — Ręce Joe zaczynają błądzić po jej udach. — A on postawił mi drinka i potem podwiózł mnie do domu.

— Z tego, co widzę, nie skończyło się chyba na jednym drinku. Spójrz na siebie, zawsze kiedy jesteś pijany, robisz się strasznie napalony.

— Nie pijany, tylko przyjemnie zamroczony i bardzo podniecony widokiem mojej pięknej żony. Gdzie reszta?

— Robi to, na co ty masz najwyraźniej wielką ochotę.

— Kochanie, chodźmy na górę. — Joe całuje Alice i z uśmiechem wiedzie ją na górę, do niewygodnego, zapadniętego łóżka.

— Dobrze spałaś? — Harry podnosi wzrok znad kuchennego stołu, na którym leży prawie całkiem już zjedzona ogromna pajda chleba z serem i piklami.

— Nie wierzę, ty znowu jesz? — Alice kręci głową. — Po takim wielkim lunchu? A tak, dziękuję, spałam doskonale. — Stara się nie zaczerwienić, bo wie, że w chwili szczytowania krzyczała, i teraz mimo wszystko ma nadzieję, że nikt tego nie usłyszał. — A ty? Wypałeś się?

— Nic tak nie pobudza apetytu, jak popołudniowa drzemka

— uśmiecha się szeroko Harry. — Chcesz trochę? — Podsuwa jej pozostałą połowę swojej kromki i Alice nagle czuje, że jest głodna jak wilk.

— Jezu, po tym weekendzie będę ważyć chyba tonę. — Odgryza spory kęs. — Od poniedziałku przez cały tydzień będę na diecie kapuścianej.

— To. Brzmi. Obrzydliwie — mówi Harry z przerażeniem w głosie. — Cóż to, u licha, jest dieta kapuściana?

— Przed wszystkim rzeczywiście jest obrzydliwa. Gotujesz wielki gar zupy warzywnej i jesz ją przez pięć dni. Smakuje paskudnie, ale chudnie się w oczach.

— I zapewne pierdzi jak z armaty.

— Błagam! — wykrzykuje oburzona Alice. — Damy nie pierdzą.

— Och, najmocniej przepraszam. To co w takim razie robią? Alice zastanawia się przez chwilę.

— Puszczamy wiatry — mówi w końcu, a Harry wybucha serdecznym śmiechem.

— Z czego się śmiejecie? — W kuchni pojawia się Emily.

— Nie chce mi się wierzyć, że po tym wielkim lunchu możecie dalej jeść. Ja już chyba w życiu niczego nie przełknę. A tak przy okazji, co tam macie?

Alice wzrusza niedbale ramionami.

— Nie wiem, ale smakuje bosko. Harry zrobił.

— Ser, szynka, pikle, majonez, ogórek, pomidor i tajemniczy składnik, cebula — recytuje z dumą Harry.

— Naprawdę dobre — mówi Alice z pełnymi ustami i podsuwa Emily kromkę, by spróbowała. Emily nachyla się i odgryza kawałeczek.

— Mniam — mruczy. — Pycha. Harry, zrobisz mi też?

— Jasne — odpowiada. — Ale tylko pod warunkiem, że obiecasz mi, że nie przejdiesz w przyszłym tygodniu na wywołującą wiatry dietę kapuścianą.

— Na co?

— Najpierw mi obiecaj, potem Alice może ci wytłumaczyć.

— Dobra, cokolwiek to jest, obiecuję nie przejść — Emily zaczyna się śmiać — na wywołującą wiatry dietę kapuścianą.

— Okay. Już się robi szynkowo-serową specjalność Harry'ego.

— Emily, nie bierz tego do siebie, ale to łóżko jest koszmarne. Do kuchni wchodzi Joe, masując sobie plecy.

— Wiem, wybacz. Przynajmniej to tylko jedna noc — przeprasza Emily.

— A to co takiego? — pyta zaciekawiony Joe na widok pajdy, do której właśnie Emily z apetytem się zabiera.

— Specjalność Harry'ego — mówi ze śmiechem Alice. — Też masz ochotę?

— Boże broń. — Joe opiera się na krześle i z ręką znacząco położoną na brzuchu kręci głową. — Po takim lunchu? Jestem pełny.

— To dlatego, że nie wróciłeś z nami piechotą — domyśla się Emily z ustami pełnymi kanapki. — Wiejskie powietrze pobudza do życia wszystkie soki.

— O, moje płyną na pełnych obrotach. — Joe puszcza wymowne oczko. — O to możesz być spokojna.

W niedzielę wybierają się do centrum ogrodniczego w Burford, gdzie Emily kupuje zioła do ogródka, potem przechadzają się Broadwayem i zaglądają do sklepów z antykami.

— Czy nie tego właśnie szukaliśmy? — Joe zatrzymuje się przed wystawą i podziwia wielką ozdobną francuską komodę. — Nie sądzisz, że pasowałaby idealnie do pokoju gościnnego?

— Jest prześliczna — zgadza się Alice, przybliżając twarz

do szyby, by przyjrzeć się lepiej. — Nie wiedziałam, że lubisz ten styl.

Joe na ogół nie przepada za takimi rzeczami. Monumentalna nowoczesność ich domu jest idealnym odzwierciedleniem jego gustu, ale Joe ma duszę kolekcjonera, poza tym lubuje się w rzeczach kosztownych. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu w „Architectural Digest” czytał artykuł o osiemnastowiecznych komodach, dokładnie takich, jak ta na wystawie.

— Wejdźmy do środka — mówi. — Zobaczymy, ile kosztuje.

Czterdzieści minut później wychodzą wszyscy ze sklepu, Joe radośnie uśmiechnięty. Nic tak go nie cieszy jak okazyjny zakup, a ponieważ zdecydował się też na krzesło w stylu Ludwika XIV, udało mu się obie rzeczy kupić za niecałe dziesięć tysięcy funtów.

— Widziałaś, i 1 e to kosztowało? — pyta Harry zszokowany, gdy obie pary rozdzielają się na chwilę, Alice i Joe zajęci poważnymi zakupami, on i Emily zaś oglądaniem wystaw. — Widziałaś, ile właśnie wydał?

— Wiem — mówi Emily. — Ja niewiele więcej zarabiam przez cały rok.

— Nawet mi nie mów. — Harry, wciąż nie dowierzając, potrząsa głową.

— Hobby Joe to wydawanie pieniędzy. — Emily wzrusza ramionami. — Zdażyłam się już przyzwyczać. Wytłumaczyłam sobie, że świat dzieli się na tych, co mają, i tych, co nie mają, a ja zdecydowanie należę do tych drugich.

— Masz przecież mnie. — Harry ściska ją za rękę i jej twarz rozjaśnia uśmiech.

— To prawda. Zapomnij o tym, co właśnie powiedziałam. Teraz już zaliczam się do tych, co mają.

— Wiesz co, naprawdę świetnie się bawiłem — mówi Joe po odwiedzeniu czwartego z kolei sklepu i nabyciu zamykanego biureczka i krzeselka z Eames.

— To dobrze — uśmiecha się Alice, gdy Joe ujmuje ją za rękę. — Bardzo się cieszę.

Nie dodaje, iż z powodu udanych zakupów, chociaż dobrze wie, że tak właśnie jest.

Alice doskonale zdaje sobie sprawę, że dla Joe miarą jego sukcesów jest posiadanie rzeczy materialnych. Im więcej ma, tym bardziej może chwalić się przed światem i tym lepiej się czuje.

W życiu Joe wszystko zawsze musi być najlepsze. Nie może włożyć zwykłych skarpetek, koniecznie muszą być kaszmirowe. Nie zatrzyma się w hotelu, jeśli nie jest to co najmniej Relais Chateaux czy Four Seasons. Jeździć musi aston martinem DB7, a żonę mieć piękną i o blond włosach. Nawet jego kochanki muszą być najwyższej klasy.

Alice natomiast w ogóle na podobne rzeczy nie zważa. Po prostu chce być szczęśliwa i dzisiaj, gdy widzi, w jak wyśmienitym humorze jest Joe, jak trzyma ją za rękę i namiętnie całuje jej palce, zapomina o jego humorach, ostatnio zdarzających się tak regularnie. Jest wdzięczna, że ma takiego wspaniałego, troskliwego męża.

— Zajmujesz się stolarstwem? — Siedzą w herbaciarni i delektują się babeczkami domowej roboty, z bitą śmietaną i dżemem. Joe zdaje się szczerze zainteresowany. — Cóż za zdumiewający zbieg okoliczności. Nasz stolarz właśnie okropnie zawiódł i szukamy kogoś, kto zrobiłby nam półki do mojego gabinetu. — Joe jest pełen entuzjazmu. — Jesteś przynajmniej dobry w tym, co robisz?

Alice ma ochotę wymierzyć mu kopniaka, lecz siedzi spokojnie.

— Owszem, ale z zasady nie pracuję dla znajomych — kłamie Harry z uśmiechem. — Z doświadczenia wiem, że najczęściej wynikają z tego same kłopoty.

— No tak. Doskonale cię rozumiem. Cóż, gdybyś o kimś słyszał, daj mi znać. — Joe zmienia temat, za co Alice jest mu niewymownie wdzięczna. Dopiero później przypomina sobie, jak Harry mówił jej, że najczęściej pracuje na zamówienie przy-

jaciół, i robi jej się przykro. Dociera do niej, że Harry musi uważać, iż Joe jest okropny.

— Nie okropny — mówi Harry do Emily, gdy wieczorem, po powrocie do Londynu, leżą już w łóżku. — Po prostu traktuje wszystkich z góry i żyje w innym świecie. Z kimś takim nie mógłbym się regularnie spotykać.

— Ale Alice polubiłeś? — Emily przytula się do niego mocniej.

— O tak. Alice jest wspaniała. Zupełnie nie rozumiem, jak mogła za niego wyjść.

— Wiem — wzdycha Emily. — Ale zawsze będę stać po jej stronie. Muszę. Jestem jej przyjaciółką.

Bywają dni, gdy ostatnia rzecz, na jaką Josie ma ochotę o piątej trzydzieści rano, to iść do siłowni. Punktualnie o piątej z nocnej szafki koło łóżka zaczyna się drzeć Capital Radio, zmuszając ją do otwarcia oczu. Josie z jękiem odrzuca kołdrę, próbując wykrzesać z siebie energię, by się ruszyć.

Zarzuca na siebie podkoszulek, wkłada spodnie dresowe i adidas, pisze liścik do swojej sprzątaczkii, po czym bierze torbę treningową (starannie spakowaną poprzedniego wieczoru), ubranie do pracy równie starannie umieszczone w specjalnym pokrowcu i wychodzi z domu, zmierzając do Harbour Club.

Rozkład jej dnia rzadko ulega zmianie. Uśmiecha się przelotnie do recepcjonistki (czy o tak barbarzyńskiej porze można oczekiwać czegoś więcej?), idzie do swojej szafki, wiesza w niej ubranie i o piątej czterdzieści zaczyna pierwsze ćwiczenia rozciągające.

W siłowni są już pierwsi ćwiczący. Głównie bankierzy — koledzy z City, bywa, że spotka jakiegoś znajomego, ale każdą próbę pogawędki Josie gasi w zarodku. Bardzo poważnie traktuje swoje ćwiczenia i nie ma najmniejszej ochoty na pogaduszki w siłowni.

Dwa razy w tygodniu ćwiczy z hantlami, przez dwa dni wykonuje trening kardio, natomiast w niedzielne poranki chodzi na zajęcia ze spinningu.

Śniadanie je w drodze do pracy. Codziennie to samo: kawę z odtłuszczonym mlekiem i suchą bułkę. Nie ma czasu siedzieć i delektować się jedzeniem, ale nie przeszkadza jej to — jeść nigdy specjalnie nie lubiła.

Jako dziecko była gruba, zawsze czuła się wyobcowana, gorsza od rówieśników i pocieszenia szukała w jedzeniu, dzięki niemu przestając w ogóle cokolwiek czuć. Na uniwersytecie popadła w kolejną skrajność i odkryła, że niejedzenie daje jej niesamowitą siłę: im mniej jadła, tym czuła się mocniejsza, mimo iż jej ciało skurczyło się do granic możliwości.

Nie chciała jeść niczego, co — jak mawiała — nie było „naturalne”, i ograniczała się do sałaty, pomidorów, ogórków, jabłek i pomarańczy, z rzadka pozwalając sobie na przysmak w postaci kawałeczka pełnoziarnistego chleba.

Gdy zachorowała, ważąc mniej niż 35 kilogramów, wysłano ją do lekarza uniwersyteckiego, który stwierdził u niej anoreksję, i choć w tej chwili uważa, iż w jej podejściu do jedzenia nie ma niczego chorobliwego i że waży „normalnie”, wciąż czuje się skrępowana, gdy zmuszona jest jeść w obecności innych, wciąż martwi się, że chociaż ubrania nosi w rozmiarze 36, ludzie, którzy widzą, jak je, będą ją mieli za żarłoczną lub, co gorsza, grubą.

Uzależnienie od jedzenia zamieniło się w uzależnienie od siłowni. Musi bardzo się starać, by nie ćwiczyć częściej niż pięć razy w tygodniu — z powodzeniem mogłaby to robić codziennie, zdarza się też, że gdy wróci do domu wcześniej i nie ma co ze sobą począć, musi toczyć ze sobą walkę, by nie pójść do siłowni również wieczorem.

Oczywiście ma jeszcze pracę. Im bardziej zatracą się w pracy, tym lepiej o sobie myśli i zapomina o życiu toczącym się poza biurem.

Gdyż tak naprawdę poza pracą Josie nie ma innego życia. Zbyt twarda i odpychająca, by znaleźć sobie przyjaciółki, w zasadzie nigdy żadnej nie miała. Nie wie, co to znaczy mieć grupę bliskich koleżanek, i nigdy z nikim nie dzieliła się intymnymi szczegółami na swój temat.

W sporadycznych wypadkach, gdy sytuacja wymaga nawiązania bliższych kontaktów z inną kobietą — na przykład zależy jej, by pozyskać jakąś klientkę, i wie, że wspólne narze-

kanie na facetów pomoże jej nawiązać udawaną bliskość — zawsze czuje się niezręcznie.

Jakby na przekór temu wszystkiemu ogromnie szczeni się swoim wyglądem, robi wszystko, by zawsze prezentować się nienagannie: czesze się u Daniela Hershesona, kostiumy kupuje u Gucciego, paznokcie zawsze ma idealnie wypielęgowane. Dla kogoś nieświadomego jej reputacji wyjątkowej modliszki wygląda jak bogata żona albo luksusowa kochanka.

Kobiety takie jak ona jadają w E&O i robią zakupy na Bond Street. Takie jak ona umawiają się na lunch z kobietami pokroju Alice. Na pewno nie wpadają w drodze do domu do Marksa & Spencera, żeby kupić opakowanie sałatki lub gotowego dania, które wrzucają do mikrofalówki, by zjeść nad książką lub przed telewizorem na niewygodnej beżowej kanapie, tuż przed pójściem spać.

Al Bruckmeister żartuje, że jej mieszkanie jest kwintesencją kawalerskiego lokum. A Al wie o tym najlepiej. Jej jedyny prawdziwy przyjaciel, albo przynajmniej jedyna osoba, z którą Josie widuje się regularnie, był jej drugim szefem w Goldmans, jej mentorem, by w końcu zostać przyjacielem.

Tylko Al wiedział, że firma Godfrey Hamilton Saltz zwróciła się do niej z propozycją pracy, i choć szczerze żałował, że zdecydowała się odejść, wiedział też, że tak wspaniałej szansy nie powinna odrzucać, i powiedział jej o tym.

Al, rodowity nowojorczyk, mieszka w Londynie od ośmiu lat, w wielkim mieszkaniu nad rzeką, gdzie każdego dnia czyta „Financial Times” i „Wall Street Journal Europe”, w niedzielę „New York Times” i nieustannie narzeka, że nigdzie w całym mieście nie można dostać porządnego bajgla.

Czterdziestotrzyletni, przystojny w stylu Jerry'ego Springera i niesamowicie bogaty, nie może narzekać na brak zainteresowania wśród wspaniałych dziewczyn, lecz nigdy znajomość z żadną z nich nie utrudniała mu przyjaźni z Josie.

Al uwielbia Josie. Wie, że gdyby kiedykolwiek postanowił się ustatkować (czego na razie nie bierze w ogóle pod uwagę,

zważywszy na to, że przebierać może w coraz to młodszych i młodszych), Josie byłaby dokładnie tą kobietą, na którą padłby jego wybór.

Zachwyca go jej pewność siebie. Jest silna i twarda, i tylko z nią potrafi się tak zażarcie kłócić. Trudno o lepszą osobę towarzyszącą podczas wszelkiego rodzaju spotkań, w których mężczyzna z jego stanowiskiem musi uczestniczyć, wspaniale jest też wybrać się z nią na kolację w gronie przyjaciół.

Na samym początku, przed wielu laty próbował ją poderwać. Byli na uroczystej kolacji, po której zaprosił ją do siebie na drinka przed snem. Wiedział, że jego mieszkanie zrobi na niej wrażenie, i wyobrażał sobie, że podobnie jak większość młodych dziewcząt, które sprowadzał, natychmiast zacznie śnić na jawie o wprowadzeniu się do niego i bez wahania wskoczy mu do łóżka, w nadziei na zostanie kolejną panią Bruckmeister.

Nalał jej wyśmienitego porto, przyćmił światła, puścił Barry'ego White'a, po czym usiadł na kanapie i spoglądając jej głęboko w oczy, spytał, jak to możliwe, by taka kobieta była sama.

A Josie zaczęła się śmiać.

Śmiała się i śmiała, aż z oczu pociekły jej łzy.

— To żałosne — powiedziała w końcu wyczerpana, ocierając z policzków łzy i rozmazany tusz, podczas gdy Al nie był w stanie pojąć, co też ją tak rozbawiło. — Czy w ten właśnie sposób wabisz niewinne panienki do łóżka?

— Cóż, tak — rzekł po chwili. — I muszę przyznać, że do tej pory zawsze mi się udawało.

— Chyba nie oczekujesz, że nabierzesz mnie na to gówna?

— W zasadzie liczyłem, że tak się stanie — powiedział z nadzieją w głosie. — Dałabyś się nabrać? To znaczy, czy warto, żebym kontynuował?

— Kontynuował co? — chichotała Josie, bawiąc się wspaniale. — Te bzdurne pochlebstwa? Alu Bruckmeister, jesteś beznadziejny. Musisz wiedzieć, że nawet gdybym chciała związać się z kimś z pracy — co w ogóle nie wchodzi w grę — ty znalazłbyś się na samym końcu listy.

— Och, wielkie dzięki. — Jego ego zostało natychmiast i głęboko zranione.

— Ależ proszę bardzo. Nie odgrywaj mi tutaj dotkniętego chłopczyka. Al, jesteś wspaniałym facetem, ale też niewyobrażalnie tandetnym i nie ma szans, żeby nam się udało. A te twoje gadki — istny koszmar. Jak chcesz, pomogę ci wymyślić coś lepszego, na co następna ofiara złapie się na pewno.

— Zawsze uważałem, że mam niezły bajer. Nigdy dotąd mnie nie zawiódł.

Josie pokręciła głową.

— Wybacz, ale musisz się lepiej postarać. Nalej mi jeszcze, a ja ci powiem, co kobieta naprawdę chce usłyszeć.

— A ty skąd niby masz to wiedzieć? — uśmiechnął się Al, wstając.
— Jesteś facetem w damskich ciuchach?

— Czarujące — powiedziała łagodnie. — I to tylko dlatego, że się z tobą nie prześpię. Ale mam też dobrą wiadomość: zostaniemy przyjaciółmi i uwierz mi, że dozgonna przyjaźń ze mną okaże się znacznie zabawniejsza niż szybki seks, który i tak skończyłby się po kilku tygodniach.

Al uniósł brew.

— Po kilku tygodniach? Trwałoby to aż tyle?

— Tylko gdyby szczęście wyjątkowo ci dopisało.

Jak się okazało, miała rację. Przyjaźnią się już od sześciu lat i Al jest jedyną osobą, na której naprawdę Josie może polegać, tak jak i jedyną która jak dotąd nigdy jej się nie znudziła.

Raz, dwa razy w tygodniu spotykali się i szli na kolację do pobliskiej knajpki albo do kina. A w weekendy, jeśli Al nie miał akurat żadnej randki, Josie towarzyszyła mu na koktajlach lub kolacjach w sobotę albo w niedzielę wybierali się na spacer do Hyde Parku, po którym w towarzystwie przyjaciół Ala jedli brunch w Bluebird. Jeżeli Al spotykał się z kimś przez dłuższy czas, wówczas widywali się rzadziej (dziewczyny jego życia niezmiennie widziały w Josie zagrożenie), a w tych sporadycznych przypadkach, kiedy to Josie miała jakiegoś przyjaciela, Al użalał się i narzekał, póki nie znalazł sobie kolejnej panienci,

wiedząc, że związki Josie zwykle szybko się kończyły i wkrótce na powrót będzie miał swoją przyjaciółkę dla siebie.

Minęło już półtora roku od czasu, gdy Josie po raz ostatni uprawiała seks, co jak zwykle wprawiało Ala w zdumienie. Zawsze oferował jej swoje w tym względzie usługi, co ona kwitowała śmiechem i wznoszeniem oczu do nieba.

Josie wmawiała sobie, że ma za mało czasu, by myśleć o mężczyznach, a jej praca jest dla niej zbyt ważna i każdy związek tylko by ją rozpraszał. Jednakże w ciągu kilku ostatnich tygodni przydarzyło jej się coś niezwykłego. Coś, a raczej ktoś o nazwisku Joe Chambers.

Josie wiedziała, że jego umizgi powinna uznać za wazeliniarstwo. Znała reputację, którą się cieszył, i miała świadomość, że powinna go unikać, lecz najwyraźniej jej głowa nie zgadzała się w tym względzie z jej ciałem i z przerażeniem odkrywała, iż Joe Chambers najwyraźniej wzbudził w niej uczucia — wydawałoby się — dawno zapomniane.

Zacząło się to tamtego wieczoru, w taksówce, kiedy ją pocałował. Wysiadła z samochodu bez słowa, weszła do mieszkania i musiała na kilka sekund wesprzeć się o ścianę, by uspokoić oddech.

„Zachowujesz się jak idiotka” — powiedziała sobie. „To kolega z pracy, wszyscy wiedzą, jaki z niego babiarz, a co gorsza, jest żonaty”.

W nocy jednak, nie mogąc zasnąć, leżała i wyobrażała sobie, co mogłoby się stać, gdyby go zaprosiła. Oddech miała coraz szybszy, ręka powędrowała na dół, a ona oczami wyobraźni widziała, jak Joe z uśmiechem rozpina jej bluzkę i nachyla się, by ją pocałować, unosząc jej spódnicę.

W poniedziałek nie była w stanie na niego spojrzeć i zanosila modły, żeby się do niej nie odezwał, nie była bowiem pewna, czy się przed nim nie zdradzi.

Przez cały tydzień jakoś jej się udawało go unikać, choć nieustannie czuła na sobie jego palący wzrok. W końcu nadszedł piątek, kiedy to pracowała do późna, kończąc przygotowanie do prezentacji. Nagle wyczuła, iż ktoś stoi za jej plecami.

— Proszę, proszę. — Joe uniósł nieco mankiet i spojrział na zegarek.
— Dochodzi ósma, jest piątek, a ty ciągle jeszcze pracujesz? Cóż za nadzwyczajna sumienność.

Josie wzruszyła ramionami i pochyliła się nad klawiaturą.

— Po prostu kończę prezentację. Mogę coś dla ciebie zrobić? —
Chłód w jej tonie maskował rosnące zdenerwowanie.

— Nie wiem. A możesz?

Josie nie odpowiedziała, tylko pisała dalej.

— W porządku — westchnął Joe. Obszedł biurko i stanął przed nią.
— Przepraszam, że cię pocałowałem. Przepraszam, że uważam, że
jesteś absolutnie cudowna, ale obiecuję więcej tego nie zrobić.
Zadowolona?

„Nie!” — pomyślała Josie. „Jasne, że nie!” Ale westchnęła i skinęła
głową.

— Dziękuję — powiedziała.

— Wiem, że źle mnie zrozumiesz, ale jest ósma, a ja umieram z
głodu. Mam ochotę na pizzę. Wybierzesz się ze mną?

„To tylko pizza” — przemknęło przez myśl Josie. „Nie zaprasza cię
na romantyczną kolację przy świecach, gdzie znowu by się do ciebie
przystawiał (co za szkoda). Po prostu pizza, na litość boską. Co się
może przytrafić przy pizzy?”

— Utknąłem w biurze z Dave'em. — Joe schronił się w jednym z
prywatnych gabinetów, skąd zadzwonił do Alice, by Josie nie słyszała.
— Wyskoczymy gdzieś na pizzę i potem pewnie tu wrócimy. Nie
czekaj na mnie, kochanie, obawiam się, że to trochę potrwa. — „Panie
Boże, błagam cię — pomyślał, ściskając na szczęście kciuki — spraw,
żeby to trochę potrwało”.

Posmutniała Alice z westchnieniem odłożyła słuchawkę. „Błagam —
pomyślała — niech to się znowu nie zaczyna. Ostatnio byłeś taki
cudowny. Błagam, nie rób mi tego po raz kolejny”.

Trudno nazwać Pizza Express romantycznym miejscem. Podłoga
wyłożona surowymi kaflami, monochromatyczny koloryt wnętrza i
jaskrawe oświetlenie z całą pewnością nie przyciągało

zakochanych, ale też miłość była ostatnią rzeczą która zaprzętała myśli Josie i Joe, gdy siadali przy stoliku w kącie i zamawiali pizzę.

Dla Joe pizza po neapolitańsku, dla Josie sałatka z mieszanych warzyw, do tego jedna butelka Montepulciano i jedna San Pellegrino.

„Już nie pamiętam — myślała Josie, patrząc, jak Joe luzuje sobie krawat i przeczesuje palcami włosy — kiedy po raz ostatni ktoś tak mi się podobał. Co on ma w sobie takiego, że gotowa jestem dostać orgazmu, tylko siedząc tu i patrząc na niego?”

„Trafiony zatopiony” — myślał Joe, przywołując na pomoc cały swój osobisty urok, zadając odpowiednie pytania i uśmiechając się we właściwych momentach, pilnując jednak, by zanadto nie flirtować, nie czarować i za dużo nie mówić.

„Prawie cię mam”. Czuł jakże dobrze znany dreszczyk podniecenia, fascynację nowością. „Dzisiaj, drogi chłopcze, może być właśnie ten dzień”.

Pizza została zjedzona, sałatka ledwie napoczęta, połowa wody i całe wino wypite. Rozmowa nie miała znaczenia, gdyż oboje doskonale wiedzieli, dokąd to wszystko zmierza. Josie udawała, że wspólna kolacja jest całkowicie niewinna, ale Joe wyszedł do toalety i Josie, patrząc, jak z niej wraca, wiedziała, że chociaż to bez wątpienia niebezpieczne, chociaż bez wątpienia o n jest niebezpieczny, ona się z nim prześpi.

Wkrótce.

Gdy opróżnili drugą butelkę wina, rozmowa zaczęła się rwać. Joe, z brodą wspartą na ręce, nie odrywał od Josie wzroku. Jej oczy przysyłaniała mgła pożądania, a żołądek podchodził do gardła.

— Chyba nie powinienem tego mówić — rzekł cicho i powoli, po raz pierwszy tego wieczoru poważniejąc. — I wiem, że prawdopodobnie mi nie uwierzysz, ale jedyne, o czym potrafię dzisiaj myśleć, to żeby pójść do łóżka i kochać się z tobą.

— Wiem. — Słowo wymknęło się Josie samo, jeszcze zanim zdążyła o nim pomyśleć. — Idziemy do mnie?

W milczeniu zapłacili rachunek i wyszli. Ledwie znaleźli się

na opustoszałej ulicy, przystanęli, spojrzeli na siebie i po chwili całowali się jak szaleni, ręce Joe były wszędzie, Josie kąsała jego wargi, pragnąc, by znalazł się w niej tu i teraz.

Josie spoczywała w objęciach Joe na tylnym siedzeniu taksówki, z zamkniętymi oczami, rozkoszując się dotykiem jego palców muskających jej udo. Gdy sięgnął pod jej spódnicę, jęknęła cicho, a on sunął powoli w górę, do koronki na pończosze, aż wreszcie dotknął nagiego ciała. („Dzięki ci, Boże — myślała — że włożyłam dzisiaj pończochy, a nie rajstopy. Dzięki ci, że mam na sobie nową bieliznę. I dzięki ci, że w ubiegłym tygodniu woskowałam sobie nogi”).

„Wyżej” — modliła się, wstrzymując oddech w oczekiwaniu, z ciałem dygoczącym z pragnienia, by wreszcie tam dotarł. Wyżej. Wyżej. I jego palce dotykały jej majtek, najpierw tak delikatnie, iż nie wiedziała, czy jej się to tylko wydaje, po chwili mocniej, by po chwili znowu ruszyć w dół uda, ku kolanu. Josie westchnęła i obróciła się w poszukiwaniu jego ust.

Odwrotu już nie było.

Wbiegli po schodach, do mieszkania i ledwie drzwi się za nimi zamknęły, gdy znowu się całowali, najpierw śmiejąc się cichutko, potem poważniejąc, bo boleśnie stwardniały członek Joe napierał z całej siły na jej ciało.

Potykając się i wciąż całując, weszli do sypialni. Upadli na łóżko, ich języki, usta, palce były wszędzie, dotykały, smakowały, ssaty, pieściły. Szepty, westchnienia, coraz gwałtowniejsza namiętność, kotłujące się ciała.

I wreszcie ulga. Joe opada na plecy z rękami na nagich biodrach Josie, ustami na jej piersiach, pełnych i twardych, dokładnie takich, jak sobie wyobrażał, i wchodzi w nią, z westchnieniem zapomnianej przez oboje i zakazanej rozkoszy.

Joe patrzy na unoszącą się nad nim i opadającą Josie, z zamkniętymi oczami, przygryzionymi wargami, dyszącą, gdy on wbija się w nią mocniej i mocniej. Nie przerywając, dotyka jej palcami, zachwycony jej pełnym zaskoczenia uśmiechem, roz-

koszą malującą się na jej twarzy, sztywniejącym, napiętym ciałem, wstrząsanym spazmem orgazmu, do którego on zaraz po chwili się dołącza.

Leżą na łóżku i uśmiechają się do siebie. Joe przesuwa palcami po jej wargach i patrzy, jak smakuje samą siebie, biorąc je do ust. Całują się łagodnie, głaszczą po włosach, szepczą.

— To było niesamowite — uśmiecha się Joe, muskając jej włosy za uchem.

— Założę się, że mówisz to wszystkim dziewczynom.

— Owszem, ale tym razem nie kłamię. To naprawdę było niesamowite. — Całuje ją. I mówi szczerze. — T y jesteś niesamowita.

— Rzeczywiście było wspaniale, prawda? — Josie uśmiecha się jak kot, który właśnie dostał śmietankę. Zdążyła już zapomnieć, jak cudownie jest być kotem, który dostał właśnie śmietankę.

Joe przeciąga się i odwraca, by spojrzeć na zegarek.

— Kurwa — syczy.

— Twoja żona? Nachyla się i całuje Josie.

— Bardzo chciałbym zostać.

— Jest już po północy — mówi ona. — Powinieneś iść.

— Ale to nie koniec. — Znowu ją całuje. — Boże, jesteś niesamowita. Jutro?

Josie śmieje się cicho.

— Jutro jest sobota.

— No i? Po południu? Co robisz?

Josie bardzo chce powiedzieć, że jest zajęta. Powiedzieć, że nie będzie miała czasu, że to był przypadek, a ona nie należy do dziewczyn, które zadają się z żonatymi, milczy jednak.

— Jutro po południu? — Kładzie się na plecach, a Joe zaczyna pieścić twardniejącą już brodawkę. — Będę tu leżała i czekała, aż znowu mnie zerzniesz.

— Boże — jęczy Joe, kładąc się z powrotem. — Jak mogę zostawić cię samą?

— Ja już tego dłużej nie wytrzymam. — Alice ma tak ściśnięte gardło, że prawie nie jest w stanie mówić. — Naprawdę nie wiem, po jaką cholere w ogóle wychodziłam za mąż. W ogóle go nie widuję i nigdy nie myślałam, że to powiem, ale jak mi Bóg miły, nie widzę sensu, żeby to ciągnąć.

Emily siedzi obok niej na kanapie i obejmuje ją ramieniem. Nie wie, co powiedzieć, ale chce, żeby Alice się wyplakała i żeby wiedziała, że ona, Emily, zawsze przy niej będzie.

Alice spogląda na Emily.

— Ty byś się na to nigdy nie zgodziła, prawda? Emily wzrusza ramionami.

— Na pewno nie. Wiem o tym. Chyba nikt by się nie zgodził. Z wyjątkiem starej, głupiej Alice.

— Nie jesteś starą głupią Alice. Jesteś cudowną Alice, a to tylko chwilowe. Już przez to przechodziłaś i teraz też przejdiesz, jak zawsze.

— O Boże, Emily, nie zniosę tego dłużej. Myślę, że on ma romans. Czas stanął w miejscu.

Minuty mijają, a im obu krew odpływa z twarzy.

— Naprawdę tak myślisz? — Emily mówi wolno, ostrożnie, nie mogąc uwierzyć, że w końcu, po tych wszystkich latach, Alice wypowiedziała na głos to, co ona i wszyscy naokoło podejrzewali od dawna.

— Tak. Nie. — Alice wzdycha rozpaczliwie. — Boże, sama już nie wiem. To znaczy, z jednej strony jakoś nie mogę uwierzyć, że mógłby mi to zrobić, przecież wie, że z miejsca

bym odeszła, ale z drugiej strony... — Chowa twarz w dłoniach, po chwili znowu podnosi wzrok na Emily. — Gdyby ktoś opowiadał mi moje życie, powiedziałabym, że on ma romans. Przez ostatnie trzy miesiące prawie ani razu nie zdarzyło mu się wrócić do domu przed dziesiątą. Mówi, że wciąż ma spotkania, a kiedy dzwonię, nie odbiera komórki. Wyjeżdża w interesach i nigdy mi nie mówi, gdzie się zatrzymuje, po prostu mam czekać, aż zadzwoni, i od trzech miesięcy się nie kochaliśmy.

— Poważnie? — Emily nie potrafi ukryć zaskoczenia. — Od trzech miesięcy? A on? Czym to tłumaczy?

— Że jest wykończony, i kiedy tak ciężko pracuje, seks mu nie w głowie.

— Czy to prawda?

— Już się tak zdarzało. Harował jak wół i przestawał się ze mną kochać, ale teraz zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście ciężko pracował, czy po prostu kogoś miał. Boże, o Boże. — Alice wstaje, przyciskając ręce do piersi. Nagle czuje, jak zalewa ją fala gorąca, a na czoło występują krople potu. — Chyba będę wymiotować.

Pięć minut później, blada i wyczerpana, ale z obmytą z potu twarzą wychodzi z łazienki.

Emily w kuchni przygotowuje herbatę. Wnosi ją do pokoju i przygląda się, jak Alice z wdzięcznością popija gorący, słodki napój.

— Rozmawiałaś z nim o tym? — pyta łagodnie.

— Oczywiście. Mówi, że jestem śmieszna. Emily, czuję się taka samotna. — Po policzkach Alice zaczynają w końcu płynąć łzy. — Nie mam zielonego pojęcia, co robić.

Trzy dni wcześniej Alice próbowała rozmawiać o tym z Joe. Trzy miesiące bez seksu, bez ciepła i bliskości to bardzo długo, zwłaszcza jeżeli się męża kocha i chce z nim być. Alice zaczęła myśleć, że to może ona za mało się stara. Może gdyby wyglądała

niesamowicie seksownie i oczarowała go, udałoby się jej go odzyskać, zniszczyć to, co wkradło się do ich małżeństwa.

Próbowała już tego wcześniej, gdy Joe się od niej oddalał. Kupowała nową bieliznę, starała się go skusić winem, i choć nigdy nie odniosło to skutku, postanowiła, że i tym razem spróbuje.

Więc czeka na Joe w koronkowym negliżu. I czeka. I czeka. Jest sześć minut po północy, gdy słyszy, jak otwierają się drzwi wejściowe. Alice jest tak zmęczona, że marzy jedynie

O tym, żeby spać, ale skoro tyle wytrzymała, nie zamierza się poddać.

Spodziewa się, że Joe przyjdzie prosto do sypialni. W końcu jest środek nocy, a on pracował do późna, kiedy jednak mija dwadzieścia minut, a jego ciągle nie ma, schodzi na dół, żeby sprawdzić, co go zatrzymuje.

Nie ma go w salonie, nie ma też w kuchni. Z gabinetu dobiegają cichy szmer rozmowy, co sprawia, że serce zaczyna jej bić szybciej, a do gardła podnosi się fala mdłości.

Chce stanąć pod drzwiami i podsłuchać, zdobyć ostateczny dowód, ale nie potrafi. Nie chce go przyłapać na gorącym uczynku, nie chce usłyszeć czegoś, czego cofnąć się już nie da. Pragnie jedynie, by Joe ją uspokoił, zapewnił, że wszystko jest w porządku.

Słyszając cichy śmiech, otwiera drzwi, głośno, by się zorientował, że wchodzi. Usłyszała dość, by zacząć coś podejrzewać, nie chce jednak usłyszeć tyle, żeby podejrzenie przerodziło się w pewność.

Joe natychmiast się odwraca, a w oczach ma strach.

— Czemu jeszcze nie śpisz? — pyta, starając się nadać swemu głosowi naturalne brzmienie. Nie rozłączył się.

— A ty, co robisz? — syczy Alice, wskazując na telefon. — Z kim rozmawiasz? Masz romans?

— Zadzwoń jutro — mówi Joe do słuchawki, teraz głośno i bardzo oficjalnie. — Do tego czasu nie podejmujcie żadnych decyzji.

— Załatwione — śmieje się gardłowo Josie. — Niegrzecz-

ny chłopczyk, prawie wpadłeś. Do zobaczenia jutro. — Posyła mu przez telefon całusa i rozłącza się.

— Jasne — mówi Joe, jakby rozmówca wciąż jeszcze tam był, starając się zyskać na czasie. — Tak, o wycenie porozmawiamy jutro. Wybacz, ale naprawdę muszę już kończyć.

Obraca się do Alice, teraz już zmieszanej i niepewnej. Czy rzeczywiście słyszała ten cichy śmiech, gdy stała za drzwiami? Cichy szmer rozmowy, ton głosu, który brzmiał, jakby rozmawiał z kobietą z kochanką?

— Co ty, k u r w a, wyprawiasz?! — Miejsce strachu zajęła złość. Joe posunął się za daleko, o czym doskonale wie, i teraz jest wściekły, bo musi się bronić, ale też z przekonaniem

O własnej słuszości, jak człowiek winny, któremu się upiekło. — Jak śmiesz — mówi dalej. — Jak śmiesz wchodzić do mojego gabinetu, kiedy rozmawiam przez telefon z klientem z Japonii, i oskarżać mnie, tak, żeby on słyszał, że mam romans?

Alice nie znosi podniesionego głosu. Nie znosi kłótni. Zawsze wtedy ogarnia ją przemożna chęć, by się wycofać i uciec, więc i teraz zaczyna przepraszać.

— Wybacz — mówi. — Myślałam, że rozmawiasz... to brzmiało tak, jakbyś rozmawiał...

— Z k i m? — warczy wściekle Joe. — Brzmiało, jakbym rozmawiał z k i m? Chcesz powiedzieć, że stałaś pod drzwiami i podsłuchiwałaś? — Na chwilę strach powraca, ale nie, nic nie mogła usłyszeć, bo inaczej już by wiedziała i teraz nie wycofywała się tak pokornie.

Związek z Josie jest jakby inny od jego wcześniejszych przygód. Sypiają ze sobą już od trzech miesięcy i Joe ze zdumieniem stwierdza, że tym razem to nie on kontroluje sytuację.

Z przerażeniem, ale i zachwytem odkrywa, że Josie działa na niego jak najsilniejszy narkotyk: im częściej się z nią widuje, tym bardziej jej pragnie, a ona tym większą zyskuje nad nim władzę.

Przez chwilę bał się, że może się w niej zakochać. Bał się, bo

za nic w świecie nie chce zranić Alice, i bał się, wie bowiem, że z kobietą pokroju Josie nie poradziłby sobie, gdyby miał ją dla siebie przez cały czas. Teraz jednak uważa, że to nie miłość, lecz zwykła obsesja, która w końcu, prędzej czy później, ale na pewno się skończy.

Joe miewał już takie obsesje, zwykle jednak, zwłaszcza gdy kobieta zaczynała stawiać żądania, przywiązywać się do Joe emocjonalnie, jego obsesja mijała, a on wyruszał na poszukiwanie nowych wyzwań.

Josie jednak wciąż jest wyzwaniem. Uważa, że jest zabawny. Słowa, które tak świetnie sprawdzały się w przypadku innych kobiet, u niej wywołują tylko śmiech i drwinę.

Jej niezłomność, niechęć do spełniania każdej jego zachcianki, działają na niego odurzająco, dlatego też — jak na przykład dzisiaj — podejmuje coraz większe ryzyko.

Wyszedł od niej zaledwie przed czterdziestoma minutami, ale przez całą drogę do domu nie mógł przestać o niej myśleć i po prostu musiał do niej zadzwonić przed położeniem się spać. Alice, która normalnie szła do łóżka o pół do dziewiątej, nie powinna była się obudzić.

Boże, tak niewiele brakowało. Spogląda na Alice, w negliżu, którego nigdy wcześniej nie widział, i w duchu dziękuje Bogu, że znowu mu się udało. A tak niewiele brakowało. Naprawdę niewiele. Jego uzależnienie od Josie, choćby nie wiadomo jak wielkie, w tym wypadku nie ma znaczenia, bo on za nic nie chce zniszczyć swojego małżeństwa, co byłoby nieuniknione, gdyby Alice usłyszała, co mówił do Josie, usłyszała, jak mówi, że pragnie wyjechać z nią na wieś, do hotelu z łóżkiem z kolumienkami, związać ją i rozłożyć jej szeroko nogi, jak to zawsze robi, ilekroć przyjdzie mu na to ochota.

— No? — powtarza, a w jego spojrzeniu przez złość przebija cień poczucia winy. — Co takiego słyszałaś? Co ci się wydaje, że słyszałaś?

— Ja... nic. Po prostu twój ton... zwykle nie rozmawiasz takim tonem o interesach.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz. — Joe wstaje i mija Alice. — Mam za sobą długi dzień. Padam na pysk, a kiedy wracam do domu, moja żona oskarża mnie nie wiadomo o co. Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak ciężko w tej chwili muszę harować? Masz pojęcie, jaki jestem zajęty, i jaki zmęczony, kiedy w końcu uda mi się wrócić do domu?

— Przepraszam — udaje się wykrztusić Alice.

— Cóż, trochę za późno na przeprosiny. — Joe rozkręca się na dobre. — Ostatnie, o czym marzę, to wysłuchiwać oskarżeń własnej żony, kiedy wracam do domu — spogląda na zegarek — dobrze po północy.

— Ale Joe — Alice gorączkowo szuka słów, by wyrazić,

O co jej chodzi. Nie chce się tak łatwo poddawać, chce, żeby porozmawiali o jej obawach i żeby mąż je rozwiął, uspokoił ją. — Nie kochaliśmy się od trzech miesięcy. Wyjeżdżasz, ja nie wiem dokąd, nigdy cię nie ma w domu. Musisz przyznać, że trochę to podejrzane.

— Naprawdę myślisz, że mam romans?

— Nie... sama już nie wiem. — Alice wzdycha. — Chyba jednak tak nie myślę, bo wydaje mi się, że nie mógłbyś mi tego zrobić, ale kiedy zachowujesz się tak, jakbyś mnie już nie chciał, to sama nie wiem, co mam myśleć.

— Och, kochanie. — Joe wygrał. Teraz może ją ukoić. Podchodzi, obejmuje ją i mocno tuli. — Oczywiście, że nie mam romansu. Kocham cię. Jesteś moim małym kurczaczkiem, poza tobą nikt się nie liczy.

Alice uśmiecha się z ulgą i całą się w niego wtula.

— Ja też cię kocham — wzdycha, muskając jego szyję. Joe uśmiecha się do jej włosów.

— Ja ciebie bardziej.

— Ja c i e b i e bardziej.

— Wiem.

Pieszczoty Alice stają się bardziej namiętne, podnosi twarz i całuje go w usta. Joe odwzajemnię pocałunek, kiedy jednak ona zaczyna otwierać usta, odsuwa się, ściskają mocno i odwraca się.

— Jest bardzo późno — mówi i ujmując ją za rękę, wyprowadza z gabinetu. — Pora spać.

Alice przesuwa się na połowę łóżka Joe i wtula się w jego plecy. Joe stara się zachować równy, spokojny oddech. Kochają ale nie ma ochoty teraz się z nią kochać. Teraz w ogóle z nikim nie ma ochoty się kochać, wyjątkiem jest jedynie Josie. Chociaż trudno powiedzieć, by z nią się kochał, raczej się pieprzy.

— Dobranoc — mamrocze, jak gdyby już spał.

Alice przez chwilę gładzi go po plecach, łudząc się jeszcze, że go podnieci, w końcu jednak zrezygnowana wraca na swoją połowę.

— No dobrze, skoro wtedy nie podejrzewałaś go o romans — docieka Emily po wysłuchaniu opowieści Alice — czemu myślisz, że tym razem jest inaczej?

— Wiem, że to wariactwo, ale kiedy tak mnie zapewnia i uspokaja, czuję się jak stuprocentowa idiotka. Kiedy jednak go nie ma albo dzwoni do mnie i mówi, że znowu wróci późno, mój mózg zaczyna wyrabiać nadgodziny i wmawiam sobie, że na pewno kogoś ma. Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Że mam już trzydzieści pięć lat i chciałabym mieć wreszcie dzieci, ale jak mam zająć w ciążę, skoro mój własny mąż ze mną nie sypia?

— Chcesz powiedzieć, że Joe w końcu zgodził się na dziecko? Alice prychna.

— Nie bądź śmieszna. Mój mąż nie bywa przecież w domu, więc nie mogę z nim o tym nawet porozmawiać. Ale czas ucieka, Em. Jestem gotowa, Boże, jestem gotowa od dobrych paru lat, ale skąd mam wiedzieć, czy w ogóle mogę zająć w ciążę? To może potrwać wieki, i jeśli się nie pośpieszymy, może być za późno.

— A jak masz zająć w ciążę, skoro twój mąż z tobą nie sypia?

— Otóż to, trafiłaś w sedno. Mówię ci, już nawet zaczęłam sobie wyobrażać, że idę do banku spermy.

— Nie!

— Owszem, ale nie zrobię tego. Chcę mieć dziecko z moim mężem, a nie z próbówki. Sama nie mogę uwierzyć, że coś takiego w ogóle przyszło mi do głowy.

— Wiesz, co w tym wszystkim jest najsmutniejsze? Ja wyobrażam sobie kajdanki, jedwabne szaliki i trzech osiłków, każdy z magisterium z seksu. A tobie się śni próbówka.

Alice krztusi się herbatą.

— Trzech? Trzech facetów naraz? Chyba żartujesz! Zarumieniona po korzonki włosów Emily wzrusza ramionami.

— A co? Jestem zachłanna?

— Może odrobinę. Ale mów dalej. Gdzie spotykasz tych trzech?

— Nic z tego. Nie powiem ani słowa więcej, chyba że ty opowiesz mi najpierw o swoich marzeniach.

— Okay. Mnie się marzy mały, kryty strzechą domek...

— Jezu, zamknij się! — Emily daje Alice potężnego kuksańca. Alice zwija się ze śmiechu. — O twoich seksualnych marzeniach. No, dalej. Ja ci o swoich opowiedziałam. Teraz twoja kolej.

— Nie, dopóki nie opowiesz, co dalej z tymi trzema osiłkami. Czy jeden z nich to Harry?

Emily zdecydowanie kręci głową.

— Absolutnie nie. Nie powinno się marzyć o facetach, których się kocha, zwłaszcza w tak dekadentcki sposób.

— Oho, robi się coraz ciekawiej. Mów dalej.

Po półgodzinie dalszych chichotów i wygłupów Emily nachyla się i głaszcząc Humphreya po łbie. Humphrey wniebowzięty przymyka ślepią i obraca się na grzbiet, wystawiając na dalsze pieszczoty nieco grubachny brzusek. Emily, śmiejąc się, posłusznie spełnia jego wolę.

— Och, Humphrey, straszny dzieciuch z ciebie. Wiesz co, Ali, skoro na razie nie masz co liczyć na dziecko, powinnaś sobie sprawić coś w zastępstwie.

— Co? — Alice zaszokowana podnosi na nią wzrok. — Nie chcę niczego w zastępstwie. O czym ty mówisz?

— Mówię o kimś w rodzaju Humphreya.

— Nie rozumiem?

— O psie. Jeśli czujesz się taka samotna, czemu nie miałabyś mieć psa?

— Bo Joe nie znosi zwierząt. Bardzo bym chciała psa.

— No to postaw sprawę jasno. Albo Joe spędza więcej czasu w domu, albo sprawiasz sobie psa, żeby mieć jakieś towarzystwo.

— Wątpię, żeby to kupić. Przypomnij sobie, co było z Molly i Paolo.

— Spróbować nie zaszkodzi. Wszyscy faceci nie znoszą kotów, ale pies to co innego. Zapytać zawsze możesz. Jedna z dziewcząt ze szkoły dla psów ma suczkę westie, która się właśnie oszczeniła. Szuka dla maluchów domu.

— Och, super! Uwielbiam westie.

— No wiesz, szczeniaki nie są czystej krwi. Suka była już szczenna, kiedy ją przygarnęła, więc Bóg jeden wie, co z nich będzie, ale są przesłodkie.

— Znając moje szczęście, pies okaże się w połowie westie, w połowie rottweilerem.

Emily parska śmiechem.

— Przynajmniej będzie z niego niezły pies pilnujący. Och, po prostu kapitalnie, mogłabyś zacząć chodzić z nim na szkolenie. No, nie zastanawiaj się, tylko spraw sobie psa. Błagam!

Alice ten pomysł najwyraźniej się podoba, bo humor nieco się jej poprawia.

— Cóż — mówi w końcu. — Niewątpliwie masz rację i może rzeczywiście powinnam przynajmniej spróbować. Jeśli mój mąż w ogóle zjawi się kiedyś w domu o jakiejś rozsądnej porze, obiecuję z nim o tym porozmawiać.

Tydzień później w domu pojawił się Snoop. Joe naturalnie protestował, ale Alice tak długo i starannie przygotowywała się do ostatecznej konfrontacji, że w zasadzie nie miał żadnych argumentów przeciw.

Mając nareszcie kogoś, kogo mogła obdarzać miłością i troską

kogoś, kto kochał ją bezwarunkowo i chciał spędzać z nią każdą chwilę, Alice poczuła się niewyobrażalnie szczęśliwa.

Zaczęła już chodzić na szkolenie i dzięki zażyłości Harry'ego z Emily mogła liczyć na specjalne względy. Harry powiedział jej, że gdyby tylko miała jakieś pytania albo potrzebna jej była pomoc, w każdej chwili może do niego dzwonić.

Z chwilą zaadoptowania Snoopa przed Alice otworzył się zupełnie nowy świat. Mogła wreszcie z czystym sumieniem nie przyjmować zaproszeń, tłumacząc się, że ma w domu szczeniaka, którego nie może zostawić samego, a jeśli w jakiejś restauracji psia obecność nie była mile widziana, z przykrością, ale musiała odmawiać wspólnego zjedzenia lunchu.

Wychodziła ze Snoopem przynajmniej pięć razy dziennie i podczas tych spacerów po sąsiedztwie odkryła nagle, jak wielu ludzi miało psy, przystając i chętnie wdając się w pogawędkę z innymi właścicielami.

Część nowych znajomych psiarzy skłaniała się ku opinii, iż druga połowa Snoopa wywodziła się od beagla, reszta obstawała przy basecie. Kombinacja dość dziwna, ale przynajmniej choć w części tłumaczyła obecność wielkich brązowych łat na psie, który poza tym wyglądał zupełnie jak West Highland Terrier.

Alice wprost uwielbiała ten nowy świat i chociaż Joe wcale nie przebywał w domu częściej niż przez ostatnie trzy miesiące, ani też nie zbliżył się do niej, ze zdziwieniem stwierdziła, że już jej to tak bardzo nie przeszkadza. W końcu miała o kim myśleć poza Joe i bardzo jej to odpowiadało.

Joe także zaczął dochodzić do wniosku, że pies wcale nie był takim głupim pomysłem. Okazał się doskonałym pretekstem do późnych wieczornych spacerów, podczas których mógł jeszcze raz zadzwonić do Josie. Zważywszy zaś na to, że Joe nie miał Joe Juniora, Snoop był doskonałym alibi weekendowych schadzek.

— Ty sobie poleż — mówił do Alice i całował ją czule, sam ubrany już w dżinsy i baseballową czapkę. — A ja idę ze Snoopem na długi spacer do Hyde Parku.

Uszczęśliwiona Alice otulała się na powrót kołdrą. Kto by pomyślał, że Joe tak polubi psiaka? A skoro dla Snoopa jest taki dobry, na pewno okaże się jeszcze wspanialszym ojcem. Moment, kiedy zaczną starać się o dziecko, wydawał się coraz bliższy.

Snoopowi zaś cała sytuacja odpowiadała jak najbardziej. Co prawda nie miał specjalnie co ze sobą począć w salonie Josie, wobec czego z ukontentowaniem robił w kącie siku i czekał, aż Joe wychynie wreszcie zza zamkniętych drzwi.

— Nie, Joe, nie wygłupiaj się. — Ciałem Josie wstrząsa dreszcz, gdy doświadczona ręka Joe pieści wewnętrzną stronę jej uda. — Nie w biurze.

— Czemu nie? — mruczy Joe. — Jest piątek, ósma wieczorem, myślisz, że ktoś się tu jeszcze kręci?

Josie milczy. W sumie Joe ma rację. W piątki ich piętro pustoszeje najpóźniej o szóstej. Nasłuchuje przez chwilę, po czym wstaje i wygląda za drzwi. Joe się nie myli. Nikogo nie ma.

— Zostaw otwarte drzwi — uśmiecha się Joe. Czując przyjemny dreszczyk podniecenia, opiera się o stół konferencyjny w sali na końcu korytarza. — I chodź tutaj.

Josie przystaje w drzwiach.

— Nie mów mi, co mam robić. — Z uniesioną brwią przygląda się wybrzuszeniu na jego spodniach. — A jeśli naprawdę chcesz to zrobić, odepnij spodnie już teraz.

Joe posłusznie wykonuje polecenie i przygląda się, jak Josie z uśmiechem podchodzi do niego, nachyla się, by go pocałować, i wsuwa rękę w otwarty rozporek jego spodni. Joe jęczy z rozkoszy.

— Mówi Steven z Human Resources. Chcielibyśmy się z tobą spotkać. Mógłbyś wpaść do nas dzisiaj o szóstej po południu?

Niech to szlag. Nie. Akurat dzisiaj o szóstej Joe wybiera się prosto do mieszkania Josie, by spędzić tam z nią kilka godzin, zanim wieczorem razem z Alice pójdzie na otwarcie nowej restauracji.

— Prawdę mówiąc, szósta nie bardzo mi odpowiada. Steven, mógłbyś mi powiedzieć, o co chodzi?

— Chcielibyśmy omówić dalszy rozwój twojej kariery. Może w takim razie o piątej?

Joe wzdycha. Dalszy rozwój kariery. Co to, do cholery, może oznaczać? Tak czy owak, zanosí się na dłuższe posiedzenie. Ale i tak do szóstej powinni skończyć. Wszystko będzie dobrze.

— W porządku. Piąta może być.

— Wspaniale. A więc do zobaczenia.

Joe przesyła Josie wiadomość na jej komputer, pilnując się, by nie używać zbyt prowokacyjnego języka. Wszystko musi wyglądać jak najbardziej profesjonalnie, bo a nuż ktoś podpatrzy: „Spotkanie w HR o piątej. Powinienem zdążyć na następne spotkanie o szóstej. Czekaj, gdyby się przeciągnęło”. Podnosi słuchawkę i dzwoni do Alice, żeby jej powiedzieć, że w restauracji zjawi się o siódmej trzydzieści.

Steven Webster siedzi zwrócony plecami do okna, miejsce po jego lewej stronie zajmuje Jacqueline Astley, szefowa Hu

man Resources na Europę. U szczytu stołu zasiada Richard Nils-son, główny szef Investment Banking i przełożony Joe.

Joe spodziewał się spotkania ze Stevenem Websterem, człowiekiem, którego zna i lubi. I który na samym początku go zatrudnił. Nie spodziewał się natomiast ani Jacqueline Astley, ani tym bardziej samego szefa. Nie wygląda to najlepiej i Joe, siadając, przypomina sobie szcęk cicho zamykanych drzwi, gdy w piątkowy wieczór pieprzył się z Josie na stole w sali konferencyjnej.

W jednej chwili znieruchomieli, sparaliżowani strachem, zapominając o podnieceniu, zanim jednak Joe zdążył wciągnąć spodnie i dobiec do drzwi, by sprawdzić, co dzieje się na korytarzu, nie zobaczył już nikogo.

— Kurwa — syknął rozwścieczony. — Myślisz, że ktoś nas widział?

Josie była blada jak kreda. To było ostatnie, czego było jej potrzeba. Jasna cholera. Po co tak ryzykowała?

— Nikogo tam nie ma — powiedział Joe. — Może to tylko wiatr?

— Może. — W głosie Josie pobrzmiwa nadzieja. — A może nam się tylko wydawało.

Teraz jednak, widząc poważne miny wszystkich zgromadzonych, Joe zaczyna odczuwać mdłości. Może jednak nie był to jedynie wytwór ich wyobraźni.

— Dziękujemy, że przyszedłeś, Joe — zagaja Steven. — Siadaj. Znasz tu wszystkich?

Joe kiwa potakująco głową, zajmując krzesło wskazane mu przez Stevena i dziękując za kawę, którą ten mu proponuje.

— Czy wiesz, dlaczego cię tu poprosiliśmy? — Jacqueline nachyla się w jego stronę i spogląda mu prosto w oczy.

Joe wzrusza ramionami.

— Steven wspominał coś o dalszym rozwoju mojej kariery.

— Joe, to nie jest dla nas łatwe — mówi Jacqueline po chwili milczenia. — Prawdę powiedziawszy, to chyba najbardziej niewdzięczna część mojej pracy, ale doszło do nas, że z osobą

z pracy łączą cię nieco zbyt zażyłe stosunki, i obawiam się, że znane ci są przepisy obowiązujące w takim przypadku.

Joe denerwuje się i upokorzony przechodzi do defensywy.

— Uważam, Jacqueline, że to nie wasz interes.

— Niestety, obawiam się, że wręcz przeciwnie — odpowiada kobieta łagodnie. — Gdy w grę wchodzi koleżanka z pracy, dotyczy to nas wszystkich, w tym także ludzi, którzy niechcący mogą się natknąć na was w sali konferencyjnej. — Spogląda na niego znacząco i Joe zmuszony jest odwrócić wzrok. Nie znajduje żadnych słów na swoją obronę.

— Rozważaliśmy różne opcje i zgodni jesteśmy co do jednego, a mianowicie, że zbyt jesteś dla nas cenny, by cię zwolnić. Bez wątpienia wiesz również, że to my ściągnęliśmy Josie Mitchell do naszego zespołu, więc niechętnie byśmy się jej pozbywali.

— Dokąd więc nas to prowadzi?

— Czy znasz Simona Barnes'a?

— Przelotnie. Zdaje się, jest w Stanach, tak?

— Już nie. Wraca do Londynu jako szef Grupy Klientów Inwestycyjnych. W normalnych warunkach to, co się stało, skończyłoby się natychmiastowym zwolnieniem. Jednak w zeszłym roku zarobiłeś dla nas bardzo dużo pieniędzy i jesteś dla firmy bardzo ważny, wobec czego chcemy cię wysłać na trzyletni kontrakt do Stanów, gdzie zajmiesz stanowisko Simona.

W tym momencie Richard postanowił dorzucić swoje trzy grosze.

— Joe, biorąc wszystko pod uwagę, jest to niezwykle szczodra propozycja, nie wspominając o tym, że dla ciebie bardzo korzystna, która w sumie może ci tylko wyjść na dobre. Uważamy, że w Europie wiele osiągnąłeś, i mnie osobiście będzie naprawdę przykro, że odchodzisz z zespołu, ale chcielibyśmy, abyś teraz zajął się rynkami kapitałowymi. Widzimy cię na stanowisku szefa Grupy Amerykańskich Klientów Emisyjnych, gdzie zająłbyś się wprowadzaniem nowych produktów na rynki amerykańskie, również w Ameryce Południowej.

— Nie. — Joe kręci głową. — Wybaczcie, aleja mam życie

tutaj. Jest mi naprawdę przykro, nie mówiąc o tym, że czuję się upokorzony sposobem, w jaki postanowiliście to załatwić. Zgadzam się z waszym zdaniem na temat związków na terenie pracy i jak najszybciej zakończę moją przyjaźń z Josie Mitchell, ale przeprowadzka do Ameryki w ogóle nie wchodzi w grę. W tym roku zarobiłem dla was dziewiętnaście milionów dolarów, moje stanowisko odpowiada mi jak najbardziej i jestem przekonany, że mogę przynieść firmie dalsze pokaźne zyski, i proszę o jeszcze jedną szansę.

Joe mówi z przekonaniem i pewnością siebie, choć czuje coś wręcz przeciwnego, lecz tylko w ten sposób może ukryć upokorzenie i szok, jakiego doznał. Można mieć romans, ale zostać przyłapanym to już zupełnie inna sprawa.

Przenosiny nie wchodziły rzecz jasna w grę. Tutaj ma dom, żonę, całe życie. Nie ma zamiaru nigdzie się przenieść, żałuje tylko, że prawdopodobnie będzie musiał zrezygnować z Josie. Albo w przyszłości będą musieli zachować większą ostrożność. „Co za kretyn ze mnie” — ruga się w myśli. Wszystko to jego wina. Josie miała rację, co mu strzeliło do głowy, żeby uprawiać seks w biurze? Przecież to oczywiste, że ktoś musiał ich na tym przyłapać, i jak to w ogóle możliwe, że wtedy wydawało mu się takie niezmiernie ekscytujące?

I wreszcie sprawa najważniejsza: jak on to wytłumaczy Alice?

— Doskonale zdajemy sobie sprawę z wysokości zysków, jakie dzięki tobie firma osiągnęła — mówi zdecydowanie Richard. — Dlatego też jesteśmy przekonani, że jesteś idealnym kandydatem na stanowisko Simona Barnes'a. Potrzebujemy osoby dynamicznej i wysoce zmotywowanej, by zespół dalej się rozwijał.

— Richardzie, miło mi to wszystko słyszeć, bardzo mi to schlebia. Jednakże muszę powtórzyć, iż z wielką niechęcią podchodzę do przeniesienia. Pomijając już wszystko inne, w tej chwili pracuję z dwoma firmami farmaceutycznymi z kontynentu i wygląda na to, że obie te sprawy przyniosą firmie kolejnych dwadzieścia milionów.

— Wiemy o tym i niezmiernie nas cieszy, iż udało ci się nawiązać tak wspaniałą współpracę z kontynentem. Nie chciałbym się powtarzać, ale między innymi dlatego właśnie postanowiliśmy wysłać cię do Ameryki.

Odzywa się Jacqueline, tonem cichym i nieznośnym sprzeciwu.

— Joe — mówi. — Obawiam się, że nie masz wyboru.

— Ach. — Joe prostuje się na krześle i bierze głęboki oddech. Psiakrew. Co on powie Alice?

— Czy wolno mi zapytać, kiedy ta decyzja, na którą najwyraźniej nie mam żadnego wpływu, wejdzie w życie?

— Chcielibyśmy, abyś do końca tego tygodnia uporządkował wszystkie sprawy. Zdajemy sobie oczywiście sprawę, że będziesz miał wiele do załatwienia, niemniej jednak powinienes zacząć pracę w biurze na Manhattanie dziewiątego lipca.

— Przecież to raptem za półtora tygodnia! Nie mówicie chyba tego poważnie! — Joe aż się zachłysnął.

— Obawiam się, że wręcz przeciwnie.

— Jak mam wszystko załatwić w tak krótkim czasie?

— Zrobimy wszystko, aby ci pomóc. Wiemy, że jesteś... — Jacqueline stara się ukryć niesmak w głosie — ...żonaty. Firma zarezerwuje ci na dwa pierwsze miesiące hotel — znasz hotele, z których zwykle korzystamy — i zorganizujemy pomoc dla twojej żony przy załatwianiu wszystkiego tutaj, w tym także przy pakowaniu, co chyba jest zrozumiałe. Uważamy, że żona powinna dołączyć do ciebie możliwie jak najszybciej, abyście mogli zacząć rozglądać się za domem. Zwykle korzystamy z usług agentki nieruchomości Gayle Messier, która już wie, że się z nią skontaktujesz. Oczywiście przysługuje ci dodatek przesiedleńczy przez całe trzy lata. — Jacqueline przerywa i spogląda na zegarek. — Obawiam się, że muszę iść na następne spotkanie. Steven odpowie ci na wszystkie pytania. Dziękuję, że poświęciłeś nam swój czas, Joe, i życzę powodzenia. — Ściska mu na pożegnanie dłoń, co on przyjmuje, niezdolny wykrztusić choćby słowo.

Richard również podnosi się ze swojego krzesła.

— Później do ciebie zadzwonię — mówi. — Omówimy wtedy wszystko.

Co rzekłszy, on również znika za drzwiami.

Joe zjeżdża windą na swoje piętro, wciąż w głębokim szoku, w rękę dzierży papiery, które wręczył mu Steven. Jest wśród nich zakres jego nowych obowiązków, szczegóły dotyczące nowych, znacznie wyższych zarobków, wysokość miesięcznego funduszu na dom, ubezpieczenia zdrowotnego, poza tym kilka dodatkowych pomniejszych korzyści i numer telefonu agenta nieruchomości.

Widzi Josie siedzącą przy swoim biurku. Jeszcze dobrze nie usiadł, gdy na ekranie jego komputera pojawia się wiadomość: „Gotowy?”

„Coś się wydarzyło. Muszę iść do domu. Spotkajmy się w kawiarni za pięć minut”.

— Kurwa, nie wierzę! — Josie wpada w furię. — Co ich obchodzi, co robimy? Jakim prawem cię przenoszą? Czemu mnie o niczym nie powiedzieli?

Joe wzdycha i kładzie uspokajająco rękę na jej ramieniu.

— Josie, tak będzie lepiej, uwierz mi. Zgadzam się, że sprawa jest trochę śmierdząca, ale dobrze, że ciebie w to nie wciągnęli. Muszę jechać, nie pozostawili mi w zasadzie wyboru.

Josie siada i przez chwilę się namyśla.

— Dobrze wiesz, że masz wybór. Możesz poszukać innej pracy.

— Wiem. I myślałem o tym. Ale nie mam ochoty udowodniać wszystkiego od nowa. Tutaj wyrobiłem sobie dobrą reputację i premię mam właściwie zagwarantowaną. Nawet jeśli ostatnią rzeczą na jaką mam ochotę, jest wyjazd z kraju, no i przede wszystkim rozstanie z tobą. Ale muszę.

Przez chwilę Josie nic nie mówi. Stara się pojąć sens słów

Joe i pilnuje się, by jej twarz nie zdradziła tego, co naprawdę czuje. Sądziła, że sobie z tym poradzi, że Joe będzie kolejną przygodą bez znaczenia, lecz teraz, gdy tak siedzi naprzeciwko niego i słucha o jego rychłym wyjeździe, wie, że przez cały ten czas sama siebie oszukiwała.

Nigdy nie planowała zapalać do niego głębszym uczuciem. Boże, ona, największy cynik świata, aż nadto dobrze wiedziała, jak kończą się romanse z żonatymi mężczyznami, im dłużej jednak się z nim spotyka, tym bardziej jej na nim zależy.

Jedyną osobą, która o nich wiedziała, przynajmniej — uświadamia sobie z przerażeniem — do ubiegłego piątku, był Al. A Al od miesiąca ją ostrzegał, mówił, jak niebezpiecznie jest angażować się z kolegą z pracy, na domiar złego żonatym.

— Zobaczysz, jeszcze będziesz płakać — powtarzał jej nieustannie, od chwili gdy o wszystkim mu opowiedziała. — Wcale mi się to nie podoba.

Po kilku tygodniach przestała w ogóle rozmawiać z nim o Joe, a Al nie pytał. W łączącej ich przyjaźni nie było miejsca na związki z innymi, a już na pewno nie takie, których jedno z nich nie pochwalało.

Poza tym zaczęło do Josie docierać, że wcale nie chce tej znajomości kończyć. Że im częściej widywała się z Joe, tym bardziej tęskniła za jego obecnością. Że myśli o nim, gdy go przy niej nie ma, a gdy wstaje z łóżka, by wracać do żony, jej zbiera się na mdłości.

Przede wszystkim zaś Josie zaczęła myśleć o Alice. Wiedziała, że Joe nie jest szczęśliwy, i nieraz marzyła, że odchodzi od żony, wprowadza się do niej i odtąd żyją razem długo i szczęśliwie.

Zacząła Alice nienawidzić. Alice, która na początku w ogóle się nie liczyła, nie miała nic wspólnego z Josie ani z jej związkiem z Joe. Jednakże w ostatnim czasie Alice urosła do rangi mitycznej, znieawidzonej postaci, Meduzy, który rzuciła na Joe urok, zmuszając go, by zawsze biegł do domu, do niej.

Pilnowała się, by niczym się przed Joe nie zdradzić, nienawidząc siebie za to, że podoba jej się myśl, iż on i Alice mogliby

się kiedyś rozstać — przecież to takie banalne. Im lepiej poznawała Joe, tym bardziej była świadoma, że z chwilą, gdy przestanie być dla niego wyzwaniem, zacznie stawiać wymagania, potrzebować go, on się nią znudzi i odejdzie.

I chociaż coraz bardziej pogrążała się w uczuciu do niego, robiła wszystko, by nadal być niedostępną i interesującą. Z trudem jej to przychodziło, zwłaszcza gdy pragnęła widzieć go nieustannie. Nie chodziło tu o niedostępność fizyczną — nigdy nie mówiła nie, kiedy proponował spotkanie — lecz emocjonalną. Wciąż trzymała go w niepewności, wiedząc, że tylko w ten sposób go przy sobie utrzyma.

Jak dotąd, wszystko sprawdzało się bez zarzutu. Lecz oto nadeszła chwila, gdy Joe siedzi naprzeciwko niej, w Ponti's nieopodal Liverpool Street Station i mówi jej, że wyjeżdża do innego kraju i możliwe jest, iż ona nie zobaczy go już nigdy więcej.

Natychmiast staje jej przed oczami życie, jakie wiodła, zanim spotkała Joe. Odgrzewane w mikrofalówce gotowe dania, wypijane w samotności butelki wina, oglądane przed zaśnięciem bezdurne programy w telewizji i świadomość, że jutro i pojutrze, tak jak i każdy następny dzień, wszystkie będą wyglądać dokładnie tak samo.

Nic, na co można by czekać, nic, o czym można by marzyć, żadnych planów, tylko monotonia pracy, jedzenia i spania. Monotonia sporadycznie przerywana spotkaniami z Alem, które, choć niewątpliwie miłe, na pewno nie będą wyczekiwane z niecierpliwością.

Joe sprawił, że miała na co czekać. Nigdy nie posunęłaby się tak daleko, by stwierdzić, iż Joe nadał jej życiu sens, na pewno jednak dzięki niemu stało się ono bardziej interesujące, a marzenia bardziej kolorowe, nie wspominając już o niezwykle barwnych godzinach przeżywanych w rzeczywistości.

Al powiedziałby, że nadejdą kolejni Joe, najlepiej bardziej dostępni, z którymi można by wiązać plany długoterminowe, Josie jednak wiedziała, że problem nie na tym tak do końca polega. Wiedziała, bo przed Joe było półtora roku, w którym to okre-

sie nie pojawił się absolutnie nikt, kto choć w najmniejszym stopniu by ją zainteresował.

Wie też co innego, a mianowicie: że choćby nie wiem jak cierpiała na wieść o jego wyjeździe i ich nieuniknionym rozstaniu i choćby nie wiem jak była w nim zakochana, nigdy nie dopuści, aby on się o tym dowiedział.

— To kiedy wyjeżdżasz? — pyta w końcu, z udaną obojętnością w głosie.

— Za półtora tygodnia. Dali mi tydzień na uporządkowanie wszystkich spraw. — Joe wzdycha i przesuwa palcami po włosach, po czym nachyla się przez stół, by ująć jej dłoń. Patrzy, jak jej palce splatają się z jego, a jej kciuk gładzi delikatnie jego dłoń. — Będzie mi cię brakowało, Josie — szepcze, nie odrywając wzroku od ich złączonych rąk.

W Josie zamiera serce. Milczy.

— Co ja bez ciebie pocznę? — pyta Joe.

— Znajdziesz sobie inną Josie — odpowiada ona z uśmiechem maskującym jej prawdziwe uczucia.

— Josie! Jak możesz tak mówić? — Autentycznie dotknięty cofa rękę, lecz Josie wzrusza tylko ramionami.

— Joe, oboje wiedzieliśmy, że to nie może trwać wiecznie. Na miłość boską, masz w końcu żonę. To i tak cud, że udało nam się wytrwać tyle czasu. Kochasz żonę, nigdy od niej nie odejdziesz, potrzebujesz jej. — Nawet gdy wypowiada te słowa, modli się, by Joe zaprzeczył, powiedział, że się myli, że wreszcie zrozumiał, jak bardzo ją, Josie kocha, i postanowił odejść od żony.

Joe jednak słucha jej w milczeniu.

— Będzie mi cię brakowało — mówi. — Te miesiące były, cóż, wspaniałe. Naprawdę. T y jesteś wspaniała. I zasługujesz na kogoś wyjątkowego, kto zaopiekowałby się tobą jak należy.

— I kto nie jest żonaty — dodaje Josie, niezdolna ukryć goryczy w głosie, gdyż to, co on właśnie powiedział, znaczy tyle co: „Z nami koniec. Już cię nie pragnę”.

— To prawda — przytakuje Joe łagodnie, zdumiony, iż Jo

się wygląda na szczerze zranioną. — Kogoś, kto nie jest żonaty. Choć może to zabrzmieć banalnie, zasługujesz na kogoś lepszego ode mnie. Szkoda, że nie spotkaliśmy się parę lat wcześniej. I żałuję, że nie możemy być razem, ale na to już za późno. Może to najlepsze, co nam się mogło przytrafić. Może w ten sposób Bóg daje nam znak, że ja mam żonę i pora, żebym przestał szukać szczęścia gdzie indziej.

— I to już wszystko?

— Nie rozumiem?

— Zobaczymy się jeszcze, zanim wyjedziesz? Joe jest wyraźnie wstrząśnięty.

— Ależ oczywiście! To znaczy, teraz muszę iść do domu, żeby powiedzieć Alice. Cholera, co ja jej powiem? O Boże. No, ale cały przyszły tydzień będę na miejscu, więc może zjemy razem lunch albo coś w tym stylu?

Lunch. Nic więcej nie musiał dodawać.

— Joe. — Josie odдыcha głęboko i uśmiecha się ze smutkiem. — Myślę, że będzie lepiej, jeśli pożegnamy się tu i teraz. Ty będziesz miał mnóstwo roboty, ja będę w pracy i chyba lepiej nie udawać, że przed twoim wyjazdem zrobimy jeszcze jeden szybki numer. Pora rozstać się teraz.

Zbierają swoje rzeczy i wychodzą na zewnątrz. Zatrzymują się na chodniku i przez chwilę oboje starają się znaleźć odpowiednie słowa.

W końcu ich oczy się spotykają i w ułamku sekundy oboje padają sobie w objęcia.

— Dziękuję — szepcze Joe prosto do ucha Josie, która ponad jego ramieniem mruga wściekle oczami, by pokonać napływające do nich łzy. — Jesteś niezwykłą kobietą. Będę za tobą tęsknił.

— Idź już. — Josie uwalnia się z jego objęć i stoi ze wzrokiem wbitym w chodnik, by nie zauważył jej zaczerwienionych oczu. — Uważaj na siebie.

Odwraca się i odchodzi, czując, jak po jej policzku wolno toczy się łza.

Joe nie rusza się z miejsca, tylko patrzy za nią, póki nie zniknie za rogiem. Ma wrażenie, że to nie dzieje się naprawdę. Całe to popołudnie wydaje mu się nierzeczywiste. Jak to możliwe, że w tej chwili stoi tu, w samym środku londyńskiego City, by już za chwilę wrócić do swojego domu w Belgravii, a nie dalej jak w przyszłym tygodniu cały jego świat ulegnie całkowitej przemianie?

Sięga do kieszeni po komórkę, przypina słuchawkę do klapy marynarki i zaczyna iść w stronę stacji metra. Następuje połączenie i Joe bierze głęboki oddech.

— Cześć, kochanie. Mam dobre wieści. Spotkanie zostało odwołane i właśnie idę do domu. Ali, jak przyjdę, musimy

o czymś porozmawiać. Więc bądź, proszę cię, w domu.

— Co? Nic nie rozumiem. Powiedz mi wszystko jeszcze raz. Joe zaczyna od początku. Simon Barnes wraca do Londynu

i potrzebują kogoś na jego miejsce, poprosili więc Joe, by przeniósł się do Ameryki i zajął jego stanowisko.

— Przecież to idiotyczne — powtarza w kółko Alice. — Jak mogą oczekiwać, że spakujemy się w niecałe dwa tygodnie? I czemu wszystko ma się odbyć w takim pośpiechu? Dali ci jakiś wybór? Nie mogłeś po prostu odmówić?

Joe milczy, skrępowany i przepełniony poczuciem winy. Z trudem potrafi spojrzeć jej w oczy.

— Joe? Nie mogę tak po prostu stąd wyjechać. Przecież nie mamy tam gdzie mieszkać i jak mam się zająć tu wszystkim sama? To idiotyzm. Nie chcę mieszkać w Nowym Jorku. Boże, Londyn jest wystarczająco paskudny, ale tu przynajmniej mam jakichś przyjaciół. Chcę, żebyś im odmówił, Joe. Nie chcę nigdzie jechać.

— Nie mogę odmówić. Zresztą już się zgodziłem. I to ja muszę wyjechać w ciągu niecałych dwóch tygodni. Nikt nie oczekuje, że pojedziesz ze mną, ktoś ci pomoże wszystko spakować, więc nie musisz wyjeżdżać, zanim nie będziesz gotowa.

— Cudownie. Od razu poczułam się lepiej. A co to znaczy, że ty musisz wyjechać? Chcesz powiedzieć, że zgodziłeś się

bez porozumienia ze mną? Dzięki, Joe, naprawdę wielkie dzięki.

— Alice zaczyna krzyczeć. — Powiedz im, że zmieniłeś zdanie. Joe potrząsa głową. Nie ma pojęcia, jak jej wytłumaczyć, że odwrotu nie ma, a on z niczego nie może się wycofać. Nowy Jork. Nagle coś świta mu w głowie. Chyba znalazł rozwiązanie. Sposób, by uszczęśliwić Alice.

— Posłuchaj, wcale nie musimy mieszkać na Manhattanie

— mówi.

— Co to znaczy?

— Dostanę gigantyczny miesięczny dodatek na dom. Wystarczy na mieszkanie na Manhattanie i jakiś domek na wsi. — Dostrzega w jej oku błysk zainteresowania. — Na przykład gdzieś w Vermont albo Connecticut. Nad jeziorem albo niedaleko plaży.

Przez chwilę Alice nic nie mówi. Connecticut. Wieś. Coś, o czym zawsze marzyła.

— Nie mówisz tego tylko po to, żebym się zgodziła?

— Jasne, że nie. Alice, kochanie — obejmuje ją tuli. — Pomyśl o tym. Może to będzie dla nas nowy początek, czego chyba nam naprawdę potrzeba. Wiem, że nie chcesz mieszkać na Manhattanie, ale zawsze chciałaś mieszkać na wsi, a teraz będzie nas na to stać. Myślę, że będziemy tam naprawdę szczęśliwi. Myślę, że ty tam będziesz szczęśliwa.

— Sama nie wiem — bąka Alice, oczami wyobraźni widząc wiejski dom w Vermont. — Może nawet i chciałabym spróbować. Nowy początek. Może rzeczywiście masz rację?

— Oczywiście, że mam rację — powiada Joe i nagle sam zaczyna w to wierzyć.

Może tego właśnie im trzeba: nowego początku w nowym kraju. Koniec z romansami, uganianiem się za obcymi kobietami. Najwyższy czas, by od nowa się w sobie zakochali. Odrzuca wspomnienie Josie i postanawia, że tym razem naprawdę się postara.

— Kocham cię — mówi Alice, patrząc na niego wzrokiem, w którym lęk miesza się z nadzieją i szczęściem.

— Wiem, kochanie. Ja ciebie też kocham. — Znowu ją obejmuje i mocno ściska. Tyle czasu minęło, odkąd robił to po raz ostatni. Jej dotyk, zapach — zna je tak dobrze. Wzdycha głęboko i całuje ją w zagłębienie szyi, przesuwa usta, by po chwili natknąć się na jej wargi, gorące i spragnione.

Całują się delikatnie.

— Chodźmy do łóżka — mówi Joe z uśmiechem, gładząc ją dłonią po plecach.

— Nie moglibyśmy po prostu zamieszkać t u t aj?

Leżąc na ukos na ogromnym łóżku, Alice prostuje ramiona i uśmiecha się leniwie do Joe, który właśnie wychodzi z łazienki, owinięty wokół talii grubym frotowym ręcznikiem.

— W Mark? No, to już byłaby chyba lekka przesada — śmieje się Joe i przysiadając na skraju łóżka, nachyla się, by ją pocałować. — Nasz dodatek na mieszkanie może i jest wysoki, ale na pewno nie aż tak.

— Byłoby wspaniale, nie uważasz? — Alice gestem wskazuje na apartament z jedną sypialnią. — Mamy tu wszystko, czego nam potrzeba.

— Wszystko z wyjątkiem wielkiej wiejskiej kuchni dla ciebie.

— No to co? Mała kuchenka wystarczy mi w zupełności. Swoją wielką wiejską kuchnię będę miała, kiedy już znajdziemy dom na wsi.

— Skoro mowa o szukaniu domów, czy też raczej mieszkań, za mniej więcej godzinę jesteśmy umówieni z agentką, a potem jemy lunch z Giną i George'em. Rusz się, leniuszku, bo się spóźnimy.

Alice zarzuca mu ręce na szyję i przyciąga go do siebie, uśmiechając się kusząco.

— Co mi tam, troszkę możemy się spóźnić.

— Troszkę? — Joe całuje ją delikatnie i zdejmuje ręcznik. — Czy też może bardzo?

Alice chichocze, gdy Joe kładzie się na niej.

— Zdecydowanie optuję za bardzo.

*

Pół godziny później Alice wskakuje pod prysznic, a uśmiech ani na chwilę nie znika z jej twarzy. Wygląda na to, że Joe miał rację, mówiąc o nowym początku dla nich obojga. Przez ostatni miesiąc przylatywała z Londynu, by każdy weekend spędzać z Joe w hotelu Mark, po czym wracała do domu, gdzie załatwiała wszystkie sprawy związane z przeprowadzką. Z każdym przyjazdem coraz bardziej czuje się jak świeżo poślubiona panna młoda.

Od lat Joe nie okazywał jej tyle uczucia i uwagi. Alice wylatuje z Londynu w piątek o pierwszej i dociera na lotnisko JFK mniej więcej o czwartej po południu, w hotelu jest około szóstej. Joe czeka już na nią w apartamencie bądź też zjawia się po jakichś dwudziestu minutach i wyraźnie uszczęśliwiony jej przybyciem, natychmiast obejmuje ją czule.

Ku jej wielkiemu zadowoleniu znowu kochają się z entuzjazmem, jakiego nie odczuwała od bardzo długiego czasu, i Alice wie, iż wbrew jej wcześniejszym oporom, Nowy Jork zdaje się odpowiedzią na jej wszystkie modły.

Miasto jest pełne życia i znacznie bardziej przyjazne, niż je zapamiętała. Przechadza się Madison Avenue, szczęśliwa i ożywiona, ale perspektywa zamieszkania tutaj na stałe jakoś wciąż nie trafia jej do przekonania.

— To cudowne miejsce na krótką wycieczkę — zwierza się Emily. — Ale gdybym miała mieszkać tam na stałe, czułabym się potwornie zmęczona.

— A jak wam idzie polowanie na dom na wsi? — pyta Emily.

— Na razie cisza. Joe najpierw chce znaleźć coś w mieście. Jak to załatwimy, będziemy wiedzieć, ile zostanie nam pieniędzy na dom na wsi.

— Tylko pamiętaj, Harry i ja mamy być pierwszymi gośćmi.

— To się samo przez się rozumie. A jak tam boski Harry? Emily śmieje się.

— Boski.

— Wyglądasz na bardzo szczęśliwą.

— Bo jestem. Zresztą ty także.

— Wiem. I jestem. Kto by pomyślał?

— Brakuje mi cię, Ali.

— Przecież widziałyśmy się w zeszły czwartek.

— Wiem, ale teraz jesteś już tam. I to na dobre. Okropne, że nie mogę po prostu wsiąść do samochodu i wpaść do ciebie.

— Ale zawsze możesz podnieść słuchawkę.

— Niby tak — marudzi Emily. — Ale to nie to samo.

— Czemu się nie przeprowadzisz? Mogłybyśmy razem zamieszkać na wsi.

— A Joe oszaleje ze szczęścia.

— No tak. Ale na razie jest tak cudowny, że pewnie zgodziłby się na wszystko, o co poproszę.

— Szybko zapytaj go, czy nie dałby mi tysiąka na urodziny. Alice wybucha śmiechem.

— Przyjedziesz najszybciej, jak to możliwe, Em? Nawet jeśli nie znajdziemy niczego na wsi, przyjedziesz do mnie?

— Jasne, że tak. Jak tylko się urządzą, natychmiast wskakuję do pierwszego samolotu.

Alice wciąż nie może uwierzyć, że tu jest. Że ma tu mieszkać. Na stałe. Ma wrażenie, że firma przeprowadzkowa była u niej nie dalej jak wczoraj. Całe trzy dni zajęło im pakowanie wszystkiego z wyjątkiem gabinetu Joe, tym bowiem chciał się zająć osobiście.

Czy naprawdę minął już miesiąc, odkąd zjawili się u niej przedstawiciele Foxtons, firmy zajmującej się wynajmem lokali? Dwaj agenci wpadli w euforię na widok „wyjątkowego” domu w Belgravii i zapewnili ją że chętnych znajdą w mgnieniu oka.

Trzeba było jeszcze popłacić ostatnie rachunki, poinformować pocztę o zmianie adresu i pożegnać się szybko ze wszystkimi. Nikt nie mógł uwierzyć, że rzeczywiście wyjeżdżają, i każdy chciał osobiście powiedzieć im „do widzenia”.

Te ostatnie dni przypominały szaloną jazdę na karuzeli i chociaż znajomi proponowali zorganizowanie pożegnalnej imprezy, Alice nie miała najmniejszej ochoty żegnać się z ludźmi, których bez cienia żalu opuszczała.

Musieli się zadowolić rozmowami przez telefon, podczas których wszyscy zgodnie powtarzali, że wprost nie mogą uwierzyć, iż Alice i Joe faktycznie opuszczają kraj, obiecując jednocześnie, że latem przyjadą do nich w odwiedziny. „Oczywiście, koniecznie musicie wpaść” — powtarzała wesoło Alice, w skrytości ducha żywiąc nadzieję, że w razie czego uda jej się jakoś od tego wykręcić i że obietnice przyjazdu były równie bez pokrycia jak jej zaproszenia.

Tak naprawdę smutkiem nappełniało ją jedynie rozstanie z Emily. Emily, która przychodziła codziennie i pomagała jej się pakować, zabierała Snoopa na spacer, gdy Alice wisiła na telefonie, i która całymi godzinami studiowała informacje nadesłane przez agenta nieruchomości z Nowego Jorku, ochami i achami zachwalając cudowne życie czekające Alice na Manhattanie.

W wieczór poprzedzający ostateczny wyjazd Alice Emily uparła się zaprosić ją na kolację. Gdy nadeszła pora rozstania, przyjaciółki objęły się mocno, z trudem hamując napływające łzy.

— Żebyś mi codziennie przysyłała e-maile — powiedziała Emily. — Bo jak nie, to zaraz wsiadam do samolotu i przylatuję, żeby cię osobiście zabić.

Alice roześmiała się, starając się zamaskować przepełniający ją smutek, po czym uścisnęła Harry'ego.

— Tylko pamiętaj, żeby znaleźć dla Snoopa dobrą szkołę — poprosił. — Już mu przykazałem, żeby się tobą opiekował i pilnował, żebyś była szczęśliwa.

— Obiecuję — odparła z uśmiechem. — A ty opiekuj się Emily.

— Och, o to możesz być spokojna. — Harry opiekuńczym gestem objął Emily.

Alice i Joe wychodzą z windy i dostrzegają elegancko ubraną panią w średnim wieku, siedzącą na ławce przed recepcją.

— To ona? — pyta Alice szeptem.

— Tak. Gayle, pozwól, to moja żona, Alice. Alice, przedstawiam ci Gayle, naszą agentkę.

— Och, bardzo mi miło panią poznać! — Kobieta uśmiecha się promiennie, ściskając na powitanie dłoń Alice. — Joe tyle mi o pani opowiadał.

— Już się nie mogę doczekać, kiedy obejrzę jakieś mieszkania — odpowiada Alice, odwzajemniając uśmiech.

— To wspaniale! Mam kilka, które pani mąż zdążył już obejrzeć i które mu się spodobały, chciałby więc, żeby teraz zobaczyła je pani, i mam jeszcze trzy, które chcę pokazać wam obojgu.

— Ograniczyliśmy się do Upper East Side — Joe tłumaczy Alice. — Między Sześćdziesiątą a Osiemdziesiątą.

Gayle przytakuje skinieniem głowy.

— Zaczęliśmy też na West Side, ale uznaliśmy, że to zdecydowanie za młoda i zbyt ruchliwa okolica. Rozważaliśmy także centrum miasta, ale jak poznałam Joe nieco lepiej, uznałam, że zdecydowanie bardziej by mu odpowiadała East Side, a pani na pewno także się tam spodoba.

— To tutaj, prawda? W tym samym rejonie co hotel?

— Tak jest. Najlepsze sąsiedztwo Upper East Side.

— To dobrze, bo mi się tu podoba. Gdzie są te mieszkania? Gdy skręcają za róg, obok sklepu Isseya Miyake, w Madison Avenue, Gayle podaje jej plik papierów.

— Pierwsze jest kilka przecznic stąd, na rogu Siedemdziesiątej Piątej i Park. To wspaniałe mieszkanie, bardzo jasne, na dwudziestym piętrze — więc widok także jest fantastyczny. Oczywiście, to budynek z odźwiernym.

— We wszystkich jest odźwierny, prawda? — przerywa jej Joe.

— Tak. — Gayle ponownie zwraca się do Alice, zakładając, że jak w przypadku większości małżeństw, z którymi ma do czynienia, to ją właśnie trzeba kusić, gdyż ostateczna decyzja należeć będzie do niej. — Wszystkie one cieszą się wielkim wzięciem i nasi klienci, bankierzy inwestycyjni, takich właśnie się domagają.

— Cóż, skoro są dość dobre dla Jonesów — śmieje się Alice.

— Słucham? — Gayle nie bardzo rozumie.

— Nie, nic. Proszę się nie przejmować. Cóż za piękny dzień. — Alice wsuwa rękę pod ramię Joe i uśmiecha się do całego świata.

— Hm, spora zmiana. — Alice nie bardzo wie, co powiedzieć.

Dotąd mieszkała w wielkim domu w Belgravii i niewielkie mieszkanko, nawet w kamienicy z odźwiernym, niewiele ma wspólnego z tym, do czego przywykła.

Brzydkie nowoczesne okna z widokiem, który rzekomo ma być niezły, i wysokie sufity sprawiające wrażenie przestrzeni, lecz poza tym wszystko jest nijakie i pozbawione charakteru.

Kwadratowe pokoje, maciupka kuchenka i druga sypialnia niewiele większa od szafy.

— To doskonały adres — mówi Gayle. — Mieszkanie jest znacznie mniejsze od pozostałych, ale płaci się za kamienicę, która jest jedną z najlepszych w mieście.

— Chyba nie bardzo mi się tu podoba — kręci głową Alice. — Poza tym w czymś tak małym niechybnie się nawzajem pozabijamy.

Gayle kwituje jej uwagę śmiechem.

— Nic nie szkodzi. Im więcej miejsc obejrzymy, tym lepiej będziemy wiedzieć, czego tak naprawdę szukamy. Chodźmy w takim razie na Drugą Aleję. Myślę, że tam spodoba się pani bardziej.

Po obejrzeniu trzeciego z kolei mieszkania Alice zaczyna tracić cierpliwość.

— Czy tutaj nikt nie ma kuchni?

— Większe kuchnie są przeważnie w budynkach sprzed wojny, ale te, którymi dysponujemy w tej chwili, nie mają odźwiernych. Mają windziarza, ale to oznacza znacznie mniejszy prestiż i pani mąż już je wszystkie odrzucił.

— Ale one są takie, hm... takie brzydkie.

— Kochanie! — Joe jest wyraźnie zakłopotany, Gayle jed-

nak, przywykła do bezpośrednich nowojorczyków, nawet nie mrugnęła okiem.

— Musi pani pamiętać, że Nowy Jork to nie Londyn. Wymagania tutaj są zdecydowanie inne, chyba że zgodzimy się na kompromis. Większość moich klientów zdecydowałaby się na tę pierwszą kamienicę, w której byliśmy, bez względu na wielkość. Tu liczy się adres.

— Nie rozumiem tego — wzrusza ramionami Alice. — Wszystkie one są takie małe.

— Przyzwyczaj się pani do tego — uspokaja Gayle. — Zajmowałam się przenosinami setek ludzi z Europy i w końcu wszyscy byli zachwyceni. — Spogląda na zegarek. — Chodźmy obejrzeć następne. Myślę, że to bardziej się wam spodoba, jest na Siedemdziesiątej Trzeciej, między Lex i Park i naprawdę jest bardzo ładne. Chyba w sam raz dla was.

— Podoba mi się. — Joe po raz kolejny obchodzi mieszkanie, już trzeci w ciągu piętnastu minut, jakie tu spędzili.

— Cóż, bez wątplenia najlepsze ze wszystkich, jakie obejrzeliliśmy — zgadza się Alice, podchodząc do okna i wyglądając na Park.

— Cena jest doskonała, a mieszkanie świetne. Chyba podoba mi się najbardziej ze wszystkich, jakie mamy w tej chwili w ofercie.

— Od jak dawna jest na rynku? — woła Joe z głównej sypialni.

— Zaledwie od jakichś dwóch tygodni. Wiem, że inne małżeństwo już je oglądało i złożyło ofertę wstępną którą jednak właściciel odrzucił, sądzę jednak, że złożą kolejną tym razem wyższą.

— Oferta wstępna zawierała cenę zapewne niższą od wywoławczej?

— Chyba tak. Niewiele, ale jestem przekonana, że jeśli wy zaproponujecie tyle, ile zażądał właściciel, przystanie na to. Mieszkanie takie jak to nigdy nie zostaje na rynku zbyt dłu-

go. Może poczekam w sąsiednim pokoju, a wy w tym czasie się zastanowicie?

— Dzięki, Gayle — uśmiecha się Joe. — Byłoby wspaniale. Joe siada obok Alice na kanapie.

— I co o tym myślisz?

— Sama nie wiem. — Alice ze smutkiem wzrusza ramionami. — Nie mogę powiedzieć, żebym była zachwycona, ale z drugiej strony nie znam tutejszego rynku nieruchomości. Wiem, że w Londynie na żadne z tych mieszkań nawet bym nie spojrzała, ale...

— ..nie jesteśmy w Londynie.

— Właśnie. Ale tobie się podoba, prawda?

— Owszem. Myślę, że druga sypialnia idealnie nadaje się na mój gabinet, poza tym odpowiada mi, że jest duży hol wejściowy i jadalnia. Dobrze się tu czuję, no i jest odpowiednio duże. Musisz przyznać, że nawet kuchnia jest największa ze wszystkich, które widzieliśmy.

— Wiem. Masz rację. Tylko trochę dziwnie się czuję, zamieniając wielki dom na mieszkanie, które jest chyba tylko odrobinę większe od naszego pierwszego. Pamiętasz mieszkanie w Kensington?

Joe uśmiecha się.

— Tak, a ty pamiętasz, jakie było miłe i przytulne?

— To prawda.

— Cena też jest niezła. — Joe ponownie przegląda warunki umowy.

— Zostanie nam dość, żeby kupić coś naprawdę ładnego na wsi.

— W porządku, bierzemy! — Alice się śmieje, a Joe uszczęśliwiony obejmuje ją mocno ramieniem.

— Mówiłem ci, że wiem, jak przemówić do serca kobiety.

— Mam nadzieję, że tylko tej jednej.

— Oczywiście, że tylko tej jednej, mojej ukochanej żony. Wchodzi Gayle.

— Ojej — śmieje się. — Mam nadzieję, że nie zjawiam się w najmniej odpowiednim momencie.

Joe wstaje, także się śmiejąc.

— Wręcz przeciwnie. Chcemy złożyć ofertę. Jesteśmy jak najbardziej zainteresowani.

— Pani mąż wspominał, że zastanawiacie się nad kupnem czegoś na wsi? — Gayle odprowadziła ich do hotelu i obiecała skontaktować się z właścicielem natychmiast po powrocie do biura, a po południu przesłać mu faksem oficjalną ofertę.

Alice przytakuje skinieniem głowy.

— To cudownie. Wielu z naszych klientów tak właśnie robi. Często panowie spędzają w mieście tydzień, a na weekend wracają do żon na wieś. Wspaniale, jeśli ma się taką możliwość.

— Ja akurat lubię przebywać z Joe — uśmiecha się Alice. — I myślę, że będę przyjeżdżać do miasta razem z nim.

— Oczywiście! W ten sposób wykorzystacie to, co najlepsze i tu, i tu. O jakim miejscu na wsi myśleliście?

— Może Connecticut. Jeszcze nie rozglądaliśmy się za niczym konkretnym, ale chciałabym, aby było to na tyle blisko, żeby Joe mógł w razie potrzeby bez trudu dojeżdżać do miasta.

— Myślę, że najlepsze byłoby dla was Fairfield albo Litchfield County. Mamy tam kilka naszych biur. Najlepiej będzie, jak odwiedzi pani naszą stronę internetową i tam wszystko sobie obejrzy. Mogę was skontaktować z kimś, kto później was oprowadzi.

Po raz pierwszy Gayle dostrzega ożywienie na twarzy Alice.

— Naprawdę? Och, to byłoby fantastyczne!

— W życiu bym nie pomyślała, że ma pani duszę dziewczyny ze wsi — mówi zdumiona Gayle, dotąd przekonana, iż Alice jest kolejną kosztowną żoną bankiera, podobną do wszystkich, z którymi miała do tej pory do czynienia.

Joe potrząsa głową.

— Pod tą wyszukaną postacią mojej żony kryje się tak naprawdę zwykła farmerka.

— No cóż, w dzisiejszych czasach niezwykle jest na przykład modna hodowla alpaka — mówi Gayle z uśmiechem.

— O Boże. Błagam, tylko nie zaczynajcie. — Joe kręci głową, widząc błagalne spojrzenie Alice.

— Alpaki? Joe, proszę, zgódź się na alpaki.

— Najpierw musisz znaleźć dom, a potem może, powtarzam: może, zgodzę się na złotą rybkę.

— Super. Mój mąż to znany miłośnik zwierząt. Gayle śmieje się serdecznie.

— Zresztą — mówi Joe. — Snoop na pewno by nie znosił alpaki.

— Snoop?

— Nasz pies — śpieszy wyjaśnić Alice. — Na razie, póki się nie urządzimy, jest u naszych przyjaciół. Później go tu sprowadzimy.

— Pies Alice — mówi z naciskiem Joe.

— Ale przecież go kochasz. No, przyznaj się. Kochasz go.

— Nie kocham go, ale muszę przyznać, że jest słodki.

— A te niedzielne poranki, kiedy zabierałeś go na spacer? Słowo daję! — Alice zwraca się do Gayle: — Chodził z nim całymi godzinami. W każdą niedzielę. A teraz udaje, że nawet go nie lubi.

O tak. Te niedzielne poranne spacerki. Josie bez reszty oddała się pracy, uśmierzając ból spotkaniami, telefonami, klientami, jedynie późną nocą, gdy leżała w łóżku i modliła się, by nadszedł sen i uwolnił ją od niego, pozwalając sobie na myśli o Joe i rozpamiętywanie własnej samotności.

Miała nadzieję, że Joe się odezwie, chociaż zadzwoni, albo przyśle e-mail, cokolwiek, on jednak milczał.

A Joe? Joe ze wszystkich sił starał się być wiernym mężem. Starał się dotrzymać słowa, sprawić, by Ameryka rzeczywiście okazała się dla jego małżeństwa nowym początkiem, a on stał się kochającym, dochowującym wierności mężem, jak kiedyś przyrzekał.

W ciągu ostatniego miesiąca, który właściwie spędzał sa-

motnie, pozwalał sobie jedynie patrzeć, ale nie dotykać. Bo i jak mógł nie patrzeć, skoro nigdy, przez całe swoje życie nie widział naraz tylu pięknych kobiet? Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie wodzony był na pokuszenie, on jednak przysiągł sobie, że wszystko Alice wynagrodzi i nigdy już jej nie zdradzi.

— Skontaktuję się z wami jeszcze dzisiaj po południu. Mam wasz numer komórkowy i jak wszystko dobrze pójdzie, do końca dnia będę mogła przekazać wam pomyślne wieści.

Pożegnali się z Gayle i poszli do restauracji Annie's, gdzie wraz z Giną i George'em mieli zjeść lunch.

— Będziesz nimi zachwycona — zapewnił Alice Joe. Poznał George'a kilka miesięcy wcześniej, w czasie podróży

służbowej, i jak tylko przeniósł się do Nowego Jorku, od razu się z nim skontaktował. Gina i George mieszkali w wielkiej kamienicy przy Siedemdziesiątej Pierwszej i natychmiast po jego przyjeździe zaprosili go na drinka. Tamtego wieczoru spotkał Ginę po raz pierwszy i od razu ujęła go swoim pełnym ciepła urokiem. Wiedział, że Alice będzie o niej miała podobne zdanie i obie panie z pewnością się zaprzyjaźnią.

— Oto oni.

Joe przepycha się przez kolejkę oczekujących na stoliki i kieruje się ku parze przy stoliku w rogu, która na ich widok podnosi się i macha na powitanie.

Joe ściska dłoń George'a i całuje Ginę, która zwraca się do Alice i całuje ją na dzień dobry.

— Tak bardzo chcieliśmy cię poznać, Alice. Witaj w Ameryce. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że nareszcie tu jesteś.

Joe ma rację. Gina natychmiast przypada Alice do serca i niemal od razu, podczas gdy Joe i George rozmawiają o interesach, ona opowiada nowej przyjaciółce o mieszkaniu.

— Z tego, co mówisz, wynika, że mieszkanie jest wspaniałe! — wykrzykuje Gina z entuzjazmem. — Na dodatek tak blisko nas! Jeśli potrzebujesz dekoratora, mogę ci jednego polecić. Jest doskonały. W ogóle znam mnóstwo świetnych ludzi,

musimy się spotkać, tylko my, dziewczyny i powymieniać adresy. Znam hydraulików, malarzy, ludzi wyprowadzających psy.

— Ludzi wyprowadzających psy?

— No — śmieje się Gina. — Już słyszałam o Snoopie. Tylko powiedz, czego ci trzeba, a ja ci to dam.

Alice uśmiecha się uprzejmie, w duchu nie mogąc się nadziwić, po co jej ktoś do wyprowadzania psa, skoro sama ma parę zdrowych nóg? A dekorator? Też coś.

Gina tymczasem papie dalej.

— Joe mówi, że chcecie się rozejrzeć za czymś na wsi. Alice przytakuje.

— Jeszcze nie postanowiliśmy gdzie. Staram się namówić Joe, żebyśmy na kilka dni wyrwali się z miasta i pojeździli trochę po Connecticut, on jednak nie chce niczego szukać, póki nie kupimy czegoś tutaj.

— My mamy uroczy domek w Connecticut — mówi Gina. — Na północ od Highfield. Spędzam tam w zasadzie całe lato. Powinniście do nas przyjechać, a my was obwieziemy po okolicy, wszystko pokażemy. Tam jest mnóstwo uroczych miejsc.

— Och, z wielką przyjemnością.

— Wiesz co? Wybieramy się tam w następny weekend. Może wpadlibyście w sobotę? Na lunch, oboje?

— O co chodzi? — Joe przerywa rozmowę, słysząc częściowo zaproszenie Giny, i spogląda na nie obie pytającym wzrokiem.

— Gina zaprasza nas na wieś w następną sobotę.

— Wspaniale! Przyjedziemy z przyjemnością. — Patrzy na Alice podejrzliwie. — Nie knujecie przypadkiem czegoś? Mam nadzieję, że ta wyprawa nie skończy się kupnem domu na wsi?

Gina parska śmiechem.

— Jedyne, co knujemy, to grill w ogrodzie.

— Hola, hola. — George kręci głową. — Ani się wazcie zbliżać do mojego vikinga. Grillem zajmuję się ja. Wy możecie przygotować sałatki.

Gina przewraca oczami.

— Boże, przepraszam. Zapomniałam, że grillowanie to mę-

ska sprawa. Przecież my, małe kobietki, możemy co najwyżej podrzeć na kawałki liście sałaty. Sałatki, też coś. Masz szczęście, że cię kocham.

— Wiem. Jestem najszczęśliwszym facetem pod słońcem. Alice uśmiecha się do obojga i pod stołem ujmuje rękę Joe.

Odchyła się nieco do tyłu, by kelner mógł podać im zamówioną jajecznicę na wędzonym boczku, francuskie tosty i opiekane bagietki.

Ściska dłoń Joe, a on obraca się ku niej i widzi, jaka jest szczęśliwa i rozluźniona.

— Widzisz — szepcze. — Mówiłem ci, że ich polubisz.

— Tak. I miałeś rację.

— Hej! Co to za szepty przy stole — upomina ich żartobliwie Gina.

Joe podnosi szklankę z sokiem pomarańczowym i proponuje toast.

— Za nowych przyjaciół!

— Za nowych przyjaciół! — powtarzają za nim jak echo, wznosząc szklanki i filiżanki z kawą.

— I za nowe domy na wsi! — śmieje się Gina, której Alice wtóruje.

— Przyłączam się — mówi Alice z uśmiechem. Panowie unoszą tylko brwi i zaczynają jeść.

Jadą wynajętym samochodem, Joe prowadzi, Alice studiuje mapę. Im bardziej oddalają się od miasta, tym lepiej Alice się czuje. Mijają Westchester i wjeżdżają do Connecticut.

Alice wyteża wzrok, mając nadzieję, że przez porastające pobocza wąskiej drogi gęste drzewa uda jej się dostrzec domki jak z obrazka, białe płotki i wszystko to, z czym Connecticut zawsze jej się kojarzyło, Joe jednak jedzie zbyt szybko, więc w końcu się poddaje.

— Myślisz, że nas polubili?

Joe wzdycha. Alice nieustannie mówi o Ginie i George'u, niezmiernie uradowana, że oto być może spotkali nowych przyjaciół, lecz także pełna niepokoju, czy i oni myślą podobnie. Rozmawiali już na ten temat ze cztery razy i Joe z wolna zaczyna tracić cierpliwość.

— Tak, myślę, że nas polubili — mówi. Po raz nie wiadomo już który. — Gdyby było inaczej, chyba nie siedzielibyśmy teraz w samochodzie i nie jechali do nich na lunch, nie wydaje ci się?

— Dobrze już, dobrze. Przepraszam. Ciekawe, jaki jest ich dom?

— Alice! Na miłość boską. Przestań zadrećzać mnie tymi głupimi pytaniami.

— Okay, okay. — Alice ponownie zaczyna wyglądać przez okno. — Przepraszam, że żyję.

Gina stoi boso w kuchni i kroi pomidory i cebulę, co chwila ocierając łzy napływające jej do oczu.

— Psiakrew — mruczy pod nosem, gdy do kuchni wchodzi George i zbliża się do niej zatroskany.

— Co się stało, kochanie? Płaczesz?

— Nie — krzywi się Gina, sięgając po papierowy ręcznik. — To te cebule. Au! Ależ mnie pieką oczy!

— Dobrze, już dobrze, słoneczko — mówi śpiewnie George i ze śmiechem obejmuje ją ramionami. — Nic się nie stało. Jestem przy tobie.

— Mówiłam ci przecież, ja nie płaczę — śmieje się Gina, odpychając go.

— Oczywiście, że nie — przytakuje łagodnie George. — Moja dzielna dziewczynka.

— Och, George! — Gina ociera oczy i daje mu kuksańca. — Jesteś okropny.

— Co tu robisz?

— Sałatkę z pomidorów, cebuli i mozzarelli. Myślisz, że wystarczy jedzenia?

— Jasne, że wystarczy. Mamy steki, burgery, tony mięsa na grilla, a to tutaj wygląda po prostu wspaniale. Czym się tak przejmujesz?

Gina wzrusza ramionami.

— Chcę zrobić na nich dobre wrażenie. Jak sądzisz, polubili nas?

— Oczywiście. To znaczy, co do siebie nie mam pewności, ale tobą są z całą pewnością zachwyceni.

— Mogliby się wybrać z nami na benefis do Met w przyszłym miesiącu? Chociaż nie, może to trochę za szybko?

George zastanawia się przez chwilę.

— Nie rozumiem, co to znaczy za szybko?

— No wiesz, nie chciałabym ich odstraszyć.

— Tu się z tobą zgadzam. Powinniśmy postępować ostrożnie.

— No właśnie. Nie chcę zniszczyć tego w zarodku. Szczerze ich polubiłam. Wydaje mi się, że moglibyśmy zostać naprawdę dobrymi przyjaciółmi.

— To znaczy, że musimy się bardzo starać? — George wykrzywia usta.

— Ha, ha, ha! Nie, to znaczy, że nie powinniśmy się zbyt-

nio śpieszyć z trzecią randką. — Po czym oboje wybuchają śmiechem.

Alice i Joe opuszczają Merritt i jadą zgodnie z instrukcjami, jakie George przysłał im faksem. Pokonują mnóstwo krętych wiejskich dróg, przejeżdżają wiadukt, a potem skręcają w lewo, w Vineyard Lane, mijają ogromny nowy McMansion, na koniec skręt w prawo obok trzeciej (zielonej) skrzynki na listy.

Zatrzymują się przed ślicznym starym domem z kamienia, zza którego wybiegają im na powitanie Gina i George. George ma na sobie workowate szorty, podkoszulek i baseballową czapkę, Gina ubrana jest w obcisły biały T-shirt i egzotyczny sarong, który ku zachwytowi Joe rozchyła się, gdy kobieta biegnie.

— Cudownie, że jesteście! — woła Gina, nieświadoma spojrzeń Joe, i rzuca się, by oboje uściskać. — Trafiliście bez problemu? George dobrze was pokierował?

— To było proste jak drut. A tu jest po prostu przepięknie! — Alice podnosi wzrok na wznoszącą się nad nimi koronę drzew, przez którą prześwituje słońce, rzucając złociste plamy na żwirowy podjazd. — Jak ci się udaje w ogóle stąd wyjeżdżać? Boże, gdyby to było moje, Joe w życiu by mnie stąd nie wyciągnął.

— Podoba ci się, bo przyjechałaś tu w lecie. — Gina wsuwa Alice rękę pod ramię i prowadzi ją na tył domu. — W zimie jest koszmar. Ciemno, buro i ponuro.

— Jak to? Nie ma śniegu? I wielkiego ognia w kominku?

— Wybaczcie mojej żonie — krzywi się Joe. — W duchu marzy, żeby być Anią z Zielonego Wzgórza.

Gina wybuchają śmiechem.

— Śnieg jest cudowny może przez pierwszą minutę, ale uwierz mi, wcale nie jest zabawne, kiedy musisz czekać, aż przyjedzie pług śnieżny i odgarnie drogę, a potem ten cudowny śnieg zamienia się w szarą bryłę i tygodniami zalega na chodnikach.

— No, nie wiem — mówi Alice. — Myślę, że i tak by mi się podobało. Och! Popatrz na to! — Cała czwórka wchodzi na

drewniany taras, z którego rozciąga się widok na niewielki basen w kształcie nerki. — Boże, toż to czysta idylla!

— Owszem, jest ładny i bardzo nam odpowiada. Siadajcie. Przygotowaliśmy mrożoną herbatę z Long Island.

Zajmują miejsca przy wielkim stole obok basenu, na który biały ogrodowy parasol rzuca upragniony cień.

— Od kiedy macie ten dom? — pyta Joe.

— Znaleźliśmy go trzy lata temu — wyjaśnia George. — Gina wbiła sobie do głowy, że koniecznie musimy mieć jakieś miejsce na weekendy, Hamptons mieliśmy powyżej uszu, poza tym ceny tam są wprost niewiarygodne, a tutaj było dużo taniej.

— Więc zaczęłam szukać w Internecie — kontynuuje Gina, jednocześnie nalewając im drinki do wysokich szklanek z lodem. — I znalazłam.

— Musieliście włożyć w to dużo pracy? — dopytuje się Alice, przyglądając się domowi.

— Nie. Nawet nie kiwnąłem palcem — odpowiada George. — Mieliśmy szczęście.

— Dopiero co skończyliśmy remont mieszkania w mieście i nie bardzo chciało mi się znowu pakować w to samo. Marzyło mi się coś, do czego mogłabym się po prostu wprowadzić, i tak się złożyło, że poprzedni właściciele zrobili już wszystko, co trzeba. Ja byłam zbyt leniwa i zmęczona, żeby znowu szukać dekoratora. Nie chciałam w ogóle nic robić.

— Ale po co ci dekorator? Nie mogłaś zrobić tego sama?

— Jestem beznadziejna, jeśli chodzi o urządzenie domu — przyznaje się ze śmiechem Gina.

— Nie wierzę, przecież masz bardzo dobry gust.

— Kochanie, mam fioła na punkcie ciuchów, ale kiedy chodzi o wystrój wnętrz, jestem kompletnym amatorem. Może trochę popływamy przed lunchem?

Cała czwórka popływała w basenie, zwiedziła dom i właśnie skończyła lunch.

Na stole wciąż stoją miski ze zwiędłą już sałatą i resztkami

pomidorów z cebulą pływających w ciepłym oleju, a oni rozmawiają opowiadają historie i powoli znajomość zaczyna przeradzać się w przyjaźń.

— Wspominałaś, że chciałabyś znaleźć coś w tej okolicy — mówi Gina, gdy z Alice sprzątają ze stołu i wynoszą naczynia do kuchni. — W mieście jest doskonała agencja nieruchomości, a właścicielka zawsze pracuje w soboty. Może się do niej wybierzemy?

W oczach Alice pojawia się błysk.

— Boże, byłoby cudownie! Ale Joe się wścieknie. Przez cały tydzień mi powtarzał, żebym tylko sobie nie wyobrażała, że w sobotę kupimy dom.

— Mężczyźni! — Gina wznosi oczy ku niebu. — Zostaw to mnie.

Wynosi na dwór półmisek z arbuzem i zwraca się do Joe:

— Alice właśnie mówiła, że bardzo kocha wieś. Pomyślałam sobie, że moglibyśmy wybrać się na spacer do miasteczka. Jest prześliczne, a poza tym przyda nam się trochę ruchu po lunchu.

— Świetny pomysł — uśmiecha się Joe, gotów przystać na wszystko, o co Gina go poprosi, będąc pod wrażeniem jej silnych opalonych ud, które mógł sobie obejrzeć podczas wspólnej kąpieli w basenie.

Co nie znaczy, że pozwoliby sobie na jakiś odważniejszy wobec niej gest. Gina jest bardzo seksy, ale nawet on nie jest aż tak głupi — zdążył już zauważyć, jak bardzo ona i Alice przypadły sobie do gustu, i choć groźba przyłapania zawsze go podniecała, w tym wypadku byłaby jednak zbyt wielka, nawet jak dla niego.

Poza tym zdaje się nie wywarł na Ginie żadnego wrażenia. Joe nie spodziewał się, by zaczęła flirtować z nim na całego, ilekroć jednak zaczyna ją czarować, ona staje się obojętna, zupełnie ignorując jego wysiłki.

Ale ładna buzia to zawsze ładna buzia i nawet jeśli nie zwraca na niego uwagi, cóż w tym złego, że mu się podoba.

— Bardzo chętnie przejdę się do miasta — mówi Joe i łapie przechodzącą właśnie obok jego krzesła Alice, by przyciągnąć ją do siebie i pocałować.

— Mmm. — Alice uśmiechnięta radośnie łąduje mu na kolanach. — A to z jakiego powodu?

— Z żadnego — odpowiada Joe. — Tak po prostu.

Gina przygląda im się z uśmiechem. Nie potrafi ich rozgryźć. Alice jest urocza, Joe zaś — choć bardzo chciałyby go szczerze polubić — wydaje jej się niebezpieczny. Choć to idiotyczne, dałyby sobie głowę uciąć, że wcześniej próbował z nią flirtować, ale to chyba niemożliwe. Kto by się zachowywał tak ostentacyjnie? Flirtować w obecności współmałżonków? Udawala, że niczego nie zauważa, i na całe szczęście Joe wreszcie się uspokoił.

A teraz aż miło na nich spojrzeć. Alice na jego kolanach, oboje szczęśliwi i wpatrzeni w siebie jak para nowożeńców. Może jednak Ginie się wydawało.

Godzinę później George i Joe idą przodem, Gina zaś wraz z Alice snują się za nimi, przystając przed każdą wystawą, zaglądając do wszystkich mijanych zakurzonych sklepików z antykami i witając się z ich właścicielami, z których każdego Gina najwyraźniej zna osobiście.

Na końcu Main Street wchodzi do staromodnej lodziarni, gdzie kupują ogromne porcje lodów w rostkach, które topią się pomału i kapią na ulicę, gdy przechodzą na jej drugą stronę, kierując się do biura agencji nieruchomości.

— Dokąd idziemy? — pyta ostro Joe na widok gabloty z wystawionymi ofertami domów na sprzedaż.

— To takie nasze hobby — tłumaczy Gina. — Ilekroć tu jesteśmy, George zawsze musi sprawdzić, co jest na rynku, żeby się upewnić, że nie przepłacił za nasz dom.

— A przepłaciłeś? — zwraca się Joe do George'a.

— Jasne, że tak. Ale matka Giny zawsze powtarza, że nigdy się nie przepłaca, po prostu płaci się za wcześniej.

— Święte słowa — śmieje się Gina. — A my wciąż czekamy, żeby rynek nas dogonił.

— Już jest blisko — zauważa George, zaglądając do gabloty. — Jezu. Gina, popatrz tylko. Ta koszmarna kolonialna chałupa z lat sześćdziesiątych na końcu drogi jest wystawiona na sprzedaż. Chcą pół miliona dolarów. Zwariowali czy co? Jeśli to paskudztwo tyle kosztuje, to ile musi być wart nasz domeczek?

— Najwyraźniej rynek w końcu was dogonił — uśmiecha się Joe.

— I Bogu niech będą dzięki! — George składa dłonie jak do modlitwy i podnosi wzrok ku niebu. — Najwyższa pora.

— Och, spójrzcie. — Gina zagląda przez wystawę i zaczyna machać ręką. — Jest Sandy. — Zwraca się do Joe. — To ona sprzedała nam dom, a teraz jesteśmy już przyjaciółmi. Jest wspaniała. O, zauważyła nas. — Gina gestem wywołuje agentkę na zewnątrz. — Idzie się przywitać.

Dwadzieścia minut później wszyscy pakują się do jeepa Sandy i jadą obejrzeć dom.

— Wierzyć mi się nie chce, że to robimy — powtarza w kółko Joe. — Wiedziałem, że tak będzie.

— Uspokój się — usiłuje dodać mu otuchy George, nie mogąc przestać się śmiać. — Czasami musimy się pogodzić, że nie na wszystko mamy wpływ, między innymi właśnie na domy i kobiety.

Alice, rozpromieniona i szczęśliwa, wygląda przez okno. Już pokochała to miasteczko. Jak tylko wysiadła z samochodu i ujrzała ludzi spacerujących jego ulicami w szortach i klapkach, z ubrudzonymi piaskiem kolanami i okularami przeciwsłonecznymi we włosach, wiedziała, że jest w domu.

Stojąc w biurze Sandy, ze strachu i podniecenia nie była zdolna wykrztusić słowa. Inicjatywę przejęli Gina i George, przedstawili Sandy i wyjaśnili, że Joe i Alice zastanawiają się nad kupnem czegoś na wsi i chociaż w zasadzie na razie nie byli jeszcze na to gotowi, chcieli się zorientować w cenach.

— Dzisiaj nie jesteśmy jeszcze przygotowani — powtarzał Joe. — Najpierw musimy zamknąć sprawę kupna mieszkania w mieście.

— Doskonale to rozumiem — odparła Sandy, puszczając porozumiewawczo oko do Alice. — Nie jesteście gotowi, ale chcecie się rozejrzeć. — Pokazała im różne oferty, wszystkie jednak kosztowały więcej, niż Joe gotów był zapłacić, bądź też były koszmarnie brzydkie.

— Jest jeden dom, który jeszcze nie został wystawiony na sprzedaż, ale słyszałam, że lada chwila tak się stanie. Zastanawiam się... — Tu Sandy podniosła słuchawkę, gdzieś zadzwoniła i zanim zdążyli się obejrzeć, siedzieli ściśnięci na tylnym siedzeniu jej samochodu.

— Tylko proszę się zbytnio nie nastawiać — ostrzegła Sandy Alice. — Działka jest fantastyczna, ale dom okropny. Charles Owens, właściciel, od lat starał się o pozwolenie na wyburzenie budynku i budowę nowego, ale wciąż mu odmawiali, bo parcela jest zbyt mała i nie było dość miejsca.

— Co się w takim razie zmieniło?

— Sam dom stoi na działce o powierzchni jednej trzeciej akra. Próbowali go sprzedać od lat, ale wciąż im się nie udawało, w tej chwili jednak ma być na sprzedaż kawałek ziemi za domem, w sumie trzy akry, więc jeśli połączy się obie działki, można mieć naprawdę piękną posiadłość.

— Muszę ci powiedzieć, Joe — wtrąca George — że na tym terenie to prawdziwa okazja. Cena wydaje się naprawdę doskonała.

— I w sam raz na nasze możliwości — dodaje Alice, natychmiast jednak milknie, bo poprzysięgła sobie nie odzywać się ani słowem, wiedząc, że im mniej będzie się odzywać i im mniej okaże zapału, tym większe prawdopodobieństwo, że Joe się spodoba lub przynajmniej uzna, iż trafia mu się niezła inwestycja.

— Chciałbym cię o coś zapytać. — Joe nachyla się ku Sandy. — Ten cały Charles nie mógł dostać pozwolenia na budowę,

bo działka była za mała, ale jeżeli połączymy ją z tą drugą wtedy będzie można tam coś zbudować?

— Właśnie tak — odpowiada z uśmiechem Sandy. — To marzenie każdego developera. Mam tylko nadzieję, że się nie spóźniłszy.

— Sandy, przecież oni nawet jeszcze tego nie widzieli — śmieje się Gina. — Daj im szansę. Może wcale nie będzie im się podobać.

— Co tu się może nie podobać? — wzrusza ramionami George. — Trzy akry ziemi w Highfield. Można na niej zbudować wszystko, co się chce.

— Och — dodaje Sandy roztargnionym tonem. — Chyba zapomniałam wspomnieć o stawie. No, jesteśmy na miejscu. Sami zobaczcie.

Skręca w lewo, na nieutwardzoną drogę i przez chwilę samochód podskakuje na wyboistym podjeździe, aż w końcu zatrzymuje się przed zaniedbanym, zarosniętym chwastami starym domem.

Drzewa tak są rozrośnięte, iż wydaje się, że dom stoi ukryty w ciemnym tunelu, i kiedy wysiadają z samochodu, Alice czuje, jak cała nadzieja w niej gaśnie. Niech to. Tak się cieszyła, była przekonana, że w jakiś magiczny sposób fortuna jej sprzyja i ten dom czeka właśnie na nią.

Gina spogląda na nią i natychmiast zgaduje jej nastrój.

— Hej. — Obejmuje ją ramieniem. — No, nie jest tak źle. Alice unosi brew i rozgląda się.

— Ale też i nie dobrze.

— Ojej — wzdycha Sandy. — Ostrzegałam was, że nie wygląda to za ciekawie.

— Nie za ciekawie? Przecież to ruina — parska śmiechem Joe, zachwycony, że mimo wszystko nie będzie musiał sięgać do kieszeni.

— Pamiętajcie jednak: nie przyjechaliśmy tutaj, żeby oglądać ten dom. Raz-dwa można go zrównać z ziemią i wybudować coś pięknego obok stawu. Przejdźmy się, obejrzymy działkę.

Idą na tył domu i Alice z miejsca się ożywia. Zastają tam wielki, wykładany kamieniami taras, kompletnie zarośnięty chwastami, lecz drzew jest tu znacznie mniej i słońcu udaje się przebić przez gęste listowie.

— Mmm. Ależ tu pięknie — pokpiwa z sarkazmem Joe, Alice jednak zupełnie go ignoruje.

— Zapomnijcie o domu — mówi Gina. — Myślcie o ziemi. Sandy, pokaż nam staw, zanim oboje padną tu na zawał serca.

Sandy prowadzi Ginę, Goerge'a i Joe przez las, Alice tymczasem przechadza się po tarasie. Wie, że nie powinna w ogóle interesować się domem, Joe bowiem z miejsca zrówna go z ziemią i na jego miejscu postawi ogromną monolityczną budowlę, lecz im dłużej przygląda się domkowi, tym łatwiej wyobraża sobie, jak też mógłby wyglądać, gdyby doprowadzić go do porządku.

Te koszmarnie rozsuwane drzwi można by zastąpić francuskimi oknami, taras pięknie oczyścić i nietrudno sobie wyobrazić, jak wspaniale by się prezentował w zachodzącym słońcu, zastawiony mnóstwem doniczek z terakoty z barwnymi pelargoniami i lawendą porastającą gęsto grządki biegnące po obu stronach schodków prowadzących na coś, co niegdyś było trawnikiem.

— Alice!

Na dźwięk głosu Joe Alice podskakuje i zbiega po schodkach, by dołączyć do reszty towarzystwa. Znajduje ich na brzegu stawu, który ona jednak nazwałaby raczej jeziorem.

Woda jest ciemnozielona, całą jej powierzchnię porastają algi, mimo to jednak na pierwszy rzut oka widać, jak pięknie może tu być, gdy wszystko się oczyści i uporządkuje.

Gina stoi za plecami Joe i uśmiechając się do Alice, unosi skierowany do góry kciuk. Alice podchodzi bliżej i docierają do niej strzępy rozmowy, jaką Joe prowadzi z Sandy.

— ...to znaczy, że te wszystkie drzewa można wyciąć bez pozwolenia?

Sandy kiwa z entuzjazmem głową.

— Naprawdę. Żadnego?

— Naprawdę.

Alice zbliża się do nich.

— I można przetrzebić ten piękny las i wybudować wszystko, co się chce?

— Przetrzebić, owszem. Zbudować — nie. Musisz mieć zgodę Komisji Planowania Przestrzennego, ale przy trzech akrach ma się w zasadzie wolną rękę.

— Tu można by zrobić basen — mruczy George, prowadząc Joe pomiędzy drzewami. — A tam korty tenisowe. Tutaj dom o powierzchni czterystu metrów.

— A ja mogłabym zagospodarować domek. Przerobić go na domek gościnny — nie może się powstrzymać Alice.

— Co? Tę starą rudere? — Joe odwraca się, patrzy na nią jakby kompletnie postradała zmysły.

— Ta stara rudera może wyglądać cudownie — broni się Alice. — Przecież wiesz, że potrafię z niej zrobić prawdziwe cacko. Sandy, wiesz może coś o historii tego domu?

— Cóż, choć to może dziwne, ale dom rzeczywiście ma swoją historię. Mieszkała w nim bardzo swego czasu popularna pisarka, Rachel Danbury.

Joe i Alice patrzą na nią ze zdumieniem.

— Wiem, że o niej nie słyszeliście, ale w tej okolicy naprawdę była znana. Jej najbardziej osławiona książka to *Kręta droga*, której akcja rozgrywa się właśnie tutaj, w Highfield. Napisała ją w tym domu i wywołała niezły skandal, bo opisała mieszkających tu ludzi. Każdy, z kim kiedykolwiek się posprzeczała, był w książce, i nawet nie starała się tego specjalnie ukryć — kończy ze śmiechem Sandy.

— Bardzo chciałabym ją przeczytać — mówi Alice. — Można ją dostać w bibliotece?

Sandy wzrusza ramionami.

— Możesz spytać, ale wiem, że od dawna jej nie wznawiano. Ja wychowałam się w Easton i pamiętam, że rodzice ją mieli, ale od lat jej nie widziałam. Spróbuj w bibliotece, a ja też się popytam. Na pewno ktoś będzie miał egzemplarz. To interesujący dom. Poważnie. I idealnie nadaje się na domek gościnny.

— No i to ś w i e t n a inwestycja — dodaje George. Joe oddycha głęboko i odwraca się do Alice.

— Wydawało mi się, że nie mieliśmy dzisiaj kupować domu?

— Czy to znaczy, że właśnie to robimy? — Alice wstrzymuje oddech, gdy Joe zwraca się do Sandy.

— No więc? — mówi. — Ile powinienem zaproponować na początek?

Słońce wpada przez okno, tworząc na gołej, drewnianej posadzce złocistą kałużę. Alice cichutko odrzuca kołdrę, wsuwa stopy w pantofle i starając się nie robić hałasu, wychodzi z sypialni. Po drodze podnosi śpiącego Snoopa.

Podczas gdy Joe w najlepsze jeszcze pochrapuje, ona schodzi do kuchni i otwiera wszystkie drzwi i okna. Snoop człapie do francuskich okien wiodących na patio i wybiega do ogrodu.

Alice napełnia czajnik, stawia go na kuchence, sama zaś staje w drzwiach i z uśmiechem wdycha świeże poranne powietrze.

Jest połowa października i ruina z Highfield, jak swego czasu Joe nazwał dom, jest wprost nie do poznania.

Kupno zarówno domu, jak i mieszkania sfinalizowali pod koniec sierpnia i od tego czasu Alice prawie cały czas spędza w Highfield, na wsi, robiąc wszystko, by dom jak najszybciej nadawał się do zamieszkania i starając się rozkochać Joe w wiejskim życiu. Chociaż jak na razie to drugie niezbyt się jej udało, Joe zdumiony jest przemianą, której dokonała Alice, za pomocą jedynie świeżej farby i kilkunastu puszek wosku do podłogi.

Dom jest teraz jasny, pełen światła, a wszystkie ściany lśnią świeżą bielą. Łazienka nie zmieniła się od lat siedemdziesiątych i wciąż wykończona jest zielonym plastikiem, napawającym Joe odrazą, lecz teraz jest przynajmniej czysta. Alice przyrzekła mu, że jak tylko uda jej się znaleźć przyzwoitego hydraulika, natychmiast całą ją wyremontuje.

Wielka kuchnia wciąż nie została odnowiona, lecz Alice ją uwielbia. Nie jest ona domeną Joe, jedyne więc, na co nalegał,

to nowa kuchenka marki Viking, i to wyłącznie dlatego, że lepszej po prostu nie można już kupić. Alice zachwycona jest porysowanymi blatami z marmuru i starym, zniszczonym zlewem. Podobają jej się staromodne wiejskie kredensy i wielka spiżarnia.

Był już projektant ogrodów i wyciął mnóstwo drzew, a te, które zostały, brutalnie przeredził.

Woda w stawie została oczyszczona, przywrócono jej odpowiednią równowagę pH, wobec czego zbiornik przestał przypominać bajoro, choć minie jeszcze trochę czasu, zanim będzie można wpuścić do niego ryby.

Również na zewnątrz dom jest już odmalowany, okiennice są czarne i lśniące, pojawiły się też skrzynki na kwiaty, w których Alice zasadziła lobelie i zwisające pelargonie, choć lato w zasadzie już minęło i lada dzień kwiaty padną ofiarą pierwszych przymrozków.

Alice wkłada kalosze, do kieszeni chowa garść psich przysmaków („Nigdy bez nich nie wychodź” — pouczał ją Harry. „Psa można szkolić zawsze i wszędzie”), bierze kubek z kawą i wychodzi na „podwórze”. Śmieszne, że trzy akry porośniętej lasem ziemi i staw nazywa „podwórzem”.

— Chodź! — mówi do Snoopa, i gdy pies posłusznie do niej podbiega, nagradza go smakołykiem, po czym już we dwoje zaczynają iść przez trawnik.

Alice idzie wolno, sącząc kawę i z radosnym uśmiechem rozglądając się wokoło. Ciszę zakłóca jedynie świergot ptaków — na trawniku podskakuje kilka jaskrawoczerwonych kardynałów — i szelest baraszkujących na drzewach wiewiórek.

Alice dochodzi do brzegu stawu i przysiada na wielkim pniu drzewa, zwalonym zapewne przez jakąś szczególnie gwałtowną burzę. Woda wciąż jest brudna, zarośnięta i ciemna, Alice jednak nigdy w życiu nie czuła się równie szczęśliwa.

Dopiwszy kawę, wraca w kierunku domu i na chwilę przystaje na patio, drżąc w przenikliwym chłodzie porannego powie-

trza. Dni nadal są słoneczne, nie da się jednak ukryć, iż zbliża się zima i liście na drzewach zaczynają z wolna barwić się feerią kolorów, z których słynie Nowa Anglia.

Alice sprawdza stan robót. Systematycznie wypielila wszystkie chwasty wyrastające spomiędzy kamieni, którymi wyłożone jest patio, oczyściła je z mchu i ustawiła donice z kwiatami, by jeszcze przed zimą ubarwić nieco otoczenie domu.

Zmieniło się tu nie do poznania. Alice przysiada na oparciu zielonego fotela ogrodowego i przygląda się swoim paznokciom, teraz krótkim i połamanym, żywemu świadectwu pracy, jaką włożyła, by zapuszczony budynek zasłużył sobie na miano domu.

Wciąż jeszcze ma przed sobą długą drogę. Przed zimą trzeba wymienić okna i naprawić kominy. W przyszłym tygodniu będą naprawiać kanalizację i najchętniej rozbudowałyby nieco kuchnię, ale z tym może poczekać. W końcu Joe nadal jest przekonany, że po drugiej stronie stawu zbudują wielką rezydencję.

Alice jednak niczego więcej do szczęścia nie trzeba. Ten domek z krzywymi podłogami i rozchwierutanymi schodami to wszystko, o czym kiedykolwiek tak naprawdę marzyła. Odkąd w nim zamieszkała, minęły zaledwie dwa miesiące, a ona czuje się, jakby spędziła tu całe życie.

Za plecami słyszy jakiś szmer i odwraca się powoli, by sprawdzić, czy coś zobaczy. W zeszłym tygodniu aż podskoczyła, kiedy na trawniku dostrzegła jakiś ruch. Wyrzała przez okno i ze zdumieniem patrzyła, jak przed jej domem wolno przechadza się pięć saren. Wiedziała, że powinna je przegonić — wszyscy ją ostrzegali, że sarny przenoszą kleszcze, które z kolei są nosicielami potwornej boreliozy — ale widok tych pięknych zwierząt w ich naturalnym środowisku miał w sobie coś tak magicznego, że po prostu przyglądała się im, dopóki wolno i majestatycznie nie znikły w zaroślach.

Cztery godziny później Joe siedzi nad włączonym laptopem i czyta gazety on-line. Odwiedza te same strony, co zwykle, pod

ręką mając kubek z gorącą kawą Alice rozpakowuje książki, ustawiając je na półkach po obu stronach wielkiego kominka w salonie, który wypełnia muzyka sącząca się z ustawionego w kącie stereo —jedyne go sprzętu, na którego natychmiastowe kupno Joe zdecydowanie należał.

— Dzień dobry?

Na dźwięk obcego głosu Alice podskakuje przestraszona i kiedy się odwraca, widzi stojącą w drzwiach kobietę mniej więcej w jej wieku z osłoniętym aluminiową folią talerzem w ręku.

— Tak? — pyta Alice z typowo angielską mieszaniną uprzejmości i oficjalnego tonu, zupełnie nie przywykła, aby jej dom nachodzili bez zapowiedzenia obcy ludzie, nawet jeśli się uśmiechają.

— Ty jesteś Alice? — Alice kiwa potakująco głową. — Ja jestem Sally. Sandy powiedziała mi, że się wprowadziliście, więc przyszedłam się przywitać. I upiekłam dla was szarlotkę.

— Niemożliwe! — Alice nieomal wybucha śmiechem, oszołomiona tą jakże typowo amerykańską scenką ale też i zdumiona, bo w Londynie coś podobnego nigdy, przenigdy nie mogłoby mieć miejsca. — Jak miło z twojej strony! Wejdz, proszę. Napijesz się kawy?

— Z przyjemnością.

Sally wchodzi i w tym samym momencie Alice słyszy dobiegający z zewnątrz pisk.

— Mam nadzieję, że ci to nie będzie przeszkadzać, ale przyprowadziłam swoją córeczkę, Madison. Myślę, że właśnie oszalała na punkcie twojego psa.

Alice uśmiecha się i podchodzi do drzwi. Dostrzega mniej więcej dwuletnią dziewczynkę goniącą lekko zdenerwowanego Snoopa, który nigdy wcześniej nie miał okazji widzieć kogoś nie dość że tak małego, to jeszcze pałającego równie wielką chęcią złapania go.

— Przywitaj się, Madison — mówi Sally.

— Ceś — woła Madison, nawet nie podnosząc wzroku. — Piesiek! Madison złapie piesiek?

— Och, jest urocza — uśmiecha się Alice. — Może chciałaby coś do picia?

— Chyba nie. Po prostu uwielbia zwierzęta. Za chwilę na pewno tu przyjdzie. — Sally stawia talerz na blacie i zwraca się do Alice z uśmiechem. — Jak wam się mieszka w nowym miejscu?

Alice bierze głęboki oddech.

— Myślisz, że jest jeszcze za wcześnie, abym powiedziała, że po prostu jestem zauroczona?

— Pewnie tak, ale kiedy sześć lat temu przenieśliśmy się tu z Manhattanu, ja zakochałam się w tym miejscu w ciągu pięciu minut.

— Mieszkacie tu już sześć lat? Na pewno znasz więc wszystko i wszystkich?

— No, może nie do końca, ale myślę, że mogę ci służyć pomocą.

— Mamusi. — Do pokoju wpada Madison, ze Snoopem depczącym jej po piętach, wyraźnie zachwyconym nową koleżanką. — Mogę mieć pieska?

— Nie, kochanie. — Sally przykuca przed córeczką i uśmiecha się do niej. — Nie możesz mieć tego pieska, ale może kiedy będziesz troszkę większa i bardziej odpowiedzialna, dostaniesz własnego pieska.

— Mam pieska. — Madison kiwa sama do siebie główką, po czym rusza, by poznać zawartość szafek kuchennych.

— Masz dzieci? — pyta Sally, podczas gdy Alice rozpakowuje z papieru kilka talerzy i pośpiesznie je myje.

— Nie, jeszcze nie. Ale bardzo bym chciała. I to wkrótce.

— Witam. — Do kuchni wchodzi Joe, na widok obcej kobiety w swojej kuchni unosząc pytająco brew.

Alice odwraca się i z zachwytem spogląda na męża, który rozczochrany, w najstarszych dżinsach, wypłowiałej koszulce polo i boso prezentuje się wyjątkowo seksownie. Joe podchodzi do Sally i ściska jej na powitanie rękę.

— Cześć, jak się masz? — mówi Sally z autentycznie szczerym uśmiechem, co Alice przyjmuje z westchnieniem ulgi.

Choć wciąż nie chce uwierzyć, że jej mąż jest nałogowym wręcz flirtarzem, nie może nie zauważać wrażenia, jakie jego pojawienie się wywiera zwykle na kobietach i z miejsca jeży się cała, widząc, jak kolejna kobieta ulega jego urokowi. Jednak teraz, obserwując Sally, podobnie jak miało to wcześniej miejsce z Giną, nie dostrzega w jej głosie nawet śladu kokieterii. „Bogu niech będą dzięki” — myśli z ulgą. „Tej kobiecie mogę ufać”.

— Uważam, że oboje powinniście do nas wpaść — mówi Sally. — Poznalibyście niektórych sąsiadów. Jakie macie plany na następną sobotę?

— Absolutnie żadnych — odpowiada Alice. — Jak dotąd nie mieliśmy jeszcze okazji nikogo poznać, więc kalendarz mamy pusty.

— Wspaniale! W takim razie zapraszam na grilla. Około piątej, odpowiada wam?

— Jak najbardziej — uśmiecha się Joe.

— Świetnie. A tymczasem spróbujcie mojej szarlotki. Jest jeszcze ciepła, prosto z piekarnika.

— Kolejna kucharka? — Joe sięga do szuflady po widelczyki, a Alice kroi ciasto, z którego rozchodzi się wspaniały aromat jabłek i cynamonu. — Zdaje się, że szybko się zaprzyjaźnicie.

— Liczę na to — przyznaje wesoło Sally. — Sandy mówiła, że jesteście przemili, i nie myliła się.

— To dobrze — odpowiada gładko Joe, zabierając się do jedzenia szarlotki. — Zawsze do usług.

— Jacy oni są? — pyta Chris, mąż Sally, wychodząc z warsztatu i wycierając ręce w szmatę.

— Wydają się całkiem mili — odpowiada Sally i stawia na ziemi Madison, która z miejsca rzuca się ojcu w ramiona.

— Cześć, kociaku. — Chris bierze małą na ręce. — Dobrze się bawiłaś?

— Mam piesia — sepleni Madison. — Zup piesio.

— Piesiowa zupa? Fúj! — krzywi się straszliwie Chris, co widząc, Madison zaczyna się śmiać. — Co to za paskudztwo?

— Nie piesiowa zupa, tatusiu — chichocze dziewczynka. — Piesio Zup.

— Mają psa, który nazywa się Snoop — tłumaczy Sally ze śmiechem. — To właśnie stara się ci powiedzieć.

— I jak? Zaprzyjaźnimy się z nimi? — Chris wypuszcza z objęć córkę i zwraca się do Sally.

— Powinieneś ich polubić. Ona jest bardzo brytyjska i zachowuje się z rezerwą, ale poza tym bardzo miła. On natomiast jest niesamowicie czarujący i ma ten niebezpieczny błysk w oku.

— Podrywał cię?

— Nie! — Sally odpycha męża żartobliwie. — Mnie nie. Ale wygląda mi na takiego, co to lubi się zabawić. Boże, słyszysz to? Co ja wygaduję? Zresztą w sobotę przychodzą do nas na grilla o piątej, więc sam się przekonasz.

Teoretycznie Joe jest zachwycony kupnem domu na wsi. Nie mógł się już doczekać, żeby się pochwalić „weekendowym domkiem” przed kolegami i klientami, ale tak naprawdę wieś nigdy specjalnie go nie bawiła i z radością scedował wszystko na Alice.

Joe uwielbia mieszkać w Nowym Jorku i gdyby tylko było to możliwe, w ogóle nie ruszałby się poza Dziewięćdziesiątą Pierwszą Ulicę na północ, a na południe dalej niż do SoHo. Zachwyca go tempo miasta, zamieszkujący je ludzie, styl życia i w zasadzie jedyną przeszkodą w osiągnięciu pełnego szczęścia jest Alice.

Bóg jeden wie, jak bardzo się stara, aby z żoną układało mu się jak najlepiej. Poprzysiął sobie — po raz kolejny — że będzie jej oddany i robi, co w jego mocy, by stać się mężem, jakiego ona sobie wymarzyła, ale w końcu to Nowy Jork, gdzie pokusa czai się na każdym rogu, i biedny Joe czuje, że znowu zaczyna go nosić.

Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu umówiony był z klientem na kolację w Le Colonial. Przyszedł wcześniej i poszedł do baru na piętrze, gdzie miał nadzieję wypić w spokoju drinka, może przejrzeć dokumenty, lecz muzyka aż dudniła, a wszędzie, gdzie spojrzał, dostrzegał tłum pięknych ludzi. Przyglądał im się z rozbawieniem, zauważając, jak wszyscy nieustannie lustrują wzrokiem lokal, by przypadkiem nie przeoczyć nic lub raczej nikogo bardziej interesującego, i nagle jego uwagę zwróciła niebezpiecznie wyglądająca brunetka w kusej czarnej sukience i wysokich skórzanych butach.

Właśnie dostrzegł jej kokietyjne spojrzenie i cień uśmie-

chu, gdy zorientowała się, że jej się przygląda. Niestety, zjawił się jego klient. Ach, cóż. Lepiej, że wszystko się skończyło, zanim w ogóle się rozpoczęło, mimo to po pożegnaniu klienta wrócił do baru w nadziei, że może jeszcze ją zastanie, jak się jednak należało spodziewać, brunetka znikła.

A Alice? Zdanie Alice o Nowym Jorku nie różni się w zasadzie od tego, które miała na temat Londynu. Choć w Nowym Jorku jest jej łatwiej, tutaj nikt jej nie zna, nie musi więc nieustannie odgrywać roli pięknej żony. Tak się jednak jakoś składa, że coraz więcej czasu spędza na wsi, a im dłużej przebywa w swoim domku, im więcej pracy w niego wkłada, tym bardziej go kocha i coraz niechętniej z niego wyjeżdża.

Skula ściany i odkryła piękną drewnianą boazerię, ukrytą tam chyba od lat sześćdziesiątych. W kuchni zdarła linoleum i okazało się, że podłoga zrobiona jest z pięknych dębowych desek. Odkryła pokój, który musiał chyba być gabinetem Rachel Danbury i w którym teraz ona sama godzinami siedzi przy oknie, przyglądając się drzewom, nie myśląc w zasadzie o niczym, tylko rozkoszując się poczuciem przepełniającego ją spokoju.

Poznając dom z każdym dniem lepiej, ma wrażenie, jakby znała mieszkającą w nim kiedyś pisarkę. Jak na razie nie udało jej się zdobyć egzemplarza *Krętej drogi*, ale ze ścian, z fundamentów zdaje się emanować osobowość jej autorki, rzucając na Alice urok i sprawiając, że z każdą spędzoną w nim chwilą coraz mocniej kocha swój nowy dom.

Bywa jednak, iż Alice zmuszona jest pojechać do miasta. Czyni to niechętnie, ale czasem wyjeżdża w poniedziałek, by wrócić w piątek—jak jej się uda, skraca ten czas od wtorku do czwartku. Idzie wtedy z Joe do teatru, na premierę w Met, imprezę charytatywną we Frick, do restauracji, barów czy klubów. Przyjeżdża, żeby zrobić sobie pasemka u Fredericka Fekkai, kupić wieczorową toaletę w Bergdorf Goodman, zjeść lunch z Giną i George'em u Jean-George'a lub w Le Cirque 2000 — i jest to jedyne, co uprzyjemnia jej pobyt w mieście.

Alice nie może się nadziwić, iż w tak krótkim czasie zdążyła się naprawdę zaprzyjaźnić z Giną. „Moja zastępczyni” — mawia z niesmakiem Emily, lecz jest to w zasadzie prawda. Emily jest przyjaciółką Alice od dawna i zawsze będzie na pierwszym miejscu, ale z powodu dzielącej je odległości trudno oczekiwać, by Emily mogła zrozumieć, jak wygląda teraz życie Alice.

A ona i Gina zdają się mieć ze sobą tak wiele wspólnego.

— Prawdziwe z nas szczęściary — powtarza Gina. — Obie mamy takich wspaniałych mężów. Aż trudno uwierzyć.

Alice za każdym razem z uśmiechem przytakuje, wdzięczna, że Joe na powrót stał się tym mężczyzną którego niegdyś poślubiła i w którym zakochała się jeszcze jako nastolatka. Wieczory spędza w domu i ilekroć obieca, zawsze zgodnie z umową dzwoni. Nigdy nie wyłącza komórki i po raz pierwszy od wielu lat Alice nie leży bezsennie w łóżku, by z tłukącym się w piersi sercem zastanawiać się, gdzie Joe się podziewa i co robi.

Nie rozpamiętuje tamtych pełnych niepokoju czasów, odsuwając od siebie wszelkie lęki, wie bowiem, iż prawda mogłaby się okazać zbyt straszna.

Teraz, nawet gdy Alice przebywa na wsi, a Joe spędza noce w mieście, ilekroć do niego dzwoni, on zawsze odbiera. Nie zdarza się, by nie mogła się z nim skontaktować, przestał znikać w niewyjaśniony sposób, wyjeżdżać służbowo do tajemniczych hoteli. Dzwoni do niego późnym wieczorem, a on podnosi słuchawkę i mówi jej, jak bardzo za nią tęskni.

W weekendy zaś, gdy przyjeżdża do Highfield w piątek wieczorem lub sobotę rano, Alice odbiera go ze stacji swoim nowym fordem explorerem, on obejmuje ją całuje mocno, a ona wie bez cienia wątpliwości, że kocha ją naprawdę.

Joe przygląda się swojej żonie, która na dworze rzuca patyki Snoopowi, śmiejąc się radośnie, gdy pies przynosi jej patyk, za co za każdym razem nagradza go pieszczotami i poklepywaniem po grzbiecie.

Są chwile, jak na przykład teraz, kiedy Joe ma wrażenie, że Alice jest kimś mu nieznanym. Ta Alice, którą zna, jest cichą zamkniętą w sobie kobietą. Wyrafinowaną i niefrasobliwą. Ta Alice natomiast, na którą teraz patrzy, goni się z psem po ogrodzie i zanosząc się śmiechem, odrzuca głowę do tyłu.

Alice, którą mu się wydawało, że znał, nigdy nie odważyłaby się pobrudzić spodni trawą ale też przenigdy nie nałożyłaby starych, znoszonych i wypłowiałych dżinsów, bluzy z Gapa i pikowanego bezrękawnika.

Przede wszystkim zaś tamtą Alice otaczała aura tajemniczości. Zdawało się, że żyje we własnym, jemu niedostępnym świecie marzeń. Nawet gdy byli razem, zawsze czuł, że nie jest z nim do końca, co między innymi właśnie tak go w niej pociągało.

Z Alice, którą on znał, albo przynajmniej sądził, że zna, zwykle emanował głęboki smutek. Alice zaś, na którą patrzy dzisiaj, jak tarza się po trawie i chichocze, gdy pies liże ją po twarzy, jest nieustannie, szaleńczo wręcz szczęśliwa.

Ta Alice zrywa się rano z łóżka i natychmiast rzuca się w wir działań, stale mając tysiące rzeczy do zrobienia. Jeśli nie gotuje — czego od lat już w zasadzie nie robiła — to nabłyszczca woskiem stół, burzy jakąś ścianę albo odnawia stary mebel.

W domu rozbrzmiewa muzyka, a Alice, tej niegdyś cichutkiej, zamkniętej w sobie Alice, buzia się teraz wręcz nie zamy-

ka. Opowiada mu o swoich wyprawach, o zakupach na targu w Wilton, ludziach spotkanych podczas poszukiwań estragonu i lawendy w Gilberties. O spacerach po plaży, mijanych podczas nich ludziach i domach, które podziwiała. Przepęłniająca ją radość zdaje się emanować ze szpar w ścianach, wciskać się przez szczeliny w oknach, dotykać każdego, kto stanie jej na drodze.

Co oczywiście dotyczy również Joe, który jednak broni się, nie chcąc ulec tej zalewającej wszystko wokół fali szczęśliwości.

Joe nie jest w stanie pojąć, gdzie podziała się jego potulna, zamknięta w sobie, piękna żona. Jej resztki dostrzega jedynie podczas dni, w które przyjeżdża wraz z nim na Manhattan. Gdy Alice zjawia się w mieście, by towarzyszyć mu na przyjęciu, w galerii czy przepęłnionym ludźmi barze, na powrót staje się dawną, znaną mu Alice, Alice w której się zakochał.

Na Manhattanie, w mieście stającym mu się coraz lepiej znanym i bliższym, Joe zdecydowanie jest królem swego świata. Jako z krwi i kości bankier z Wall Street, jest wystarczająco zamożny, by prowadzić życie, jakie mu odpowiada. Wie, kto jest kim na Manhattanie. Zna swoją rolę, zna rolę Alice, która jedynie na Manhattanie odgrywa ją jak należy, ubierając się w markowe rzeczy i uśmiechając uroczo, choć może nieco pusto do kolegów i klientów, z którymi przychodzi mu spotykać się na gruncie towarzyskim.

Tutaj jednak, w Highfield, nie ma cienia wątpliwości, że Alice jest panią swego zamku, co — choć wbrew niemu — go denerwuje. Dynamika ich związku zdaje się zmieniać z chwilą gdy z Westchester wjeżdżają do Connecticut.

Kiedy Joe myślał o kupnie wiejskiej posiadłości, oczyma wyobraźni widział wielki, nowy dom, najlepiej z basenem i tuż przy plaży. Zakładał, że będą w nim wielkie, porządne prysznice, rozległe trawniki, bo inaczej po co w ogóle zawracać sobie głowę? Nigdy nawet mu się nie śniło, że skończy się na małym, obskurnym domku pełnym wnęk i szczelin.

Oczywiście nadal myśli o zbudowaniu domu swoich marzeń po drugiej stronie jeziora, choć tak naprawdę nie miał jak na razie

czasu, by zacząć rozglądać się za architektami i firmami budowlanymi, a Alice najwyraźniej nowe siedlisko zdaje się w ogóle nie interesować. Kiedy jednak koledzy pytają go o jego dom na wsi, opowiada im o urokach okolicy i pięknie stawu (prawda), o tym, jak to kupując go, zrobił interes stulecia (prawie prawda, bo jednak nie do końca było tak, jak usiłował wmówić mu George) i że tylko patrzeć, jak budowa Chambers Mansion ruszy pełną parą (nieprawda, jeśli tylko Alice będzie miała na to jakikolwiek wpływ).

Tak naprawdę Joe nie wie, co ma ze sobą począć, kiedy tu przyjeżdża. Nie widzi sensu w spacerach, w ogóle nie rozumie, jak można spacerować ot, tak sobie, dla zwykłej przyjemności spacerowania, i ilekroć Alice proponuje mu wyjście, zawsze odmawia.

Podobnie jak wielu innych mężczyzn pracujących na Wall Street, Joe w zasadzie nie potrafi odpoczywać. Dla niego odpoczynek to siedzenie przed małym telewizorkiem w gabinecie, z „Wall Street Journal” pod ręką.

Joe nie znosi gotować (choć jeść uwielbia) i nienawidzi prac w ogrodzie, nie ma też żadnego hobby. Nie lubi także zwierząt — kiedy jednak po raz pierwszy natknął się na osiemnaście dzikich indyków spacerujących na drodze, musiał przyznać, że był poruszony — a wrodzone lenistwo i zwykły brak zainteresowania nie zachęcają go do zwiedzania okolicy.

Joe najlepiej zna się na życiu towarzyskim, zakupach i uwodzeniu. Z życiem towarzyskim są pewne kłopoty, albowiem poza George'em i Giną w zasadzie nikogo jeszcze na wsi nie poznał, poza tym — choć oboje są doprawdy przeuroczy — nie w każdy weekend przyjeżdżają. Zakupy są przyjemne pod warunkiem, że wybierze się na nie do Greenwich, a uwodzenie to coś, od czego w tej chwili na serio stara się powstrzymać.

Niestety jednak pokusa staje się coraz silniejsza. Zwłaszcza teraz, gdy Alice wyraźnie mniej go potrzebuje niż dotąd. W ich związku to zawsze Joe był stroną silniejszą, przywykł do tego, iż to on dominuje, i odpowiadała mu rola męża silnego, męskiego, ponieważ jednak ledwie Alice przekroczy granicę Connecticut, staje się bardziej niezależna i pewna siebie, on słabnie.

Doskonale zdaje sobie sprawę, iż w Highfield traci władzę, jaką się dotąd cieszył, a według Joe męskość z władzą powiązana jest bardzo silnie. Skoro więc nie ma już takiej władzy nad Alice, tym silniejsza jest czająca się na każdym kroku pokusa, zwłaszcza pod postacią długonogiej piękności, śmiejącej się z zachwytem z każdego jego dowcipu i bez zastrzeżeń nim zachwyconej...

— Nie przebierzesz się?

— Nie. A dlaczego? — Alice do małej torebki wrzuca własnoręcznie upieczone cytrynowe ciasteczka, by zanieść je na grilla do Sally i Chrisa.

— Cóż, po pierwsze na kolanach masz plamy z trawy. — Nie dodaje, że chyba nie ma zamiaru wybrać się do znajomych w szarej bluzie i dżinsach.

— O Boże — jęczy Alice. — Dzięki. Zaraz wracam. Biegnie na górę, skąd po chwili wraca w czystych, choć równie wypłowiałych dżinsach, tej samej bluzie i starych mokasynach.

— A makijaż? — pyta Joe z nadzieją, na co Alice parska śmiechem, ale wraca na górę. Mija kilka minut i zjawia się ponownie, ale już ze świeżo wyszczotkowanymi włosami, ustami pociągniętymi różowym błyszczkiem i w śnieżnobiałej lnianej koszuli zamiast burej bluzy.

— Tak lepiej? — pyta ze śmiechem.

— Zdecydowanie — odpowiada Joe z wdzięcznością, choć tak naprawdę wolałby ją widzieć w prostych spodniach z wełnianej krepy od Michaela Korsy i butach na wysokich obcasach od Jimmy'ego Choo.

— O rany! — parska śmiechem Alice i uskakuje na bok, by zejść z drogi procesji rozwrzeszczanych trzy- i czterolatków zmierzających w jej kierunku, na widok których Joe wydaje rozpaczliwy jęk.

— Wielki Boże. Dzieci.

— Jasne, że dzieci. A czego się spodziewałeś na grillu o piątej po południu w niedzielę?

— Czy ci ludzie nie słyszeli nigdy o instytucji niani? Alice aż otwiera usta ze zdumienia.

— Ależ ty jesteś zacofany. Myślałby kto, że jesteś małym lordem Fauntleroy.

— Czy oni w s z ę d z i e zabierają ze sobą te bachory? Nie ma już wieczorów tylko dla dorosłych?

— Mów ciszej — syczy Alice, bo właśnie skręcają za róg domu, gdzie — sądząc po hałasie — przyjęcie przy grillu rozpoczęło się już na dobre. — Przede wszystkim jeszcze nie jest wieczór, a poza tym to cudownie mieć dzieci przy sobie. Gdybym ja miała dzieci, wszędzie zabierałabym je ze sobą. A według ciebie zapewne dzieci mogą być widziane, ale broń Boże słyszane.

— Prawdę powiedziawszy, ja... au!

W tym właśnie momencie jakiś rozpędzony dziewięciolatek z całym impetem wpadł na Joe, goniąc pozostałe maluchy.

— Ha! — roześmiała się Alice. — Dobrze ci tak. A teraz zrób czarującą minę, bo pora przedstawić się naszym nowym sąsiadom.

— Wy na pewno jesteście Joe i Alice! Cześć, nazywam się Tom O'Leary, a to jest moja żona Mary Beth. Mieszkamy tuż obok was, przy Winding Lane.

— Cześć, jestem Chris, mąż Sally, a naszą córeczkę, Madison, zdążyliście już poznać.

— Alice! Joe! Jak miło znowu was widzieć! Tim, pozwól, przedstawiam ci Joe i Alice, którzy kupili stary dom Danburych. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że go sprzedalam? — Sally z dumą kiwa na swojego męża. — Musicie opowiedzieć mi wszystko

O domu, słyszałam, że już dokonaliście tam istnych cudów.

Zanim jednak Alice zdążyła cokolwiek powiedzieć, już zbliża się ku nim kolejna para.

— Joe i Alice, prawda? Witajcie w Highfield, tyle już o was słyszeliśmy! Ja jestem Kay, a to mój mąż James. Mieszkamy pod siódmym. Ta trójka to nasze — Summer ma pięć lat, Taylor trzy

— hej, a gdzie Skye? O, tam się czołga. Ma jedenaście miesięcy.

— Witaj, śliczna. — Gina nachyla się nad Alice i tuli ją w mocnym uścisku, następnie zwraca się do Joe i całuje go na powitanie. — Wspaniała niespodzianka, prawda?

— Myślałam, że w ten weekend nie przyjeżdżacie — mówi Alice, wie bowiem, że Gina albo wpada, albo dzwoni, żeby ją uprzedzić, że zjawi się na wsi.

— Faktycznie, nie planowaliśmy. Ale rano zadzwoniłam sprawdzić wiadomości i od Sally się dowiedziałam, że robią dzisiaj grilla, a że pogoda wyjątkowo dopisała, więc po lunchu wskoczyliśmy do samochodu i jesteśmy!

— Och, naprawdę bardzo się cieszę. — Alice serdecznie ujmuje Ginę za rękę, choć dzisiaj nie czuje znajomego ucisku w klatce piersiowej, pojawiającego się zwykle w sytuacjach, gdy przychodzi jej spotykać się z ludźmi, których dotąd nie знаła.

Oczywiście życzliwe przyjęcie, jakie wszyscy im zgotowali, znacznie się do tego przyczyniło, i choć trochę jest zdziwiona przyjaznym nastawieniem, nie może powiedzieć, by nie sprawiało jej to przyjemności. Jak dotąd Alice przywykła jedynie do spotkań towarzyskich w Londynie, gdzie wszyscy zachowywali się bardzo po brytyjsku, a więc z typową rezerwą stali, uśmiechając się sztucznie, nie wyobrażając sobie, by odezwać się do kogoś, komu nie zostali wcześniej przedstawieni, nie mówiąc już o tym, by podejść i zrobić to samemu. Zwykle prezentacji dokonywała gospodyni, przy okazji naprowadzając na jakiś wspólny temat, o którym przez kilka minut można było pogawędzić.

Tutaj jednak wszyscy witają ich z otwartymi ramionami, uśmiechając się życzliwie. Na grillu, pod baczynym okiem Chrisa, smażą się steki i burgery, a kobiety wynoszą z kuchni miski z sałatkami i pokrojony chleb, by wszystko ustawić na stole.

Obok wielkiego kubła z lodem stoi piwo i woda sodowa i wszyscy, bez śladu skrępowania, sami się obsługują, manewrując pomiędzy szalejącymi na trawniku dziećmi.

Alice wchodzi do kuchni.

— Mogę w czymś pomóc? — zwraca się do Sally. W Londynie tak właśnie należało zapytać, w odpowiedzi oczekując:

„Nie, skądże, nie kłopotz się”, nawet jeżeli gospodyni padała z nóg i nie wiedziała już, w co ręce włożyć.

— Och, wspaniale — odpowiada Sally. — Możesz pokroić pomidory. — I podsuwa Alice deskę wraz z nożem, po czym odwraca się, by dodać do miski sałkę.

— Wszystko to są nasi sąsiedzi? — pyta Alice, spoglądając przez okno na Joe, który właśnie zdaje się czarować swoim urokiem Kay i Jamesa. Właśnie Kay, choć bez wątpienia serdeczna, wzbudza w Alice instynktowną czujność. Jej figura niczym nie zdradza, iż ma za sobą trzy ciąży, czego Kay najwyraźniej jest w pełni świadoma, paradując w obcisłych rybaczkach i maleńkim T-shircie, który aż nadto wymownie uwydatnia jej podejrzanie sterczące piersi. I w przeciwieństwie do innych kobiet, podobnie jak Alice ubranych w dżinsy i mokasyny lub klapki na płaskich obcasach, ona jedna ma na nogach wsuwane pantofelki na bardzo wysokich szpilkach.

I choć Joe rozmawia z nią i Jamesem, Alice zauważa, że Kay może być niebezpieczna. Czuje ten jakże dobrze znany niepokój, odbiera sygnały, które niezmiennie wywołują w niej lekkie mdłości, jednak stara się je stłumić i zachować spokój. „Nie bądź śmieszna” — karci się w duchu. „Przecież ona po pierwsze ma męża, poza tym jest matką trójki dzieci. Doprawdy trudno pomyśleć, by stanowiła zagrożenie”.

Zresztą mąż Kay jest przystojny. Czemu więc, na miłość boską, miałaby flirtować z Joe? Bo Joe jest Anglikiem, czarującym, innym? „Nie wygłupiaj się” — upomina samą siebie, wściekle krojąc pomidory. Ona i Joe nigdy nie byli równie szczęśliwi. Byłaby skończoną kretynką podejrzewając, że Joe umizguje się do innych kobiet. On się zmienił. A zresztą Kay nie jest chyba w jego typie?

— Kay i James wydają się bardzo mili. Mieszkają tu przez cały czas?

— Teraz tak — odpowiada Sally. — Dawniej przyjeżdżali tylko na weekendy, ale kiedy Skye się urodził, kupili większy dom i przenieśli się tu na stałe.

— Są z Manhattanu?

— Tak jak my wszyscy — śmieje się Sally. — Chociaż to nie do końca prawda. Chris na przykład nigdy nie mieszkał na Manhattanie, ale ja tak. Większość z nas tam mieszkała przed małżeństwem i ustatkowaniem się.

— Wydają się bardzo mili — kłamie Alice, za wszelką cenę pragnąc dowiedzieć się czegoś o Kay, a zwłaszcza czy powinna się jej strzec, nie chce się z tym jednak zdradzić. Wie, że powinna spytać Ginę, lecz boi się, że Gina mogłaby zacząć podejrzewać, iż Alice nie do końca ufa Joe, zdążyła już bowiem poznać ją dostatecznie dobrze.

— O tak. A dzieci mają po prostu uroczę. Kay prowadzi drużynę tenisową dla wszystkich nowo przybyłych. Może cię to interesuje?

— Tenis? Nie, w to się nie bawimy.

— Naprawdę? A w co się bawicie? Alice zaczyna się śmiać.

— No wiesz, kiedy się mieszka w centrum Londynu, raczej trudno jest uprawiać czynnie jakiś sport. Ale Joe uwielbia chodzić na siłownię, a ja dosłownie zbzikowałam na punkcie ogrodu.

— Mamy też klub ogrodników — wykrzykuje radośnie Sally. — Powinnaś kiedyś wpaść. Zapraszamy gości na prelekcje, a wiosną organizujemy zawsze wielką sprzedaż roślin. Właśnie w przyszłym tygodniu będzie wykład, jak jesienią sadzić wiosenne kwiaty. Koniecznie musisz przyjść.

— Hm — mruczy niezobowiązująco Alice, w duchu myśląc sobie, jakie to potwornie prowincjonalne. — Brzmi interesująco.

Sally parska śmiechem.

— Pamiętam, że zareagowałam dokładnie tak samo, kiedy się tu wprowadziliśmy. Wiem, że to brzmi okropnie, ale to najlepszy sposób, żeby poznać nowych ludzi.

Alice oblewa się rumieńcem.

— Wybacz. Zachowałam się jak ostatni snob?

— Jak my wszyscy, kiedy tu przyjechaliśmy. Po prostu trzeba przywyknąć do małomiasteczkowego stylu życia. Jest zu-

pełnie inny i na początku mamy się za kogoś lepszego, jak wszyscy, którzy świeżo przyjeżdżają tu z Upper East Side albo z...? — Spogląda na Alice pytająco.

— Z Belgravii.

— No właśnie. Ale ani się obejrzysz, jak zrobimy z ciebie stuprocentową dziewczynę z Highfield.

Alice wynosi na zewnątrz pomidory i częstuje się piwem, jednocześnie starając się zwalczyć niepokój, jaki rodzi w niej widok Kay, nadal pogrążonej w ożywionej rozmowie z Joe. Jej mąż James zostawił ich samych, poszedł bowiem pomóc Chrisowi przy grillu.

— Kochanie — mówi Joe i z czułym uśmiechem przyciąga do siebie Alice, tym samym niszcząc w zarodku wszelkie dręczące ją obawy. — Kay opowiadała mi właśnie o drużynie tenisowej. Pomyślałem sobie, że i ja mógłbym spróbować.

Alice zaczyna się śmiać, czując, jak pod wpływem demonstracji uczuć męża jej napięcie znika.

— Drużyna tenisowa? Od kiedy grasz w tenisa?

— Och, przez wiele lat grałem w tenisa — broni się Joe. — Choć muszę przyznać, że nie szło mi najlepiej. Ale Kay mówi, że szukają nowych graczy, a poza tym chętnie nawiążę nowe znajomości.

— Może i ty spróbujesz? — Kay z uśmiechem zwraca się do Alice, która z miejsca się orientuje, że jakkolwiek własnemu mężowi mogłaby ufać, przed tą kobietą powinna się mieć na baczności. Jej usta się uśmiechają, ale wyraz oczu ma zimny i wyzywający, a mowa jej ciała — w tej dziedzinie Alice stała się już ekspertem — skierowana jest wyłącznie do Joe, zdradzając wyraźne nim zainteresowanie.

— Nie gram w tenisa — odpowiada Alice, starając się ukryć zdenerwowanie. — Ale chyba mogłabym się nauczyć.

— Kochanie, byłabyś beznadziejna — śmieje się Joe. — Nie masz za grosz koordynacji oko-ręka.

— Wielkie dzięki — mówi Alice, po czym dodaje kokiet-

ryjnie i zupełnie nie w jej stylu: — Co prawda ubiegłej nocy raczej się nie uskarżałeś.

Kay unosi brew i z uśmiechem się wycofuje.

— Idę po coś do jedzenia. Było mi miło.

Kay potrafi poznać godnego siebie przeciwnika. Miał to być tylko niewinny flirt, Joe jest atrakcyjny, lecz jego żona najwyraźniej nie lubi, żeby rozmawiał z atrakcyjnymi, nie, powiedzmy wprost, pięknymi kobietami.

Odrzucając włosy, Kay podchodzi do stołu i nakłada sobie sałatkę. Odwraca się i dostrzega Joe, przyglądającego się jej pośladkom. Uśmiecha się do siebie i prostuje, w pełnej krasie prezentując swoje wspaniałe kształty, niby to nieświadoma jego wzroku.

„Dobrze, że się tak ubrałam” — myśli sobie. Wiedziała, że warto było włożyć wysokie obcasy.

W normalnych okolicznościach Kay nie byłaby w jego typie. Trochę zbyt pewna siebie, a poza tym brunetki nigdy zbyt go nie pociągały, choć przecież czasem musi zdarzyć się odstępstwo od reguły. Im dłużej jednak przebywa na Manhattanie, tym bardziej przyzwyczajają się do tych silnych kobiet, doskonale wiedzących, czego chcą, i z przerażającą konsekwencją dążących do obranego celu.

No i szczerze mówiąc, Kay ma to, co Joe zwykł określać jako „prezencję”. Oczywiście wie, że ona ma męża, który na dodatek wydaje się całkiem sympatyczny, choć może nieco nudny, jest też trójka dzieci, lecz nie da się ukryć, że Kay nie protestowałaby zbyt. Coś było w niej takiego, błysk w oku, uniesiona brew, cień sugestii podczas najzwyklejszej zdawałoby się rozmowy o przeprowadzce do Ameryki.

Coś mu mówiło, że ona się nudzi i że mąż już jej nie podnieca, i gdyby na jej drodze stanął wysoki, ciemnowłosy przystojniak, na dodatek czarujący i mówiący z angielskim akcentem, więcej niż chętnie skorzystałaby z okazji.

W tej chwili Joe nie myśli o niczym więcej poza zwykłym,

niewinnym flirtem. I chociaż Alice nie jest już tą samą Alice, on nadal stara się być wiernym mężem, wciąż traktuje przyjazd do Ameryki jako nowy początek, co oboje tak solennie sobie przyrzekli.

Czyż nie jest jednak miło dostrzec ten błysk w oku, to niedwuznacznie miłe spojrzenie? Chryste—już prawie zapomniał, jak je rozpoznać. Dobrze jest też wiedzieć, że on sam nadal jest równie pociągający jak w Londynie (przez chwilę bowiem zaczął w to wątpić). Poza tym: cóż w tym złego, czy popełni przestępstwo, grając z nią w tenisa? Może się założyć, że w kusej tenisowej spódniczce Kay wygląda oszałamiająco, z tymi długimi, opalonymi na brąz nogami w krótkich skarpeteczkach.

Podziwiając jej pośladki i wyobrażając ją sobie w stroju do tenisa, Joe czuje narastające w nim podniecenie, widzi, jak Kay rzuca mu ukradkiem spojrzenie, po czym udaje, że niczego nie zauważyła, lecz pręży się, prezentując w pełnej krasie obfite piersi pod obcisłym T-shirtem.

Nie jest w jego typie, ale naprawdę niezła z niej sztuka. Podoba mu się, że najwyraźniej dba o siebie. Urodziła trójkę dzieci, a mimo to brzuch ma płaski i twardy jak nastolatka i doskonale zdaje sobie sprawę, że jest seksowna i atrakcyjna.

Joe uśmiecha się do siebie, odwraca i pociąga spory łyk piwa. Będzie musiał znaleźć w tym tygodniu jakiś sklep sportowy na Manhattanie. Kupi ze dwie rakietki tenisowe i spodenki. I oczywiście buty. Boże. Ostatni raz miał na nogach adidas-y chyba ze dwadzieścia lat temu.

Hmm. Wygląda na to, że życie na wsi niekoniecznie musi być nudne.

Mieszkając w dużym mieście, człowiek zapomina, jak ciemne potrafi być niebo nocą. Gdy w małym miasteczku w Connecticut zmierzch przechodzi w noc, Alice oczarowana wpatruje się w gwiazdy. Zapalone zostały świece i latarnie, część dzieci posnęła w swoich wózkach, reszta, zapomniawszy o bożym świecie, ogląda *Shreka* na wielkim telewizorze w pokoju w piwnicy.

Dla ochrony przed zimnem kobiety zarzuciły na ramiona kolorowe, ręcznie robione swetry lub cienkie kurtki, ale mimo to wszyscy z wolna przechodzą do kuchni i salonu, panowie zasiadają na wielkich, miękkich kanapach, panie typowo po kobiecemu tłoczą się w kuchni, czyszcząc naczynia i wkładając je do zmywarki, gawędząc przy tym o szkołach, do których chodzą ich dzieci, i o tym, jak im się tam podoba.

— Hej, wszędzie cię szukam.

Gina wyszła na zewnątrz po ostatnią miskę po sałacie i dostrzega Alice wyciągniętą na rattanowym leżaku. Alice odwraca głowę i uśmiecha się do niej.

— Właśnie sobie myślałam, jak tu jest cudownie. Popatrz na to niebo. Chyba w życiu nie przywyknę do tej wiejskiej ciemności.

Gina uśmiecha się i przysiada na oparciu leżaka.

— Ile razy mam ci powtarzać, że to nie wieś, tylko przedmieście?

— Nie dla mnie. Na przedmieściach w Anglii nie spotyka się saren ani szopów.

— Nie? A co?

— Głównie rzędy domów-bliźniaków i podrasowane fordysy escorty.

— Brzmi zachęcająco — parska śmiechem Gina.

— Po prostu coś pięknego — wtóruje jej Alice. — Koniecznie musisz zobaczyć, jak następnym razem wybierzesz się do Anglii.

— No. — Gina zniża konspiracyjnie głos i nachyla się ku Alice. — Co sądzisz o naszych sąsiadach?

— Wszystkich czy którychś w szczególności?

— Nie, ogólnie. Mili, prawda?

— Sally jest urocza. Aż trudno uwierzyć, że tak wspaniale wszystko przygotowali. No i jesteście tacy na luzie.

— To prawda. Sally i Chris są wspaniali. Z kim jeszcze rozmawiałaś?

— Chwilkę z Kay.

— Ach. Kay.

Alice spogląda na nią badawczo.

— Co ma oznaczać ten ton?

— Jaki ton? — Gina udaje niewiniątko.

— Och, przestań. Powiedz, o co chodzi? Jest wredna?

— Nie, nie wredna. — Gina rozgląda się, czy ktoś przypadkiem nie znajduje się w pobliżu. — Wydaje mi się, że trochę jej brak pewności siebie.

— Coś ty? Przecież jest piękna.

— Owszem, ale widziałaś, jak się ubrała? Te obcasy? Na grilla w niedzielne popołudnie? Daj spokój! A poza tym flirtuje z wszystkimi mężczyznami.

Alice oddycha z ulgą.

— Chcesz powiedzieć, że nie ma ochoty na romans z Joe?

— Nie wydaje mi się. Traktuje w ten sposób i George'a, i Chrisa, i Sama, i w ogóle każdego, kto nosi spodnie.

— A mnie się wydawało, że flirtuje z Joe, i prawie zwariowałam.

— Boże, zupełnie niepotrzebnie. George uważa, że jest zabawna. Ja osobiście myślę, że mu to schlebia, ale to w końcu tylko Kay. Musi czuć, że się podoba.

— A jej mąż? Nie przeszkadza mu to?

— Jamesowi? Według mnie on sam zaleca się do każdej.

— Och. — Alice robi smutną minę. — Do mnie się nie zalecał. Gina parska śmiechem.

— Nie traktuj tego tak osobiście. Nie robi tego, kiedy mąż jest w pobliżu.

— Ach. Całe szczęście. Od razu poczułam się lepiej. Myślisz, że posuwają się dalej czy też to tylko taka zabawa?

— Chciałabym powiedzieć, że to zabawa, ale tutaj nigdy nic nie wiadomo.

— Nie rozumiem.

— No wiesz, w latach siedemdziesiątych odbywały się tu naprawdę huczne przyjęcia kluczowe.

— Przyjęcia kluczowe? A cóż to takiego, na miłość boską?

— No wiesz. — Gina spogląda na Alice z niedowierzaniem. — Wszyscy zostawiają swoje klucze na stoliku, potem biorą cudze i idą z nimi do domu.

— Ach, mówisz o przyjęciach s w i n g u j ą c y c h .

— Właśnie.

— Jak w tym filmie — *Burza lodował*

— Dokładnie! To się zaczęło niedaleko stąd, w New Canaan.

— Nie! I naprawdę tak było?

— Złotko, ja w tym nie uczestniczyłam, ale tak mówią. Alice zaczyna się śmiać.

— Chciałabym zobaczyć, jak rzucasz na stół swoje klucze przed Jamesem, i ciekawe, co on by zrobił.

— Jasne. Pewnie by je wziął i co potem?

— No wiesz, jest całkiem, całkiem...

— Tak jak Joe, co wcale nie znaczy, że człowiek ma się z nim ochotę przespać.

— Ale gdybyś nazywała się Kay? Gina się śmieje.

— Jak mi Bóg miły, gdyby ktoś naprawdę tak się wobec niej zachował, uciekłaby gdzie pieprz rośnie. Ona po prostu lubi zwracać uwagę.

— Podobnie jak mój mąż.
— No proszę. A myślałam, że jestem wyjątkiem.
Alice uśmiecha się rozbawiona. Gina wstaje i wyciąga do Alice rękę.
— Chodź, wszyscy już się na pewno zastanawiają gdzie też się podziałyśmy.
— No i znowu powstaną plotki.
— Masz rację — śmieje się Gina. — Ale by mieli używanie.
— Słyszałem, że kupiliście dom Rachel Danbury. — Tom stawia swoją filiżankę z kawą na stoliku i siada obok Alice.
— Tak — odpowiada grzecznie Alice. — Znasz go?
— Nie, domu nie, ale wiem, że ona była tu dobrze znana w latach dwudziestych i trzydziestych.
— Podobno. Chciałabym gdzieś zdobyć egzemplarz *Krętej drogi*.
— Spytaj Jamesa. James! — woła Tom. — Masz *Krętą drogę*, prawda?
— Jasne — kiwa głową James. — Dobra stara Rachel Danbury.
— Znałeś ją?
— Nie, ale dużo słyszałem. — James siada po drugiej stronie Alice i opiera się wygodnie. — Pamiętam też jak przez mgłę, że kiedy byłem mały, pokazali mi ją. Ale znali ją moi dziadkowie, chociaż po wydaniu książki przestali z nią rozmawiać.
— Gdzie mogłabym zdobyć tę książkę? Bardzo chciałabym ją przeczytać.
— Chętnie ci pożyczę.
— Naprawdę? Och, byłoby cudownie!
— Podrzucę ci w tym tygodniu.
— Jesteś bardzo uprzejmy.
— Będziesz tu przez cały tydzień?
— Joe wraca jutro do miasta, a ja albo pojedę z nim, albo dopiero we wtorek i wrócę w piątek, ale możesz mi ją zostawić

na ganku. — Mówiąc to, Alice uśmiecha się do siebie, zastanawia się bowiem, czy prawdą było to, co mówiła Gina. Czy rzeczywiście spróbuje się do niej zalecać, kiedy będzie sama, bo jak na razie jego zachowanie niczego podobnego nie sugeruje.

— Dobra — uśmiecha się James. — Tak zrobię.

Alice już ma go poprosić, by opowiedział jej trochę więcej o Rachel Danbury, gdy staje przed nią Joe.

— Kochanie — mówi. — Jutro muszę złapać pociąg śmierci o piątą trzydzieści, więc chyba pora na nas.

— Oczywiście. — Alice wstaje i zaczyna się żegnać.

— I co myślisz? — Alice opuszcza książkę na kolana i czeka, żeby Joe wyszedł z łazienki.

— Było wspaniale.

— Owszem, mnie też bardzo się podobało. Mili są, prawda?

— Nawet bardzo.

— Kto ci się podobał najbardziej?

— Boże, Alice. Muszę iść spać. Możemy o tym porozmawiać jutro?

— Jutro cię tu nie będzie. Wracasz do miasta.

— No właśnie. I dlatego teraz muszę już iść spać.

— Dobrze już, dobrze — naburmuszą się Alice.

Joe gasi swoją lampkę nocną i wchodzi do łóżka. Nachyla się i całuje ją szybko w policzek, po czym wraca na swoją stronę i zamyka oczy.

— Joe? — szepcze Alice pięć minut później, lecz Joe nie odpowiada, już prawie zasypia, marząc sennie o Kay, kortach tenisowych i gorącym, letnim dniu.

Alice budzi przeraźliwy dźwięk telefonu i Snoop, który liżąc ją po twarzy, piszczy, że koniecznie musi wyjść na dwór.

— Cholera.

Szybki rzut oka na zegarek uświadamia jej, że jest już ósma trzydzieści cztery i pęcherz biednego Snoopa na pewno lada moment eksploduje.

Alice biegnie do telefonu, chwytając słuchawkę i przytrzymując ją ramieniem przy uchu, zbiega na dół, prosto do drzwi prowadzących do ogrodu. Otwiera je, wypuszczając Snoopa, który wypada na trawnik i z widoczną ulgą z miejsca się załatwia.

— Halo. Co tak dyszysz? Uprawiasz seks czy co? — Głos Emily dobiega głośno i wyraźnie i słychać w nim nutkę rozbawienia.

— Chciałabym — śmieje się Alice. — Robiłam coś znacznie bardziej ekscytującego, a mianowicie gnałam na dół po schodach, żeby wypuścić Snoopa, zanim zasika mi wszystkie moje drewniane podłogi.

— Cóż za wspaniałe życie wiesz.

— Chcesz wiedzieć, na co teraz patrzę?

— Na sikającego psa?

— Poza sikającym psem.

— No mów, niech mnie skręci z zawiści.

— Widzę cudownie niebieskie niebo, setki drzew, słońce i, zaczekaj chwilę...

— Dlaczego?

— Bo idę na drugą stronę domu. O, już jestem. Widzę skąpany w słonecznym blasku mój własny, prywatny staw.

— Boże, niedobrze się robi.

— A ty skąd dzwonicz? Z Brianden czy z Londynu?

— Powiem ci, co ja widzę przez okno. Rany! Samochód z roztrzaskaną szybą, cały chodnik jest w potłuczonym szkle i, momencik, tak jest, w bramie siedzi skulony jakiś bezdomny, a po ulicy, czy to możliwe? Tak, nigdy byś nie uwierzyła, ale po ulicy fruują sterty śmieci.

— To znaczy, że jesteś w Londynie.

— Najwyraźniej tak. Chociaż Bóg jeden wie dlaczego. W taki ponury dzień powinnam zaszyć się w Brianden z dobrą książką i ogniem huczącym w kominku.

— A co u ognistego kochanka?

— Czyżbyś miała na myśli młodego Harry'ego?

— Nie wiem — uśmiecha się Alice. — Czy on j e s t ognistym kochankiem?

— Nie wiem, czy ognistym, ale na pewno kochankiem, i na dodatek uroczym.

— Prawdziwa miłość? Głos Emily robi się poważny.

— Wydaje mi się, że chyba go Kocham, ale czy to na pewno ten właściwy? Tego nie wiem.

Alice jest wstrząśnięta.

— O, coś nowego. Co się dzieje?

— Nic. Harry jest cudowny, układa się nam świetnie, po prostu nie wiem, czy to na pewno to. Nawet nie jestem pewna, czy to ma jakieś znaczenie. Póki co, bawię się nieźle i wierzę, że nikt nie zjawia się w naszym życiu bez powodu i na pewno wiele się od niego mogę nauczyć, i bez względu na to, czy coś z tego wyjdzie, czy też nie, jest fajnie.

— Em, w życiu nie słyszałam, żebyś mówiła coś takiego.

— Może w końcu zaczynam dojrzywać do związku. Zawsze wybiegałam naprzód, a teraz uczę się żyć dniem dzisiejszym. No, ale do rzeczy. Słuchaj, wczoraj wieczorem rozmawialiśmy z Harrym i oboje doszliśmy do wniosku, że przydałyby się nam wakacje, i tak sobie pomyśleliśmy...

— Przyjedźcie do nas! Musicie do nas przyjechać! — Alice dosłownie wrzeszczy do słuchawki i Emily zaczyna się śmiać.

— Mieliśmy nadzieję, że tak właśnie powiesz. Strasznie się za tobą stęskniłam, a poza tym ani Harry, ani ja nie mamy pieniędzy, więc w grę wchodzi lot do Nowego Jorku i darmowe lokum u ciebie albo wczasy w Birmingham.

— No cóż, Birmingham chyba będzie o wiele lepsze.

— Może Harry mógłby zaprezentować ci swoje wyjątkowe stolarskie talenty.

— Rzeczywiście są takie wyjątkowe?

— Jak by ci to powiedzieć... Siedzę właśnie we wnęce okiennej jego roboty i patrzę na nowe półki na książki, które zrobił nie dalej jak wczoraj po południu.

- I wciąż jeszcze nie wiesz, czy to ten właściwy? Odbiło ci?
- Małżeństwo to coś więcej niż wnęki okienne i półki na książki.
- Kocha zwierzęta.
- To też jeszcze nie wszystko.
- Ale niewiele więcej.
- Możemy się tym teraz nie zajmować?
- Och, przepraszam, przepraszam. Ale zdajesz sobie sprawę, że kiedy przyjedziesz, to sobie ciebie pożyczę i bez litości wszystko wyduszę?
- Tak, tak, wiem aż za dobrze. To cena, którą przyjdzie mi zapłacić.
- Och, Em, nawet nie wiesz, jak się cieszę! Kiedy chcecie przyjechać?
- Jakie macie plany na święta?
- Święta! Przecież święta są za tysiąc lat! Myślałam, że przyjdziecie już w przyszłym tygodniu.
- Posłuchaj, listopad jest tuż-tuż, a gwiazdka raptem za dziewięć tygodni. To prawie jak w przyszłym tygodniu.
- Masz rację, zanadto się podniecam. Możemy razem wybrać choinkę, razem ją ubrać i w ogóle świetnie się bawić.
- Emily kręci z niedowierzaniem głową.
- Ali, wiem, że ty o tym wiesz, ale ja już dawno skończyłam dwanaście lat.
- I co z tego? Święta będą cudowne! Och, już się nie mogę doczekać!
- Nie chcesz spytać Joe, co on o tym sądzi?
- Daj spokój, będzie zachwycony.
- Myśleliśmy, żeby przyjechać przed Wigilią i zostać do Nowego Roku, ale chcielibyśmy spędzić także trochę czasu w Nowym Jorku, pójść na jakieś przedstawienie, zaszaleć w sklepach...
- Zdaje się, mówiłaś, że nie masz pieniędzy?
- Nie mam, ale jak mus, to mus. Więc co ty na to?

— Myślę, że to najwspanialszy prezent gwiazdkowy, jaki mogłabym od ciebie dostać.

— Spokojnie, jeszcze nie przyjechaliśmy. Kto wie, może będzie okropnie?

— To absolutnie niemożliwe. Powiedz Harry'emu, że już nie mogę się doczekać, żeby was oboje zobaczyć. Psiakrew, a to kto?

— Kto co?

Na widok wielkiego czarnego auta, wjeżdżającego na jej podjazd, Alice krzyżuje ramiona.

— Stoję tu w samej tylko piżamie — szepcze do Emily — a ktoś w wielkim jak stodoła samochodzie właśnie zatrzymał się przed moim domem. Nie mam zielonego pojęcia, kto to może być, a nie mogę przecież uciec do domu, bo wyjdę na kompletną kretynkę.

— W jakiej piżamie? Grubej flanelowej czy seksownej, z przezroczystego szyfonu?

— Seksownej, z przezroczystego szyfonu? Za kogo ty mnie uważasz, jakąś Barbarę Windsor? Mam nadzieję, że nic przez nią nie widać, chociaż jest z cienkiej bawełny. — Alice obronnym gestem przysłania ręką piersi, przez przyciemnione szyby starając się dostrzec, kto siedzi w samochodzie, który właśnie się zatrzymał.

— Muszę kończyć — mówi do Emily, widząc wysiadającego z auta Jamesa.

James trzyma w ręce książkę i na widok Alice uśmiecha się szeroko, nie wierząc własnemu szczęściu, że oto udało mu się przyłapać piękną sąsiadkę w tak uroczym stroju. Wiedział, że jest zgrabna, ale nie przypuszczał, że aż do tego stopnia.

— Zadzwoń do ciebie później — szepcze Alice do słuchawki, ze sztucznym uśmiechem machając Jamesowi na powitanie. — Trzymaj się, ściskam cię mocno.

Pięć minut później udaje się Alice umknąć na górę po szlafrok i kiedy wraca, by zaparzyć Jamesowi kawę, nie czuje się już taka obnażona.

— Mam nadzieję, że nie przyszedłem nie w porę — mówi James, nachylając się i wspierając łokciami o kuchenny blat. — Bałem się, że zapomnę, więc z samego rana włożyłem książkę do samochodu i pomyślałem sobie, że ci ją podrzucę w drodze do pracy. A gdzie Joe?

— Och, pojechał pociągiem o piątej trzydzieści rano.

— Koszmar. Zupełnie nie rozumiem tych facetów, którzy decydują się dojeżdżać do pracy. Zwłaszcza kiedy w domu zostawiają takie urocze żony.

Alice postanawia nie komentować tej ostatniej uwagi.

— A ty? Gdzie pracujesz? — pyta uprzejmie.

— Słyszałaś o Sunup?

— Centrum ogrodnictwa?

— Właśnie. Szkółka. To moje.

— Doprawdy? Nie miałam pojęcia. Ciągle tam jeżdżę, ale ciebie jeszcze ani razu nie widziałam.

— Niestety o tej porze roku zajmuję się głównie papierkową robotą i cały czas siedzę w biurze, ale jak będziesz następnym razem, koniecznie do mnie zajrzyj.

Alice przypomina sobie słowa Giny i uśmiecha się w duchu do siebie.

— Nie wyglądasz na ogrodnika — mówi.

— Nie? A jak według ciebie wyglądają ogrodnicy?

— No, chyba mają ubłocone buciory i ziemię za paznokciami?

— Powinnaś zobaczyć mnie w lecie. Wtedy wyglądałam dokładnie tak, jak przez siedemdziesiąt procent roku. Kay tego nie znosi.

Alice uznaje, że pora zmienić temat. Bierze książkę, chwilę przygląda się okładce, potem otwierają i przerzuca parę pierwszych stron. Dedykacja brzmi: „Dla Jacksona, który za rękę prowadził mnie drogą”.

— Co to znaczy? — pyta Alice, podnosząc wzrok na Jamesa, który przez cały czas bacznie ją obserwuje. — Czy Jackson był jej mężem?

— Musisz przeczytać książkę, wtedy wszystkiego się do-

wiesz. To w zasadzie jej autobiografia, mająca udawać fikcję, choć to akurat niezbyt jej się udało. Mąż w książce jest dokładnie taki sam, jaki był w rzeczywistości, a na wypadek, gdyby cię to interesowało, moi dziadkowie w powieści noszą imiona Jean i Eddie.

— Twój dziadek miał na imię Eddie?

— Nie. Naprawdę nazywał się Andrew Rollingford III, ale w *Krętej drodze* nazywa się Edward Rutherford III.

Alice parska śmiechem.

— Dość duża zbieżność.

— No właśnie. Nigdy nie było cienia wątpliwości, kto jest kim.

— Czy ktoś podał ją do sądu?

— Może trudno w to uwierzyć, ale dawno temu Ameryka nie była tak skłonny do pieniactwa społeczeństwem jak dzisiaj.

— Innymi słowy ludzie nie wjeżdżali w drzewo, żeby je potem oskarżyć, że wyrosło w złym miejscu?

Teraz śmieje się James.

— Doskonale to ujęłaś. Nie, nikt jej nie zaskarżył, ale też nikt się do niej nie odzywał przez całe lata, co w tak małym środowisku było równie okropne, jeśli nie gorsze.

— I co zrobiła?

— W końcu wyprowadziła się na północ, do Old Saybrook.

— Uciekła? Jestem zaskoczona.

— Zaskoczona? A to czemu?

— Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale odkąd mieszkam w tym domu, wiedząc, że i ona w nim mieszkała, czasami mam wrażenie, że ją znam, wiem, co sobie myślała.

James unosi brwi.

— O Boże. Mówiłam ci, że to dziwne. Pewnie dlatego, że wciąż ten dom remontuję i za każdym razem, gdy coś odkryję, jak na przykład tę boazerię na ścianie, ukrytą tam chyba od lat sześćdziesiątych, myślę sobie: tak, Rachel Danbury to by się podobało.

— Nie. Coś w tym jest. Ale dość już o Rachel Danbury. Chciałbym się dowiedzieć czegoś o tobie. Nieczęsto trafia nam

się taka śliczna sąsiadka, a już na pewno nie z takim uroczym akcentem. Jak to się stało, że tu trafiliście?

Śliczna i urocza. Alice nie może powstrzymać uśmiechu. Zaleca się do niej? Nie, jeszcze nie, ale ze sposobu, w jaki na nią patrzy, jasno wynika, że mu się podoba, i chociaż Alice nigdy by z nikim nie flirtowała ani nie dawała do zrozumienia, że jest zainteresowana czymś więcej niż zwykłą znajomością, nie może powiedzieć, że nie jest jej przyjemnie pić kawę z atrakcyjnym mężczyzną który mają za śliczną i uroczą. Poza tym, gdyby to Kay do nich wpadła i zamiast niej zastała Joe, Alice nie miała cienia wątpliwości, że na pewno napiliby się razem kawy.

Przynajmniej.

— To długa historia — mówi z uśmiechem. — Może masz ochotę na kawałek ciasta? Sama piekłam.

James zrobił wielkie oczy.

— Sama piekłaś? Boże, na dodatek kucharka. Czy jest coś, czego nie potrafisz?

— Nie mów nikomu. — Alice ścisza głos. — Ale koszmar nie prasuję.

— Uważam, że to dopuszczalne. — James puszcza do niej oko.

A Alice czuje, że choć bardzo tego nie chce, rumieni się, ku swemu wielkiemu zdumieniu.

— Jak ci minął dzień? — Alice podwija pod siebie nogi i opada na poduszki, odkładając książkę.

— Męcząco. — Joe prostuje się na krześle i zamyka komputer. — Słowo daję, pociąg o piątej trzydzieści to prawdziwy koszmar. Dzięki Bogu, że dzisiaj nocuję w mieście. Muszę się wcześniej położyć.

— Codziennie to powtarzasz, a potem siedzisz aż do *Seinfeld**

* *Seinfeld* — serial emitowany w USA w latach 1989-1998, opowiadający o przekomicznych przygodach czwórki przyjaciół. W Polsce emitowany był przez Canal+ pod tytułem *Kroniki Seinfelda*.

— Nie dzisiaj. Dzisiaj zamierzam spać już o dziesiątej. A co u ciebie?

— Niewiele. Rano poszliśmy ze Snoopem na plażę, przy okazji wrzuciłam do skrzynki Sally i Chrisa liścik z podziękowaniem za wczorajszy wieczór i znalazłam przepiękny stary bufet w sklepie ze starociami...

— Bufet? Nie bardzo rozumiem...

— No, kredens. Do kuchni. Ustawia się na nim talerze. Tutaj to nazywają bufet, chociaż z początku nie miałam pojęcia, o czym ta kobieta mówi. Wymyśliłam sobie, że go odmaluję i ozdobię motywem w róże.

— Na pewno będzie prześlicznie — mówi Joe z roztargnieniem.

— Ach, i rano wpadł na kawę James.

— Jaki James?

— James, mąż Kay. To Joe zaciękało.

— A... przepraszam, ale po co?

— Wpadł rano, żeby przynieść mi książkę Rachel Danbury, wypiliśmy kawę i opowiedział mi kilka miejscowych plotek.

— Coś interesującego? — Joe czeka na wzmiankę o Kay, Alice jednak mówi wyłącznie o Rachel Danbury i już po chwili Joe znowu zaczyna się nudzić.

— No dobrze, kochanie. Muszę kończyć, mam jeszcze mnóstwo pracy. — Joe daje znak koledze, który czeka cierpliwie, aż Joe się spakuje i będą mogli pójść na drinka.

— Dokąd się wybierasz?

— Na spotkanie z klientem. W domu powinienem być koło dziewiątej. Przyjeżdżasz jutro?

Alice wzdycha.

— Tak. Myślę, że w porze lunchu.

— Wspaniale. Nie zapomnij, że idziemy do Met na imprezę charytatywną. W co się ubierzesz?

Alice prychnęła zniecierpliwiona. W Londynie Joe nigdy nie interesowało, w co się ubierze, byleby tylko wyglądała pięknie.

— Nie martw się — mówi, wiedząc, jak bardzo go martwi, że prawie cały czas chodzi teraz w dżinsach i sportowych butach. — Nie w dżinsy i szarą bluzę, możesz być spokojny.

— Nie wygłupiaj się, przecież wiem, że nie, i nie o to mi chodziło. — Mimo to oddycha z ulgą. — W czarnym jest ci do twarzy — dodaje, na wypadek gdyby postanowiła ubrać się w drelichowe spodnie khaki.

— Wiem, wiem, a poza tym w Nowym Jorku wszyscy noszą się wyłącznie na czarno. Chyba włożę sukienkę od Ralpha.

Joe nie ma zielonego pojęcia, jaka to sukienka, ale słysząc imię słynnego projektanta, uspokaja się.

— Doskonale — mówi. — Będiesz królową balu.

Joe wtula twarz w ręcznik i ociera pot z oczu.

— Świetna gra — mówi, uśmiechając się do Kay.

— Ty także nieźle dzisiaj grałeś. — Ona też się uśmiecha. Ściąga gumkę spinającą jej włosy w koński ogon i pozwala im opaść na ramiona, następnie odwraca się, by pomachać na pożegnanie ich partnerom w deblu.

— Spotkamy się w środku — wołają, a Kay i Joe kiwają przytakująco głowami.

— Aż dziw, że tak dobrze dzisiaj grałem. — Joe wstaje i zaczyna zbierać swoje rzeczy. Chowa rakiety do pokrowców, piłki do torby. — Zważywszy na to, że tyle rzeczy mnie rozpraszało.

— Co na przykład?

— To przede wszystkim. — Joe spogląda znacząco na smukłe nogi Kay, po czym wolno podnosi wzrok, aż napotyka jej spojrzenie, zachęcając ją, by zaczęła z nim flirtować, podjęła wyzwanie, w nadziei, że to ona weźmie odpowiedzialność za wszystko, do czego może dojść między nimi w przyszłości.

Kay uśmiecha się kusząco i odrzucając włosy, rusza w stronę budynku klubowego.

— Zawsze do usług — woła przez ramię, idąc już przez kort. — Do zobaczenia w środku.

Tak jest za każdym razem, ilekroć grają w tenisa. Z każdym upływającym tygodniem poczynają sobie coraz śmielej i Joe nie ma już wątpliwości, że Kay jest nim zainteresowana, ale gdy on daje jej do zrozumienia, żeby przejęła inicjatywę, ona tylko się uśmiecha i najwyraźniej wycofuje.

Co prawda, Joe sam nie jest do końca przekonany, czy chce,

żeby sprawy posunęły się dalej. Oczywiście chętnie poszedłby z nią do łóżka — który normalny, pełnokrwisty facet by tego nie chciał — lecz Joe nie jest głupi, a Highfield to małe miasteczko i ludzie aż nadto lubią tu plotkować. Jego ojciec mógł sobie kłaść własne gniazdo, regularnie romansując z sąsiadkami, Joe jednak niezbyt pali się do tego, by stać się tematem rozmów wszystkich okolicznych mieszkańców.

Nadmiar wolności może okazać się jednak bardzo niebezpieczny i im więcej czasu Joe spędza w mieście samotnie, bez Alice, tym bardziej czuje się jak za starych, dobrych, kawalerskich czasów i jego postanowienie, by dochować żonie wierności, zaczyna z każdym dniem słabnąć.

A Bóg mu świadkiem, kobiety tutaj są doprawdy zupełnie inne. Te, które znał w Londynie, były piękne, ale daleko im do tych, które codziennie spotyka na ulicach Manhattanu.

Zadbane do przesady, o lśniących włosach, błyszczących ustach, jędrnych, wysportowanych ciałach, w butach na wysokich obcasach. Czy można więc go winić za to, że nie walczy z pokusą? W końcu Alice nie wywiązuje się ze swoich obowiązków należycie. W Londynie była jego idealną towarzyszką teraz jednak woli całe dni spędzać w starych ubraniach i ciężkich, sportowych butach. Nawet gdy wychodzi wraz z nim do restauracji czy na imprezę charytatywną, Joe wstrzymuje oddech, umierając ze strachu, czy przypadkiem nie przyjdzie jej do głowy zjawić się w dżinsach albo kraciastej koszuli.

Póki co, jeszcze go nie zawiodła, widzi jednak, jak inne kobiety jej się przyglądają, oceniają jej strój, lekceważąc, gdy tylko dostrzegą, że nie ma na sobie najnowszej kreacji od Givenchy czy Galliano. Joe musi ją wtedy wlec do Bergdorfa Goodmana i dosłownie z m u s z a ć, by kupiła coś nowego.

Alice, dawniej tak uwielbiająca zakupy, teraz wydaje się nimi w najmniejszym nawet stopniu nie zainteresowana.

Prawda zaś jest taka, że Alice, bez pamięci zakochana w wiejskim życiu, swoim uroczym małym domku, całkowicie pochłonięta spełnianiem marzenia swego życia, odkrywa, iż za-

czyna się uwalniać spod wpływu Joe. Wciąż go kocha, co do tego nie ma wątpliwości — w końcu jest jej mężem — ale nie odczuwa już potrzeby udawania kogoś, kim nie jest, wyłącznie po to, by zadowolić jego i jego przyjaciół.

Brak poczucia bezpieczeństwa, przemożna potrzeba bycia kochaną akceptowaną ulotniły się gdzieś na trasie z Londynu do Connecticut. Jednocześnie od nowa nauczyła się być szczęśliwą i nie jest to jedyna, zasadnicza zmiana, jaka w niej zaszła. Odzyskała pewność siebie, której przedtem tak bardzo jej brakowało. Nareszcie stała się kobietą dobrze czującą się we własnej skórze.

Również i świadomość, iż Joe przez większą część tygodnia jest na Manhattanie sam (coraz częściej i dłużej, Alice bowiem prawie bez przerwy przebywa na wsi i opuszcza ją nader niechętnie), przestała napawać ją strachem.

Ma wrażenie, że cała wieczność dzieli ją od tamtych dni, kiedy to zarzucała mu, iż ma romans, i cierpiała katusze niepewności, gdy nie odbierał telefonu. Teraz podczas jego nieobecności rzadko zdarza się jej o nim myśleć, dzwoni do niego, tylko jak jej się przypomni lub kiedy chce, żeby odebrał jakąś lampę bądź poduszkę z Gracious Home.

A Joe, przywykły, iż Alice go potrzebuje, zaczyna czuć się odrzucony. Kobiety, które mijają na ulicy, oceniają go chłodnym wzrokiem, uśmiechają się zachęcająco, czasem wdają się z nim w pogawędkę. Jak dotąd tylko uśmiechał się w odpowiedzi, zmuszony rozmawiać, ale dalej się nie posuwał.

Wbrew danemu sobie samemu słowu nie wie, jak długo jeszcze wytrzyma. Inne kobiety są chyba zbyt piękne, zbyt nachalne, a własna żona zbyt odległa lub wręcz nieobecna.

Alice znowu się zakochała, tym razem w swoim nowym życiu na wsi. Czyż wobec tego Joe nie ma prawa znaleźć jakiejś rozrywki dla siebie? — Halo? Jest tu kto?

Alice odkłada *Krętą drogę* na stolik przy łóżku — czy uda jej

się kiedykolwiek przeczytać tę książkę? — i schodzi na dół, gdzie w salonie zastaje Sandy, której podskakujący Snoop koniecznie chce dać buzi na dzień dobry.

— Och, wybacz. Może przyszłam nie w porę?

— Nie wygłupiaj się. Siadaj, proszę. — Alice gestem wskazuje kuchenny taboret, zachwycona nieoczekiwanym towarzystwem. Choć jest bez wątplenia szczęśliwa, ostatnio, gdy Joe i Gina przebywają w mieście, odkrywa, że zaczyna czuć się samotna. Dni wypełnia jej praca — maluje, odnawia, robi zakupy — kiedy jednak robi wszystko, co sobie zaplanowała, musi przyznać, że jacyś przyjaciele by się przydali.

— A ja myślałam, że ciągle się z kimś spotykasz? — zdziwiła się Emily, gdy Alice przez telefon skarżyła jej się na samotność.

— No tak, ale jak na razie to tylko znajomi, nic więcej. Emily wzruszyła ramionami.

— Trzeba czasu, żeby się z kimś zaprzyjaźnić. Cierpliwości.

Alice stara się codziennie gdzieś wychodzić. Jeśli nie po zakupy, to do parku albo na plażę, na długi spacer ze Snoopem. Rozmawia z ludźmi, Snoop jest doskonałym pretekstem do wszczęcia pogawędki, ale przelotna wymiana zdań na temat psa nie wystarczy, by zaprosić kogoś na kawę i zaproponować mu przyjaźń.

Sandy siada i kładzie na kuchennym blacie folder.

— Coś ci przyniosłam. Klub Nowicjuszy.

— Co takiego? — Alice zaintrygowana bierze folder.

— Klub Nowicjuszy. Jest w prawie każdym mieście. Wiem, że to może brzmie idiotycznie, ale nie uwierzysz, ilu znam ludzi, którzy właśnie w ten sposób znaleźli najlepszych przyjaciół.

— Ale co to jest?

— To organizacja dla tych, którzy dopiero co się tu sprowadzili. Co tydzień coś dla nich organizujemy. Spójrz! — Sandy bierze folder i zaczyna go przeglądać. — O, na przykład tutaj. W przyszły piątek jest klubowa kolacja. Co miesiąc się spotykamy na kolacji, za każdym razem u kogoś innego. Zawsze jest jakiś inny temat przewodni i każdy przynosi inne danie. W przyszłym tygodniu kolacja jest w stylu hiszpańskim. Gospodarzami są Julie

i Brad. To oni przygotowują paellę, a cała reszta ma przynieść różne tapas.

— Zapowiada się wspaniale — kłamie Alice, myśląc sobie, że to okropnie prowincjonalne.

— Wiem, wiem — śmieje się Sandy. — Sally mówiła, że tak właśnie powiesz. Ja, kiedy się tu przeprowadziłam, byłam przekonana, że nikomu nie uda się namówić mnie na podobny koszmar, ale jak myślisz, gdzie poznałam moich przyjaciół?

— Poważnie? Normalnych ludzi? Takich, z którymi i tak byś się zaprzyjaźniła?

— Oczywiście! W ten właśnie sposób poznałam Sally i Chrisa.

— Odmowy, zdaje się, nie przyjmiesz?

— Prawdę mówiąc... — Sandy robi zabawną minę. — Nie tylko nie przyjmę, ale potrzebuję partnerki do poprowadzenia Poradnika Domowego i doszłam do wniosku, że właśnie ty...

— Och, bardzo ci dziękuję, czuję się doprawdy zaszczycona

— mówi Alice pełnym powątpiewania tonem. — Ale co to jest ten Poradnik Domowy?

— Co miesiąc organizujemy spotkanie na temat prowadzenia domu. Na przykład kilka miesięcy temu odwiedziłyśmy dom i pracownię dekoratorki wnętrz, która w bardzo ciekawy sposób mówiła o zaprojektowaniu pokoju. Kiedy indziej znowu specjalista od malowania uczył nas, jak naprawić zniszczoną politurę stołu.

— Ojej — tym razem Alice naprawdę jest zainteresowana.

— To by mi bardzo odpowiadało.

— No widzisz! To wcale nie jest takie okropne. Chyba miałam rację, kiedy sobie pomyślałam, że kogo jak kogo, ale ciebie to na pewno zainteresuje. Więc jak, pomożesz mi?

— Będę musiała stać i gadać o niczym z ludźmi, których nie znam? Bo wiesz, w tym nie jestem najlepsza.

— Bzdury opowiadasz. Jestem przekonana, że nadajesz się wręcz idealnie. Och, nie posunęłam się chyba zbyt daleko?

— Skądże. Mów dalej.

— W przyszłym tygodniu jest spotkanie z florystką, która ma nam pokazać różne aranżacje kwiatowe na prośzone obiady. Pani, u której miała się odbyć prezentacja, niestety w tym czasie jest zajęta, ja mam malowanie salonu, więc u mnie też odpada...

— I chciałybyś to zrobić tutaj? Sandy wykrzywia się zabawnie.

— Zgodziłabyś się?

— Naturalnie! Ile osób będzie?

— Jak na razie dostałam cztery odpowiedzi, ale przypuszczam, że w sumie będzie około dwunastu osób.

— Może być. A co ja powinnam przygotować? Drinki? Coś do jedzenia?

— Czy ja wiem, może rzeczywiście coś do picia i jakąś przekąskę. Och, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że się zgodziłaś, poznasz tyle wspaniałych osób.

— Wiesz co, Sandy, dokładnie tego potrzebuję w tej chwili.

— Świetnie. Na to liczyłam. A jeżeli dojdiesz do wniosku, że nikt ci nie przypadł do gustu, przyrzekam solennie więcej cię nie namawiać.

O szóstej we wtorkowy wieczór dom Alice lśni. Na wypolerowanych stołach z drewna czereśniowego stoją wazon-y z przepięknie ułożonymi różami, a Alice, która w żaden sposób nie potrafiłaby przyjąć u siebie kogoś, częstując go jedynie chipsami i orzeszkami, cały ranek spędziła na przygotowaniu wymyślnych przekąsek.

Na półmisku leżą ułożone w wachlarz roladki z boczku, w lodówce chłodzi się satay z kurzych nóżek, a obok misek z soją i piramidki wasabi czekają kalifornijskie bułeczki domowego wypieku.

Snoop został oddelegowany do sypialni — koreczki na stoliku do kawy są dla niego zdecydowanie zbyt wielką pokusą — Alice zaś zapaliła świece zapachowe, które zaczynają właśnie wypełniać pokój wonią pomarańczy i cynamonu.

Ponieważ listopad jest tuż-tuż, ochłodziło się na tyle, że można napalić w kominku, ogień jednak bardzo szybko nagrzewa pomieszczenie, a Alice nie chciałaby, aby dwanaście pań padło na atak serca, więc ustawia w kominku trzy ogromne, zapalone świece.

Kwadrans po szóstej pierwsza zjawia się Sandy.

— Wielki Boże — wykrzykuje, gdy wchodzi, niosąc ogromne pudło.
— Ależ tu pięknie. Wciąż nie mogę się nadziwić, co zrobiłaś z tym domem.

— Dziękuję. — Alice mile polechtana rozgląda się zadowolona wokół.

— Przysięgam, nigdy nie przypuszczałam, że ten dom może tak wyglądać, kiedy pokazywałam ci go po raz pierwszy. — Uśmiecha się do gospodyni. — Jak widać, nie tylko urodą możesz się pochwalić.

— Ja myślę! — wykrzykuje Alice nieco oburzona, ale i zadowolona.
— Ilu osób możemy się spodziewać?

— Ach, nieco więcej, niż się spodziewałam. Myślę, że siedemnastu, ale jest też kilka takich, które zwykle nie dają znać, tylko po prostu się pojawiają, więc trochę nas będzie, ale... rany boskie! — Milknie na widok jedzenia. — Alice, tyle sobie trudu zadałaś! Cóż za przysmaki! Skąd to masz? O Boże. — Sandy łapie się za serce. — Teraz czuję się winna. Miałam ci we wszystkim pomóc, a tylko przyniosłam sernik, kiedy ty przygotowałaś prawdziwą ucztę. Strasznie się wstydzę.

— Przestań się wygłupiać. Zajęło mi to raptem jakąś godzinę.

— Ty to przygotowałaś? Wszystko?

— Tak.

— Nawet sushi?

— Owszem. Uwierz mi, to łatwiejsze niż się zdaje. W poprzednim życiu miałam firmę cateringową więc to dla mnie pestka.

— Coś niesamowitego. Poznajesz kogoś i myślisz, że to tylko zwykła matka albo żona, i do głowy ci nawet nie przyjdzie, że mogła też pracować zawodowo, i nagle się dowiadujesz, że za-

nim tu zamieszkała, prowadziła naprawdę interesujące życie. Nadzwyczaj z ciebie utalentowana dama.

— Albo raczej dama, która nie ma co zrobić z nadmiarem wolnego czasu.

— No, teraz to się zmieni. Znajdziesz tylu nowych przyjaciół, że nie będziesz wiedziała, co się dzieje.

Emily śmieje się tak bardzo, że Alice zaczyna się obawiać, czy przyjaciółka nie dostała przypadkiem jakiegoś ataku.

— Nie wierzę, że ty, moja ukochana wyrafinowana, supere-legancka przyjaciółka, urządziłaś u siebie wieczór poświęcony sztuce układania kwiatów. I na dodatek zostałam członkinią... jak się to nazywa?

— Klubu Nowicjuszy, i to wcale nie jest takie śmieszne — naburmuszą się Alice.

— Och, Ali, kto by pomyślał. Tutaj pozujesz do „Tatlera” jako najpiękniejsza londyńska pani domu, a za chwilę mieszkasz na wsi i z bandą kur domowych uczysz się, jak robić bukiety.

— To są bardzo miłe panie, chociaż — tu głos Alice nieco się zmienia — układanie kwiatów okazało się lekkim niewypałem.

— To znaczy, że nie była to Jane Packer?

— Oj, nie. Raptem jakaś nędzna Interflora. Zrobiła jakiś koszmarek z fioletowej eustomy, jaskraworóżowych gerber, czerwonych jagód i żółtych goździków.

— Co prawda nie mam pojęcia, co to jest eustoma i gerbera, ale kolory rzeczywiście chyba nie były najpiękniejsze.

— No właśnie. Miałam ochotę wstać i zrobić to sama.

— I trzeba było.

— Nie wygłupiaj się. W końcu jestem Brytyjką i w życiu bym się nie odważyła zachować w ten sposób. Chociaż — Alice zaczyna się śmiać — dwie panie spytały ją, jak robi się bukiety, które ustawiłam na stole, i chyba trochę była zła, kiedy przyznałam, że zrobiłam je sama.

— No to pięknie — uśmiecha się Alice.

— W ogóle dom bardzo im się podobał. Myślę, że dlatego

tyle ich przyszło, bo wszystkie chciały zobaczyć dom Rachel Danbury.

— Właśnie, wspominałaś, że dawniej mieszkała w nim jakaś pisarka. Zaczęłaś już czytać jej książkę?

— Tylko kilka stron. Za każdym razem, jak się do niej zabieram, coś mi przeszkadza. Ale w końcu muszę znaleźć czas.

— A wieczorami?

— To wiejskie powietrze dosłownie zwała mnie z nóg. Ledwie przyłożę głowę do poduszki, z miejsca zasypiam.

Emily milczy przez chwilę.

— Alice — mówi w końcu. — Wiem, że to głupie pytanie, ale gdzie podziewa się Joe?

— Co to znaczy: gdzie się podziewa?

— To znaczy, że ostatnio prawie w ogóle o nim nie mówisz. Alice wzrusza ramionami.

— A co mam mówić? W ciągu tygodnia jest w mieście, tu przyjeżdża tylko na weekend.

— Tęsknisz za nim? Alice musi się zastanowić.

— Na pewno brakuje mi towarzystwa, ale tyle mam tu pracy, że w zasadzie nawet o tym nie myślę. Chyba się przyzwyczyłam do samotności, ale — dodaje pośpiesznie — cieszę się, kiedy w weekendy Joe jest tu ze mną.

Alice czuje się w obowiązku to powiedzieć, choć nie jest to tak do końca prawdą. Coraz bardziej przywyka do tego, że mieszka w Highfield sama. Kupuje jedzenie, na które ma ochotę, w telewizji ogląda to, co chce, w łóżku przykrywa się nieograniczoną liczbą kołder i koców.

Wychodzi ze Snoopem na kilometrowe spacery, wałęsa się po sklepach z antykami i komisach, szczęśliwa spędza długie godziny na przywracaniu domowi jego dawnego blasku.

Joe przyjeżdża w piątki wieczorem. Dzwoni do niej z pociągu, oczekując, że bez wahania rzuci wszystko, wskoczy do samochodu i pogna, żeby odebrać go ze stacji. W domu ma na niego czekać świeżo ugotowana kolacja, po zjedzeniu której na-

tychmiast znika w swoim gabinecie — z którego ostatnio korzysta Alice — regularnie strofując żonę za pozostawione na biurku papiery, bałagan i niewłaściwe korzystanie z komputera.

Alice przywykła kłaść się do łóżka o dziesiątej, Joe jednak ogląda do późna telewizję. Upiera się, by nocą okno w sypialni było otwarte, nie bacząc na to, iż Alice wiecznie jest zimno, i nie zgadza się, by przykrywali się więcej niż jedną kołdrą, wobec czego Alice zmuszona jest spać w bluzie i T-shircie.

W sobotę rano, gdy Joe wychodzi na tenisa, Alice czuje ulgę, co jednak kończy się z chwilą jego powrotu. Natychmiast po wejściu do domu Joe idzie pod prysznic, na podłodze w łazience zostawia mokre ręczniki, zachowując się, jakby był u siebie (co naturalnie jest prawdą chociaż Alice od dawna już uważa dom za „swoj”, mieszkanie w mieście zaś za „jego” — co według niej jest jak najbardziej w porządku).

W sobotę po południu Joe zwykle już nudzi się śmiertelnie. Nie chce iść z Alice i Snoopem na ich codzienny długi spacer i poza oglądaniem telewizji lub surfowaniem po Internecie nie potrafi znaleźć sobie żadnego zajęcia.

Niewątpliwie brakuje mu znajomych, czegoś, czym mógłby sobie wypełnić czas, więc Alice zaczęła wysyłać go do miasta po jakieś drobne sprawunki bądź do Mary Beth i Toma z prośbą o pożyczanie wiertarki, w nadziei że zajmą go choć przez jakiś czas.

Joe jest zadowolony jedynie wtedy, gdy weekend na wsi spędzają również Gina i George, niestety jednak, wraz z nadciągającą zimą zjawiają się w Highfield coraz rzadziej.

— Błagam, przyjedźcie w ten weekend — Alice, śmiejąc się, prosi ich przez telefon.

— Przecież jest potwornie zimno — protestuje Gina. — Ciągłe zapominasz, że to dom letniskowy, a nie zamrażarka.

Kiedy jednak George i Gina przyjadą, Joe jest innym człowiekiem. Uzdrawia z George'em światowe finanse, z Giną niewinnie flirtuje, a do Alice, zamiast ze zwykłą apatią i zgryźliwością, odnosi się czule i serdecznie.

W te dni Alice staje się dawną Alice. Z radością przyjmuje

dowody miłości ze strony Joe i rozkoszuje się jakże dobrze znanym uczuciem bycia potrzebną. Joe ze swojej strony cieszy się powrotem starej Alice, Gina bowiem jest naprawdę piękną i elegancką kobietą i Alice — ku nieskrywanej radości Joe — mając w perspektywie spędzenie czasu z Giną i George'em, stara się znacznie bardziej.

Gdy więc Alice mówi Emily, że cieszy się na weekendy z Joe, nie jest tak do końca nieszczerą. Póki będą z nimi Gina i George wie, iż czas upłynie jej miło.

— Ale dość już o mnie — zwraca się z ożywieniem do Emily. — Do waszego przyjazdu zostało raptem niecałe sześć tygodni. Tak się cieszę! Wciąż nie mogę uwierzyć, że przyjeżdżacie!

— Bóg mi świadkiem, że ja też nie. I muszę ci się przyznać, że te wakacje są nam naprawdę potrzebne.

— A Harry? Też się cieszy?

— Tak myślę.

— Tak myślisz? Nie wiesz tego na pewno?

— Jasne, że się cieszy. Ale w tym tygodniu rzadko go widziałam. Musiałam zrobić sobie krótką przerwę.

Alice serce podskakuje do gardła.

— O nie. Chyba nie masz zamiaru zerwać?

— Nie wydaje mi się. Ale tak często się widywaliśmy, że zaczął mi trochę działać na nerwy i zgodnie doszliśmy do wniosku, że pora nieco od siebie odpocząć.

— Emily, błagam, nie zrywaj z nim. On jest taki uroczy.

— Wiem, wiem. To pewnie tylko chwilowe zmęczenie materiału. Jestem przekonana, że kiedy do was przyjedziemy, znowu będziemy szaleć ze szczęścia.

— To znaczy, że na sto procent przyjeżdżacie oboje?

— Zarezerwowaliśmy już bilety, których nie można zamienić ani zwrócić, więc tak, na sto procent przyjeżdżamy oboje.

— Całe szczęście. I przysięgasz, że wtedy między wami wszystko będzie w jak najlepszym porządku?

— Przysięgam. W sobotę wybieramy się na kolację, żeby porozmawiać, i wiem, że się dogadamy.

— A o czym macie zamiar rozmawiać?

— Myślę, że powinniśmy nieco zwolnić, nic ponad to. Mam wrażenie, że czuję się nieco... jakby to powiedzieć... osaczona. Głupie, no nie?

— Wręcz przeciwnie. Jeśli to cię pocieszy, powiem ci, że ja właśnie tak się czuję, kiedy Joe przyjeżdża do domu na weekend.

— Nie brzmi to zbyt dobrze.

— Nie. Sama wiesz najlepiej. O Boże. Znowu narzekam. W zasadzie to nie tyle czuję się osaczona, ile on doprowadza mnie czasami do szału, bo przez cały czas jest koszmarnie znudzony. Nie wie, co ze sobą począć, i oczekuje, że wszystko będę podawać mu na tacy.

— A co ty na to?

— Nic. Nie mam czasu. Właśnie, skoro o tym mowa, kochanie, muszę już kończyć. Idę do Klubu Ogrodnika.

Emily znowu zaczyna się śmiać.

— Rany boskie! Teraz wiem już naprawdę wszystko! Alice Chambers, jesteś niesamowita.

Na tym się żegnają.

Alice w dalszym ciągu nie może uwierzyć, że tak bardzo zaangażowała się w działalność Klubu Nowicjuszy, a co gorsza, że aż tak jej się to podoba. Jak podejrzewała, Klub jest koszmarne prowincjonalny, ale ona zachwycona jest każdą spędzoną w nim chwilą.

W grudniu była runda „ciasteczkowej wymiany” — Alice nie bardzo dawała wiarę, że coś podobnego w ogóle istnieje. Wszystkie panie zostały poproszone o upieczenie kilkunastu ciasteczek i przyniesienie ich wraz z przepisami na wyłącznie damski wieczorek. Gdy spotkanie dobiegło końca, każda z nich wróciła do domu z wypiekami domowej roboty i całą kolekcją przepisów.

Wygląda na to, że życie towarzyskie w podmiejskiej Ameryce skupia się wokół kobiet. Z początku Alice dziwiła się, jak często kobiety spotykają się bez mężów, nie знаła też zwyczaju, zgodnie z którym na przyjęciach panowie zostawiali zwykle w jednym pokoju, panie zaś niezmiennie lądowały w kuchni.

Alice protestowała, szepcząc Ginie do ucha, że jako postfeministyczne dziecko feministki nie ma zamiaru przesiadywać w kuchni, z upływem jednak czasu zaczęła znajdować przyjemność i ukojenie w tej nowej dla niej kobiecej solidarności, wdzięczna za towarzystwo, które dotąd uważała za pozbawione uroku i ograniczone.

Nawet w te dni i wieczory, kiedy Joe bawi w mieście, Alice bez przerwy jest zapraszana na lunchy i kolacje, filmy czy spotkania przy kawie. Ma równie mało czasu jak w Londynie, a mimo to sprawia jej to znacznie większą przyjemność. Wybierając się gdzieś w Highfield, nie musi męczyć się w pantoflach

od Jimmy'ego Choo ani zakładać wdzięcznie jednej odzianej w elegancką pończochę nogi na drugą. Dzisiaj jej garderoba jest najzwyklejsza pod słońcem, a gdy musi się ubrać, wkłada czarne spodnie GAP i sweter od Eddie Bauera.

Ubrania eleganckie — wciąż takie posiada — trzyma w mieszkaniu w mieście. Torebki od Hermesa czy Chanel ułożone są w równym rzędku w garderobie, kaszmirowe swetry od Ralpa Laurena poukładane są starannie kolorami, a szpilki od Christiana Louboutina stoją obok pantofli na płaskim obcasie od J.P. Toda.

Nauczyła się, że dzinsy nie pasują do stylu życia, jaki wie, że ma na Manhattanie, i być może dlatego, iż tak rzadko wybiera się do miasta, ubieranie się odpowiednio do okazji zaczęła traktować jako swego rodzaju zabawę, znajdując wręcz upodobanie w strojeniu się i tempie życia, które do niedawna jeszcze traktowała jako coś oczywistego.

Wraz ze zbliżającymi się świętami Alice coraz więcej czasu spędza w mieście, kupując prezenty, które na pewno sprawią przyjemność jej przyjaciółom i rodzinie. Dla Joe wybrała zegarek Patek Philippe, na który od dawna już miała ochotę. Gina i George na pewno zachwycą się szalikami od Burberry, dla Emily zaś wyszperała w SoHo piękną wyszywaną koralikami torebkę, na widok której przyjaciółka bez wątpienia oszaleje z radości. Harry'emu w prezencie da niewielką ale ślicznie wykonaną skrzynkę z narzędziami, zawierającą wszystko, czego stolarz może potrzebować.

O piątej dziesiątej po południu odźwierny dzwoni do mieszkania i Alice wie, że na dole czekają już Emily i Harry. Chciała jechać po nich na lotnisko, Joe jednak, który wciąż jeszcze nie wrócił z biura, odradził jej to, mówiąc, iż nie tylko na ulicy będzie potworny ruch, ale także gigantyczne zamieszanie na lotnisku, i na pewno sama sobie nie poradzi.

Wobec czego wysłała po nich samochód, Emily i Harry'emu każąc wypatrywać mężczyzn w liberii, który będzie czekał z ich nazwiskami wypisanymi na wielkim kawałku tektury.

Kilka minut po dzwonku słyszy znajome pukanie do drzwi i biegnie otworzyć, lądując prosto w rozpostartych szeroko ramionach Emily.

Długo się obie ściskają, co Harry cierpliwie obserwuje z uśmiechem, po czym, gdy dziewczyny w końcu uwalniają się z objęć, sam wita się z Alice. Wchodzą do mieszkania, co wcale nie przeszkadza obu stęsknionym przyjaciółkom na powrót padać sobie co chwila w ramiona.

— Zachowujecie się jak kochankowie, którzy nie widzieli się od wieków — śmieje się Harry, gdy ściskają się już chyba po raz czwarty.

— Jesteś po prostu zazdrosny — obrusza się Emily. — Przecież to moja jedyna i najlepsza przyjaciółka i okropnie się za nią stęskniłam.

— Odwraca się do Alice, która na próżno stara się powstrzymać łzy ciskające się jej do oczu. — Wiesz, jak bardzo się za tobą stęskniłam?

— Co najmniej w połowie tak bardzo, jak ja za tobą?

— Jasne, co najmniej. A więc tu mieszkacie?

— Chyba tak. Harry, chodź, pokażę wam, gdzie będziecie spali. Zostawicie tam walizki. A potem co chcielibyście robić?

— Musimy wyjść! — wykrzykuje Emily. — Nie wierzę, że jestem tutaj, w Nowym Jorku! Co możemy robić? Gdzie jest Joe? Kiedy zobaczymy drugi dom? Gdzie mogę zrobić najlepsze zakupy?

Alice wybucha serdecznym śmiechem.

— Jedno pytanie na raz. Po pierwsze Joe jest jeszcze w pracy i spotka się z nami na kolacji.

— Jak widzę, pewne rzeczy się nie zmieniły. — Emily unosi znacząco brew, na co Alice jednak nie zwraca uwagi.

— Na kolację idziemy do Gramercy Tavern, a poza tym wy decydujecie. Niczego nie planowałam, bo nie wiedziałam, czy będziecie zmęczeni, ale jutro przed południem możemy iść na zakupy, potem zamówiłam bilety na *Hairspray*. Pomyślałam sobie, że na wieś możemy pojechać albo jutro wieczorem, albo dopiero pojutrze.

— W Wigilię. Masz już choinkę, czy też wybierzemy się na targ, żeby coś wybrać? — pyta ze śmiechem Emily.

— Prawdę mówiąc, w zeszłym tygodniu podjechał pod dom facet z ciężarówką pełną choinek, więc chociaż to może niezbyt romantyczne, wybrałam już drzewko.

— Uważam za to, że nad wyraz praktyczne. Tylko mi nie mów, że już zdążyłaś je ubrać.

Alice uśmiecha się.

— Nie, tę przyjemność zachowałam na Wigilię. Zrobimy to wszyscy razem, we czwórkę. Och, a na Sylwestra idziemy do Sally i Chrisa.

— My też?

— Oczywiście. Sally nie może się już doczekać, kiedy was pozna. Niestety, w Boże Narodzenie nic szczególnego nie będzie się dziać, więc przygotuję przynajmniej lunch jak należy.

— Ze wszystkimi szyszkami, indykiem i dodatkami?

— A jak myślałaś? Co prawda tutaj jest trochę inaczej, tak obchodzą Święto Dziękczynienia, ale święta bez indyka to dla mnie nie święta.

— A kielbaski?

— Też będą!

Harry odwraca się od okna i uśmiecha do Alice.

— Emily mówiła, że zrobiła się z ciebie prawdziwa prowincjuszka, ale ja widzę, że wyglądasz równie pięknie, jak kiedy widzieliśmy się ostatnio. Myślałem, że paradujesz wyłącznie w gumiakach i waciaku.

— Mówiłam, że stała się prowincjuszką — oburza się Emily. — A nie jakąś tam wsiurą na miłość boską. Póki co jednak — zwraca się do Alice — muszę przyznać Harry'emu rację. Byłam przekonana, że przestałaś się malować i nie wychodzisz z džinsów. A tu, proszę, dama na wysokich obcasach i w kaszmirowym swetrze.

— Klnę się na Boga, że tak ubieram się wyłącznie na Manhattanie. Tylko poczekajcie, a sami się przekonacie.

Emily podchodzi do okna i wraz z Harrym spogląda na niebo.

— Jak myślisz? — zwraca się z pytaniem do Alice. — Będzie padał śnieg? W zeszłym tygodniu wspominałaś, że zapowiadają śnieg. Będziemy mieć białe Boże Narodzenie?

— Mówili, że może będzie padał śnieg, chociaż chyba dopiero po Bożym Narodzeniu. Wszyscy miejscowi boją się tego jak ognia, więc nie mogę im powiedzieć, że co wieczór modłę się choć o odrobinę białego puchu. No dobrze. Przejdźmy do spraw bardziej przyziemnych. Co chcecie robić przed kolacją?

Harry tłumi ziewnięcie.

— Wiem, że jestem marudny, ale padam z nóg. Mógłbym się trochę przespać?

Dosłownie walczy z powiekami, które same mu się zamykają, więc Emily szybko wypycha go do sypialni.

— Dobrze — szepcze, gdy drzwi się za nim zamykają. — Już nie mogłam się doczekać, kiedy zostaniemy same. Pójdziemy gdzieś na kawę? Nie wierzę, że jestem w Nowym Jorku, i to z najlepszą przyjaciółką! Chodź, muszę cię jeszcze raz uściskać.

— Dwie duże kawy z odtłuszczonym mlekiem. — Alice wciska się obok Emily za ustawiony w kącie Starbucks stolik.

— Dzięki, Ali. Ten sklep z torbami na pewno będzie jeszcze otwarty?

— Na pewno, masz moje słowo. Nie martw się, zdążysz jeszcze dać upust swojemu zakupoholizmowi. Torby. — Alice kręci głową. — Coś niesamowitego. Dopiero co przyjechałaś do Nowego Jorku i już cię świerzbi, żeby wydawać pieniądze.

Emily wzdycha.

— Wiem, że to koszmar. Najwyraźniej jestem okropna.

— Opowiedz mi wszystko. Opowiedz mi, jak dogadałaś się z Harrym. Znowu wyglądacie na szczęśliwych. Mówiłaś mi to już przez telefon, ale zawsze się śpieszymy i nigdy nie możemy porozmawiać jak należy. Więc teraz opowiadaj.

— On jest cudowny... — zaczyna Emily. I przerywa. — To znaczy, naprawdę jest najwspanialszym facetem, jakiego zdarzyło mi się spotkać.

— Jak się domyślam, zaraz padnie jakieś „ale”, mam rację? Emily krzywi się.

— Zawsze jest jakieś „ale”. I to „ale”... prawdę mówiąc, nie dotyczy nawet jego, tylko mnie.

— Jest za dobry?

— Boże, Ali, właśnie dlatego cię kocham i potrzebuję. Znasz mnie lepiej niż ktokolwiek. Dlaczego, dlaczego jestem aż taką idiotką? Dlaczego o to właśnie chodzi? Ale tak, masz rację. Jest dla mnie zdecydowanie za dobry, a mnie to nudzi. — Gdy padają te słowa, oczy Emily robią się okrągłe, a ona sama zatyka sobie ręką usta. — Psiakrew. Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam.

— Ja także nie. Emily, większość znanych mi kobiet dałaby się pociąć za takiego faceta jak Harry. Jest dobry, zabawny, kocha zwierzęta, a ciebie uwielbia. Ja dałabym się pociąć, żeby takiego znaleźć.

— Więc jak się układa między tobą i Joe?

— Hop, hop, panienko. Nie uda ci się tak łatwo zmienić tematu. Mówię poważnie, Emily. — Emily krzyżuje ramiona na piersiach i, jak zbuntowana nastolatka, wbija wzrok w podłogę. — On jest cudowny. Jak możesz się przy nim nudzić?

Emily przybiera zboląłą minę.

— Wiem, że to brzmi strasznie, ale gdyby choć trochę był draniem, mogłabym się w nim zakochać.

— Ty nie żartujesz, prawda?

— Wiem, wiem. To potworne. Jestem obrzydliwa, ale gdyby choć trochę był wredny albo obiecał i nie zadzwonił, albo przynajmniej pozalecał się do kogoś innego, wtedy na pewno na nowo by mnie zaczął interesować.

— Emily, to chore. Powinnaś się zwrócić do kogoś o pomoc.

— Na przykład do terapeuty? — Alice przytakuje, a Emily wzruszając ramionami, kręci głową. — Nie, nie chcę, a poza tym i tak nie byłoby mnie stać.

— Emily, nie możesz przecież rezygnować z najlepszego faceta, jaki mógł ci się w życiu trafić, tylko dlatego, że masz ze sobą jakieś problemy.

— Wiem — mówi Emily ze smutkiem. — I dlatego właśnie nie mogę z nim zerwać. Bo tak jak ty uważam, że to najlepszy facet, jaki może mi się trafić, i ponieważ ciągle mam nadzieję, że któregoś dnia się obudzę i zakocham w nim do szaleństwa.

— Coś ci powiem, Em, małżeństwo nie zawsze okazuje się tym, za co je uważaliśmy.

— To znaczy?

— To znaczy nauczyliśmy się wierzyć, że ma to być potężna, wszechogarniająca namiętność, że mamy szukać naszej bratniej duszy, drugiej połowy, ale rzeczywistość okazuje się znacznie bardziej prozaiczna i przyziemna.

— Przyziemna? Alice wzdycha.

— Tak, przyziemna. Po pewnym czasie namiętność gdzieś znika i tak naprawdę chcesz być z kimś, kto jest rzeczywiście dobrym człowiekiem, kto cię uwielbia i z kim możesz się zestarzeć. Wiem, że podniecają nas dranie, ale oni się na mężów nie nadają. Uwierz mi.

Emily nie pyta, skąd Alice to wie. Nie musi.

— Wiesz co, Em? Czasami żałuję, że tak bez pamięci zakochałam się w Joe. Czasami mi się wydaje, że o wiele lepiej żyłoby mi się z kimś takim jak Harry.

— Przecież pamiętam, jak to było zaraz po twoim ślubie. Dobra, może i teraz trochę się to wypaliło, ale byłaś taka zakochana, że nie byłaś w stanie myśleć logicznie. Ja też chcę przeżyć coś takiego, powinnam takie właśnie uczucia żywić do faceta, za którego mam wyjść za mąż.

Alice potrząsa głową.

— Nie! Bo nie o to w tym wszystkim chodzi. Takie właśnie uczucia zaślepiają cię tak kompletnie, że nie dostrzegasz prawdy. A Harry jest prawdziwy. I uważam, że stworzony dla ciebie. Myślę, że z nim będziesz szczęśliwa, bo możesz liczyć na długotrwały, wypełniony miłością związek.

— Ale mnie to nudzi — szepcze rozjuszona Emily. — Nudzi, Alice. Wszystko da się przewidzieć, nic mnie już nie pod-

nieca. Jak możesz mi wmawiać, że tak ma być? A jeśli nawet, to i tak ci nie wierzę. A skoro rzeczywiście tak uważasz, to wybacz, ale muszę założyć, że popełniłaś ogromny błąd, wychodząc za miłość swojego życia. Alice milczy.

— No? — nie ustępuje Emily. — Popełniłaś?

— Oczywiście, że nie — odpowiada Alice, chyba nieco zbyt szybko.

— Cóż za idiotyzm. Kocham Joe, bo jest cudownym mężem, ale mężczyźni tacy jak Harry to rzadkość. Po prostu nie chcę, żebyś z nim zerwała, a potem do końca życia tego żałowała.

— Kto tu mówi o zrywaniu?

— Odniosłam wrażenie, że jesteś tego bliska.

— Nie. I w tym właśnie problem. Tyle razy o tym myślałam, ale jak już jestem prawie zdecydowana, coś mnie powstrzymuje, bo naprawdę jest świetnym facetem, a poza tym — wzrusza ramionami — jak już mówiłam, wciąż nie tracę nadziei, że w końcu się w nim zakocham.

— Uważasz, że mądrze zrobiłaś, przywożąc go tutaj?

— Jak najbardziej. Mam przeczucie, że te wakacje to punkt zwrotny — albo w lewo, albo w prawo.

— Wielkie dzięki. — Alice przewraca oczami. — Ja tu planuję cudowne święta na wsi, a okazuje się, że czeka mnie płacz i zgrzytanie zębów.

Emily parska śmiechem.

— Nic z tych rzeczy. Lot mieliśmy wspaniały, więc kto wie, może Ameryka to właśnie to, czego nam trzeba, żeby wszystko wróciło do normy. Chociaż...

— Chociaż co?

— Chociaż jest...

— Co?

Emily krzywi się.

— No, chodzi o to, że poznałam...

— O nie. — Głos Alice brzmi ostro. — Poznałaś kogoś innego?

Emily kurczy się w sobie, który to gest jest aż nadto wymowny.

— Emily, to straszne.

— Nie tak, jak myślisz. Nic się nie stało. W sumie to nawet nie wiem, czy on jest zainteresowany, chociaż podejrzewam, że mógłby. Ale mnie się ten facet podoba niesamowicie, i stąd to całe zamieszanie.

— Emily, zrozum, to, że z kimś jesteś, wcale nie oznacza, że już nikt inny ci się nie podoba. To kwestia wyboru.

— Może dla ciebie, ale ty od pięciu lat jesteś mężatką a my znamy się zaledwie rok, więc nie opowiadaj mi, że to normalne, kiedy ktoś naprawdę ci się podoba.

Alice wzdycha. Cóż, nie da się ukryć, że Emily trafiła w sedno.

— Kto to jest?

— Nowy redaktor w czasopiśmie dla mężczyzn, z którym zdarza mi się współpracować.

— I?

— I jakieś trzy tygodnie temu byliśmy na biznes lunchu.

— I to wszystko? Własny związek stawiasz pod znakiem zapytania z powodu jednego biznes lunchu?

— No, nie. To znaczy, tak. Tam się poznaliśmy i Alice, przysięgam na Boga, nigdy w życiu niczego podobnego nie czułam.

— Em, nie wiem czemu, ale zdaje mi się, że słyszałam to już wcześniej. Nawet na pewno, mówiłaś dokładnie to samo, kiedy poznałaś Harry'ego.

— Nie, Alice. Wtedy to było coś innego. Wiem, że gadam jak rąbnięta, ale jest coś takiego jak bratnia dusza i wydaje mi się, że on jest moją. Poczułam to, kiedy spojrzeliśmy na siebie, a potem siedzieliśmy w tej restauracji, sama nie wiem jak długo, i rozmawialiśmy o wszystkim.

— I na pewno miałaś wrażenie, że znacie się całe życie? — Alice nie udało się ukryć cynizmu w głosie. Kocha Emily, ale też zna ją lepiej niż ktokolwiek i wie, że nie po raz pierwszy przeżywa coś podobnego, i prawdopodobnie nie po raz ostatni. A co ważniejsze, naprawdę lubi Harry'ego i nie chce, żeby Emi-

ly zniszczyła związek, który mógłby być i zapewne jest cudowny, a bez wątpienia najlepszy ze wszystkich, w jakich Emily dotąd żyła.

— Alice! — Emily jest wyraźnie dotknięta.

— Wybacz. Nie chciałam. No, mów dalej. Rozmawialiście o wszystkim.

— Właśnie. I czułam, jakbyśmy się znali przez całe życie. — Gdy to mówi, oczy zaczynają jej błyszczeć i wyraźnie się ożywia. — On jest po prostu niesamowity. I wygląda jak Ben Affleck, przysięgam! Jest wspaniały!

— Wydaje mi się, że Harry'emu też nic nie można zarzucić.

— Nie, Colin jest wspaniały. Alice wybucha śmiechem.

— Ach, więc jest wspaniały i ma na imię Colin. Emily się najeża.

— Co ci się nie podoba w imieniu Colin?

— Nie, nic. Po prostu nie przypuszczałam, że ktoś wyglądający jak Ben Affleck może mieć takie pospolite imię.

— Jest wspaniały, i zabawny, i niesamowicie inteligentny, i... i po prostu niesamowity.

— I to wszystko? Zjedliście razem lunch?

— Tak. A kilka dni później poszłam na pokaz przedpremierowy i przegadaliśmy całą noc.

— Tylko przegadaliście?

— Boże, tak. Byliśmy w restauracji. Ale, Alice, przysięgam, czułam między nami tę niesamowitą chemię.

— Ale dajesz słowo, że nic poza tym się nie stało?

— Nie. To znaczy pocałował mnie na dobranoc, ale bez języczka, żadne takie tam. Taki zwykły całus w usta. Ale w usta, Alice! Myślisz, że to znaczy, że mu się podobam?

— Emily — mówi Alice łagodnie. — Nie wciągaj mnie w to. Nie bawię się w „on powiedział to, więc na pewno mu się podobam, albo popatrzył na mnie tak, więc na pewno myślał o mnie przez cały tydzień”. To nie w porządku wobec Harry'ego.

— Alice, przecież jesteś moją przyjaciółką — jęczy Emily.

— Nikomu nawet słówkiem nie pisałam i już nie mogłam się doczekać, żeby komuś opowiedzieć.

— Nie, Emily. Kocham cię, ale nie chcę patrzeć, jak popełniasz koszmarny błąd. Zawsze będę cię wspierać, bez względu na wszystko, ale proszę, nie zmuszaj mnie, żebym popierała niewierność.

— Przecież ci mówiłam: do niczego nie doszło.

— Na razie.

Zapada długa chwila milczenia, podczas której Emily trawi słowa Alice.

— Dobra — odzywa się w końcu. — Rozumiem. I masz rację, to nie fair wobec Harry'ego i pewnie dlatego czuję się tak fatalnie. Poza tym dowiedziałam się, że Colin jest od pięciu lat związany...

— Co takiego?! — wykrzykuje Alice.

— Spokojnie, spokojnie! Ale jest nieszczęśliwy i tysiąc razy chciał zerwać...

Alice kręci głową z oburzeniem.

— Emily, jesteś już na tyle duża, że powinnaś wiedzieć. Ktoś tu będzie bardzo cierpieć i nie będzie to tylko Harry.

— Dobrze już, masz rację. Chodzi o to, że pewnie i tak do niczego nie dojdzie, a ja po prostu przypomniałam sobie, jak to jest, kiedy człowiek jest sam i odczuwa ten miły dreszczyk podniecenia.

— Nie ma w tym nic złego — mówi Alice. — Nie ma nic złego w tym, że człowiek czasem tęskni za wolnością póki oczywiście nie posuwa się za daleko.

— Wiem, i jak zwykle masz rację. Absolutną. Skoro już o tym mowa, mogę ci przysiąc, że zrobię wszystko, żeby z Harrym nam się ułożyło, i póki jestem z nim, na nic sobie z Colinem nie pozwolę. Zadowolona?

— Nawet na lunch?

— Przecież w czasie lunchu nic się nie stało! — oburza się Emily. — Zresztą, jest moim redaktorem i muszę się z nim spotykać.

— Możesz, ale nie na lunchu. Po prostu spotykaj się z nim w biurze, w obecności innych ludzi. Jeśli dojdiesz do wniosku, że z Harrym nic wam nie wyjdzie i rozstaniecie się, wtedy masz wolną rękę, chociaż ostrzegam cię, pięcioletni związek, szczęśliwy czy nie, nie rokuje zbyt optymistycznie.

— Wygląda na to, że ta jego dziewczyna to wyjątkowa suka.

— Emily! Joe i ja jesteśmy małżeństwem od pięciu lat. Wyobraź sobie, że mówisz o mnie. Pięć lat to kawał czasu. I nie ma znaczenia, czy są małżeństwem, znaczy, że to coś poważnego, i bez względu na Harry'ego na serio bym się zastanowiła, czy warto tu ryzykować.

— Okay. Masz rację. Jeśli przyrzeknę, że przestanę o nim myśleć, będziesz dla mnie miłsza?

— Och, Emily. — Alice śmieje się mimo przygnębienia. — Wiesz, że cię kocham, chociaż nie zawsze cię rozumiem. — Spogląda na zegarek. — Zbieramy się. Wciąż chcesz obejrzeć te torby?

Harry stęka i z trudem otwiera jedno oko. Spał bardzo głęboko, śniąc o tym, jak to wyrывa niekończące się chwasty z ogrodu, który robił się coraz większy, aż zamienił się w wielkie pole.

— Hej, leniu, rusz się. — Emily siedzi na skraju łóżka i potrząsa nim. Nachyla się, by pocałować go w policzek. — Pora wstawać, idziemy na kolację.

— Jezu — bełkocze Harry. — Czuję się, jakbym był naćpany. Chyba zostanę i będę spać dalej.

— A ja mam być piątym kołem u wozu? Nic z tego. Wstawaj. — Emily ściąga z niego kołdrę, więc Harry chowa głowę w poduszkę. — Idziesz ze mną pod prysznic?

Harry uśmiecha się błogo.

— Pod prysznic z tobą? — Spuszcza nogi z łóżka. — Czemu nie mówiłaś od razu?

Joe wbiega do Gramercy Tavern, gdzie witany jest przez obsługę ciepłym uśmiechem, i lawirując pomiędzy stolikami, dociera do siedzących już Alice, Emily i Harry'ego.

Nachyla się i całuje najpierw Alice, następnie Emily, w końcu serdecznie ściska dłoń Harry'emu, odsuwa sobie krzesło i siada.

— Harry, bardzo się cieszę, że znowu się spotykamy.

— Ja też się cieszę, Joe.

— Podróż mieliście udaną?

— Rzekłbym nawet, że wspaniałą.

— Lecieliście British Airways?

— Nie. United. Mieli bardzo dobrą ofertę.

— I co tam słyhać w starym, deszczowym Londynie? Emily przewraca oczami.

— Wciąż pada. A jak żyje się tutaj, we wspaniałym Nowym Jorku?

— Wspaniale — odpowiada Joe z uśmiechem.

— Pytam poważnie — nie daje za wygraną Emily. — Podoba ci się tutaj tak samo jak Alice?

— Nie sądzę, by ktoś mógłby być równie zachwycony jak moja kochana żona. — Posyła Alice czuły uśmiech. — Ale w sumie muszę przyznać, że zmiana wyszła nam na dobre.

Odwraca się i kiwa na kelnera, by zamówić u niego przyprawioną na ostro Krwawą Mary.

— Za czym w Londynie tęsknisz najbardziej? — kontynuuje przesłuchanie Emily.

Joe chwilę się namyśla.

— Chyba za tym, że nie mogę wskoczyć do samolotu i wybrać się na weekend do Europy.

— Ale — wtrąca się Alice. — Tu mamy Karaiby, co też nie jest najgorsze.

— Prawda, ale to niezupełnie to samo. Emily kiwa głową.

— Obawiam się, że tutaj muszę zgodzić się z Joe. Wybacz, ale trudno porównywać Karaiby z Europą. No nic. Mów dalej.

— A więc Europy. No i oczywiście przyjaciół. I tego, że w Londynie wszystko było takie znajome. W Nowym Jorku czuję się wyśmienie, ale nie znam ludzi, których spotykam w sklepie na rogu, jak to było w Londynie. I tęsknię za telewizją.

— Chyba żartujesz! — wykrzykuje Emily, przyjmując menu podane jej przez milczącego kelnera. — Przecież telewizja w Ameryce jest tysiąc razy lepsza. Co powiesz na *Frasier*? Albo *Prezydencki poker*? Wszystko, co najlepsze, pochodzi stąd.

Joe kręci głową.

— Nie. Tak ci się wydaje, bo telewizja brytyjska kupuje tylko najlepsze programy. Ale nie uwierzyłybyś, jaki chłam tu puszczają.

— Czyżbyś godzinami śledziła losy Bionicznej Kobiety? — uśmiecha się Harry, a Alice parska śmiechem.

— Co ty wygadujesz! W zeszłym tygodniu raptem dwa razy włączyłam telewizor i oglądałam filmy z Lindsay Wagner! — wykrzykuje niby to oburzona Alice.

— Męczyła się z rakiem czy umierającym mężem?

— Nie wiem, oglądałam za krótko, ale bez wątpienia chodziło o jakąś wielką tragedię. Mnóstwo chusteczek do nosa i zmartwionych min w czasie rozmów telefonicznych. Zresztą dźwięk miałam wyłączony, bo rozmawiałam właśnie przez telefon. A tak przy okazji. — Mierzy Harry'ego badawczym spojrzeniem. — Skąd tyle wiesz o filmach z Bioniczną Kobieta?

— Nie jest to może powszechnie wiadome, ale jako nastolatek przez kilka lat mieszkałem w San Diego.

— Pierwsze słyszę! — Emily jest wyraźnie zaskoczona.

— Dlaczego? — Alice nie kryje zaciekawienia. Harry wzrusza ramionami.

— Mój ojciec jest Amerykaninem i chcieli zobaczyć, jak im tu będzie, więc przywlekli mnie tutaj, kiedy miałem trzynaście lat. Ponieważ nic z tego nie wyszło, po dwóch latach wróciliśmy do Anglii — znowu wzrusza ramionami — i już nie wyjeżdżaliśmy.

— Ale nie masz nawet śladu amerykańskiego akcentu.

— Chyba byłem tu za krótko.

— Natomiast — mówi Alice — to by wyjaśniało, skąd masz te wspaniałe zęby.

— No, no, wielkie dzięki. — Harry szczyrzy zęby. — Na pewno mówisz to wszystkim chłopcom.

O dziesiątej wieczorem Emily wygląda jak zombie. Harry, któremu udało się zdrzemnąć po południu, jest w nieco lepszej formie, ale ponieważ według czasu angielskiego jest trzecia nad ranem, a zarówno jedno, jak i drugie trzydzieści lat skończyło już dość dawno, oboje raczej kiepsko znoszą zmianę czasu i gdy opuszczają restaurację, Harry musi niemal nieść Emily.

— Mieliśmy iść na przyjęcie — Joe zrozpaczony szepcze do Alice, kierując się na róg, by złapać taksówkę.

— Och, do diabła. Zupełnie zapomniałam. Ale oni nadają się tylko do łóżka.

— Słuchaj, może damy im klucze, niech wracają sami, a my pójdziemy.

— To byłoby z naszej strony niegrzeczne.

— Znacznie bardziej niegrzecznie jest przyjąć zaproszenie, a potem się nie pojawić.

— Dajże spokój, Joe. Przecież wiesz, jak wyglądają te przyjęcia. Będzie milion osób i nikt nawet nie zauważy, że nas nie ma.

— Nie o to chodzi — upiera się Joe. — Alice, wiem, że zapomniałaś, ale powiedziałaś, że pójdziemy, i chcę, żebyśmy mimo wszystko poszli tam oboje. Tak rzadko się widzimy, ciągle siedzisz na tej cholernej wsi i mogłabyś przynajmniej spędzić ze mną trochę czasu, kiedy wreszcie raczysz zjawić się na Manhattanie.

Alice zupełnie się to nie uśmiecha. Wcale nie chce iść na jakieś przyjęcie, gdzie i tak nie spotka nikogo ciekawego, ale Joe ma rację. Chociaż w Londynie spędzali razem jeszcze mniej czasu niż tutaj, tam jednak działo się tak z jego powodu: nie widywali się, bo on wciąż pracował, był w podróży lub po raz nie wiadomo który odwoływał spotkanie.

Teraz widują się rzadko, ponieważ to ona nie ma czasu, zbyt pochłonięta swoim życiem z dala od miasta. Uświadamia sobie tę zmianę układu sił i zaczyna czuć się nieswojo, ogarnięta poczuciem winy.

Dlatego też zgadza się iść z Joe na dzisiejsze przyjęcie.

Z chwilą, gdy taksówka zatrzymuje się przy Hudson, Alice wie, że ten wieczór nie będzie należał do udanych. Dostrzega tłum pięknych, eleganckich ludzi, słyszy dudniącą głośno muzykę i przypomina sobie, jak serdecznie nie znosi podobnych imprez.

Joe idzie przed nią i z miejsca natyka się na znajomych, nachyla się, by ucałować kobiety, ściska dłonie mężczyznom, a Alice z fałszywym uśmiechem przyklejonym do ust stoi tuż za nim i czeka, by ją przedstawił.

— Ted, Kerry, pozwólcie, to moja żona Alice.

— Cześć, jak się masz? — Wymieniają uściski dłoni. Kerry — wysoka, chuda, o rudych włosach — z uśmiechem

równie fałszywym jak jej własny, wzrokiem taksuje Alice i dochodzi do wniosku, że owszem, ujdzie w tłoku.

— Wszyscy bardzo chcieliśmy cię poznać — krzyczy jej prosto do ucha, starając się przebić przez ogłuszający hałas. — Zaczęliśmy już nawet podejrzewać, że Joe ma halucynacje.

— Nie rozumiem? — odkrzykuje Alice.

— Wciąż powtarzał, że ma żonę, ale nikt cię nigdy nie widział. Doszliśmy więc do wniosku, że sobie ciebie wymyślił.

Alice uśmiecha się.

— O nie. — Wyciąga do niej rękę. — Dotknij. Żywe ciało i kości. Skąd znasz Joe?

— Och, widujemy się tu i tam. Jak zaczniesz się bywać, szybko okazuje się, że wszędzie spotyka się tych samych ludzi. Joe po prostu stał się jedną ze znajomych twarzy.

— Bywać?

— No wiesz. Na przyjęciach, benefisach i tak dalej. Alice nie wie. Co zaś ważniejsze, nie wiedziała, że Joe

„bywa” na tyle często, by stać się znajomą twarzą. Jak ma to wszystko rozumieć? Prawie zawsze, gdy Alice jest na wsi i późnym wieczorem rozmawiają przez telefon, Joe właśnie kładzie się do łóżka. A przynajmniej tak twierdzi.

Alice wzdycha, czuje bowiem znajomy ucisk w piersiach, znów ma przeczucie, że może jednak jej świat nie jest taki cudowny, jak sądzi. Spogląda na Joe, który zdaje się znać tu mnóstwo osób, i jej umysł zaczyna pracować na pełnych obrotach. Czy on ją okłamuje? Jeśli tak, to dlaczego? Czyżby coś knuł? A może ona jest przewrażliwiona?

W końcu do głosu dochodzi rozsądek: cóż w tym złego, że on chodzi na przyjęcia, podczas gdy ona siedzi na wsi? Nie może przecież oczekiwać od niego, by kładł się do łóżka o dziewiątej. Fakt, iż udziela się towarzysko bez niej, wcale nie musi oznaczać, że ma romans. A Kerry dopiero co powiedziała, że wspomina o żonie, najwyraźniej więc nie udaje kawalera.

„Jestem przewrażliwiona” — konkluduje w myślach Alice i wsuwa rękę pod ramię męża. Uśmiecha się do niego, przyrzekając sobie nie dać się więcej zwieść swojej wyobraźni.

— Dzień dobry. Wcześniej wstałeś.

Alice opiera się o framugę drzwi, by zawiązać sznurówki adidasów, co skutecznie utrudnia jej skaczący jak szalony Snoop. Harry spogląda na nią znad czytanego „New York Timesa”.

— Nie śpię od piątej. Cholerny *jet-lag**. Ale ty też nie pospałaś zbyt długo. O której wczoraj wróciliście?

* *Jet-lag* — zmęczenie wywołane zmianą stref czasowych.

— Niezbyt późno. Parę minut po północy.

— Przyjęcie się udało?

Alice wzrusza ramionami. Przyjęcie było dokładnie takie samo jak milion innych, w których musiała uczestniczyć, odkąd tu przyjechała, i tak samo jej się nie podobało.

Pełno na nim było chudych ludzi w markowych ubraniach i wszyscy rozmawiali o jednym i tym samym: powtarzali plotki o wspólnych znajomych (Alice nie знаła nikogo), kobiety zaś starały się z nią zaprzyjaźnić, dopytując się, u jakiego fryzjera się czesze i jakiej szminki używa. Mężczyźni trzymali się razem, jak na dyskotekach, które pamiętała z wczesnej młodości, i dyskutowali o rynkach, nieruchomościach i sporcie.

— Owszem. Było miło. Pod warunkiem że się to lubi.

— A ty lubisz?

— Szczerze mówiąc, byłabym o wiele szczęśliwsza, mogąc położyć się do łóżka.

— My na pewno byliśmy o wiele szczęśliwsi w łóżku.

— O, nadmiar informacji, dziękuję ci bardzo. Harry uśmiecha się.

— Nie to miałem na myśli. Dokąd to się wybierasz bladym świtem w tym sportowym stroju? Chcesz zrzucić w siłowni wczorajszy obiad?

— Chyba żartujesz. Emily ci nie mówiła, że mam alergię na siłownię? Idziemy ze Snoopem na poranny spacer do Central Parku. Może się z nami wybierzesz?

— Z przyjemnością. Zaczekajcie chwilę, włożę tylko buty.

— Weź też kurtkę. Może być zimno. Harry wygląda przez okno.

— Popatrz na niebo. Jest idealnie błękitne i świeci słońce.

— To jeszcze nic nie znaczy. Tutaj zawsze świeci słońce, co na ogół bywa zdradliwe. Mówię ci, weź kurtkę.

— Dobrze już, dobrze. Pani wie najlepiej.

— No, to mi się podoba. To też weź. — Bierze z garderoby przy drzwiach dwie wełniane czapki i jedną rzuca Harry'emu, drugą naciąga głęboko na głowę.

— Chyba nie będzie mi w tym do twarzy. — Harry unosi brwi, co Alice kwituje zabawną miną.

— Zobaczysz, jeszcze będziesz mi dziękował. Chodźmy, bo Snoop nie wytrzyma.

— Jezu — wykrzykuje Harry, ledwie wychodzą na ulicę. — Ależ zimno!

Alice parska śmiechem.

— Tylko nie mów, że cię nie ostrzegałam.

— Zawsze jesteś taka złośliwa?

— A ty taki marudny?

— Remis. Daleko stąd do parku? A może już w nim jesteśmy?

— Chryste, co za maruda. Chodź, pobiegniemy. Rozgrzejesz się.

— Jestem pod wrażeniem. — Docierają do parku i Alice zwalnia, żeby zdjąć szalik. — Jesteś sprawniejszy, niż można by przypuszczać.

— A ty jesteś tak sprawna, na jaką wyglądasz. A poza tym, co to ma znaczyć, że jestem sprawniejszy, niż można by przypuszczać? Nigdzie nie mam nawet grama tłuszczu.

— To prawda. Praca w ogrodzie i stolarka na pewno bardzo ci w tym pomagają.

Harry unosi brew.

— Widzę, że pamiętasz.

— Jasne. Jak myślisz, zaprosiłam cię na wieś, bo cię lubię? — żartuje Alice.

— Cholera. Wiedziałem, że coś się za tym kryje. To znaczy, że będę robił półki na książki? Albo sadił bulwy?

— Ha! — Alice obraca się ku niemu. — Miałam rację: wcale nie jesteś taki mądry, bo inaczej wiedziałbyś, że jest już za późno na sadzenie bulw.

— Wiedziałem. Chciałem cię tylko sprawdzić — uśmiecha się Harry i wyciąga rękę po smycz Snoopa. — No dobrze, zobaczmy, jak wam idzie tresura. Masz jakieś psie przysmaki?

— Jasne! — Dłonią w rękawiczce Alice sięga do kieszeni

i wyciąga opakowanie, które podaje Harry'emu. — Dobrze mnie wytresowałeś.

— Mam nadzieję, że tę wiedzę przekazałaś naszemu kochanemu Snoopowi. Snoop? Siad!

Snoop posłusznie siada i patrzy wyczekująco na Harry'ego.

— Grzeczny piesek! — Harry wkłada psu do pyska smakołyk i klepie go po łbie. — Leżeć!

Snoop przywiera do ziemi, nie spuszczać wzroku z Harry'ego, który będąc wyraźnie pod wrażeniem, nagradza go po raz drugi.

— Zostań! — Harry odwraca się i odchodzi kilka metrów. Przystaje, odwraca się i widzi, że pies wciąż bez ruchu tkwi w tym samym miejscu. — Alice Chambers, jestem pod wielkim, naprawdę wielkim wrażeniem.

— Popatrz na to — mówi rozradowana Alice. — Daj łapę, Snoop. — Śmieje się, gdy Snoop posłusznie podnosi jedną łapę i kładzie ją na dłoni Alice. — Teraz drugą. — Snoop cofa łapę i podnosi drugą, a Alice mogłaby przysiąc, że robiąc to, wyraźnie się uśmiecha.

Harry podchodzi i obsypuje psa pieszczotami.

— Dobry pies! — mówi, mierzwiąc mu futro. — Bardzo grzeczny piesek! A jaka grzeczna dziewczynka! — Zwraca się do Alice i przemawiając do niej dokładnie takim samym tonem, jak wcześniej do Snoopa, udaje, że chce nagrodzić ją psim smakołykiem. Alice krzywi się z obrzydzeniem, w końcu ze śmiechem odpycha jego rękę.

— Grzeczna dziewczynka! — nie daje za wygraną Harry i śmiejąc się, usiłuje wepchnąć jej do ust przysmak. — Bardzo grzeczna!

Snoop zaczyna szczekać i widząc, jak jego pani piszczy i próbuje umknąć przed cuchnącym kawałkiem w ręce Harry'ego, bardzo chce przyłączyć się do zabawy.

— Odczep się! — śmieje się Alice. — Zostaw mnie w spokoju! Faj! Co za paskudztwo!

W końcu Harry daje przysmak Snoopowi.

— Świetnie go wyszkoliłaś. Naprawdę.

— No pewnie! A jak ci się wydaje, co robimy całymi dniami na wsi? Oglądamy telewizję?

Harry wzrusza ramionami.

— E, jeżeli, to tylko seriale telewizyjne.

— Ha, ha!

Idą przez chwilę w milczeniu w stronę wody, nad brzegiem której siadają na ławce, by poobserwować kaczki.

— Nie powinny odlecieć na zimę? — pyta po jakimś czasie Harry.

— Też tak myślałam. Sądzę, że nie stać ich było na wakacje.

— Hmm. — Harry kiwa głową. — Nie mogły polecieć EasyJetem?

— Wątpię, żeby latały w Ameryce. Harry odwraca się ku niej.

— Wiesz co — mówi z uśmiechem. — Bardzo się zmieniłaś.

— Skąd wiesz? Przecież prawie wcale mnie nie znasz.

— Po prostu promieniejesz, Alice. Masz rację, w zasadzie wcale cię nie znam, choć może nie do końca to jest prawdą bo Emily mówi o tobie bez przerwy. Szczerze mówiąc, jeszcze zanim się poznaliśmy, miałem wrażenie, że jesteś starą dobrą znajomą, ale pamiętam, że byłem zaskoczony, kiedy się w końcu spotkaliśmy, bo chociaż od razu cię polubiłem, wydałaś mi się — Boże, nie wiem, czy powinienem to mówić — ale wydałaś mi się nieszczęśliwa.

— Naprawdę? Dziwne. Nawet wtedy, w Brianden? Tak świetnie się bawiliśmy. Wtedy też nie wyglądałaś na szczęśliwą?

— Nie chodzi o to, że siedziałaś w kącie i zalewałaś się łzami. Po prostu był w tobie jakiś taki smutek, po którym teraz nie ma nawet śladu. Zmieniłaś się kompletnie, Alice.

— To dlatego, że jest rano, a ja nie mam makijażu.

— Nie, chociaż przyznaję, że wyglądasz nieco siermiężnie... au! — Alice daje mu mocnego kuksańca i robi ostrzegawczą minę. — Dobrze już, dobrze, żartowałem. Ale teraz se-

rio, makijaż nie ma tu nic do rzeczy, podobnie jak pora dnia, chodzi o to, że, ach... — Krzywi się i chowa twarz w dłoniach.

— Co? Czyżbyś chciał powiedzieć coś strasznego? Dlatego robisz takie miny? No, nie krępuj się. Mów.

— Zabrzmi to beznadziejnie, ale... zmieniła się cała twoja aura.

— Masz rację. Zabrzmiało beznadziejnie.

— Lepiej już się zamknę.

— Nie, dlaczego. Podoba mi się, że mówimy o mnie. Harry potrząsa głową.

— Nie wierzę, że powiedziałaś coś takiego.

— Ale to prawda! — kłamie Alice. — To mój ulubiony temat.

— Czy w takim razie chciałabyś coś dodać?

— O nie. Znacznie zabawniej jest słuchać, co myślą o mnie inni. Chodź. Przejdziemy się jeszcze trochę. — Alice wstaje, bo chociaż żartobliwa, rozmowa nagle zaczyna ją krępować, podobnie jak powstała nagle pomiędzy nimi bliskość, i choć stara się humorem pokryć zmieszanie, jest jej znacznie łatwiej wstać i ruszyć dalej, przy okazji zmieniając temat.

— Tak — mówi żwawo. — Może kupimy kawę i trochę bajgli? Mamy dzisiaj w planie mnóstwo rzeczy, a potem musicie z Emily zdecydować, kiedy chcecie jechać na wieś.

— Dobrze. — Harry także wstaje. — Z tym nie powinno być żadnego problemu. Kiedy tobie odpowiada najbardziej?

— Czyja wiem? — Alice spogląda na niebo. — Jeśli nie zacznie padać śnieg, w sumie nie ma znaczenia.

— Jakie prognozy? Będzie dzisiaj padać, czy też raczej nie?

— Chyba raczej nie.

— Skąd wiesz?

— Nie wiem. Po prostu lubię udawać, że wiem, o czym mówię.

— Ach. — Harry skwapliwie kiwa głową. — W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak się z tobą zgodzić. Dzisiaj padać nie będzie.

*

Wracają do mieszkania, w którym w dalszym ciągu panuje cisza. „New York Times” leży na stole dokładnie tam, gdzie go zostawili, drzwi do sypialni są szczelnie zamknięte.

— Boże, co za lenie — śmieje się Alice, stawiając na stole kawę i bajgle. — Najpierw nakryjemy do stołu, a potem ich obudzimy.

— Co mam zrobić?

— Rozłóż talerze i sztućce.

— Dobra.

— Och, a serek jest w lodówce.

— Mam.

— Gotowe — mówi Alice, gdy wszystko jest już przygotowane. — A teraz wyciągniemy ich z łóżek.

— Kochanie — szepcze Alice do nagiego, śpiącego głęboko Joe. — Śniadanie na stole.

Joe przewraca się i uśmiecha sennie. Obudził się już jakiś czas temu, ale tak mu jest ciepło i wygodnie, że co chwila zapada w drzemkę. Ze zdziwieniem stwierdził, że myśli o Josie. Nie wspominał jej już od dawna, nie rozmawiał z nią ani w żaden sposób się nie kontaktował, od czasu do czasu widział tylko jej nazwisko w grupowych e-mailach, dzisiejszego jednak ranka przypomniał mu się dotyk jej skóry, zapach jej włosów.

Właśnie zaczęło go ogarniać podniecenie, gdy do sypialni weszła Alice. Ach, śliczna Alice. Dokładnie to, co doktor mu przepisał. Przysuwa się do niej i wsuwa rękę pod jej bluzę, z błogim uśmiechem pieszcząc jej piersi.

— Daj spokój. — Odpycha go i ściąga z niego nakrycie. — Śniadanie czeka na stole.

Niech to szlag. Alice wstaje i wychodzi z sypialni. Najwyraźniej nie jest w nastroju, tak jak on najwyraźniej nie ma czasu zająć się swoją potężną erekcją. Cholera, cholera i jeszcze raz cholera. Joe powoli zsuwa się z łóżka i idzie do łazienki wziąć szybki, zimny prysznic.

— Ależ cudownie się bawiłam! — wzdycha Emily, spoglądając za znikającą w oddali panoramą miasta. — Nowy Jork jest fantastyczny! Mogłabym tu zostać na zawsze.

Wczorajsze przedpołudnie spędzili na zakupach, po południu byli w teatrze, wieczorem jedli kolację w TriBeca. Emily jest zmęczona i podekscytowana, a przy tym smutna, że muszą już wyjeżdżać.

— Z całą pewnością zdobyłaś ich serca — uśmiecha się Harry. — Moja kochana Emily, która sama jedna pomogła stanąć amerykańskiej gospodarce na nogi.

Alice uśmiecha się także, Emily jednak siedzi z kamienną twarzą.

— Harry, czemu tak mówisz? Wszystko, co kupiłam, było albo z targu na Canal Street, albo z małych, tanich sklepików w SoHo.

— Nie chodzi o jakość, Emily, tylko o ilość — tłumaczy Harry. — Nie mam pojęcia, jak się z tym wszystkim zabierzemy do domu.

— Kupimy jeszcze jedną torbę — burczy Emily.

— Zdawało mi się, że nie masz już pieniędzy? — mówi Harry.

— Och, na miłość boską, Harry. Rozchmurz się — warczy Emily w odpowiedzi. — W końcu jesteśmy na wakacjach. A na wakacjach człowiek powinien się dobrze bawić.

Alice i Joe siedzą wyraźnie skrzepowani. Alice chciałaby powiedzieć Emily, żeby się uspokoiła i że jest przewrażliwiona, ale doświadczenie nauczyło ją iż nie należy się mieszać w sprawy innych, zachowuje wobec tego milczenie.

W końcu Joe przerywa niezręczną ciszę.

— Mam nadzieję, Harry, że wzięłeś swoje narzędzia, bo o ile się orientuję, Alice ma dla ciebie kilka zadań specjalnych.

— Psiakrew, wiedziałem, że o czymś zapomniałem. — Harry uderza się dłonią w czoło.

— Nic nie szkodzi — uśmiecha się Joe. — Pożyczę ci swoje. Alice parska śmiechem.

— Przecież ty nie masz ani jednego narzędzia.

— Nieprawda—obrusza się Joe. — Mam kilka śrubokrętów.

— J a w tej rodzinie mam narzędzia — mówi Alice i obraca się do Harry'ego. — Z radością ci ich użyczę.

— I kto mówi, że jest coś takiego jak darmowe wakacje? — mówi w zadumie Harry, wyglądając przez okno.

— Nareszcie przyjechaliśmy! — wykrzykuje Emily, gdy samochód z chrzęstem wjeżdża na podjazd w Highfield. — Zawsze myślałam, że Brianden jest na wsi, ale do tego się nie umywa. Jezu, tu jest zupełnie jak w filmie. Ile tu drzew, jaka przestrzeń!

— Pięknie, prawda? — uśmiecha się Alice, już rozluźniona i spokojna, bo znalazła się w domu.

Samochód zatrzymuje się przed domem.

— Toto?

— Eee... tak.

— Prześliczny — mówi Emily, choć w głębi duszy oczekiwała czegoś bardziej okazałego. Wie, że Joe ma w planie budowę znacznie większego domu, ale wie też, że Alice kocha ten domek, który chociaż uroczy — jeśli ktoś lubi stare amerykańskie budownictwo — daleki jest od tego, co spodziewała się ujrzeć.

— Chłopcy wezmą walizki. Chodź, Em, oprowadzę cię. Obchodzą parter, Alice pokazuje, co zostało pomalowane, co odnowione, co planuje jeszcze zrobić. Następnie wchodzą na piętro, by zwiedzić trzy niewielkie sypialnie. Pokój gościnny z odpowiednio dobranymi zasłonami, niebieską kapą i kraciastymi poduszkami rzuconymi na łóżko jest ciepły i wygodny.

Ponownie schodzą na dół i wychodzą do ogrodu, skąd spacerkiem udają się nad staw, gdzie przysiadają na ławeczce stojącej w cieniu wielkiego, starego klonu.

— Posłuchaj tylko — mówi cicho Alice.

— Czego? Nic nie słyszę.

— Właśnie! Czy to nie najspokojniejsze miejsce pod słońcem?

Emily uśmiecha się.

— Chyba tak. Ja pewnie dostałabym bzika, gdybym miała tu mieszkać na stałe, ale ty najwyraźniej jesteś zachwycona.

— Przecież masz Brianden. To także wieś.

— Tak, ale w Cotswolds. To zupełnie coś innego. Poza tym jeżdżę tam tylko w weekendy i większość czasu obijam się o Amerykanów, którzy polują na okazje w sklepach z antykami. Tam bez przerwy panuje ruch, a tu jest tak cicho i spokojnie.

— Wiem. To moje najbardziej ulubione miejsce na całym świecie.

— Wiesz co, nie chce mi się wierzyć, że w końcu ci się udało. — Emily odwraca się, nagle bardzo poważna.

— Co mi się udało?

— Spełnić marzenia. Zawsze tego chciałaś. Mieszkać na wsi i wieść proste życie i proszę bardzo, teraz masz to wszystko.

— Fakt, czasem, kiedy budzę się rano, mam ochotę się uszczypnąć — śmieje się Alice. — To idiotyczne, że można być aż tak szczęśliwym.

— Och, Ali, to cudowne. — Emily obejmuje Alice ramieniem i mocno ją ściska. — Tak się cieszę.

Siedzą tak objęte przez dobrą chwilę, po czym wstają.

— Chodźmy — mówi Alice. — Zobaczmy, co też porabiają nasze chłopaki.

Tymczasem w domu Harry rozpała ogień w kominku, a Joe siedzi w swoim gabinecie przy komputerze.

— Joe — syczy Alice, stając w drzwiach. — Mamy gości. Jak możesz tak znikać? To niegrzeczne.

— Uspokój się, Alice. Sprawdzam tylko pocztę. Zaraz do was przyjdę.

Alice z westchnieniem zamyka drzwi. *Plus ça change, plus c'est la même chose.* „Im bardziej coś się zmienia, tym bardziej zostaje takie samo” — myśli sobie.

— Wesołych świąt! — Do kuchni, w której Alice smaruje masłem gigantycznego indyka, wchodzi Harry, przeczesując dłonią zmierzwiłone włosy.

— Ranny ptaszek z ciebie — wita go z uśmiechem Alice. — Reszta pewnie śpi jak zabita.

— Emily jak zwykle, a z waszego pokoju nie dochodził żaden dźwięk. — Harry przez ramię Alice zerka na ptaka. — Choć przyznaję, zbyt się nie przysłuchiwałem. A tak w ogóle: która jest godzina?

Alice skinieniem ręki wskazuje na wiszący na ścianie stary zegar.

— Dziesięć po siódmej. Prawie świt. Najwyraźniej poranne spotkania w kuchni zaczynają nam wchodzić w krew.

Harry na wspomnienie Brianden uśmiecha się do siebie. Ziewa i wyciąga przed siebie długie, odziane w spodnie dresowe nogi.

— Może chcesz, żebym poszedł ze Snoopem na spacer?

Alice kręci głową, obficie posypując solą i pieprzem indyka. Podchodzi do lodówki, skąd wyjmuje plastry boczku, by obłożyć nimi pierś ptaka.

— Nie, Snoop już był. Ale dziękuję.

— I mnie nazywasz rannym ptaszkiem? — śmieje się Harry. — A ty o której wstałaś?

— Koło szóstej.

— O szóstej rano? Toż to środek nocy!

— W Londynie też tak myślałam, ale tutaj tyle jest zawsze do zrobienia. Z każdym dniem jestem coraz bardziej zajęta i cza-

sem mi się wydaje, że doba ma za mało godzin. Gdybym nie wstawała tak wcześnie, z niczym bym nie zdążyła.

— No właśnie, może mogę ci w czymś pomóc?

Alice już ma na końcu języka to, co zwykle w takich okolicznościach mówiła: „Nie, dziękuję, poradzę sobie sama”, ale pomoc rzeczywiście by jej się przydała i chyba nic się nie stanie, jeśli przyzna, że mimo wszystko nie jest superwoman.

— Wiesz co — mówi — w dzbanku jest świeża kawa, więc się poczęstuj, a potem możesz obrać ziemniaki.

— Super. Tylko prawdziwie męskie zajęcie daje mi poczucie, że jestem przydatny.

Alice wzrusza ramionami.

— Pytałeś, to ci odpowiedziałam. Jeśli wolisz, możesz obrać pasternak. Albo pomóc mi przy nadziewaniu.

— O, nadziewanie. — Harry unosi brew. — To zajęcie zdecydowanie męskie.

— O, ha, ha. W tym domu o takich rzeczach się nie mówi. Harry idzie nalać sobie kawy. Po drodze chwyta filiżankę

Alice i także ją napełnia. Przy okazji spogląda w ciągle jeszcze panującą za oknem ciemność.

— Do kitu. Ani śladu śniegu. Już nawet nie pamiętam, kiedy były białe święta.

— Wiem — uśmiecha się Alice. — Można by pomyśleć, że tu, w Connecticut, jest na to większa szansa. Ale chyba trzeba by pojechać bardziej na północ, na przykład do Vermont, tam na pewno trochę już popadało.

— Byłoby zbyt pięknie — śmieje się Harry — gdybym obudził się w Boże Narodzenie i ujrzał wszystko zasypane śniegiem. I tak już mi się wydaje, że obudziłem się w czyimś śnie.

Alice obraca się ku niemu.

— Chyba nie bardzo rozumiem? Harry zaczyna obierać ziemniaki.

— No wiesz, w tym domu, w tej części świata. To najbardziej romantyczne życie, tak idealne, że niemal śmieszne.

— Harry, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że to powie-

działeś, bo tak właśnie się czuję, codziennie, kiedy budzę się tu rano, ale poza mną nikt zdaje się tego nie rozumieć.

— Posłuchaj, Alice, w głębi serca ja sam jestem wiejskim chłopakiem, więc rozumiem cię aż za dobrze. A to, co mówiłem o śniegu — to już byłoby wręcz kiczowate.

Alice śmieje się.

— Tak — mówi. — Dokładnie wiem, o co ci chodzi.

— Alice? Co mam zrobić z obierkami?

— Wyrzuć je do kosza.

— Nie używasz ich na kompost?

— Niestety, nie mam kompostownika.

— Mógłbym ci zrobić, gdybyś chciała.

Alice przerywa obkładanie indyka bekonem i patrzy na Harry'ego z niedowierzającym uśmiechem.

— Harry, to byłoby wspaniale. Boże, czy jest coś, czego nie potrafisz zrobić?

— Nie. — Harry bierze do ręki kolejny ziemniak. — Jestem doskonały w każdym calu.

Tym razem Alice się nie uśmiecha. Szybko spuszcza wzrok na indyka, czując, jak rumieniec zalewa jej twarz. Przypomina jej się, jak żartowały z Emily, że w końcu każdej z nich trafi się nieodpowiedni mężczyzna. Dlaczego teraz nagle przestało ją śmieszyć?

Gdy w końcu Emily i Joe zjawiają się w kuchni, pomarańcze i cytryny są już otarte ze skórki, która wraz żurawiną, cukrem i solidną dawką porto zamienia się z wolna w smakowity sos żurawinowy.

Bułka tarta została wymieszana z cebulą, szalwią i orzechami, z czego połowa trafiła pomiędzy piersi i indyczą skórę, reszta zaś czeka, aż w rondlu powędruje do piekarnika.

Pasternak i ziemniaki są już obrane, zupa gotowa, a świąteczny pudding — przygotowany przez Marksa & Spencera, a przemycony przez Emily w walizce — stygnie, czekając na swoją kolej.

Na kominku buzuje rozpalony przez Harry'ego ogień, gra Enya — wybór odpowiedniej muzyki poprzedziła sprzeczka

z Alice, podczas której zgodni byli jedynie co do tego, że Nat King Cole będzie zbyt ckliwy. Enya nie była może zbyt bożonarodzeniowa, ale bez wątpienia miła dla ucha.

— Dzień dobry — ziewa Emily. — Czy znalazłam się na planie *It 's a Wonderful Life*, czy też dzieje się to naprawdę?

— Jak najbardziej naprawdę — śmieje się Alice. — Kawa jest w kuchni. Chcesz coś zjeść?

— Błagam, tylko mi nie mów, że samufmki domowej roboty, bo chyba zwymiotuję — krzywi się Emily.

— Czy to znaczy, że nie masz na nie ochoty?

— Żartujesz chyba. Jasne, że mam. Tylko nie przypuszczałam, że aż taka z ciebie Martha Stewart*.

— Och. — Alice robi przygnębioną minę. — A ja miałam nadzieję, że jestem raczej konkurencją dla Nigelli**.

— Kochanie, niestety nie jesteś zmysłową brunetką, brakuje ci też ponętnych, krągłych kształtów — śmieje się Joe.

— Myślę, że kilka jagodowych muffinek własnego wypieku szybko by temu zaradziło.

Emily kręci z powątpiewaniem głową.

— Nie. Albo się to ma, albo nie. Ja z kolei z całą pewnością mogłabym zająć miejsce Nigelli. Do diabła, a już na pewno jej sukienki byłyby na mnie w sam raz.

— I dzięki Bogu za to. — Harry wstaje, obejmuje czule Emily i całuje ją w czubek głowy. — Nic tak faceta nie odstrasza jak chuda baba.

— I ty się dziwisz, że wciąż z nim jestem — śmieje się Emily, po czym całuje Harry'ego, co widząc Alice odwraca wzrok.

— Bardzo jesteś miła — burczy z udanym oburzeniem Harry.

* Martha Stewart (ur. 1941) — występująca w amerykańskiej telewizji i pisząca artykuły prasowe na temat gotowania, ogrodnictwa, dobrych manier i robótek ręcznych, z czasem uznana za wzór dobrego smaku i odpowiedniego prowadzenia domu.

** Nigella Lawson (ur. 1960) — brytyjska dziennikarka, prezenterka telewizyjna, autorka książek kulinarnych. Na Channel 4 prowadziła dwa autorskie programy kulinarne: *Nigella Bites* i *Forever Summer with Nigella*.

— Hej, nie zachowuj się jak dziecko — żartuje Emily. — No dobrze. A co do tych jagodowych muffinek...

— Prawdę mówiąc, muffinek nie ma. Ale w szufladzie są bajgle i chyba trochę cynamonowego chleba z rodzynkami. Ale, Em, będzie potężny lunch. Nie najedz się zbyt, bo stracisz apetyt.

— Widziałaś kiedyś, żebym straciła apetyt?

— Racja — śmieje się Alice. — Nie żałuj sobie.

— Niedobrze mi — jęczy Emily, z trudem podchodząc do kanapy, na którą opada, trzymając się za brzuch.

— Wielkie dzięki! — wykrzykuje Alice. — Harowałam jak wół i to tylko po to, żeby usłyszeć, że ci niedobrze?

— Przecież wiesz, o co chodzi — tłumaczy się Emily. — W życiu nie jadłam niczego równie pysznego, ale mam dość. Nie mogę uwierzyć, że tyle tego dałam radę pochłonąć.

— Ja też nie. — Joe siada obok niej na kanapie i spogląda na nią z podziwem. — Powinni ci przyznać nagrodę.

— Przestań. Czuję się jak prosię.

— Cóż, nie chciałbym być złośliwy, ale...

— Świnia! — Emily chwyta poduszkę i grzmoci nią Joe po głowie.

— Au! Nie o to mi chodziło!

— Dzieci, dzieci — mityguje ich Alice od drzwi, w których stoi, trzymając w rękach stos naczyń.

— Mam to powkładać do zmywarki? — z kuchni dobiega wołanie Harry'ego.

— Tak, bardzo proszę — odkrzykuje Alice.

— Alice, zostaw to wszystko — rozkazuje Emily, wciąż rozwalona na kanapie. — Ja posprzątam. Tylko chwilę muszę odsapnąć.

— Em, nie przejmuj się. Wszystko i tak pójdzie do zmywarki. Poradzę sobie.

— Nie. — Emily wstaje. — Nawet nie chcę o tym słyszeć. Napracowałaś się już dość i nie ma mowy, żebyś teraz jeszcze sprzątała. Siadaj tu, na kanapie, a my z Harrym wszystko zrobimy.

Alice już chce protestować, Emily jednak podchodzi do niej i wyjmując jej z rąk naczynia, więc Alice poddaje się i siada obok Joe.

— Miło, że są tu z nami, prawda? — mówi i przytula się do Joe, który całuje ją z roztargnieniem, sięgając jednocześnie po pilota. Włącza telewizor i zaczyna przerzucać kanały, szukając czegoś, co przykułoby jego uwagę na więcej niż dziesięć sekund.

— Owszem.

— Lunch ci smakował?

— Był wyśmienity, kochanie.

— A zupa? Nie była zbyt ostra?

— Zupa? Nie, kochanie. Wszystko było przepyszne. Dobrze się spisałaś. — Zatrzymuje wzrok na blondynce o obfitym biuście, która w skąpym bikini chlapie się w wodzie.

— Joe! — Alice żartobliwie przywołuje go do porządku.

— Co? — Jego mina wyraża ucieleśnienie niewinności.

— Dobrze wiesz, co. Nie będziemy tego oglądać. Zresztą, czy w ogóle musimy oglądać telewizję? W końcu jest Boże Narodzenie i powinniśmy rozpakować prezenty.

— Wyłączę, jak oni wrócą z kuchni, dobrze? Pasuje?

— Dobrze — zgadza się niechętnie Alice. — Pasuje.

Emily piszczy z zachwyty.

— Jest cudowna! Cudowna! — przewiesza wyszywaną koralikami torbę przez ramię i nachyla się, by ucałować Alice. — Och, Alice, naprawdę bardzo ci dziękuję. Jest prześliczna! Dziękuję, dziękuję, dziękuję!

— Ależ bardzo proszę — odpowiada Alice rozpromieniona. — Teraz Harry.

— Nie. — Harry kręci głową. — Teraz ty, Alice. Kupiliśmy ci z Emily dwa oddzielne prezenty, mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

— No właśnie. Nie jesteśmy małżeństwem i w ogóle, i uzgodniliśmy, że nie dajemy wspólnego prezentu. Zresztą i tak nie mogliśmy się dogadać, co ci kupić.

— Och, jesteście niepoważni — mówi Alice, ale jak małe dziecko aż drży z podniecenia, że dostanie tyle prezentów. — Który najpierw?

— Mój, mój! — krzyczy Emily i rzuca Alice na kolana niewielką paczuszkę.

Alice ostrożnie rozwija papier i otwiera pudełko. Wśród zwojów bibułki dostrzega po chwili kłębek waty, na którym spoczywa delikatny wisiorek z różowego kwarcu na delikatnym srebrnym łańcuszku.

Z zachwytu zapiera jej dech.

— Jaki śliczny! — mówi w końcu, co słysząc, Emily uśmiecha się zadowolona.

— Prawda? Od razu sobie pomyślałam, że ci się spodoba, a poza tym różowy kwarc przyniesie ci miłość.

Joe lekko zdziwiony unosi brew.

— Wybacz, Joe. Nie chodzi o nową miłość, będzie jej po prostu więcej. No wiesz, o Boże — Emily zaczyna się plątać. — No, po prostu będzie się jej żyło jeszcze lepiej. Może być?

— Rany, Emily, przestań wygadywać bzdury. Nieważne, co ma mi przynieść, jest po prostu prześliczny. Pomóż mi go założyć. — Alice nachyla się, by Emily mogła zapiąć jej łańcuszek na szyi.

— Och, i pani w sklepie powiedziała, że najpierw musisz go „zaprogramować” — dodaje Emily po chwili. — Najpierw trzeba go oczyścić, zanurzając w wodzie z octem, potem zostawić na cały dzień na słońcu i wreszcie z czystym umysłem wpatrywać się w niego i wyobrazić sobie, jak przechodzi przez niego czyste, białe światło. Dopiero wtedy będzie naprawdę twój, czysty. Nikomu nie wolno go dotykać, bo znowu stanie się nieczysty.

— Emily? — pyta Joe cicho.

— Słucham?

— Kiedy dokładnie ci odbiło?

— Och, odpieprz się, Joe — rumieni się Emily. — To naprawdę działa.

Alice wybiega z pokoju, żeby przejrzeć się w lustrze. Wbiega po dwa stopnie naraz i wchodzi do łazienki, gdzie patrząc na swoje odbicie, delikatnie dotyka wisiora.

— Przynieś mi miłość — szepcze, myśląc o siedzącym na dole Joe.

Co prawda, ostatnio nic nie może mężowi zarzucić, jest dla niej miły i dobry, nie znika, jak zdarzało mu się to w Londynie, wciąż powtarza, że ją kocha, ale Alice czuje, że się od siebie oddalili, coraz mniej ich łączy, chciałyby więc, by znaleźli coś, co dzieliliby wspólnie i co obojgu przyniosłoby zadowolenie.

Czas sprawił, że zaczyna spoglądać na swoje małżeństwo z innej perspektywy. Czas i przestrzeń, jaką ma, gdy jest w Connecticut sama, a Joe pracuje w mieście. Teraz Alice zdaje sobie sprawę, jak bardzo tłumiała w Londynie własne potrzeby i pragnienia, bezustannie starając się być żoną, jakiej pragnął Joe.

Nadal cieszy się, gdy może od czasu do czasu ubrać się elegancko, wie, że jadąc do miasta, ma do odegrania określoną rolę, i godzi się na ten kompromis, bo w końcu czymże innym jest małżeństwo, jeśli nie właśnie sztuką kompromisu? Ale nie jest już gotowa przedkładać potrzeby Joe nad swoje własne. A przynajmniej nie zawsze.

W zamian ma nadzieję, iż Joe także pójdzie na pewien kompromis. To prawda, w każdy weekend przyjeżdża na wieś, ale ona, choć bardzo tego chce, nie potrafi czuć się w jego obecności swobodnie, wie bowiem, jak bardzo on nie lubi tu być, i czuje się jak ryba bez wody. Odkąd regularnie zaczął grywać w tenisa, wydaje się znacznie szczęśliwszy, chyba też zaczął nawiązywać bliższe znajomości na wsi, gdyby jednak dać mu wolną rękę, z radością sprzedałby tu wszystko i już nigdy więcej nie wyściubił nosa na północ za Dziewięćdziesiątą Ulicę.

Alice zdaje sobie sprawę, iż przyjeżdżając co tydzień do Highfield, Joe idzie na kompromis. Chciałyby tylko, aby nie był z tego powodu nieszczęśliwy w sposób aż tak oczywisty.

— Spraw, abyśmy się bardziej kochali — szepcze, spoglądając w lustrze na wisiora z różowego kwarcu. — Spraw, aby-

śmy na nowo odnaleźli naszą miłość. Pomóż nam być szczęśliwymi. Niechętnie wraca na dół.

— Teraz twoja kolej — mówi Alice, wręczając Harry'emu najwięszy z prezentów.

— Rany boskie! — wykrzykuje Harry. — To dla mnie? Cały czas byłem przekonany, że to dla Joe. Ależ wielki. Co to jest?

Joe przygląda mu się z uśmiechem.

— Otwórz i sam zobacz — mówi, choć oczywiście tak samo jak Harry nie ma pojęcia, co jest w środku, ponieważ to Alice była odpowiedzialna za kupienie prezentów.

Harry czyta dołączoną do paczki karteczkę: „Wesołych świąt, Harry, od Alice i Joe, całusy”. Rozrywa papier i ukazuje się skrzynka z narzędziami. Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech.

— Aha! — śmieje się. — Pamiętam, jak mówiłaś, że nie ma czegoś takiego jak lunch za darmo.

— Tak jest! — Alice również się śmieje. — A ty myślałeś, że ci się upiecze, bo nie przywiozłeś żadnych narzędzi.

— Ależ to jest fantastyczne! — wykrzykuje Harry, otwierając skrzynkę i dokładnie oglądając jej zawartość. — Cóż za wspaniały zestaw narzędzi. Jest śliczny. Patrzcie, patrzcie na to. — Wyjmuje wszystko, sztuka po sztuce i z dumą pokazuje pozostałym, a Alice uśmiecha się, uszczęśliwiona jego niekłamanym zachwytem.

— A ja mam dla ciebie taki idiotyczny prezent — mówi Harry, z przerażeniem uświadamiając sobie, ile Alice i Joe musieli wydać. — Nie wspominając już o tym, że tani i paskudny. Boże, nie mogę ci go dać.

— Przestań się wygłupiać — złości się Alice. — Przecież wiesz, że niczego nie musiałeś mi kupować. No — wyciąga rękę po prezent, który Harry stara się ukryć. — Dawaj.

— No, dobra — mówi Harry i z ociąganiem podaje Alice niewielką paczuszkę, Joe zaś coś, co niewątpliwie jest książką.

Joe rozrywa opakowanie.

— *Historia Porsche* — mówi uradowany. — Dzięki, Harry, świetny prezent.

— Cała przyjemność po mojej stronie — uśmiecha się Harry. — Alice, otwórz swój prezent.

Alice rozwija papier, otwiera pudełko i znajduje w nim budzik w kształcie psa, do złudzenia przypominającego Snoopa. Wybucho rozradowanym śmiechem.

— Jest prześliczny! — mówi szczerze.

— Zaczekaj. — Harry wyjmuje jej z ręki budzik. — Musisz usłyszeć, jak dzwoni. — Kręci wskazówkami, aż włącza się alarm — gruby głos, wyszczekujący coś niezrozumiałego z mocnym japońskim akcentem.

— A to co...? — zaczyna się śmiać Joe.

— Co to ma być? — chichocze Emily.

— No właśnie. To japoński budzik. Niesamowity, prawda? — cieszy się Harry. — Okropnie mnie rozśmieszył, a poza tym ten pies jest taki podobny do Snoopa.

— Ustawię go na honorowym miejscu, przy moim łóżku — mówi ze śmiechem Alice. — Bardzo ci dziękuję. — Nachyla się i całuje Harry'ego w policzek.

— No a wy? — niecierpliwi się Emily. — Rozpakujcie wreszcie prezenty od siebie.

Alice i Joe wręczają sobie nawzajem prezenty i otwierają je jednocześnie. Joe zachwycony jest swoim zegarkiem, Alice zaś ze skrupowaniem otwiera wielkie pomarańczowe pudło od Hermesa, w którym jest przepiękna rudobrunatna torebka od Kelly'ego. Choć klasyczna i elegancka jak diabli, na pewno nie jest tym, o czym Alice w tej chwili by marzyła.

Co tak naprawdę by ją ucieszyło? Kuchenny mikser byłby wymarzonym wręcz prezentem, nie mówiąc już o tym, że kosztowałby z dziesięć razy mniej niż torba od Kelly'ego. Albo para nowych rękawic ogrodniczych i na przykład grabki. Ucieszyłaby się też z ciepłej bielizny, by nie marzła tak zimą.

— Rany! — wykrzykuje Emily, doceniając nie tylko urodę, ale i wartość torebki.

— Bardzo ładna — mówi Harry, tak o jednym, jak i o drugim nie mając zielonego pojęcia.

— Podoba ci się? — dopytuje się Joe, przyzwyczajony, że Alice zwykle nie posiadała się z radości, dostając podobne prezenty, i teraz jej milczenie nieco go dziwi

— O tak, jest cudowna — uśmiecha się Alice i czule go całując, udaje, że podziwia torebkę. — Naprawdę.

Siada na swoim miejscu i w zamyśleniu dotyka kryształowego wisiora. „Pomóż mu zrozumieć, kim jestem, i mimo to mnie kochać” — myśli sobie. „Pomóż nam zrozumieć siebie nawzajem. Pomóż nam. Błagam”.

Pozostałe dni upływają im błyskawicznie. Okutani w szale, czapki i rękawiczki wyruszają na długie spacery leśnymi szlakami albo zabierają Snoopa na plażę — o tej porze roku szarą i opustoszałą.

Jadą do Mystic i wałęsają się po Seaport, zatrzymując się przy sklepach z pamiątkami, gdzie ubawieni własną naiwnością, mimo wszystko kupują różne paskudne drobiazgi.

W New Canaan odwiedzają sklepy z antykami, zgodnie przerażeni wygórowanymi cenami nędznych podróbek, których oryginały można za wiele mniejsze pieniądze kupić w pierwszym lepszym sklepie przy Kings Road.

— Czy oni poszaleli? — dziwi się nieustannie Joe. — Trzy tysiące dolarów za tę gównianą podróbkę?

Zwiedzają domy, udostępnione przez właścicieli wszystkim chętnym do ich obejrzenia, i zachwycają się wspaniałymi nowoczesnymi posiadłościami nad wodą lub uroczymi, przerobionymi na domy mieszkalne stodołami w środku lasu.

— Niesamowite, prawda? — Alice trąca Emily. — Żeby tak po prostu wpuszczać obcych do swojego domu.

— Czemu? Bardzo dobry pomysł. Tak sobie myślę, że i ja zorganizuję u siebie coś podobnego. Wywieszę ogłoszenie na Camden High Street i w którąś niedzielę udostępnię zwiedzającym swoje mieszkanie. Co o tym sądzisz?

Alice parska śmiechem.

— Sądę, że wszyscy lokalni włóczędzy natychmiast by się wprowadzili.

— E, coś ty — mówi Emily ze śmiertelną powagą. — Na pewno tylko by się rozejrzeli, zachwycili się kapą na mojej starej kanapie, po czym wyszli.

Jadą do modnego South Norwalk — SoNo — i porównują je z Covent Garden. Emily i Alice posuwają się nawet do tego, że kupują mnóstwo koralików w sklepie z koralikami i przez całe popołudnie robią z nich naszyjniki i kolczyki, które z uporem noszą przez dwa kolejne dni, po czym zdejmują, by ich nigdy więcej nie założyć.

Któregoś dnia same wybierają się do Danbury Mail, zaskoczone obniżkami na wyprzedażach pod koniec roku.

— Przecież musiałam to kupić — tłumaczy Emily zdumionemu Harry'emu, zdumionemu ponieważ wciąż wydaje mu się, że Emily nie ma pieniędzy. — To było za pół ceny. Jeśli o mnie chodzi, to w zasadzie za darmo.

Jadają albo w domu — gotują na zmianę (Alice niezmiennie serwuje domowe pieczenie i zapiekanki, Emily dwa razy udało się przygotować makaron, Harry zrobił piezzonego kurczaka, a Joe zamówił chińskie jedzenie, co wszyscy zgodnie uznali za najbardziej wymyślny posiłek) — albo jadą do restauracji w miejscach tak odległych, jak Southport czy Monroe.

Wisiołek z różowego kryształu — który Alice w sekrecie „zaprogramowała” w drugi dzień świąt i który zdejmuje wyłącznie na noc, zdaje się rzeczywiście posiadać cudowną moc. Joe jakby nagle miał mniej pracy i spędza z nimi więcej czasu, niż Alice mogłaby kiedykolwiek marzyć, najwyraźniej świetnie się przy tym bawiąc.

W zasadzie zniknął tylko dwukrotnie, na umówiony w ostatniej chwili mecz tenisa, poza tym jest kochający i pełen czułości. Alice dawno już nie była taka szczęśliwa, a obecność Emily (zwłaszcza jej) i Harry'ego tylko ją w tym poczuciu szczęścia utwierdza. Ma swój wymarzony dom, wymarzone życie, męża i najlepszą przyjaciółkę przy sobie. Czyż można chcieć więcej?

Alice, obładowana brązowymi papierowymi torbami pełnymi zakupów, wchodzi do domu, w którym panuje martwa cisza.

Stawia torby na kuchennym stole i kątem oka dostrzega jakiś ruch za oknem. Nachyla się, by lepiej widzieć, i z uśmiechem przygląda się, jak Harry przykuca, by nagrodzić Snoopa psim smakołykiem. Snoop, który bezsprzecznie przepada wręcz za Harrym, drepcze tuż przy jego nodze, gdy obaj kierują się w stronę stawu.

— Zdrajca — mruczy Alice pod nosem, ale uśmiech z jej twarzy nie znika.

Rozpakowuje i chowa przyniesione zakupy, dokłada do ognia w kominku i zagląda przez drzwi do gabinetu, gdzie pochylony nad komputerem siedzi Joe.

— Potrzebujesz czegoś? — pyta Alice.

— Nie, kochanie. Muszę tylko trochę popracować. Za chwilę skończę.

— Joe, przecież jest Sylwester.

— Wiem, kochanie. Przepraszam, ale właśnie dlatego postaram się skończyć jak najszybciej. Obiecuję. Góra piętnaście minut.

Alice wzdycha zrezygnowana.

— Gdzie jest Emily?

— Nie mam pojęcia. Sprawdź na górze.

Alice zamyka drzwi do gabinetu i cicho wchodzi na górę, gdzie puka delikatnie do pokoju Emily.

— Em? Jesteś tam? Cisza.

Na dźwięk uchylanych przez Alice drzwi Emily porusza się i otwiera oczy.

— Cholerny *jet-lag* — mamrocze, wciąż jeszcze nie rozbudzona do końca. — Jestem tu już tydzień, a wciąż nie mogę dojść do siebie.

— Boże, przepraszam. Obudziłam cię? Niech to licho. Spij dalej, już sobie idę. Przepraszam, naprawdę bardzo cię przepraszam. — I Alice zaczyna zamykać za sobą drzwi.

— Nie — mówi Emily. — Wracaj. I tak zaczynałam się już budzić. — Klepie miejsce obok siebie na łóżku. — Chodź, porozmawiamy sobie.

Alice zrzuca buty i kładzie się na łóżku obok Emily. Obraca się na bok, by widzieć przyjaciółkę, i uśmiechając się do niej, wspiera głowę na ramieniu.

— Śniło ci się coś straszego? — pyta.

— Na pewno jakieś dziwactwa, ale nic nie pamiętam.

— Czyli że nie śnił ci się — tu Alice ścisza głos i mówi niemal bezgłośnie — Colin?

— Nie. — Emily kręci głową. — Siedź cicho. Gdzie jest Harry?

— Na dworze, bawi się ze Snoopem.

— Tęskni za Dharma.

— Emily, wiem, że zaraz się wkurzysz, ale on jest taki uroczy. Jak możesz nie kochać się w nim do szaleństwa?

— Nie wiem. — Emily wzdycha ciężko. — Naprawdę nie wiem. A zresztą, skoro tak ci się podoba, możesz go sobie wziąć.

— Wielkie dzięki — prychna Alice. — Ale nie, dziękuję. Jakbym nie miała dość na głowie.

— Joe wydaje się w doskonałej formie.

— Komputer na pewno by się z tobą zgodził. Emily spogląda na nią ze zmarszczonym czołem.

— O co ci chodzi?

— O to, że kiedy tu jest, tylko czyta gazety albo godzinami siedzi nad tą przeklętą maszyną i Bóg wie co robi. Twierdzi, że

pracuje, ale bardzo często, jak do niego zaglądam, widzę, że błyskawicznie wychodzi z czegoś, co właśnie oglądał, i wydaje mi się, że po prostu układa cholernego pasjansa.

— Może jest uzależniony od porno w Internecie — uśmiecha się złośliwie Emily.

Alice przewraca oczami.

— Słowo daję, nic już mnie nie zdziwi. No, ale powinnaś wstawać, bo idziemy przecież dzisiaj na imprezę i musimy zrobić się na bóstwa.

— Dobra. W co się ubierasz? Coś eleganckiego czy też raczej swobodnego?

Alice wzrusza ramionami.

— A bo ja wiem. Chyba włożę czarne spodnie i czarny sweter.

— Jak nie wiadomo co wybrać, najlepiej trzymać się czerni?

— Właśnie. A ty?

— W zeszłym tygodniu w SoHo kupiłam sobie błyszczącą bluzkę w lamparci wzór i chyba dzisiaj włożę ją po raz pierwszy.

— No, no — śmieje się Alice. — Sąsiedzi będą mieli o czym mówić.

— Będą oburzeni?

— Nie. Tylko baby cię znienawidzą. Panowie na pewno przez całą noc nie będą mogli oderwać od ciebie oczu. Zwłaszcza James.

— James?

— Miejscowy czaruś. Erotoman-gawędziarz.

Emily uśmiecha się. Dokładnie to samo mówiła zawsze Alice o Joe.

— Miły?

— Czy to ważne?

— Po prostu jestem ciekawa.

— W zasadzie miły. Straszny z niego flirciarz, ale tylko kiedy twojej drugiej połowy nie ma w pobliżu. Za to żonę ma koszmarną. Ona i Joe grają razem w tenisa i nie ufam jej za grosz. Żadnemu nie przepuści. Joe uważa ją za wcielenie wdzięku i czaru, dla mnie jest raczej zimna i oślizgła.

- Coś okropnego.
- Spośród osób, które tu poznałam, to jedyna, za którą szczerze nie przepadam. No, ale nie da się zawsze wszystkich lubić. Rusz się, pora wstawać. Czekam na ciebie na dole.
- A niech mnie! — Joe podnosi głowę i na widok schodzącej z góry Emily wydaje przeciągły gwizd. Emily z uśmiechem robi przed nim wdzięczny piruet.
- Bardzo ci dziękuję — mówi. — Nie uważasz, że trochę zbyt wyzywająco się ubrałam?
- Wyglądasz seksownie jak jasna cholera — chwali ją Joe, lustrując wzrokiem pełne piersi osłonięte na wpół przezroczystą bluzką i wysokie obcasy. — Można by cię zjeść.
- Joe! — Chociaż komplement Joe mile Emily polechtał, flirtować z nim nie ma zamiaru.
- Przepraszam, przepraszam. Ale wyglądasz super.
- Nie wezmą mnie za dziwkę?
- Cóż, może i wezmą, ale na pewno będą zachwyceni.
- Cholera! Idę się przebrać.
- Nie! — protestuje Joe. — Myślę, że od polowania na O.J.* nie widzieli niczego bardziej podniecającego.
- Boże. Teraz już na pewno muszę się przebrać. To zbyt wyzywające.
- Ze schodów schodzi Alice w zamszowych butach na płaskim obcasie i na widok Emily wybucha śmiechem.
- Proszę, proszę! — mówi. — Wyglądasz niesamowicie.
- Zbyt seksy? — pyta zmartwiona Emily.
- Niewyobrażalnie seksy, ale komu to przeszkadza?
- Jesteś pewna?
- Całkowicie. A co Harry o tym myśli?

* OJ. — O.J. Simpson, w latach siedemdziesiątych jeden z największych graczy footballu amerykańskiego, później oskarżony o morderstwo swojej żony i jej przyjaciela. Jego proces trwał ponad dziewięć miesięcy i stał się wielkim wydarzeniem medialnym na całym świecie.

— Brał prysznic. Dobra, zaczekam i zobaczę, co on powie.

Po kilku minutach zjawia się Harry, z wciąż jeszcze wilgotnymi włosami. Na widok Emily oczy robią mu się wielkie i okrągłe.

— Rany — mówi tylko.

— Podoba ci się?

— Wyglądasz wspaniale — zaczyna. — Ale czy jesteś przekonana, że to odpowiedni strój na przyjęcie na wsi? Zobacz, Alice idzie w spodniach i butach na płaskim obcasie. Wyglądasz świetnie, ale może ten strój jest trochę nie na miejscu.

Alice przygląda się Emily, która usiłuje nad sobą zapanować.

— Czuję się świetnie — oświadcza. — I w tym idę. Joe uśmiecha się szeroko.

— Nie przejmuj się, Harry. Będzie gwiazdą wieczoru.

Zajeżdżają w czwórkę na podjazd Sally i Chrisa, wzdłuż którego rosną białe pinie, ozdobione girlandami białych światełek, a płonące w oknach domu świece nadają otoczeniu radosny, sprzyjający zabawie nastrój.

Do drzwi podchodzi Sally w długiej, aksamitnej sukni, ze szklanką ajerkoniaku w ręku i całuje Alice i Joe na powitanie.

— Cieszę się, że jesteście — mówi serdecznie i odstawia drinka, by uścisnąć dłonie Emily i Harry'emu. — Wezmę wasze płaszcze.

Na widok lamparciej ekstrawagancji Emily oczy robią się jej trochę duże, ale szybko się opanowuje i z uśmiechem prowadzi wszystkich do salonu.

— Zaraz wracam — mówi. — Muszę tylko przynieść drinki i sprawdzić, co tam słychać zjedzeniem. Chris gdzieś tu się kręci, a Kay i Jamesa już znacie. Chris! — woła. — Chodź, przywitaj się! — Po czym znika.

— Kto to? — pyta półgębkiem Emily, gdy zbliża się do nich Kay, z szerokim uśmiechem i długimi na kilometr nogami. — Nic nie mów. To pewnie ten koszmar.

— Aha — przytakuje Alice ze sztucznym uśmiechem przy-

klejonym do twarzy. — Ciekawe skąd wiedziałaś? Kay! Jak miło cię zobaczyć!

— Witaj, Alice, nie widziałyśmy się chyba ze sto lat. — Kay uśmiecha się zimno, za to gdy zwraca się do Joe, oczy błyszczą jej radośnie. — Cześć, partnerze — mówi, wydymając kuszaco usta.

— Cześć, partnerko! — odpowiada ze śmiechem Joe i nachyla się, by pocałować ją w policzek. Alice obraca się ku Emily i wznosi wymownie oczy ku niebu, co widząc, Emily z trudem powstrzymuje śmiech. — To nasi przyjaciele, Emily i Harry — dodaje Joe. — Przyjechali do nas z Londynu.

Kay obraca się wolno i od stóp do głów taksuje Emily wzrokiem.

— Cóż — mówi wesoło. — Wspaniała kreacja.

W jej głosie słychać głęboką pogardę i Emily nie czuje się zobligowana do zachowania choćby pozorów grzeczności.

— I nawzajem — mówi, równie lekceważącym spojrzeniem omiatając kusą spódniczkę z lycry i wyszywaną cekinami bluzeczkę na ramiączkach, w które wystroiła się Kay.

Twarcz Kay tężeje, po czym odwraca się do Harry'ego.

— Cześć — uśmiecha się do niego promiennie. — Jestem Kay.

— Dobry wieczór. Harry. — Ścisza jej uprzejmie dłoń, jednocześnie podziwiając imponujący dekolt.

— Boże, mężczyźni są naprawdę żałośni — szepcze Alice do Emily. — Chodź, napijemy się czegoś.

— Dobry pomysł — podchwytuje Emily. — Wracamy za chwilę — dodaje, zwracając się do panów.

Ramię w ramię wychodzą z salonu, chichocząc z pochylonymi głowami.

— Okropna, prawda? — mówi Alice. — Joe uważa, że jest „bardzo zabawna”, ale ja jej nie znoszę. Widziałaś, jak patrzyła na Joe? Jakby był darem od Pana Boga.

— Na Harry'ego też nie patrzyła lepiej.

— Miała minę, jakby to było Boże Narodzenie. Obie parszczą śmiechem.

— Cóż tak bawi piękne panie?
Zatrzymują się gwałtownie i odwracają do Jamesa.

— Ach, James, właśnie mówiłyśmy o tobie.

— Naprawdę?

— Naprawdę? — Emily jest równie zaskoczona, choć znacznie mniej zachwycona.

— W zasadzie o twojej żonie i o tym, jak wyjątkowo pięknie dzisiaj wygląda.

James unosi brew i zatrzymuje wzrok na biuście Emily. Ledwie osłoniętym bluzeczką w lamparci wzór.

— Jak widzę, ma twardą konkurencję — zauważa znacząco.

— Pod warunkiem, że twarda jest tylko konkurencja — śmieje się wesoło Emily.

— Emily! — strofuje ją Alice ostro, wie już bowiem, że jakkolwiek niewinny flirt jest całkowicie na miejscu, wymowne dwuznaczności, które w Anglii są czymś zupełnie naturalnym, tutaj spotkać się mogą z mniej entuzjastycznym przyjęciem.

I rzeczywiście, James jest wyraźnie zaskoczony.

— Przepraszam — bąka Emily. — Nie chciałam być niegrzeczna. Ty na pewno jesteś James. — Wyciąga na powitanie rękę, którą James ujmuje skwapliwie.

— Owszem. A ty?

— Emily. Miło mi.

— Kolejna piękna dziewczyna z Anglii — mówi James. — Czymże sobie na to zasłużyliśmy?

— James? — Zza rogu wyłania się Kay i podchodzi do nich, co wprawia Jamesa w wyraźne zakłopotanie. — Co robisz?

— Rozmawiam z Alice — pada odpowiedź. — Przepraszam, złotko. O co mnie prosiłaś?

— O Cosmopolitana. — Kay nawet nie stara się ukryć irytacji. — Zaczekam, aż skończysz, dobrze?

— Nie, nie, już idę. Miło było cię poznać — mówi na odchodnym do Emily i szybko zmierza do kuchni po drinka dla żony.

— Ale zamieszanie — zauważa Emily, gdy Kay wraca do salonu. — Co tu się dzieje?

— Wolę nie wiedzieć. Chociaż gdyby się tak nie napalał, byłby całkiem miły. Ma w mieście centrum ogrodnicze. A poza tym, Em, czego się spodziewałaś, ubierając się w ten sposób? Ostrzegałam cię.

— Przystojniak z niego — mówi w zadumie Emily, gdy James mija je z Cosmpolitanem w jednej ręce, a z piwem w drugiej.

— Pewnie tak, ale wygląda mi na pantoflarza.

Dosłownie co kilka minut rozlega się dzwonek do drzwi i w ciągu pół godziny pokój wypełniony jest gośćmi. W tle śpiewa niezbyt głośno Frank Sinatra, w wielkim kamiennym kominku buzuje ogień, a grube czerwone świece umieszczone w szklanych misach wypełnionych żurawiną rozjaśniają pomieszczenie migotliwym blaskiem.

Atmosfera z każdą chwilą robi się coraz bardziej swobodna i szum rozmów narasta. Chris i Sally krążą między gośćmi, częstując kanapkami ułożonymi w stosy na srebrnych tacach.

Joe zdumiony jest liczbą osób, które Alice zna.

— Klub Gospodyń?— dopytuje się szeptem za każdym razem, gdy z drugiego końca pokoju macha do niej jakaś kobieta bądź podchodzi, by przywitać się osobiście.

— Tak, z Klubu — odpowiada Alice, albo:

— Nie, to Caroline, która pracuje w sklepie z kawą. Lub:

— A to Samantha, poznałam ją w supermarkecie.

— Znasz tu chyba wszystkich! — wykrzykuje Joe. — Odkąd to moja żona stała się takim towarzyskim zwierzęciem?

— Najdroższy mężu, gdybyś od czasu do czasu oderwał się od pracy — odpowiada Alice z uroczym uśmiechem — zauważyłbyś, jaka jestem towarzyska. Myślę, że to dlatego, że jestem szczęśliwa.

— Naprawdę, kochanie? — Joe spogląda na nią czule i obejmując ją w pasie, przytula do siebie i całuje delikatnie w usta. — To dobrze. Kiedy ostatnio mówiłem ci, że cię kocham?

Alice wtula się w niego, rozkoszując się jego bliskością.

Nagle przypomina sobie, jak uwielbia, gdy jest wobec niej taki czuły i kochający, i jak tęskni za nim, spędzając samotnie tyle czasu na wsi.

Uśmiecha się do niego.

— Kochasz mnie?

— Bardzo, bardzo mocno.

— To dobrze, bo ja ciebie też kocham.

— Tak samo jak ja ciebie?

— Och, przypuszczam, że chyba nawet bardziej.

— W takim razie wszystko jest w porządku — śmieje się Joe i znowu ją całuje, czemu z drugiego końca pokoju przygląda się Kay z pochmurniałą nagle twarzą. Gotowa była założyć się o wszystkie pieniądze, że nie są razem szczęśliwi. Bóg jeden wie, jak ostro Joe z nią flirtuje podczas ich cotygodniowych gier w tenisa. A teraz proszę, gruchają sobie jak para nowożeńców, oczu nie mogąc od siebie oderwać. Nie mogła przecież aż tak błędnie ocenić sytuacji...

— Wszystko w porządku, kochanie? — U jej boku pojawia się niespodziewanie James.

Kay odwraca się i posyła mu uśmiech.

— Jak najbardziej — zapewnia go i wsuwa mu rękę pod ramię, wprawiając go tym w zachwyt, ale i zdumienie jednocześnie. — Pocałuj mnie, mój ty wspaniały mężczyzno.

— Tutaj? — dziwi się James, rozglądając się wokół. — Publicznie?

— A czemu nie? Wstydzisz się pocałować własną żonę? — Kay wie, że Joe im się przygląda. A co tam, nie on jeden potrafi prowadzić takie gierki.

— Ależ skąd. Wręcz przeciwnie. — James nachyla się i całuje ją szybko w usta, Kay jednak zarzuca mu ramiona na szyję i przyciąga do siebie, obdarzając go namiętym, pełnym pocałunkiem.

— O rany! — James odsuwa się i z zachwytem wpatruje się w żonę. Po chwili nachyla się w nadziei na kolejną pieszczotę.

— Nie wygłupiaj się! — Odpycha go Kay, bo Joe zdążył się

już odwrócić. — Nie tutaj. — Odchodzi, zostawiając Jamesa w kompletnym osłupieniu.

— Mogę się przyłączyć?

Harry przystaje przed ławką na której siedzi Alice. W odpowiedzi Alice kiwa z uśmiechem głową i obejmuje się ramionami, chroniąc się przed chłodem.

— Pięknie tu, prawda? — pyta, gdy Harry zajmuje miejsce obok niej. — Zobacz, jak jest ciemno. Kompletnie nic nie widać. Uwielbiam to.

Harry milczy. Sięga ręką do kieszeni, chwilę w niej grzebie, by w końcu wyjąć paczkę marlboro lights i pudełko zapalek.

— Harry! — wykrzykuje zdumiona Alice. — Ty palisz?

— Ciii. — Harry przykłada palec do ust. — Tylko kiedy jestem pijany.

— Jesteś pijany? Wyglądasz zupełnie trzeźwo.

— Nie. — Harry kręci przecząco głową. — Zawsze, jak jestem pijany, zachowuję się trzeźwo. Prawdę mówiąc, im bardziej jestem pijany, tym trzeźwiej się zachowuję.

Alice parska śmiechem.

— Bzdury wygadujesz. Czy to znaczy, że zawsze jesteś pijany?

— Nie. Tylko wtedy, kiedy zachowuję się jak trzeźwy.

— Więc skąd mam wiedzieć, kiedy jesteś trzeźwy, a kiedy pijany?

— No właśnie, to jest najtrudniejsze. Nigdy nie wiesz. Alice mruży oczy i spogląda na niego z ukosa.

— Żartujesz sobie, prawda?

— Być może — uśmiecha się Harry. — Wiesz, że właśnie rozmawiałem z tym Jamesem i zaproponował mi pracę?

— Co to znaczy: zaproponował ci pracę? Harry wzrusza ramionami.

— Rozmawialiśmy o ogrodnictwie i powiedział, że przydałby mu się ktoś obeznany w temacie, i spytał, czy nie byłbym zainteresowany.

— Co mu powiedziałaś?

— Że to kuszące mieszkać tutaj, ale niestety, zmuszony jestem odmówić. — Harry szczerzy zęby. — I powiedziałem, żeby zapytał mnie za pół roku. Na razie zbyt wiele trzyma mnie w Anglii.

— Poczynając od Emily.

— Owszem, od Emily poczynając. — Harry spogląda w dół, na paczkę, z której wytrząsa papierosa, po czym sięga do niej po mniejszego, ręcznie skręcanego i wyjmuje go, z uniesioną brwią patrząc na Alice i jej otwarte szeroko ze zdumienia oczy.

— To chyba nie to, co myślę!

— Nie wiem. A co myślisz?

— Czy to... — Alice zniża głos do szeptu — ...skręt?

— To to samo co trawka? — również szeptem odzywa się Harry.

— A jeśli tak, to owszem, jest to skręt. O nie. To straszne. Co my teraz z tym zrobimy?

— Jezu, zamknij się. — Alice rozgląda się nerwowo, podczas gdy Harry przytyka płomień do skręta, zaciąga się głęboko i z pełnym zadowolenia westchnieniem wydmuchuje dym.

— Harry! Tak nie można! Harry uśmiecha się.

— Dlaczego nie? Przecież jesteśmy na dworze. A kiedy ostatnio sprawdzałem, byliśmy już dorośli. Obiecuję ci, że nikt się nie dowie.

— Zaciąga się znowu i podaje skręta Alice, która wpatruje się w niego z przerażeniem, po czym wolno wyciąga po niego rękę.

— Przysięgnij, że słówkiem nie piśniesz Joe. Chybaby mnie zabił.

— Wierz mi, Joe to ostatnia osoba, której bym powiedział. A tak przy okazji, nie mów lepiej Emily, ona zabiłaby mnie.

Alice zaciąga się i zatrzymuje dym głęboko w płucach, czego nie robiła od czasów szkolnych. Wypuszcza powietrze i czując, jak jej członki stają się dziwnie lekkie, z uśmiechem opada na ławkę.

— Boże, ależ to dobre — wzdycha i podaje skręta Harry'emu. — Masz pojęcie, od ilu lat nie paliłam?

— Jakichś dwudziestu?

— Mniej więcej — odpowiada z uśmiechem. — A tak poza tym: skąd to masz?

— Tajemnica handlowa — mówi Harry. — W każdym razie w użyciu były butelki po szamponie, mnóstwo taśmy klejącej i moje talenty szmuglerskie.

— Harry, przecież to okropne! Wcale się nie dziwię, że Emily by cię zabiła. Ja na pewno, gdybym była twoją dziewczyną.

— Szczęśliwie jesteś tylko koleżanką. Masz. — I znowu wręcza Alice skręta.

Siedzą przez jakiś czas w pełnej wzajemnego zrozumienia ciszy, Alice rozkoszująca się aksamitną czernią nocy, wsłuchana w każdy dochodzący z lasu dźwięk, jakby czegoś podobnego doświadczała po raz pierwszy.

— Boże, coś cudownego — powtarza co parę minut, co Harry kwituje uśmiechem.

— Nic nie widzę — mówi Alice i na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech, bo nagle wydało jej się niezmiernie zabawne, że tak oto siedzą oboje otoczeni przez kompletną ciemność.

— Za chwilę oczy ci się przyzwyczają — tłumaczy jej Harry. — Założę się, że bez problemu dałabyś radę poruszać się po ogrodzie.

— A ja założę się, że ty nie — mówi Alice.

— Okay. Stawiam pięćdziesiąt dolarów, że ci się uda.

— Stoi. — Alice wstaje niepewnie i chwiejnie zaczyna iść, chichocząc przy tym bez opamiętania.

— Jedno okrążenie wokół ogrodu — woła za nią Harry, chichocząc już podobnie jak ona. — Czekam tu, a ty krzycz, gdybyś potrzebowała pomocy.

— A jak spotkam kojota? — pyta oddalona o kilka metrów Alice, krtuszając się ze śmiechu.

— Uściśnij mu łapę i grzecznie się przywitaj — odkrzykuje Harry.

Tak ich to oboje rozśmiesza, że dostają — każde w swoim kokonie ciemności — ataku niepohamowanego śmiechu.

*

— Czy ktoś widział moją żonę? — Joe odbył długie pogawędki z Sandy i Timem, Tomem i Jamesem, kilkorgiem znajomych Alice, gdy nagle zdaje sobie sprawę, że od dłuższego już czasu nie widział nigdzie Alice, a północ i wraz z nią początek nowego roku zbliża się wielkimi krokami.

— Alice? — Wchodzi do salonu, gdzie wokół jedzenia zgromadziło się sporo osób, wśród których na samym końcu dostrzega Emily z talerzem, na który nałożyła sobie sporą porcję łososia, filet mignon i sałatkę z dzikiego ryżu. — Przepraszam, przepraszam. Chciałbym przejść. Och, przepraszam. — Joe z trudem toruje sobie drogę wśród częstujących się gości, docierając wreszcie do Emily, która sadowi się właśnie przy stole obok Jamesa. — Emily, nie wiesz, gdzie jest Alice?

— Nie. Ostatnio widziałam ją kiedy Sally oprowadzała ją po domu.

— Och. Rozumiem. Dzięki.

„Może — myśli sobie Joe — Alice wciąż jeszcze jest na górze”. Wychodzi z salonu i wchodzi po schodach, ostrożnie zaglądając do wszystkich pokoi, z wyjątkiem oczywiście jednego, na którego drzwiach widnieje wielka, emaliowana tabliczka z napisem „Pokój Madison”.

Łazienka: pusta. Pokoje gościnne: puste. Główna sypialnia: pusta. Kolejny pokój gościny: Joe otwiera drzwi i Kay, przestraszona, podskakuje. Stoi przed lustrzanymi drzwiami szafy i poprawia szminkę na ustach. Widząc Joe, uśmiecha się szeroko.

— Już prawie skończyłam — mówi, wydymając usta do lustra, w pełni świadoma, że Joe nie jest w stanie oderwać od niej oczu.

Joe stoi, wodząc wzrokiem po jej udach, wspaniałych jędrnych pośladkach. Psiakrew. Przecież sobie przyrzekł. I był taki grzeczny. Od miesięcy dochowywał wierności. I to naprawdę nie będzie mieć żadnego znaczenia. Alice nigdy się nie dowie, tak jak nie dowiedziała się nigdy wcześniej. Chryste, jak ona wygląda. Jak wydyma usta, ależ musi być w łóżku, te jędrne uda owinięte wokół niego w pasie.

Joe bierze głęboki oddech i zamyka za sobą drzwi. Stoi bez ruchu, ani na chwilę nie spuszczaając Kay z oczu. Kay kończy malować usta, zamyka torebkę i odwraca się, by na niego spojrzeć.

— No i? — mówi cicho. — Jak wyglądam?

— Gdybym powiedział, że mógłbym cię zjeść, uwierzyłybyś mi? — Joe czuje, jak na samą myśl o seksie z tą kobietą twardnieje.

Kay uśmiecha się tylko, wyraźnie zamierzając wyjść z pokoju, on jednak powstrzymuje ją, kładąc rękę na ramieniu.

— Kay — szepcze. Kay zatrzymuje się i wolno obraca ku niemu. —

Kay — powtarza Joe i unosi dłoń, by palcem przesunąć po jej wargach. Kay wzdycha cicho i przymyka oczy. Rozchyła nieco wargi i Joe wsuwa jej palec do ust, czując ciepło ich wnętrza. Zatacza nim kółka, igrając z jej językiem, po chwili z głośnym jękiem rozkoszy obejmuje ją ramionami i zaczynają całować się namiętnie, z pasją.

— O Boże — jęczy Joe, pociągając ją za sobą i upadając na łóżko. Żąda dosłownie go pożera, zabijając wszelki rozsądek, poczucie rzeczywistości. Jego jedyną myślą, pragnieniem w tej chwili jest znaleźć się w tej kobiecie.

Tarzają się po łóżku, jęcząc i wzdychając, Joe sięga pod jej koszulę, by rozpiąć stanik... Kay gwałtownie się odsuwa.

— Nie! — mówi, siada i odpycha go. — Nie możemy.

— Co? Co to znaczy: nie możemy?

— Nie powinniśmy tego robić — mówi Kay ze smutkiem.

— Kay, oczywiście, że nie powinniśmy tego robić, ale jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Myślę o tobie bezustannie. Wiem, że nie powinniśmy, ale nic na to nie poradzę, pragnę cię do szaleństwa.

— Ja też cię pragnę, ale ty masz żonę, a ja męża. Na długą chwilę zapada milczenie.

— Przecież o niczym nie muszą wiedzieć — odzywa się w końcu Joe, znowu ją dotykając.

— Nie! — Kay wstaje pospiesznie i wygładza spódnice. — Nie mogę. Przepraszam. Ale nie mogę tego zrobić.

— Ty nie żartujesz, prawda? — Erekcja Joe znika równie szybko, jak się pojawiła.

Kay zakłopotana przytakuje skinieniem głowy.

— Przecież od miesiący zachowujesz się wobec mnie niedwuznacznie. Flirtujesz ze mną, mówisz różne rzeczy. Jak myślisz, na miłość boską, do czego to miało doprowadzić?

Kay wzrusza ramionami.

— Przepraszam. O nic mi nie chodziło, ja po prostu... sama nie wiem. Chyba po prostu podobało mi się, że zwracasz na mnie uwagę.

Joe potrząsa głową z obrzydzeniem.

— Wychodzi na to, że zwykła z ciebie podpuszczalska cipa.

— Byłabym wdzięczna, gdybyś nie wyrażał się w ten sposób w mojej obecności — oświadcza Kay sztywno, przekręca gałkę w drzwiach i wychodzi.

— Boże wszechmogący — mruczy pod nosem Joe. — Co za pieprzona cipa.

Po kilku minutach wzdycha i wraca na przyjęcie. Co zaś najważniejsze, w dalszym ciągu nie ma pojęcia, gdzie podziewa się jego żona.

— Na pomoc! — Alice potyka się o dziurę w ziemi i wybuchając śmiechem, przewraca się.

Im bardziej się śmieje, tym wszystko wydaje jej się zabawniejsze. W końcu śmieje się już tak histerycznie, że nie może się podnieść, leży więc, trzęsąc się cała.

— Gdzie jesteś? — Harry, również chichocząc, brnie w jej stronę, gdy nagle potyka się o jej kostkę i pada płasko na twarz.

— Nic ci się nie stało? — udaje się wykrztusić Alice. Harry wyciąga rękę i po omacku ją znajduje. Kładzie się obok i leżą tak, niemal w ataku apopleksji ze śmiechu.

— O Boże — wzdycha Harry, gdy w końcu udaje mu się uspokoić. — Niezły towar.

— O, to prawda, niezły — zgadza się z nim Alice. — Ależ piękna noc. Popatrz tylko na te gwiazdy.

Harry leży z rękami pod głową.

— Tam jest Droga Mleczna — mówi.

— Gdzie? Nie widzę.

— Tam, widzisz? — Bierze jej rękę i kieruje ją w stronę Drogi Mlecznej, by Alice mogła ją dostrzec.

— Przepiękna. — Alice aż dech zapiera z zachwytu. Leżą oboje w milczeniu, patrząc na gwiazdy i trzymając się za ręce.

Jedyny dźwięk, jaki dobiega uszu Alice, to ich oddechy, jedyne, co widzi, to gwiazdy, a jedyne, co czuje, to swoje palce splecione z palcami Harry'ego i delikatny dotyk jego kciuka, gładzącego jej skórę.

Leżą tak, zdawałoby się, godzinami, oboje pieszczący nawzajem delikatnie swoje dłonie, żadne nieświadome niczego poza tym, że cudownie jest tak leżeć na dworze i trzymać się za ręce. I nagle, dokładnie w tej samej chwili oboje przewracają się na bok i ich usta się stykają.

I całują się. Długo, bardzo długo.

— Alice?

Głos brzmi znajomo, ale zbyt jest odległy, by przywołać ich do przytomności, zbyt słaby, bo zwrócili na niego uwagę. Nagle ogród zalewają potoki światła, bo ktoś włączył zewnętrzne oświetlenie. Alice i Harry odskakują od siebie i widzą oboje rękę Emily, którą ona zasłania sobie usta. Emily odwraca się i szlochając, biegnie z powrotem do domu.

— Joe. Odwieź mnie.

— Co? — Joe popija szkocką i robi, co może, by unikać Kay. On wchodzi do salonu, ona z niego wychodzi. Ona wchodzi do kuchni, on wychodzi. Póki co, salon nie jest bezpieczny, więc Joe nalewa sobie sporą działkę czystej whisky, by złagodzić ból odrzucenia. Obraca się i widzi za sobą Emily, z twarzą poszarzałą jak popiół i ubraną w płaszcz.

— O czym ty mówisz? Gdzie reszta?

— Nie wiem, ale nie czuję się zbyt dobrze. Chyba zaraz zwymiotuję.

— Boże, Emily, przepraszam. Na pewno nie chcesz się na chwilę położyć? Wiesz, że nikomu tutaj nie będzie to przeszkadzało.

— Nie, chcę wracać. — Wzdycha zniecierpliwiona. — Joe, w domu mam lekarstwo — kłamię — które muszę zażyć. Proszę, podrzuć mnie, potem możesz wrócić.

— Dobrze. Zaczekaj chwilę. Bóg wie, gdzie podziewa się Alice. Tylko powiem Sally, że wychodzimy.

— Dobrze. Daj mi kluczyki. Zaczekam w samochodzie.

Emily nigdy w życiu nie wyszłaby z przyjęcia, nie podziękowawszy gospodyni, ale to nie jest zwykłe przyjęcie, a ona nie ma siły ani ochoty zachowywać się normalnie. Dygocząc, zmarznięta i otepiała siedzi na siedzeniu pasażera. Gdyby ktoś powiedział Emily, że przyłapie przyjaciółkę i własnego chłopaka całujących się namiętnie, powiedziałyby, że to niemożliwe, aby coś takiego mogło się kiedykolwiek wydarzyć.

A gdyby ten ktoś jednak obstawał przy swoim, powiedziała by mu, że wtedy dosłownie by zwariowała.

Oznajmiłaby, że stałaby tam i darła się na nich. Zapytałaby ich, co do kurwy nędzy wyprawiają. Dała Harry'emu w gębę. Do diabła, skoro już o tym mowa, to może nawet przywaliłaby i Alice.

I oto siedzi tu teraz, rozdygotana, otępiała, niezdolna wykonać jakiegokolwiek ruchu. Mimo że widziała to na własne oczy, wciąż nie może do końca uwierzyć, że to się stało, i wciąż od nowa odgrywa wszystko w wyobraźni, zastanawiając się, czy przypadkiem jednak nie był to po prostu zły sen.

Ale nie. Może i znajdowali się daleko, ale nikt nie mógłby mieć wątpliwości, co faktycznie robili. Emily widziała, w tym jednym ułamku sekundy, zanim się odwróciła i uciekła, jak Harry leżał na Alice, oczy miał zamknięte, palce wplecione w jej włosy i całował ją. Emily widziała ręce Alice błędzące po silnych plecach Harry'ego, plecach, które ona, Emily znała tak dobrze. Dusi szloch zbierający jej się w gardle.

Nie. Nie będzie płakać na oczach innych. Nie będzie płakać na oczach Joe. Musi tylko uciec od wszystkich. Musi uciec od Alice i Harry'ego.

— Joe? Dokąd idziesz? — Alice wbiega do domu w poszukiwaniu Emily i widząc Joe w płaszczu i z kluczykami w ręce, czuje, jak serce podchodzi jej do gardła.

— Gdzie byłaś?

Alice tylko na niego patrzy. Czy Emily zdążyła mu już powiedzieć? Czy on ją sprawdza? Stoi nieruchomo, wreszcie zdobywa się na wzruszenie ramionami.

— W ogrodzie.

— Przecież tam jest zimno! — parska śmiechem Joe i Alice rozluźnia się nieco. Nic nie wie. Ale Boże. Emily. Jej najlepsza przyjaciółka. Wołałaby umrzeć, niż ją zranić, a nie ma pojęcia, co w zasadzie zdarzyło się na zewnątrz. Wie jedynie, że jest jej w tej chwili niedobrze, przykro i czuje się zagubiona.

— Dokąd idziesz? I gdzie jest Emily?
— Źle się poczuła — rzuca Joe przez ramię, kierując się do wyjścia.
— Idę odwiedzić ją do domu.
— Zaczekaj! Pójdę z tobą. — Alice rusza za nim, Joe jednak potrząsa głową.
— Nie martw się o nią. Nic jej nie będzie. Musi tylko zażyć jakieś lekarstwo, które zostawiła w domu. Zostańcie z Harrym. Ja zaraz wracam.
— Nie... zaczekaj...
Ale Joe zdążył już zniknąć za drzwiami.
— Na pewno sobie poradzisz? Nie wyglądasz najlepiej. Joe otwiera drzwi do domu i z troską odwraca się do Emily, która zdobywa się na wymuszony uśmiech.
— Myślę, że to ciągle jeszcze skutki *jet-lag*, a poza tym chyba zmęczenie daje o sobie znać. Muszę się tylko położyć i na pewno zaraz poczuję się lepiej.
— To znaczy, że mogę wracać na przyjęcie i zostawić cię tu samą?
O Boże. Samą. Znowu jest sama. Emily odwraca się, nie chce bowiem, żeby Joe zobaczył jej znękaną minę i bojąc się odezwać, kiwa tylko głową.
— Dobra. To do jutra. Mam nadzieję, że szybko dojdiesz do siebie.
— Joe cicho zamyka za sobą drzwi i wraca na przyjęcie.
— Jasna cholera — przeklina Harry. Po raz nie wiadomo który z rzędu. — Co my teraz zrobimy?
Alice i Harry stoją nieszczęśliwi w kącie kuchni, podczas gdy obok przyjęcie trwa w najlepsze. Widać już wpływ wypitego alkoholu: Chris puścił Franka Sinatrę na cały regulator, światła — i tak już przygaszone — teraz świecą jeszcze słabiej, a salon zamienił się w salę taneczną wypełnioną tulącymi się w parach, z pochylonymi głowami, tancerzami.
— Harry, jest mi niedobrze. Nie mam pojęcia, co tam się stało. — Alice, teraz już kompletnie trzeźwa, w głowie ma mę-

tlik, nie może pojąć, jak doszło do pocałunku i cierpi na wspomnienie wyrazu twarzy Emily, bo wie, jak potwornie ją zraniła.

— To znaczy, nic się nie stało. Nic! — mówi to żarliwie, jak gdyby samą siebie pragnęła przekonać. — Nie wiem, co robić

— dodaje po chwili słabym głosem, spoglądając bezradnie na Harry'ego.

Harry milczy. Wie doskonale, co zaszło w ogrodzie. Może i był naćpany, ale ilekroć patrzy teraz na Alice, marzy jedynie, by wziąć ją w ramiona i tulić.

Wcześniej, gdy poznali się w Londynie, podobne myśli nie były mu nawet w głowie. Owszem, lubił ją i oczywiście uważał, że jest atrakcyjna, ale wiedział też, że pochodzą z dwóch różnych światów, że kobiety takie jak Alice nie są dla niego.

Poza tym, a może przede wszystkim, był z Emily szczęśliwy, zbyt szczęśliwy, by w ogóle oglądać się za innymi kobietami. Ale w miarę, jak upływały miesiące, ich związek dawał mu coraz mniej zadowolenia, a oni wyraźnie z każdym dniem mniej do siebie pasowali.

Z początku martwiła go rosnąca obojętność Emily, lecz sposób, w jaki się od niego oddalała, i ciągłe humory coraz bardziej utwierdzały go w przekonaniu, iż nie jest tą kobietą, z którą chciałby spędzić resztę swego życia. Doskonale zdawał sobie sprawę, że są ze sobą wyłącznie z przyzwyczajenia i zwykłego lenistwa.

Poza tym wciąż jeszcze tliła się w nim nadzieja, że może jednak nie wszystko jeszcze stracone, i podobnie jak Emily, wyjazd do Ameryki traktował jako próbę ostateczną: albo się uda, albo rozchodzą się definitywnie. Nic jednak nie przygotowało go na ponowne spotkanie z Alice. Od pierwszej chwili, gdy tylko ujrzał ją po przyjeździe, ani na moment nie mógł przestać o niej myśleć.

Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jaka jest wesoła i zabawna. Jak sama z siebie potrafi żartować, niczego nie brać zbyt poważnie. Głównie jednak zachwycało go przyglądanie się jej w domu: podczas zabawy ze Snoopem, przygotowywania śnia-

dania w kuchni, i im dłużej na nią patrzył, tym wydawała mu się piękniejsza.

Jak zresztą powiedział jej to przed paroma dniami, roztaczała wokół siebie świetlistą aurę. Dlatego pragnął wszędzie za nią podążać, nurzać się w szczęśliwości, jaka z niej promieniowała, czego Joe zdawał się w ogóle nie dostrzegać. Harry widzi doskonale, że dla Joe Alice jest wyłącznie piękną, zdobyczną żoną, uwielbia okazywać jej czułość, ale tylko na pokaz, i chwalić się nią na przyjęciach takich jak dzisiejsze, poza tym jednak w zasadzie nie zwraca na nią uwagi.

Chryste, w zasadzie to Joe nie zwraca uwagi na żadne z nich. Mimo iż w jego domu przebywają goście, Joe większość czasu tkwi zaszyty w gabinecie, gapiąc się w komputer i wszystko zwalając na barki Alice.

Jednak aż do dzisiejszego wieczoru Harry nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko się zaangażował. Dotąd sądził, że po prostu bardzo Alice lubi, ceni ją jako przyjaciółkę, choć wieczorami, gdy leżał obok śpiącej już Emily, przypominał sobie każde wypowiedziane przez Alice słowo, wszystkie jej żarty, które tak go bawiły.

Dzisiaj, gdy wyszedł do ogrodu zapalić skręta i znalazł Alice siedzącą na ławce, serce mocniej mu zabiło i pojał, co czuje naprawdę, że nie jest to tylko próba nawiązania dobrych stosunków z przyjaciółką swojej dziewczyny.

Ale nawet on nie był przygotowany na to, co wkrótce potem zaszło. Czy coś mogło być trudniejsze, bardziej skomplikowane, bardziej niedopuszczalne?

Widok Alice wprowadził go w drżenie, mimo to nie spodziewał się, nawet nie przypuszczał, że mogłoby między nimi do czegoś dojść.

A kiedy potem leżał obok niej na trawie, nie mógł powstrzymać się, by nie ująć jej dłoni. Gdy poczuł, że odwzajemnia pieszczotę, delikatnie gładząc jego palce, zrozumiał, że nie ma odwrotu. Przynajmniej dla niego.

Od tamtej chwili minęło zaledwie piętnaście minut i oto teraz ona mówi mu, że to nic nie znaczyło. Harry czuje, jak

wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, wszystko, co mogło uczynić go szczęśliwym, wymyka mu się i nie ma pojęcia, co czynić. Chce ją objąć i powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze. Że dopóki będą razem, wszystko inne nie jest ważne.

Naturalnie niczego podobnego nie mówi. Patrzy na nią, a ona mówi mu, że to było bez znaczenia. Bez znaczenia.

— Co my zrobimy? — rozpacza Alice. — Powinniśmy wracać do domu?

— Myślę, że najpierw powinienem z nią porozmawiać — oznajmia Harry. — Wy tłumaczyć jej. Powiedzieć, że byliśmy naćpani i pijani i że to był tylko pocałunek, który tak naprawdę nic nie znaczył.

— Nie. Ja jej to powinnam powiedzieć.

Harry wzrusza ramionami. W tej chwili nic go to nie obchodzi. Może myśleć wyłącznie o tym, że według Alice było to bez znaczenia.

— A może jednak nie? Już sama nie wiem. Jasna cholera. Myślisz, że powie Joe?

Harry potrząsa przecząco głową. Niczego bardziej by nie pragnął, żeby Emily powiedziała Joe, w następstwie czego Joe odszedłby od Alice, tym samym dając szansę Alice i jemu, wie jednak, że to tylko mrzonki.

— Nie. To nie w stylu Emily, a ty znasz ją przecież lepiej ode mnie. Nic mu nie powie.

— Nie. — Alice oddycha z ulgą. — Chyba masz rację. Nie powie. Boże, Harry. Naprawdę bardzo cię przepraszam.

— Nie wygłupiaj się — mówi Harry. — Nie masz za co przepraszać. Prawdę mówiąc, to przepraszać powinienem ja.

— Nie, ty też nie musisz. Po prostu stało się.

— Tak. — Harry kiwa głową siląc się na uśmiech. — I nic nie znaczyło.

— Właśnie. Absolutnie nic.

Joe wraca na przyjęcie i od razu przy wejściu prawie zderza się z Kay, więc od razu kieruje swoje kroki do kuchni, zaczy-

nając żałować, że nie został w domu. „Cóż za prowincjonalna imprezka” — myśli i przystaje, by przyjrzeć się, jak pozostali na próżno starają się odnaleźć swoje młodsze, bardziej zabawowe ja w salonie przemienionym w dyskotekę.

— Tu jesteście — mówi, dostrzegając w kącie kuchni Alice i Harry'ego.

— Co z Emily? — pytają oboje jednocześnie.

— Nie wyglądała najlepiej, ale myśli, że to prawdopodobnie z przemęczenia. Chyba się położyła.

— Powinniśmy wracać do domu i się nią zająć.

— Dobry pomysł — zgodnie przyklaskują Harry z Joe, żaden bowiem nie ma zamiaru zostać na przyjęciu ani minuty dłużej.

— Świetnie. Poszukajmy w takim razie Chrisa i Sally, żeby się pożegnać.

Alice puka delikatnie do drzwi sypialni.

— Emily? Mogę wejść?

Cisza. Alice próbuje znowu. Panowie zostali na dole, gdzie przy drinkach oglądają jakiś nocny program w telewizji, Alice zaś uznała, że powinna jednak zdobyć się na odwagę.

— Emily? Em? Śpisz?

Ostrożnie uchyla drzwi, zza których w dalszym ciągu nie dobiega żaden odgłos. W pokoju jest ciemno, a Emily leży w łóżku, Alice jednak czuje, iż przyjaciółka tylko udaje, że śpi, bo oddech ma zbyt powolny i miarowy. Alice podchodzi do łóżka i przysiadła na jego skraju.

— Odejdź. — Emily odwraca się od niej. — Nie chcę z tobą rozmawiać.

— Och, Em. — Alice ma oczy pełne łez. — Musimy o tym porozmawiać. To nic nie znaczyło. Nie jest tak, jak myślisz.

Emily odwraca się na plecy, siada gwałtownie i wbija w Alice pełne niedowierzania spojrzenie.

— Chcesz powiedzieć, że nie widziałam, jak moja od trzydziestu lat przyjaciółka tarzała się po trawie w namiętym uścisku z moim chłopakiem? — syczy z wściekłością.

— Wcale nie w namiętym. I nie tarzaliśmy się po trawie. — Przez chwilkę Alice wraca myślą do wydarzeń w ogrodzie. Nie, nie kłamie, namiętności nie było w tym żadnej. Było to delikatne, czułe i łagodne. Miała wrażenie, jakby wróciła do domu.

Odsuwa tę myśl od siebie.

— Em, oboje byliśmy kompletnie naćpani i leżeliśmy, gapiąc się na gwiazdy, i nagle po prostu się stało. Przysięgam ci, że to nic nie znaczyło. Em, nawet nie miałam pojęcia, jaki jest dzień, nie mówiąc już o tym, z kim się całuję. I trwało to tylko sekundę. Klnę się na Boga, że gdybyś przyszła ułamek sekundy później, nic już byś nie zobaczyła.

— Cóż, tego raczej nie możemy wiedzieć na pewno, prawda? — mówi Emily. — Jasne, że trwało tylko sekundę. W końcu was przyłapałam, zapomniałaś już?

— Em, błagam. Kocham cię najbardziej na świecie i w życiu nie zrobiłabym niczego, żeby cię zranić...

— Niestety, Alice — przerywa jej Emily cichym głosem. — Ale właśnie tak się stało. Całowałaś się z moim facetem.

— Emily, to był tylko pocałunek. Na miłość boską, przecież się z nim nie przespałam, a chyba nikt lepiej od ciebie nie wie, jak niewiele może znaczyć pocałunek. Pamiętasz, jak byłyśmy młode i jak urządziłyśmy zawody w całowaniu się z chłopakami? Boże, pocałunek nic nie znaczy. A poza tym — nie pozwala, by Emily jej przerwała — poza tym zachowujesz się, jakby Harry był największą miłością twojego życia, a przecież dopiero co planowałaś zmienić go na Colina.

Emily aż zatyka z oburzenia.

— Jak możesz mówić w ten sposób?

— Boże, Emily, przepraszam, ale nie udawaj, że Harry to ten jedyny i wyśniony, skoro wcale tak nie jest.

Głos Emily zimny jest jak lód.

— Jakim prawem wyciągasz wnioski na temat mojego związku? Nieważne, czy Harry to ten, czy też nie — tak się składa, że sama jeszcze tego nie wiem — nie masz prawa przystawiać się do niego. Przy okazji mogłabyś też pamiętać, że sama jesteś mężatką.

Alice spuszcza wzrok.

— Nie powiedziałaś Joe, prawda?

— Nie, oczywiście, że nie powiedziałam Joe. Może i jestem na tyle głupia, żeby nie widzieć, że moja przyjaciółka i mój chłopak mają się ku sobie, ale na pewno nie jestem aż taką suką.

Alice wciąż wpatruje się w podłogę, Emily w sufit. Mijają minuty.

— Posłuchaj, naprawdę nie mam ochoty dłużej o tym rozmawiać.

— Ale co my zrobimy? Nie możemy tego tak zostawić. Niedobrze mi się robi. Emily, nie chcę cię stracić. Kocham cię.

— Trzeba było o tym myśleć wcześniej — wzdycha Emily. — Jest mi strasznie przykro i tylko dlatego stąd nie wyjechałam, że jesteśmy w samym środku niczego i nie mam dokąd pójść, do ciężkiej cholery.

— I tak jutro wyjeżdżacie — mówi Alice. — Teraz to raczej niemożliwe. Chciałabym, żebyśmy o tym porozmawiały, Emily. Nie mogę pozwolić, żebyśmy się rozstały pokłócone.

— Może trzeba było tak myśleć, zanim zaczęłaś całować się z moim chłopakiem. — Emily patrzy na Alice zimnym wzrokiem. — A teraz chcę zostać sama. Idź sobie, proszę.

Alice wstaje i czuje, jak znowu zbiera jej się na płacz. Tak bardzo pragnęłaby cofnąć czas, a jeszcze bardziej, by Emily ją objęła i powiedziała, że jej wybacz.

Niestety, nie wygląda, by tak jedno, jak i drugie mogło się spełnić.

— Myślisz... — Alice przystaje w drzwiach — Czy myślisz, że będziesz mogła mi wybaczyć? Nie dzisiaj, ale kiedyś, w ogóle?

— Nie wiem — pada odpowiedź. — A teraz proszę cię, zostaw mnie samą. Może porozmawiamy o tym rano.

Tej nocy w całym domu jedyną osobą, która śpi snem sprawiedliwego, jest Joe. Alice leży z otwartymi oczami i cichutko płacze, przerażona, iż straciła Emily na zawsze. Emily nie śpi, tylko leży, zaciskając z wściekłości szczęki, wciąż nie mogąc uwierzyć, że wydarzenia ostatniego wieczoru miały miejsce naprawdę, Harry zaś leży na kanapie w salonie i nie przestaje myśleć o Alice.

Od czasu do czasu wstaje, robi sobie herbatę, przystaje, żeby pogłaskać Snoopa, o trzeciej nad ranem próbuje oglądać telewizję, lecz sen wciąż nie przychodzi.

On też nie może uwierzyć w to, co stało się wieczorem. Nie ma odwagi uwierzyć. Podchodzi do półki i zdejmuje z niej zdjęcie Alice, Alice dawnej, z lśniącymi blond włosami i idealnym makijażem.

Harry uśmiecha się. Tak bardzo się od tamtego czasu zmieniła i wiedział, już od dawna, że się w niej zakochał, łudził się jednak, że uczucie z czasem przeminie. Myślał o Alice, choć powinien był o Emily, i chociaż nie walczył ze sobą szczerze był przekonany, iż zauroczenie minie równie szybko, jak się pojawiło.

Aż do wczoraj.

Aż do tego pocałunku. Dopóki nie przekonał się, co to znaczy tulić ją w objęciach, czuć jej zapach, dotyk włosów pod palcami.

O pół do ósmej rano Harry słyszy, że ktoś schodzi na dół. Siada w nadziei, że to Alice, w nadziei, że będą mieli okazję o wszystkim porozmawiać, okazuje się jednak, że to Joe.

— Dzień dobry, Harry. Co robisz na kanapie?

— Och. Hm. Emily bolała głowa i pomyślałem sobie, że lepiej będzie, jak dam jej trochę spokoju.

— Udało ci się w ogóle zasnąć?

— Nie. Trochę tu niewygodnie.

— Zwłaszcza dla kogoś twojej postury. Alice zaraz zejdzie. Zaparzy kawę, a potem zawiozę was na lotnisko.

— Tak. Świetnie.

Kiedy Alice pojawia się na dole, stara się nie patrzeć na Harry'ego. Mruczy pod nosem „dzień dobry”, ale jego wzroku unika i z miejsca bierze się do przygotowania śniadania.

Emily wciąż jeszcze jest na górze.

— Zejdzie na dół? — pyta Alice szeptem Harry'ego, gdy Joe na chwilę się oddala.

Harry wzrusza ramionami.

— Nie rozmawiałaś z nią? Kręci głową przecząco.

— Nie chciała.

— Przecież razem lećcie do domu. W końcu będzie musiała.

— Zobaczymy. A z tobą rozmawiała? Alice potrząsa głową.

— Trudno to nazwać rozmową. Powtarzała tylko, że musi sobie wszystko przemyśleć.

— Naprawdę strasznie mi przykro — mówi ze smutkiem Harry, przygnębiony, iż stał się przyczyną całego tego zamieszania i, co gorsza, cierpienia Alice.

Alice wzdycha ciężko.

— To nie twoja wina. Poza tym mam nadzieję, że prędzej czy później wszystko jakoś się ułoży.

Emily schodzi na dół w ostatniej chwili. Alice obejmuje ją, ona jednak nie odwzajemnia uścisku, tylko stoi bez ruchu ze spuszczoną głową, czekając, aż Alice ją puści.

— Wybacz mi — szepcze Alice, na co Emily tylko kiwa nieznacznie głową.

— Okropnie wyglądasz — zatroskany Joe mówi do Emily. — Na pewno dobrze się czujesz?

— Nic mi nie będzie — odpowiada Emily, zmuszając się do uśmiechu.

Harry i Alice wymieniają uścisk dłoni i Alice aż podskakuje, czując dotyk jego skóry, ma bowiem wrażenie, że przeszył ją prąd. W dalszym ciągu jednak nie jest w stanie na niego spojrzeć.

Samochód z Joe, Emily i Harrym nie zdążył jeszcze zniknąć sprzed domu, gdy Alice wyjmuje z szuflady papier listowy i zaczyna pisać do Emily długi list, starając się w nim zawrzeć to wszystko, czego nie potrafiła wyrazić w nocy.

Pisanie zajmuje jej dużo czasu. Tłumaczy Emily, jak bardzo ją kocha, że trzydziestoletnia przyjaźń znaczy dużo więcej niż trzydziestosekundowy pocałunek i że chyba nie poradzi sobie, jeśli Emily jej nie wybaczy.

Szybko zamyka kopertę i przykleja znaczek, żeby przypadkiem nie zmienić zdania, i gdy Joe wraca z lotniska, list jest już w skrzynce, czekając, aby wyruszyć w drogę przez ocean, do Emily.

Do marca Alice napisała czternaście listów do Emily. Z początku ją w nich przeproszała, w końcu jednak uznała, że wystarczy, i zaczęła pisać o wszystkim, co robi, i o ludziach, z którymi się spotyka. Emily wciąż jeszcze nie jest gotowa zapomnieć ani przebaczyć, ale choć w życiu by się do tego nie przyznała, zaczyna czekać na te listy i z nadejściem każdego kolejnego jej ból zaczyna stopniowo maleć.

Alice próbowała dzwonić, Emily jednak zamówiła sobie identyfikację numerów i nie odbiera telefonów, jeśli widzi, iż jest to rozmowa z zagranicy, zmuszając tym samym Alice do pozostawiania pełnych skrępowania wiadomości na automatycznej sekretarce. Emily nie oddzwoniła ani razu.

Dzięki listom Emily wie wszystko o życiu Alice. Alice ojej życiu nie ma zielonego pojęcia. Nie wie, że Emily i Harry wrócili z lotniska jedną taksówką— tak było taniej — i po zdawkowym pożegnaniu nigdy więcej się już nie widzieli.

Alice nie wie też, że Harry próbował dzwonić do Emily, chciał

ją przeprosić, wytłumaczyć, pożegnać się jak należy, ona jednak jego telefonów nie odbierała również, w końcu więc przestał.

Emily szukała ukojenia u Colina, wskakując z nim do łóżka o wiele szybciej, niż doradzałyby jej to Alice, i choć związek z nim poza seksem nie dawał jej właściwie niczego, mogła przynajmniej myśleć o czymś innym, a nie wyłącznie o zdradzie, jakiej dopuścili się wobec niej były chłopak i była przyjaciółka.

Och. A przy okazji seks okazał się wręcz fantastyczny.

Harry z kolei wciąż nie narzeka na brak uganiających się za nim kursantek na prowadzonym przez siebie szkoleniu psów, ale od czasów Emily przyrzekł sobie solennie nigdy więcej nie angażować się już z żadną z nich. Nadal myśli o Alice, o tym, jak się uśmiechała, jak się śmiała, wie jednak, że to bezcelowe, i stara się robić to możliwie jak najrzadziej. Było nie było, Alice jest szczęśliwą mężatką. Poza tym mieszka w Ameryce i jak sama mu powiedziała: to, co między nimi zaszło, było bez znaczenia.

Więc po co?

Tak się jednak składa, że aktualnie Alice nie jest aż tak bardzo szczęśliwa. Joe przestał grać w tenisa — skoro potencjalne uwiedzenie Kay przestało wchodzić w grę — w związku z czym przyjazdy do Highfield w ogóle przestały go interesować.

Ostatnio zjawił się przed trzema tygodniami i to tylko po to, by spotkać się z architektem, z którym zamierza wybudować swój wymarzony McMansion. Podekscytowany pokazywał Alice plany — monolitycznego potwora o powierzchni prawie siedmiu i pół tysiąca metrów kwadratowych, z basenem, kortem tenisowym i kinem w piwnicy.

„Kretyństwo” — pomyślała Alice. „Co on sobie, do diabła, wyobrażał?” Patrzyła na plany z obrzydzeniem, modląc się, by dobry los przeszkodził mu w wycięciu wszystkich tych przepięknych drzew i postawieniu obrzydliwego domu.

Skoro Joe zjawia się tak rzadko, Alice wciąż pracuje przy odnawianiu domu. W bibliotece znalazła w jakiejś starej lokalnej

gazecie zdjęcie, na którym Rachel Danbury siedzi na tarasie, i teraz stara się ze wszystkich sił odtworzyć rośliny, przywrócić tarasowi jego dawny wygląd. Wybudowała pergolę, identyczną jak ta, która niegdyś zdobiła ścianę domu, a którą zobaczyła właśnie na zdjęciu, i z jednej jej strony posadziła glicynię, klematis z drugiej. Wiedziała, że takie właśnie rośliny chciałyby mieć Rachel i im ciężiej pracuje, tym większy odnajduje spokój.

Czasami, gdy siada na tarasie, by nieco odpocząć, niemal czuje, jak z góry spogląda na nią pisarka i uśmiecha się, wdzięczna, że ktoś tak ciężko pracuje przy jej dawnym, ukochanym domu.

— Cała przyjemność po mojej stronie — szepcze nieraz Alice w tych chwilach, w których czuje, że jest obserwowana. — Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Tęskni za Joe, rozumie jednak, że jest bardzo zajęty, choć uważa też, że nie powinien był rezygnować z tenisa — wydawało się, że gra sprawia mu autentyczną przyjemność, a poza tym cieszyła się, gdy spędzał z nią weekendy.

Przez te kilka ostatnich weekendów, kiedy to rzekomo tak ciężko pracował, Joe wrócił do starego, kawalerskiego stylu życia. Po prawie rocznej abstynencji nie widzi już powodu, by dłużej sobie odmawiać. Ostatnio jedyne, co zdaje się interesować Alice, to ten cholerny dom, a Joe dość ma już zaniedbanej żony, która przestała zwracać na niego uwagę, przestała w ogóle starać się dla niego.

Joe musi znowu poczuć się atrakcyjny. Potrzebny mu jest dreszczyk podniecenia, którego przy Alice od dawna już nie odczuwa.

Pierwsza okazja trafia mu się w Blue Fin. Podczas kolacji z przyjacielem zauważa seksowną blondynkę przyglądającą mu się z drugiego końca sali. Przez kilka sekund odwzajemnia spojrzenie, zwraca się ponownie do kolegi, który opowiada właśnie coś zabawnego, i natychmiast przenosi wzrok z powrotem na blondynkę. Ona wciąż na niego patrzy. I tym razem się uśmiecha.

Ma na imię Alison i dwa dni później wybierają się razem na kolację, a godzinę później trafiają do jej mieszkania, gdzie upra-

wiają fenomenalny seks. Joe wychodzi z jej numerem telefonu i szerokim uśmiechem na twarzy. Tyle kobiet, a tak mało czasu. Nigdy do niej nie zadzwoni, nie teraz, kiedy wybór jest tak wielki, wręcz nieograniczony.

Za drugim razem jest to drobna Brazylijka o imieniu Carla. Romans ciągnie się dwa tygodnie, dwa tygodnie upojnego, trwającego do rana seksu, kiedy jednak Joe orientuje się, że Carla chce czegoś więcej, znika z jej życia w poszukiwaniu następnych wyzwań.

Trzeci raz różni się nieco od poprzednich. Jest piątkowe popołudnie, godzina trzecia i Joe po raz pierwszy — zdawałoby się — od wieków — szykuje się do spędzenia weekendu na wsi. Właśnie się pakuje, gdy przychodzi do niego nowy e-mail.

Od Josie Mitchell.

„Jestem w Nowym Jorku. Odeszłam z Godfreysa, teraz w Deutsche. Może jakaś kawa? Josie”.

Na twarzy Joe natychmiast pojawia się uśmiech. Wielki Boże. Josie. Nagle znowu stała się rzeczywista. Nie myślał o niej od miesięcy, kiedy jednak ujrzał na ekranie jej imię, wspomnienia powróciły wielką falą i Joe uśmiecha się, przypominając sobie, jaka była w łóżku.

Odpisuje jej: „Może dzisiaj o piątej? Wpadnij do Bagel przy World Financial Center. Do zobaczenia”.

„Okay. Do zobaczenia”.

Joe przysiada na krześle koło okna, popija gorącą kawę i spogląda przez szybę, wypatrując jej nadejścia. Jest już dziesięć po piątej i ma nadzieję, że nie wystawiła go do wiatru. W końcu powinien już w tej chwili być w drodze do Highfield.

I wtedy drzwi się otwierają i wchodzi ona. Piękna, elegancka, porywająca jak dawniej. Z szerokim, radosnym uśmiechem wstaje, by pocałować ją na przywitanie.

Josie odwraca głowę, tak że jego usta ledwo muskają jej policzek.

— Cześć, Joe. Co u ciebie słyhać.

Gdyby ktoś przez przypadek w pewne późne, słoneczne marcowe popołudnie znalazł się w dzielnicy finansowej i mniej więcej około szóstej, przechodząc obok pewnej cukierni, zajrzał przez wielkie okno do wewnątrz, zapewne z życzliwym uśmiechem przystanąłby na chwilę, absolutnie przekonany, że oto spogląda na dwoje ludzi w sposób oczywisty sobie przeznaczonych.

Joe i Josie rzeczywiście bowiem wyglądają jak bardzo w sobie zakochana para. Siedzą wtuleni w kąt już prawie od godziny, początkowo skrępowani i spięci, teraz już znacznie bardziej rozluźnieni, flirtujący w jakże dobrze znany im sposób, Joe z podnieceniem, jakiego od dawna już nie zdarzyło mu się odczuwać.

Josie zamierzała zachowywać się chłodno i z rezerwą. Chciała pokazać Joe, co stracił, kiedy odszedł z jej życia, nie zdobywając się nawet na jeden telefon, by choć spytać, jak jej się wiedzie.

Chciała śmiać się, odrzucając obojętnie włosy, przyjmować jego awanse z odpowiednią dozą wdzięczności, ale też nie żałować sobie odrobiny złości, by choć trochę poprawić sobie samopoczucie.

Ale tęskniła za nim. Jak bardzo, zdała sobie sprawę dopiero, gdy go ujrzała. Teraz siedzi obok niego, słucha jego zabawnych historyjek o weekendach spędzanych na wsi, patrzy na jego dłonie, na znajome palce, które niegdyś znały każdy centymetr jej ciała, i na własną rękę, oddaloną zaledwie o kilka centymetrów, z niemal fizycznym bólem pragnąc go dotknąć.

Cholera. Nie tak to sobie zaplanowała. Słucha go jednym uchem, uśmiechając się we właściwych momentach, lecz myślami jest w swoim mieszkaniu w Londynie, w tamtych chwilach, gdy patrzyła, jak wstaje z łóżka i ciągnie ją za sobą pod prysznic, zanim wyjdzie, by wrócić do domu, do żony.

Zapada cisza i Josie podnosi wzrok. Joe umilkł i czeka na jej odpowiedź, ona jednak nie ma pojęcia, o czym mówił i o co ją pytał.

— Moja żona jest na wsi — odzywa się w końcu. — Powinienem złapać pociąg o siódmej.

Josie kiwa głową. Nie bardzo wie, co powinna teraz powiedzieć, chociaż na dźwięk słowa „powinienem” serce zaczyna jej bić szybciej.

Joe bierze głęboki oddech.

— W tej chwili jestem dosłownie zawałony robotą i tak się zastanawiam, czy mogę sobie pozwolić na weekend poza miastem... — Patrzy Josie w oczy. — Chyba jednak powinienem zostać na Manhattanie...

Josie tylko na niego spogląda, pustym, obojętnym wzrokiem, nie zdradzającym szaleńczej galopady jej myśli.

Istnieją dwa rodzaje niewiernych mężów. Jedni są naprawdę nieszczęśliwi w małżeństwie, lecz strach lub zwykłe lenistwo nie pozwalają im odejść. W grę mogą też wchodzić dzieci bądź tchórzostwo, w każdym razie tego rodzaju mężczyznom dużo łatwiej jest tkwić w związku z żoną, a na boku romansować. Może się też zdarzyć, że któregoś dnia spotkają kobietę, którą pokochają na tyle mocno, że nie będą w stanie wracać więcej do kogoś, z kim żadne ich już uczucie nie łączy.

Jest też drugi rodzaj, o wiele bardziej niebezpieczny. Ci mężczyźni są w małżeństwie szczęśliwi. Kochają swoje żony, zależy im na nich, a od romansowania uzależnieni są po prostu jak od narkotyku. Mężczyźni jak Joe Chambers.

Josie wierzy, że Joe należy do pierwszej kategorii, ale kochanki zwykle tak myślą, bo inaczej po cóż by w ogóle zawracały sobie głowę? Joe siedzi teraz tutaj, prawie rok minął, odkąd

widzieli się po raz ostatni, i proponuje jej wspólny weekend. Owszem, wciąż jest z żoną ale na pewno nie jest szczęśliwy i nie kocha jej już tak mocno jak niegdyś. Może więc Josie ma rację. Joe był z Alice szczęśliwy przez wiele lat, teraz jednak wygląda na to, że jego małżeństwo przechodzi kryzys, a Joe gładko z drugiej kategorii niewiernych mężów przeszedł do pierwszej. Na co Josie zawsze liczyła.

— Sam? — pyta w końcu, unosząc znacząco brew.

Joe spuszcza wzrok na leżącą tuż obok jego dłoni rękę Josie. Dotyka jej, delikatnie muskając kciukiem skórę. Josie przymyka na sekundę oczy, rozkoszując się pieśczołą i zastanawiając się, jak udało jej się przeżyć ten rok bez niego. Otwiera oczy i widzi, że Joe się uśmiecha.

— Moglibyśmy zjeść kolację — mówi. — Znam świetną włoską knajpę niedaleko mojego mieszkania.

— Skąd wiesz, że nie mam innych planów?

— Nie wiem. Ale mam taką nadzieję.

— Tylko kolację? — Josie dobrze wie, że na kolacji się nie skończy, bo nigdy się nie kończyło, ale jego palce splecione są już z jej i nie ma siły dłużej się opierać.

— Zadzwoń tylko do żony — mówi Joe, wolno, niechętnie zabierając rękę, by sięgnąć po telefon komórkowy. Wstaje i wychodzi na zewnątrz, przykładając słuchawkę do ucha i zaczyna spacerować tam i z powrotem przed kawiarnią.

— Halo? — Gdy dzwoni telefon, Alice pochłonięta jest lekturą powieści Rachel Danbury, kiedy więc się odzywa, głos ma roztargniony i niezbyt przytomny.

— Cześć, kochanie, to ja.

— Jesteś na dworcu?

— Nie, kochanie. Posłuchaj, mam złe wieści. Obawiam się, że ten klient z Brazylii, o którym ci opowiadałem, chce, żebyśmy w czasie weekendu popracowali nad prezentacją, a jutro mam go zabrać, żeby pokazać mu niektóre miejsca, więc będę musiał zostać w mieście.

— Jaki klient z Brazylii?

— Kochanie. — Joe śmieje się z politowaniem. — Przecież ci mówiłem. O dzisiejszym spotkaniu. Zawsze o wszystkim zapominasz.

Alice nie zaprzecza, bo też coraz trudniej jest jej udawać, że interesuje się pracą Joe. Ostatnio jego opowieści o klientach, prezentacjach i rynkach jednym uchem jej wpadają drugim wypadają.

— Przepraszam. — Wzrusza ramionami. — Na pewno mi mówiłeś. To znaczy, że nie przyjedziesz?

— Jesteś zła, kochanie? Wiem, że minęły już dwa tygodnie, ale przecież w tym tygodniu przyjeżdżasz, prawda? W środę idziemy na imprezę charytatywną.

— Ach, tak. — Psiakrew. Na śmierć zapomniała.

— Poradzisz sobie?

— Jasne — odpowiada Alice zirytowana, że po raz kolejny sprawia jej zawód, z drugiej jednak strony zadowolona z jego nieobecności w sobotę, bo nie będzie jęczał, jak to okropnie się nudzi, nie będzie namawiał jej na zakupy w Greenwich, podczas gdy ona wolałaby zostać w domu i na miejscu pozałatwiać różne sprawy. — Może przyjedziesz w niedzielę? — próbuje. — Przynajmniej na jeden dzień?

— Może — mówi Joe, starając się ją ułagodzić. — Zobaczą. A ty, jakie masz plany na weekend?

— W sumie żadne — mówi Alice z roztargnieniem, jak najszybciej pragnąc wrócić do książki. — Czytam właśnie powieść Rachel Danbury i nie mogę się od niej oderwać, więc prawdopodobnie nic nie uda mi się zrobić — kończy ze śmiechem.

— W takim razie na pewno jesteś uszczęśliwiona, że nie przyjadę — stwierdza Joe, z ulgą przyjmując jej śmiech, uradowany, że nie jest szczególnie na niego zła. — Możesz sobie czytać i pracować w ogrodzie, ile dusza zapragnie.

— To prawda. Mimo wszystko spróbuj wyrwać się w niedzielę, Joe. Jesteś moim mężem i miło by mi było zobaczyć cię od czasu do czasu.

— Wiem, kochanie. Tak zrobię. Obiecuję. Słuchaj, muszę kończyć, ale jutro znowu zadzwonię. Kocham cię.

— Ja ciebie bardziej — uśmiecha się Alice.

— Wiem.

Joe zamyka telefon i powoli wraca do środka, gdzie w kącie czeka i kusi go Josie.

Alice z westchnieniem odkłada słuchawkę. Uwielbia swój dom na wsi, ale bywa, iż czuje się w nim samotna, i choć Joe, kiedy przyjeżdża, doprowadza ją do szału — wiele miesięcy temu zaczął zachowywać się w Highfield jak ryba pozbawiona wody — perspektywa wspólnego weekendu zawsze ją cieszy.

Przynajmniej w tym tygodniu ma swoją książkę i była szczerą, gdy mówiła, iż nie może się od niej oderwać, lektura pochłonęła ją bez reszty. Zwinięta na sofie, bierze do ręki powieść i zatracą się w Highfield, którego nie ma już od dawna, Highfield z roku 1947, prawdziwej wsi, zamieszkaną przez pisarzy i artystów.

O pół do dziewiątej zdaje sobie sprawę, że nie tylko umiera z głodu, ale też tak jest zmarznięta, że stopy mająk dwie bryły lodu. Wypuszcza Snoopa na dwór, sama zaś stawia na kuchence garnek z wodą i przygotowuje sobie makaron z sałatką ze szpinaku.

Zjada kolację w kuchni, ani na chwilę nie przestając czytać. Po skończonym posiłku, kiedy naczynia są już pozmywane, a kuchnia lśni czystością, woła Snoopa i razem idą na górę.

Kładzie się z książką do łóżka i czyta ją w brzoskwiniovym świetle nocnej lampki, obok siebie na kołdrze mając wyciągniętego wygodnie Snoopa.

Za piętnaście dwunasta wciąż jeszcze czyta, ale ziewa coraz częściej i bardziej przeciągle, w końcu — aczkolwiek niechętnie — zamyka książkę i na wpół już śpiąca sięga po telefon. Do tej pory Joe na pewno zdążył już wrócić do domu, więc powie mu po prostu dobranoc. Ze słuchawką przy uchu wsłuchuje się w sygnał, wreszcie włącza się sekretarka. Alice dzwoni wobec

tego na komórkę, ale ta jest wyłączona. Z westchnieniem gasi światło i zamyka oczy.

W ciągu kilku chwil usypia głęboko.

Za kwadrans dwunasta Josie i Joe kończą coś, co Joe mógłby określić jedynie mianem maratonu. Jest wykończony, podekscytowany i choć ma już na karku trzydzieści osiem lat, niemal gotowy, by zacząć wszystko od początku.

Leży na boku i uśmiecha się szeroko do Josie, nachylając się, by odsunąć opadające jej na oczy włosy.

— Rany — mówi cicho.

— Rany — odpowiada Josie z uśmiechem.

— Obrazisz się, jeśli ci powiem, że zdążyłem już zapomnieć, jaka jesteś kurewsko fantastyczna?

Josie wzrusza ramionami.

— A ty się obrazisz, jeśli ci powiem, że zdążyłam już zapomnieć, jaki jesteś kurewsko niesamowity?

Joe śmieje się uszczęśliwiony.

— Josie, tęskniłem za tobą. Przysięgam na Boga, że myślałem o tobie, ale po prostu nie chciałem ci więcej chrzanić życia.

Josie siada.

— Niczego mi nie schrzaniłeś. Wiedziałam, z czym się muszę liczyć.

Joe wzdycha.

— Wiem. Ale byłeś w pewnym sensie inna.

— Inna? — Patrzy na niego spod oka. — Bo niszczyć facetów?

— Jeśli niszczysz ich w ten sposób, to w każdej chwili jestem do usług.

— Auć. Będzie bolało. Joe parska śmiechem.

— Po namyśle muszę przyznać, że chyba faktycznie. Ale poważnie, nie chciałem cię skrzywdzić.

— Wiem — mówi Josie. Nie musi pytać, w jakim sensie była inna. Wystarczy jej, że tak powiedział. Nie musi też mówić, że i tak ją skrzywdził. I że jej tak bardzo na nim zależało, ani jak

straszliwie cierpiała, gdy zniknął. Teraz wrócił. I tylko to się liczy. — Nie. To znaczy, nie skrzywdziłeś mnie.

— Na pewno? Bo za nic bym tego nie chciał. Wiesz o tym.

— Tak — odpowiada Josie i naprawdę chce wierzyć, że to prawda.

Josie ma ochotę zapytać go, co teraz. Chce wiedzieć, czy to tylko przygoda na jedną noc, czy też od nowa zaczną to, co tak niespodziewanie musieli przerwać, boi się jednak, że go tym wystraszy, a ponieważ wie, bo aż nadto dobrze pamięta, jak Joe uwielbia zdobywać, pod żadnym pozorem nie może zdradzić swoich prawdziwych uczuć.

— Lepiej już idź — mówi i nachyla się, by go pocałować, zachwycona błyskiem zdumienia w jego spojrzeniu.

— Mam iść? Nie mówisz chyba poważnie. Dlaczego? Przecież jestem w ten weekend sam, zapomniałaś już? Mogę zostać.

— Nie, nie możesz — studzi jego zapał Josie, choć najbardziej na świecie pragnie, by został, marzy, by obudzić się rano i ujrzeć go śpiącego u jej boku. — Jestem zajęta, więc musisz sobie pójść.

Joe potrząsa z niedowierzaniem głową ale posłusznie gramoli się z łóżka i zaczyna zbierać swoje rzeczy. Josie narzuca szlafrok i odprowadza go do drzwi, gdzie zarzuca mu ramiona na szyję i całuje go na dobranoc.

— Boże — jęczy Joe. — Proszę, pozwól mi zostać.

— Nie. — Josie uśmiecha się do siebie, wiedząc, że choć ciężko jej to przychodzi, tylko w ten sposób może go przy sobie zatrzymać. — Musisz już iść.

— A jutro? — pyta z nadzieją Joe. — Zobaczymy się jutro?

— Zadzwoń do mnie — mówi Josie, zamykając drzwi. — Zadzwoń i wtedy pogadamy.

Joe pada na łóżko i zasypia niemal natychmiast. Rano budzi się o ósmej i od razu myśli o Josie lub raczej o seksie z nią. Jezu, było świetnie. Musi się z nią znowu zobaczyć. Dzisiaj. Teraz. Jak najszybciej. Chwyta za telefon i dzwoni do niej.

Josie wróciła właśnie z siłowni i stoi teraz w kuchni, szykując sobie kawę. Sprawdza na wyświetlaczu numer dzwoniącego. Joe. Nie podnosi słuchawki, tylko czeka, aż włączy się sekretarka.

— Josie? To ja, Joe. Dzwonię, żeby spytać, co u ciebie. Zadzwoń, jak wrócisz. Później pogadamy. Cześć.

Pół godziny później Joe dzwoni znowu, tym razem jednak nie nagrywa się, tylko odkłada słuchawkę w chwili, gdy włącza się sekretarka.

Do trzeciej po południu próbował dodzwonić się dziewięć razy, a Josie musiała dosłownie przysiąc sobie ręce, żeby nie podnieść słuchawki, jednak choć kosztowało ją to wiele wysiłku, wie, że postępuje słusznie.

O ósmej wieczorem w końcu sama do niego dzwoni.

— Słucham?

— Joe? Tu Josie.

— Cześć! Co u ciebie? — Ton ma swobodny i Josie uśmiecha się. Najwyraźniej nie ma pojęcia, iż ona wie, że przez cały dzień próbował się z nią skontaktować.

— W porządku, dzięki. A u ciebie?

— Wspaniale. Mam mnóstwo pracy.

— Ach tak? A co dzisiaj robiłeś?

— Pracowałem. Byłem na siłowni. Załatwiałem to i tamto. — Cały czas z telefonem komórkowym pod ręką, z którego wciąż usiłował się do niej dodzwonić. — Co teraz robisz?

— Teraz? — Josie już dawno przygotowała się na to pytanie. Powie mu, że wychodzi na proszoną kolację, dlatego też nie może się z nim spotkać, da mu też do zrozumienia, że prowadzi bujne życie towarzyskie, nieustannie jest przez wszystkich zapraszana.

— Tak, teraz.

— Wychodzę na proszoną kolację — mówi Josie zgodnie z planem.

— Ojej. Nie mogłabyś się z tego jakoś wykręcić? Myślę o tobie przez cały dzień. Marzę, żeby się z tobą zobaczyć.

— Hm. — Wie, że powinna powiedzieć nie, ale słowa wymykają jej się same. — Myślę, że w sumie mogę to sobie odpuścić.

— Wspaniale! — Joe nawet nie stara się ukryć entuzjazmu w głosie. — Może gdzie się wybierzemy? W mieście jest dzisiaj przyjęcie. Przyjadę po ciebie za godzinę, co ty na to?

— Dobrze. Widzimy się za godzinę.

— A niech mnie! — Joe gwizda cicho na widok wyłaniającej się z windy Josie w różowej sukni od Diane von Furstenberg, ponętnie układającej się na jej smukłym ciele, przy każdym kroku odsłaniającej odrobinę nogi.

— Podoba ci się sukienka?

— Jest przepiękna. Na pewno masz ochotę wyjść z domu?

— Och, na pewno — odpowiada Josie z uśmiechem, gdy Joe obejmuje ją w talii i nieśpiesznie całuje.

— W dalszym ciągu na pewno? — Zagląda jej w oczy.

— W dalszym ciągu — odpowiada Josie. — Później zostanie nam jeszcze mnóstwo czasu.

Przyjęcie odbywa się w wielkiej sali TriBeCa, nad wyraz modnym budynku, dawniej pełniącym funkcję chłodni. Portier ze znużeniem kieruje ich na szóste piętro i ledwo drzwi windy się otwierają, dobiega ich typowy dla wszystkich przyjęć hałas.

Muzyka dudni, a światła są tak przyciemnione, że z trudem dostrzegają tłum. Jest to przyjęcie z rodzaju tych, których Alice nie cierpi, Joe zaś wprost uwielbia. Czuje się tu, jakby na powrót miał dwadzieścia lat, całe życie przed sobą i nieograniczone wręcz możliwości.

Gdziekolwiek spojrzy, widzi roześmianych ludzi, starających się przekrzyczeć panującą wrzawę, tańczących szaleńczo w rytm coraz głośniejszej muzyki. Joe i Josie torują sobie wśród nich drogę, starając się przedrzeć do baru, by napić się podwójnej tequili.

— Czuję się, jakbym znowu miała osiemnaście lat — krzyczy Josie do ucha Joe, zagryzając podaną jej przez niego limonkę.

— Wiem — odkrzykuje Joe. — Super, no nie?

— Zatańczymy? — Josie unosi pytająco brew. Joe kiwa głową, więc Josie ujmuje go za rękę i prowadzi na parkiet błyskawicznie wypełniany się podrygującymi ciałami.

Rozbrzmiewa salsa i Josie ze śmiechem chwyta Joe za rękę, próbując go nauczyć, jak ją tańczyć. Joe chwyta w lot i przez chwilę tańczą, rozkoszując się szumiącą im w żyłach tequilą, muzyką, tym, że wciąż, jak dawniej, są sobą nawzajem podnieceni, jeśli nawet nie bardziej. Zachowują się jak para nastolatków na pierwszej randce.

Prawdę powiedziawszy, to j e s t ich pierwsza randka. W Londynie ze swym związkim musieli się ukrywać za zamkniętymi drzwiami mieszkania Josie, wciąż drżąc z obawy, że ktoś ich zauważy. Joe zbyt dobrze znany był w Londynie, by ryzykować przyłapanie go z Josie w sytuacji takiej jak ta.

Tutaj, w Nowym Jorku, Joe czuje się wolny. Nie posiada się z radości, że znowu ma przy sobie Josie, może uprawiać z nią fantastyczny seks, przeżywać podniecenie romansu. Tutaj wciąż jeszcze ma poczucie anonimowości i bezpieczeństwa. Może publicznie tańczyć z Josie, mocno do niej przytulony. Bez obaw może wlewać w siebie jedną tequilę po drugiej, bo wie, że jego mieszkanie, czy też mieszkanie Josie, jest tuż obok. Może patrzeć Josie głęboko w oczy, gładzić jej włosy i całować ją namiętnie, wprawiając ją tym w zachwyt.

— Kochanie, jestem zmęczona — krzyczy Gina George'owi do ucha.
— Możemy już iść?

— Jasne. — George uśmiecha się do żony. — Już myślałem, że nigdy o to nie zapytasz.

Gina i George brną przez tłum, gdy nagle Gina staje jak wryta.

— Patrz! — mówi podekscytowana.

George odwraca się, by sprawdzić, czy nic jej się nie stało, następnie odwraca się, by spojrzeć w kierunku, w którym patrzy ona, i przekonać się, jaki to widok sprawił, iż zamieniła się w słup soli.

Podąża za jej wzrokiem i tuż przed sobą dostrzega Joe Cham-bersa.

Joe Chambersa całującego namiętnie kogoś, kto na pierwszy rzut oka przypomina Alice, lecz kto Alice z pewnością nie jest.

Gina w pierwszej chwili myślała, że to Alice, i już miała się rzucić, by ją powitać, gdy jednak Joe nieco się odsunął, okazało się, że zwiódło Ginę szczupłe ciało i blond włosy. Twarz nie należy do Alice i Gina stoi ogłupiała, nie mając pojęcia, jak się zachować.

Żałuje, że w ogóle ich zauważyła, chciałyby cofnąć zegar o minutę, przejść obok kogoś innego, wybrać inną drogę, lecz stoi znieruchomiała, nie mogąc oderwać wzroku od Joe, który czując go na sobie, odwraca się w jej stronę.

— Kurwa — szepcze pod nosem, dostrzegając Ginę i obok niej George'a i ich zaskoczony wzrok. — O kurwa.

Cała czwórka stoi, mierząc się spojrzeniami. Żadne nie wie, co powiedzieć, jak się zachować. Josie nie wie, o co chodzi, dopóki Gina nie chrząka.

— Cześć — mówi lodowatym tonem, kiwając głową w stronę Josie.
— Jestem Gina, przyjaciółka Alice. Znasz chyba Alice? To żona Joe.
Josie spogląda na nią bez słowa. Bo i cóż może powiedzieć?

— Muszę jej powiedzieć.

Gina chodzi nerwowo po salonie, w ręce trzyma kryształową szklaneczkę z czystą whisky, a George przygląda się jej ze smutkiem z fotela przy kominku.

— Łajdak! — syczy rozwścieczona Gina.

— Kochanie, uważam, że nie powinnaś jej niczego mówić. Tylko ją zranisz.

Gina przystaje na moment i wpatruje się w George'a z niedowierzaniem.

— Przecież to jedna z moich najbliższych przyjaciółek i chyba nic nie może zranić jej bardziej niż zdrada męża, nie uważasz?

George wzrusza ramionami.

— A może się tak umówili. Może ona o wszystkim wie. Albo podejrzewa, ale nie chce wiedzieć na pewno. Gina, zastanów się przez chwilę. Czy sądzisz, że to pierwszy romans Joe w życiu?

Gina wzdycha i siada, kręcąc głową.

— Czuję się po prostu koszmarnie. Nie mogę przestać myśleć o Alice tkwiącej samotnie w Highfield, przekonanej, że mąż zaharowuje się na śmierć, a on tymczasem zabawia się w najlepsze. To dla niej okropne.

— Spogląda na George'a. — Wiesz, że gdybyś ty kiedyś zrobił mi coś takiego, kazałabym ci się z miejsca wynosić.

George z uśmiechem przytakuje.

— Tak, kochanie. Wiem, że kazałabyś mi się natychmiast wynosić, i dlatego nigdy czegoś takiego nie zrobię.

— Mam nadzieję, że to nie jedyny powód. George wyciąga do niej ramiona.

— Chodź tutaj i daj mi buziaka.

Gina podchodzi i obejmuje go, wspierając głowę na jego piersi.

— Och, George — odzywa się ze smutkiem. — Co my mamy zrobić?

— Nic — odpowiada jej mąż. — To nie nasza sprawa.

— Jesteś pewny? Bo jeśli tak, będę siedzieć cicho.

— Zaufaj mi. — George gładzi Ginę po włosach. — Jestem pewny.

— Jak myślisz, powie jej? — Josie zwraca się do Joe i widzi jego roztargnione spojrzenie. W odpowiedzi Joe tylko wzrusza ramionami i spogląda przez okno.

Wydaje się zupełnie spokojny. Myślami nieobecny, ale spokojny, chociaż umysł pracuje mu na pełnych obrotach. Jak mógł być taki nieostrożny? Zachował się jak skończony głupiec, całując Josie w miejscu publicznym. Najgorsze zaś w tym wszystkim jest, że to jego pierwszy romans od wielu miesięcy, który do diabła w zasadzie nawet się nie liczy, bo przecież to stara sprawa.

Boże, gdyby wiedział, że zostanie przyłapany, nie pilnowałby się tak zapamiętale. Takie już jego pieskie szczęście, że wpadł od razu za pierwszym razem. Po całym roku abstynencji, na miłość boską.

Na dodatek musiała go przyłapać przyjaciółka Alice. Gina nawet na niego nie spojrzała, przedstawiła się tylko lodowatym tonem, po czym odwróciła się i odeszła. Cholera. Powie Alice? Panie Boże, błagam cię, spraw, żeby nic jej nie powiedziała. Może powinien zadzwonić do Giny, spróbować wytłumaczyć, dlaczego całował się z obcą kobietą w knajpie, podczas gdy jego żona spała sobie smacznie w ich domku na wsi? Tak, właśnie tak uczyni. Powie, że był pijany, bawił się ze znajomymi, a ta kobieta po prostu zaczęła się do niego przystawiać, zaskakując go kompletnie.

Joe spogląda na zegarek. Za późno już na telefon. A Gina na

pewno nie zadzwoni do Alice z samego rana. On zrobi to pierwszy, zmyśli jakąś wiarygodną historyjkę. Głośno oddycha z ulgą i uspokaja się nieco.

— Dobrze się czujesz, Joe?

Joe odwraca głowę w stronę Josie i kiwa potakująco.

— Przepraszam, Josie. Przeżyłem szok. Słuchaj, myślę, że najlepiej będzie, jak odwiozę cię do domu, a sam wrócę do siebie. Może być? Jutro do ciebie zadzwonię.

— Doskonały pomysł — mówi Josie dziarsko, lecz czuje, jak serce w niej zamiera. — I nie dzwoń jutro, bo idę na lunch do Purchase i nie będzie mnie w zasadzie w domu.

— Dzięki. — Joe posyła jej czuły uśmiech, ujmując jej dłoń i składa na niej pocałunek. — Za to właśnie cię kocham. Zawsze wszystko rozumiesz.

Josie uśmiecha się w odpowiedzi, po czym odwraca się do okna, by nie zobaczyć w jej oczach smutku.

— Gina? Mówi Joe.

— Cześć, Joe. — Głos ma w dalszym ciągu lodowaty. Trąca George'a, który leży obok niej i czyta „Timesa”. Odkłada gazetę i z uniesioną brwią nachyla się, by słyszeć ich rozmowę.

— Gina, chciałbym ci wytłumaczyć.

— Tu nie ma co tłumaczyć, wszystko jest aż nadto oczywiste. A poza tym, to nie przede mną powinieneś się tłumaczyć.

— Wręcz przeciwnie, Gino. To nie tak, jak myślisz.

— Co ja myślę, jest bez znaczenia. Nie moja sprawa. Nie obchodzi mnie, co wyprawiasz, kiedy twojej żony nie ma w pobliżu.

— Gino, niczego nie wyprawiam, kiedy mojej żony nie ma w pobliżu.

— Czyżby? A jak nazwać to, co wczoraj robiłeś?

— Dlatego właśnie do ciebie dzwonię. Żeby wyjaśnić. Ponieważ wiem dokładnie, jak to wyglądało, a czym wcale nie było.

— W porządku. Mów. Czym to nie było?

— Tym, co myślisz.

— Och? A co myślę?

— Myślisz, że jestem łajdakiem i że oszukuję Alice.

— Cieszę się, że ty to powiedziałeś.

— Gino, klnę się na Boga, że kocham Alice. Kocham ją ponad wszystko w świecie i nie zrobiłbym niczego, co mogłoby ją zranić.

— Jak w takim razie nazwiesz to, co robiłeś wczoraj? George kręci gwałtownie głową, Gina jednak odwraca się do

niego plecami. George wzdycha zrezygnowany i znowu zaczyna przeglądać gazetę, sprawdzając w rubryce towarzyskiej, czy w tym tygodniu ktoś ze znajomych stanął na ślubnym kobiercu.

— Przyznaję, przyłapałaś mnie, jak całowałem się z jakąś lalą ale coś ci powiem. Nie mam pojęcia, kim była, spotkałem się ze znajomymi, wypiliśmy trochę za dużo i ta dziewczyna po prostu mnie zaskoczyła. Myślę, że czułem się samotny, tęskniłem za Alice, no i schlebiało mi, że wpadłem tej panience w oko. Byłem głupi, wiem o tym aż za dobrze, i jeśli cię to pocieszy, do niczego więcej wczoraj nie doszło. — Przynajmniej to ostatnie było prawdą.

Gina słucha go w milczeniu. Wszystko, co mówi, brzmi w miarę wiarygodnie i chyba rzeczywiście jest mu przykro. Może faktycznie było tak, jak utrzymuje. Może jednak nie do końca jest draniem, za jakiego go uważała.

— Gino? Jesteś tam?

— Jestem. Wiesz, że przede mną nie musisz się z niczego tłumaczyć.

— Głos wyraźnie jej złagodniał i Joe wie, że bliska jest, by mu wybaczyć.

— Wiem. Ale musiałem. Okropnie się po tym wszystkim czułem, nie dlatego, że mnie widziałaś, ale dlatego, że skrzywdziłem Alice. Gino, ja ją naprawdę bardzo kocham i przysięgam ci na wszystko, co dla mnie święte, że w życiu bym jej nie zranił.

— Wierzę ci — mówi w końcu Gina z głębokim westchnieniem. — Okay, spróbujmy uznać to wszystko za niebyłe.

— Dziękuję ci, Gino. Naprawdę, dziękuję ci z całego serca.

— Nie ma za co. Nadal tego nie pochwalam, ale rozumiem,

że takie rzeczy czasem się zdarzają, i jeśli był to rzeczywiście wypadek sporadyczny, gotowa jestem o wszystkim zapomnieć.

— Słowo daję, nigdy nic podobnego mi się nie przytrafiło. Dzisiaj jadę do Alice. Chcę z nią spędzić cały dzień.

— Dobrze. Wiem, że bardzo za tobą tęskni, kiedy jesteś w mieście. Uściskaj ją ode mnie. I powiedz, że jutro zadzwonię.

Joe z głębokim westchnieniem ulgi odkłada słuchawkę. Dzięki Bogu, że poszło mu tak łatwo. Dzięki Bogu, że Gina nie powie

o niczym Alice. Znowu bierze telefon i wybiera numer do Alice.

— Cześć, śpiochu.

— Cześć! Dobrze wiesz, że nie jestem żadnym śpiochem. Wstałam już ładne parę godzin temu.

— Czemu mnie to nie dziwi? Co porabiasz?

— Głównie czytam. I mam też zamiar trochę poplewić.

— Brzmi fascynująco.

— Ha, ha, ha, niech cię lichy.

— Co powiesz na lunch w Homestead Inn?

— Przyjeżdżasz?

— Owszem. Stęskniłem się za tobą. Pomyślałem sobie, że wyjdziemy zjeść coś dobrego, a potem poleniuchujemy sobie w łóżku.

— Znacznie ciekawsza perspektywa niż plewienie.

— Cieszę się, że tak uważasz.

Alice uśmiecha się uszczęśliwiona, że jej mąż przyjeżdża i najwyraźniej marzy, żeby spędzić z nią czas.

— W takim razie do zobaczenia — mówi. — Idziemy teraz ze Snoopem na spacer.

Joe nalega, aby Alice przebrała się na lunch w Homestead Inn.

— Kochanie, brudne stare lewisy, czapka baseballowa i ogrodowe drewniaki to niekoniecznie idealny strój do Greenwich.

Na widok schodzącej kilka minut później Alice w blad różowym, kaszmirowym bliźniaku i czarnych spodniach marszczy niezadowolony czoło.

— Co się stało? — pyta Alice. — Ubrałam się za mało elegancko?

— Nie, strój jest doskonały, ale co zrobiłaś z włosami? Alice zaczyna się śmiać.

— Wracam do swoich naturalnych włosów. Zapomniałaś już, że zawsze były kręcone? I prawdę powiedziawszy, nie chce mi się ich więcej prostować. Nie sądzisz, że z kręconymi mi lepiej?

Joe przygląda się jej ze ściągniętymi brwiami.

— Na pewno wyglądasz inaczej. Ale musisz sobie pofar-bować odrosty, kochanie. Wyglądają okropnie.

— Ach. Tak sobie pomyślałam, że może przestanę być blondynką.

— Nie, słońce. — Kręci głową Joe. — Będę szczerzy, ale w blond włosach jest ci zdecydowanie bardziej do twarzy. Kręcone ewentualnie jeszcze zniosę, ale ten bury, mysi kolor? Nie, nie wydaje mi się.

Alice wzrusza ramionami. Nie chce jej się kłócić z powodu byle drobiazgu, zwłaszcza kiedy przebył taki kawał drogi, żeby spędzić z nią zaledwie jeden dzień, i na dodatek naprawdę jest dla niej bardzo miły.

— Nie, na pewno nie pozwolę im odrosnąć — kłamie. — Chciałam sobie tylko przypomnieć, jaki mam naturalny kolor włosów.

— Nie zapomnij umówić się z fryzjerem w tym tygodniu — poleca jej Joe. — Pamiętaj, że idziemy na benefis? Może Carlo będzie cię mógł przyjąć po południu.

— Może — niby to zgadza się Alice, choć wie doskonale, że nawet nie zadzwoni do fryzjera. Ma dość wysiadywania godzinami w salonie regularnie co sześć tygodni wyłącznie po to, żeby odświeżyć sobie pasemka. Już jej na tym nie zależy, a poza tym przecież jej naturalny kolor włosów wcale nie jest taki zły. Może i mysi, ale przynajmniej nie wymaga tylu zabiegów. — Zadzwonię do niego jutro — mówi, żeby uszczęśliwić Joe, który kiwa z zadowoleniem głową, i wychodzą na lunch.

Podczas deseru Joe ujmuje Alice za rękę i zaskakuje ją wrę-

czając jej srebrną bransoletkę, którą kupił *en route* (dzięki Bogu za otwarte w niedzielę sklepy).

— Jaka śliczna! — Alice uśmiecha się z zachwytem. — Z jakiej to okazji?

— Czy zawsze musi być jakaś okazja? — pyta Joe, nachylając się, by zapiąć jej bransoletkę na przegubie. — Po prostu cię kocham.

— Na pewno nie masz czegoś na sumieniu? — żartuje Alice, na co Joe się uśmiecha, choć nagle ogarnia go fala przejmującego chłodu.

— Na sumieniu? — powtarza, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej naturalnie.

Chyba Gina niczego jej nie powiedziała, zwłaszcza po ich porannej rozmowie.

Alice uśmiecha się i całuje go.

— Na przykład tego, że jesteś kochającym mężem. Dziękuję. Jest naprawdę piękna. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio zrobiłeś mi taką niespodziankę. W Londynie częściej ci się to zdarzało i zdążyłam już zapomnieć, jakie to miłe. Jeszcze raz dziękuję.

Alice zapomniała też, i na całe szczęście, jak się zwykle czuła, kiedy Joe niespodziewanie robił jej prezenty, zapomniała o dręczących ją wtedy podejrzeniach, strachu podążającym za nią jak wielka, czarna chmura.

Joe od wielu miesięcy nie był taki czuły i kochający. Wracają do domu i spędzają popołudnie w łóżku, śmieją się i kochają. Joe ze zdumieniem stwierdza, że odzyskał miłosny wigor, którego ostatnio brakowało mu w obecności Alice, do czego znacznie przyczyniły się wizje Josie, pojawiające się za każdym razem — to znaczy często — kiedy zamykał oczy.

— Ojej! — Alice opada na poduszki i mile zmęczona, uśmiecha się do Joe. — Wspaniałe popołudnie.

— Całkowicie się z tobą zgadzam. — Joe nachyla się i całuje ją w usta, po czym wyskakuje z łóżka.

— Dokąd idziesz?

— Pod prysznic. A potem muszę wykonać kilka służbowych telefonów. Przepraszam cię, kochanie, ale nie przeszkadza ci to, prawda?

Alice wzrusza ramionami i kręci głową. Oczywiście, że jej przeszkadza, ale czyż może oczekiwać, żeby lampart nagle zmienił cętki?

Joe upewnia się, że dokładnie zamknął za sobą drzwi do gabinetu, po czym wykręca numer Josie.

— Cześć. Tu Joe. — Nagrywa wiadomość na sekretarce przyciszonym głosem, prawie szepcząc. Alice co prawda jest jeszcze na górze, w łóżku, ale ostrożności nigdy za wiele. — Słuchaj, jestem na wsi, spełniam obowiązki wiernego mężusia, ale dostaję świra z nudów. Wracam dzisiaj wieczorem i nie mogę przestać o tobie myśleć. Muszę cię zobaczyć. Spróbuję jeszcze raz później i liczę, że wieczorem się spotkamy.

Włącza komputer i zaczyna pisać do Josie długi, szczegółowy e-mail, w którym dokładnie opisuje, co zamierza z nią robić, kiedy się zobaczą. Potem dzwoni do niej jeszcze raz i odkłada słuchawkę, gdy po drugiej stronie włącza się sekretarka. Niech to szlag. Dlaczego nie ma jej telefonu komórkowego? Tak bardzo chce z nią porozmawiać. Musi z nią porozmawiać.

Josie siedzi przy kuchennym stole i jedząc suchego bajgla, słucha, jak Joe nagrywa wiadomość. Najchętniej odebrałaby telefon, porozmawiała z nim, powiedziała mu, że będzie na niego czekać, ale przecież powinna być na proszonym lunchu, musi więc udawać, że nie ma jej w domu. Jedyne, czego pragnie, to być z nim, choć wie, że aby go zdobyć, musi udawać niedostępną. Teraz nie odbierze telefonu, wie jednak, że wieczorem będzie na niego czekać. I jutro też. I zawsze, kiedy on zadzwoni i powie, że jej pragnie.

O dziesiątej wieczorem Joe odpina górny guzik w koszuli Josie, po czym zaczyna odpinać kolejne, zamierając z rozkoszy,

gdy ona wsuwa mu język do ust. Gładzi jej miękką skórę, zsuwa ramiączko stanika i muska palcem linię jej obojczyka, zmierzając w dół, ku piersiom.

Josie wzdycha, gdy Joe pochyla głowę i całuje ścieżkę, wyznaczoną przed chwilą przez jego palec najej skórze. Przymyka oczy i opada na łóżko, czując, jak Joe sunie coraz niżej. „Dziękuję ci, Boże” — szepcze do siebie w duchu. „Dziękuję ci, że mi go zwróciłeś”.

O dziesiątej dwadzieścia pięć telefon Joe zaczyna dzwonić.

— Kurwa! — syczy Joe rozwścieczony, nieruchomiejąc w Josie.

— Nie wyłączyłeś go? — szepcze Josie, nie wypuszczając go z objęć, nie chce bowiem, żeby przestawał. — Nie przerywaj — zachęca go, starając się nie zwracać uwagi na uporczywy dzwonek.

Chwilę czekają i wreszcie telefon milknie. Joe z ulgą stwierdza, że jego członek nadal jest twardy, zaczyna więc od nowa poruszać się w Josie, co ona przyjmuje z jękiem rozkoszy.

Telefon znowu zaczyna dzwonić.

Alice przyciska słuchawkę do ucha. Powiedział, że będzie w domu, ale nikt nie odbiera. I nie wyłączył telefonu komórkowego. Gdyby spał, wyłączyłby go.

Serce tężeje jej ze strachu, w gardle czuje zbierające się mdłości. Raz jeszcze wybiera numer. I jeszcze. I jeszcze raz.

— Kurwa!

Erekcja Joe znika bez śladu, więc wysuwa się z Josie i podchodzi do telefonu. Oczywiście to Alice, któż by inny? Czemu jednak dzwoni teraz do niego, co ona sobie wyobraża, wydzwanając bez końca o tej porze?

Joe nie wie, czy powinien odebrać, czy też raczej wyłączyć telefon zupełnie. Czemu rujnuje mu w ten sposób noc? Roz-

wścieczony naciska guzik i przygląda się, jak telefon wyłącza się, pozostawiając pusty ekranik.

Josie, naga, idzie przez pokój i przystaje obok niego.

— Wszystko w porządku?

Joe kiwa tylko głową zbyt wściekły i dotknięty, by mówić.

— Twoja żona?

Znowu kiwnięcie. Na miłość boską czemu ona go tak ściga?

Josie dostrzega jego napięcie i kładzie mu rękę na ramieniu. Staje na wprost niego, potem przed nim klęka, tuli jego głowę i całuje go.

— Wszystko będzie dobrze — mówi, lecz on nadal jest spięty i zdenerwowany. — Zaufaj mi — szepcze, sunąc ustami po jego piersi, w dół po brzuchu, ku żałośnie zwiotczącemu penisowi.

Joe spina się, po chwili rozluźnia. Tak. Och, jak miło. Josie ma rację. Wszystko będzie dobrze. Poddaje się uczuciu czystej, fizycznej rozkoszy i zapomina o Alice. Jedyne, co w tej chwili się liczy, to pieśczota miękkich, wilgotnych ust Josie.

Alice wstaje i idzie na dół, do kuchni, gdzie nastawia czajnik, by zaparzyć sobie herbaty rumiankowej. Gdy wstawała z łóżka, Snoop podniósł łeb, nie miał jednak siły, by pójść za nią Alice więc siedzi sama przy kuchennej ladzie, starając się uspokoić ściśnięte strachem serce.

„Co za idiotka ze mnie” — myśli sobie. To wszystko przez tę cholerną książkę. On pewnie zapomniał wyłączyć telefon, zostawił go w holu i kiedy usnął, nie może go słyszeć. Dlaczego jednak telefon nagle się wyłączył? Czy zrobił to Joe? Niekoniecznie. Po prostu bateria mogła się wyczerpać. Milion możliwości przychodzi Alice do głowy i, choć strach nieco maleje, niepokój pozostaje.

Dwie godziny później Alice zażywa Valium i po półgodzinie szczęśliwie udaje jej się zasnąć.

Skoro Joe upiekło się po raz kolejny, wie, że odtąd takjuż będzie zawsze. Jego związek z Josie nabrał swoistej rutyny, w dużym stopniu przypominającej tę z czasów londyńskich, z tą różnicą, że teraz nie musi wciąż szukać wymówek dla późnych powrotów do domu.

„Wszystko układa się wprost idealnie” — myśli Joe po raz setny, zmierzając do mieszkania Josie i ciesząc się pięknym, wiosennym dniem.

Żona na wsi i kochanka w mieście. Czemu nie wpadł na to już dawno? Uśmiecha się do siebie. Alice zawsze chciała mieszkać w samym sercu pustkowia. Mógł ją ulokować w jakimś domku w Cotswolds, a sam w Londynie bawić się w stuprocentowego kawalera. Chociaż nie, tam zbyt dobrze wszyscy go znali, ktoś w końcu zacząłby gadać i wieści rozeszłyby się błyskawicznie.

Tutaj to jednak całkiem inna sprawa. Josie z każdym dniem udowadnia, iż kochanką jest wprost doskonałą. Wygląda fenomenalnie, jego ma za ideał i z radością spełnia wszelkie jego zachcianki. Poza tym rozumie reguły obowiązujące, gdy ma się żonatego kochanka: nigdy go nie naciska, nigdy nie pyta o jego żonę; nie dzwoni do niego do domu i nie wygłupia się, odkładając na przykład bez słowa słuchawkę, gdy zgłosi się Alice, nie oczekuje też niczego ponad to, co już dostała.

Nawet gdyby chciał, lepiej by tego wszystkiego nie mógł sobie ułożyć. Josie jest tak łatwa w pożyciu, że w zasadzie spędza z nią niemal każdy wieczór. Do Alice dzwoni koło dziewiątej wieczorem, by nie musiała telefonować do niego późną nocą, dopytując się, gdzie też się podziewa i co porabia — gdy zda-

rzyło się to ostatnim razem, udało mu się wmówić jej, że zasnął jak kamień, z zatyczkami w uszach, i zapomniał wyłączyć komórkę. Zadzwonił do niej z samego rana następnego dnia, by w zarodku zdusić wszelkie podejrzenia, jakie mogły się w niej obudzić.

Zaczął nawet regularnie wychodzić w towarzystwie Josie — na kolacje, benefisy, przyjęcia, tym bardziej że Alice ostatnio coraz rzadziej raczy zjawiać się w mieście, chociaż bardzo uważa, by publicznie nie demonstrować żadnych wobec Josie uczuć, zwłaszcza po ostatniej fatalnej wpadce. Przedstawia Josie jako swoją koleżankę z pracy, co oczywiście wzbudza zrozumiałe podejrzenia, nikt jednak nie wie niczego na pewno. Naturalnie jego koledzy z pracy nie dają się tak łatwo zwieść — wszyscy znają plotki związane z jego przeniesieniem do Nowego Jorku, wiedzą też, że chodziło wówczas o Josie — Joe jednak za wysoko stoi w hierarchii firmy, by pytać go czy kpić z niego w żywe oczy, może więc spokojnie postępować wedle własnej woli.

Chociaż też niechętnie się do tego przyznaje, nie może zaprzeczyć, iż Josie jako towarzyszka spisuje się o niebo lepiej niż Alice. Przede wszystkim, pracę ma podobną do jego pacy i z łatwością radzi sobie z klientami. Doskonale rozumie, co on przeżywa, gdy coś nie idzie po jego myśli bądź w pracy pojawiają się jakieś problemy, i wie, w jaki sposób go wtedy pocieszyć.

Alice także się stara, lecz zawsze przyznawała, że jeśli chodzi o liczby, pieniądze i finanse jest kompletnym abnegatem, i Joe w końcu przestał jej cokolwiek tłumaczyć, zirytowany jej pozbawionym zrozumienia współczuciem.

Wreszcie: Josie wygląda wspaniale. Nauczyła się rozpoznawać upodobania Joe i teraz ubiera się tak, by sprawić mu przyjemność. Nosi obcisłe białe koszule i szyte na miarę kostiumy, pod spódnicą ukrywa pończochy i podwiązki, które on tak uwielbia. Z wdziękiem postukuje butami na cienkich, wysokich obcasach, w przeciwieństwie do Alice, która wiecznie uskarżała się, że bolą ją stopy, i teraz w zasadzie nie zdejmuje kaloszy czy ogrodowych drewniaków.

Josie ma grzywę złocistych blond włosów, najważniejsze kryterium, jakim kieruje się Joe przy wyborze kolejnej kochanki, widok coraz dłuższych odrostów i niesfornych loków na głowie Alice przyjmując z rosnącym obrzydzeniem.

Jeśli chodzi o Alice, Joe naprawdę robi, co w jego mocy. Stara się zachęcić ją by na powrót zaczęła przypominać dawną siebie, kobietę, którą z taką dumą przedstawiał jako własną żonę. Jednakże o ile kiedyś Alice traktowała Joe niczym boga, z nabożeństwem słuchała wszystkiego, co miał do powiedzenia, i bardzo się starała, by mógł być z niej zadowolony, od przyjazdu do Ameryki najwyraźniej przestało jej na tym w ogóle zależeć.

— Teraz jestem o wiele bardziej szczęśliwa — uśmiecha się do niego, siedząc po turecku przed kominkiem, z włosami związanymi w niechlujny koński ogon, zdmuchując opadające jej na twarz niesforne loki. — Nie jesteś szczęśliwy, wiedząc, że ja jestem szczęśliwa, kochanie?

Joe uśmiecha się i kłamie, że oczywiście, bardzo jest szczęśliwy. Ale jak ona wygląda, na miłość boską! Paznokcie ma krótkie, a dłonie szorstkie i spracowane jak u jakiejś wyrobnicy. Przestała nosić pierścionki z obawy, że mogą się zniszczyć podczas prac w ogrodzie, a kosmetyki porastają kurzem, wciśnięte w kąt jakiejś szuflady.

Alice wygląda teraz dokładnie tak jak w dniu, kiedy ją poznał. Wtedy jednak wiedział, jaka będzie mu posłuszna, rozpoznawał drzemiący w niej potencjał i wolę, by zrobić wszystko, aby go zadowolić. Nie może pojąć, czemu teraz, po sześciu latach, tak trudno jest mu ją znowu odmienić.

Co tydzień kupuje jej jakiś prezent. Karnet do salonu piękności, parę butów od Prądy, najnowszą torebkę od Vuittona, za którą każda kobieta w mieście dałaby się zabić. Obdarowuje ją nimi w nadziei, że te piękne przedmioty wzbudzą w niej pragnienie bycia elegancką, postarania się dla niego, ona jednak ledwie mu za nie dziękuje, kłamiąc, jak bardzo tego czy tamtego właśnie pragnęła, po czym chowa wszystko na dnie szafy w sypialni.

Alice przyjeżdża do miasta, bo nie ma innego wyjścia, a nie dlatego, że sprawia jej to przyjemność. Najchętniej nie zostaje nawet na noc. Rano przyjeżdża pociągiem na Grand Central i o piątej po południu jest już na ogół z powrotem w Highfield. Joe zdaje sobie sprawę, że czyni to z coraz większą niechęcią przyjeżdża wyłącznie dlatego, iż sądzi, że jemu to sprawia przyjemność, nie wiedząc, że i on witają za każdym razem mniej chętnie.

W końcu w osobie Josie znalazł sobie znacznie lepszą towarzyszkę.

Alice natomiast wie doskonale, co się zmieniło. Znowu wyczuwa u Joe roztargnienie, widzi, iż się od niej oddala, ale teraz już jej to nie sprawia takiego bólu jak dawniej. Zdarzają się chwile, na przykład wczorajszej nocy, gdy Alice leży bezsennie i zamartwia się o swoje małżeństwo. Zdaje sobie sprawę, iż poślubiła niewłaściwego mężczyznę, ma świadomość, że nie są w stanie nawzajem się uszczęśliwić, bo oboje pragną od życia czegoś kompletnie odmiennego, i odczuwając fizyczny wręcz strach i ból, stara się odsunąć od siebie podobne myśli.

Takie noce, wypełnione lękiem, zdają się ciągnąć w nieskończoność, w którymś jednak momencie udaje jej się w końcu zasnąć, a kiedy rano budzą ją promienie słońca wlewające się przez okno, czuje się lepiej; wie, iż nocne obawy były tylko obawami, nie zaś rzeczywistością.

Tymczasem zajęć nieustannie jej przybywa. Klub Gospodyń stał się najpopularniejszą formą zajęć w Klubie Nowicjuszy i nie ma w zasadzie tygodnia, żeby Alice wraz z Sandy nie organizowały jakiegoś spotkania.

Tylko w tym miesiącu ma się odbyć wycieczka na Farmę Białego Kwiatu w Litchfield, zwiedzanie zakładu garncarskiego i wykład na temat tajników postarzania donic z terakoty na patio.

Ona i Sandy spotykają się regularnie, nie tylko podczas zajęć — chodzą na spacer z psami, idą w mieście na kawę, odwiedzają się nawzajem, by sfinalizować plany najbliższego spotka-

nia Klubu. Alice z radością odnalazła w swej sąsiadce Sally nową, serdeczną przyjaciółkę.

Nagle też przestała jej doskwierać samotność. Co chwila ktoś do niej zagląda, niemal codziennie wpada Sally z Madison, a gdy Alice wybiera się do miasteczka po sprawunki, zawsze spotyka kilkoro znajomych.

James tak przywykł do jej wizyt w swojej szkółce ogrodniczej, że przestał z nią flirtować, stając się jeśli nie bliskim przyjacielem, to z całą pewnością dobrym znajomym, z którym miło spędza się czas.

Pomógł jej założyć niewielki warzywnik, pokazał, jak należy go ogrodzić trzymetrowym płotem dla ochrony przed sarnami, i nauczył, które rośliny z powodzeniem można hodować w tej strefie klimatycznej, a sadzeniem których nie ma co sobie zawracać nawet głowy.

I gdy w końcu wiosna nadeszła w całej krasie, ogród Alice zakwitł prawdziwą tęczą barw. Tuż obok tarasu pyszni się obsypana mnóstwem żółtych kwiatów forsycja, a setki tulipanów i narcyzów, których bulwy Alice tak pracowicie sadziła jesienią, teraz kwitną jak oszalałe.

Grządka przed domem, zaniebana przez Alice jako rzekomo porośnięta samymi chwastami, pokryta jest dywanem drobnych, fioletowych kwiatuszków barwinka i zaczynającymi wyłaniać się spomiędzy pachysandry żółtymi pąkami jasnoty, a wszędzie, gdzie spojrzeć, dostrzec można małe, różowe kwiatki ładniczki.

Alice zaczyna wreszcie poznawać swój ogród, zdobywać wystarczającą wiedzę na temat roślin, gleby, tego co może sadzić, a czego raczej nie powinna.

Jest to wiedza dla niej całkowicie nowa. W przeciwieństwie do Anglii, z jej umiarkowanymi temperaturami i obfitymi deszczami, w Connecticut zimy są ostre i mroźne, często bardzo śnieżne, lata zaś gorące i suche. Alice z przykrością przekonała się, iż rośliny, które z takim powodzeniem uprawiała na tarasie w swoim londyńskim domu — oliwki, francuską lawendę, drzewka cytrusowe — tutaj nie mają najmniejszych szans.

Dlatego też musiała pokochać rododendrony, azalie, hortensje. Po klęsce z lawendą, która zginęła straszliwą śmiercią podczas mroźnej zimy, obsadziła taras kocimiętką olbrzymią, z tyłu ogrodu, pod błękitnym świerkiem posadziła lilie, a tam, gdzie najchętniej widziałyby swoje ukochane drzewka laurowe i cyprysiki, musiała zadowolić się jałowcami i cisami.

Alice dosłownie zbzikowała na punkcie własnego ogrodu, co niezmiernie bawiło Sally, która u siebie ograniczyła się jedynie do posadzenia żywopłotu z iglaków i kilku rododendronów.

— To pewnie dlatego, że jesteś Angielką— zauważa z uśmiechem Sally, wraz z Alice popijając kawę na jej tarasie. — Wszyscy macie fioła na punkcie ogrodów, prawda?

— Wcale nie. Moja przyjaciółka Emily — pamiętasz ją jeszcze, prawda? No więc, Emily nie ma zielonego pojęcia o roślinach i wcale jej to nie przeszkadza. Zawsze żartowałyśmy, że każdej z nas przypadło w udziale niewłaściwe życie. Ja, prowadząca bujne życie towarzyskie w Londynie, ale wiecznie marząca o domu na wsi, i ona, która kupiła sobie domek w Cotswolds, a tak naprawdę powinna była wyjść za kogoś takiego jak Joe.

— Nie ma męża, prawda? Ten facet, jak mu tam? Harry? Był tylko jej przyjacielem. Czy tak?

Alice przytakuje skinieniem głowy. Już sam dźwięk jego imienia zalewają wielką falą poczucia winy. Bardzo się stara, by o tamtej nocy, kiedy to na przyjęciu u Sally i Chrisa Harry ją pocałował, nie wspominać zbyt często.

Stara się nie myśleć o tym, jak głęboko zraniła przyjaciółkę, jeszcze bardziej zaś stara się nie myśleć o tym, co czuła, gdy w objęciach Harry'ego leżała na ziemi. Nie myśli o tym, albowiem gdy tak się zdarzy, pamięta wszystko aż nadto dobrze, zupełnie jakby stało się najdalej wczoraj. Czuje każde źdźbło trawy, każdy milimetr zarostu na twarzy Harry'ego, zapach jego ciepłej skóry.

Zbyt bolesne są to wspomnienia. Przepęniają ją tęsknotą, do której nie przywykła, tęsknotą, z którą nie wie, jak sobie radzić.

Alice zrywa się na nogi.

— Chodź, Madison — woła do małej dziewczynki. — Porzucamy Snoopowi piłkę.

I wszystkie trzy zbiegają na trawnik, śmiejąc się radośnie, gdy Snoop obskakuje je jak szalony.

Po zażyciu Valium Alice zawsze budzi się rano nieco otumaniona i w pierwszej chwili nie bardzo może sobie przypomnieć, czemu wieczorem wzięła pigułkę. Trwa to jednak tylko chwilę.

Potem jak zawsze, gdy widzi świecące jasno słońce, zaczyna czuć się lepiej. Nie doskonale, ale lepiej na pewno. Schodzi na parter i gdy mija drzwi prowadzące do gabinetu, nachodzi ją pewna myśl. Gdyby miał coś na sumieniu — choć dzisiaj jest absolutnie przekonana, że jego tłumaczenie na temat telefonu komórkowego było prawdziwe — gdyby jednak miał coś na sumieniu, gdzieś musiałby być jakiś dowód.

Przystaje przed drzwiami. Nie, nie może stać się jedną z tych wiecznie węszących żon, które pokazują w filmach. Przecież pierwsza zasada węszenia brzmi, że jeśli węszysz, na pewno znajdziesz coś, czego znaleźć nie masz ochoty. Jakaś siła jednak pchają do gabinetu, siła, nad którą ona nie ma władzy, więc niczym sterowana autopilotem Alice delikatnie otwiera drzwi i rozgląda się po pokoju.

Rachunki. Jego rachunki. Siada przy biurku i zaczyna je przeglądać. Nic nadzwyczajnego. Dokładnie studiuje każdy po kolei, zdumiona życiem, które prowadzi jej mąż, a które jej jest zupełnie obce. Wszystkie te restauracje, gdzie podejmuje swoich klientów. W zasadzie nie bardzo wie, czego tak naprawdę szuka. Ma nadzieję, że niczego. Znajduje rachunki z restauracji, z pralni, ze stacji benzynowych. Nic w najmniejszym nawet stopniu podejrzanego.

Zaczyna się rozluźniać, nagle jednak jej wzrok pada na komputer. Włącza go, wchodzi do Internetu i przegląda strony, które były ostatnio odwiedzane. Gardenweb.com. Uśmiecha się do siebie. To jej. Google.com. Hotmail.com. Wszystkie jej.

Wchodzi na Hotmail, żeby sprawdzić swoją pocztę, i przychodzi jej do głowy, że może przy okazji sprawdzić pocztę Joe. Hasło ma zawsze takie samo: champ. Wpisuje jego imię, później hasło i wchodzi do skrzynki. Po części czuje się okropnie, że aż do tego się zniżyła, nie ma jednak siły się wycofać. Zaszła za daleko.

Klika w wiadomości i sprawdza przychodzące e-maile, szukając czegoś podejrzanego. Nic. Wszystko wygląda normalnie. Serce wali jej jak oszalałe, ale oddycha z ulgą i wyłącza komputer, nie mogąc się nadziwić własnej głupocie. Idzie do kuchni, żeby zaparzyć sobie kawę.

Wieczorem Joe dzwoni jak zwykle, żeby powiedzieć jej, że nie przyjedzie. Alice nie ma nawet siły się rozgniewać. Kiwa tylko głową i odkłada słuchawkę, po czym większość wieczoru spędza beczynn timer na kanapie, wpatrując się tępo przed siebie.

Idzie już do sypialni, kiedy nagle przypomina sobie gabinet, e-maile Joe i uświadamia sobie, że coś przeoczyła. Nie wiedząc nawet kiedy, bezmyślnie kieruje się do gabinetu.

Wyzbyta ze wszystkich uczuć, siada i włącza komputer. Tym razem wie, czego szuka, ale nic już jej to nie obchodzi. Ma dość udawania, nie chce dłużej być traktowana jak idiotka.

Wchodzi do jego Hotmaila. Do foldera, który wcześniej zignorowała. Foldera zatytułowanego „Prywatne”. I znajduje. Trzy e-maile od JosieJo. Instynktownie wie, że JosieJo nie jest odpowiednim imieniem do korespondencji służbowej. Serce tłucze się w niej boleśnie, wie jednak, że teraz nie może się już wycofać. Wie, co znajdzie, ale tym razem musi mieć pewność.

Powoli czyta wszystkie trzy wiadomości. Krótkie, zdawkowe, ale na pewno nie związane z pracą. To jednak jeszcze nie dowód. Wraca do wiadomości wysłanych i znajduje to, czego z jednej strony szuka, choć z drugiej wcale nie chce znaleźć.

Wysłane. Do JosieJo. Dzisiaj rano o dziewiątej dwadzieścia pięć. Temat: Dzisiaj wieczorem. Czyta e-mail pięć razy, za każdym razem cierpiąc coraz bardziej. Gdy czyta dosadne wyrażenia, ręka zaczyna jej drżeć, zdaje sobie bowiem sprawę, że jej

mąż z tą osobą sypia, dociera do niej, że ten e-mail nie tylko jest nad wyraz obrazowy, on świadczy przede wszystkim o zażyłości z kimś, kogo zna się długo i dobrze. Z kimś, z kim nie łąduje się w łóżku raz, i Alice nie może już teraz udawać, że nic się nie dzieje. Nie jest to epizod, który może pominąć, wiedząc, iż nie zagraża poważnie jej małżeństwu, jest bez znaczenia.

Alice wie, musi wiedzieć. Teraz, w tej chwili, choćby nie wiem jak okropnie się bała, chce wiedzieć. Po raz pierwszy w życiu musi poznać prawdę.

Gdy jakiś czas później Joe do niej dzwoni, Alice nie podnosi słuchawki. Siedzi w fotelu, z którego nie ruszyła się od wielu godzin, i otepiała popija wódkę.

Jedna tylko myśl kołacze się jej po głowie: „Co ja mam teraz zrobić? Co ja mam zrobić?“, jedna i ta sama, w kółko, bez końca.

I wciąż nie dociera do niej, że to dzieje się naprawdę. Wciąż ma nadzieję, że może to jednak tylko zły sen, nocny koszmar, z którego się obudzi i przekona, że wszystko jej się przyśniło.

Dopiero kiedy słyszy głos Joe mówiący do sekretarki, coś w niej pęka i z oczu zaczynają jej płynąć łzy, bo dociera do niej, że to się dzieje naprawdę. Dostrzega wreszcie, że oddalili się od siebie tak bardzo, iż dłużej już nie jest w stanie udawać.

Ponad wszelką zaś wątpliwość wie, że to koniec ich małżeństwa. Dotąd nie brała nigdy pod uwagę, iż mając trzydzieści sześć lat, nagle może zostać sama, nie przypuszczała, że życie, które znała, nagle może skończyć się nieodwołalnie.

— Drań! — wrzeszczy do głosu Joe, który gładko i bez zająknienia mówi maszynie, że ją kocha i właśnie kładzie się spać.

Czeka, aż Joe się rozłączy, i podchodzi prosto do telefonu, bez chwili wahania wybiera ich nowojorski numer i nie jest ani trochę zaskoczona, gdy po sześciu sygnałach włącza się automatyczna sekretarka.

— Drań! — szepcze, odkładając słuchawkę, i we łzach osuwa się na podłogę. Podbiega Snoop, opiera się przednimi łapami

ojej ramiona i próbuje zlizać łzy z jej twarzy, pocieszyć ją jakoś. Alice przytula drobne ciało psa i szlocha, długo i rozpaczliwie.

Gdy następnego ranka dzwoni Joe, Alice jest przygotowana. W nocy płakała tak długo, aż nie została jej już ani jedna łza, potem zrobiła sobie herbatę, włożyła kurtkę i wyszła na taras, gdzie położyła się na leżaku i ze wzrokiem wbitym w gwiazdy zastanawiała się, co dalej.

Mimo że noc była ciepła, Alice drżała, lecz ogrom nieba i jasny blask gwiazd przynosiły jej ukojenie i gdy tak leżała, mocując się z myślami, z wolna zaczynała rozumieć, iż ich małżeństwo skończyło się tak naprawdę dawno temu.

Wspominała życie w Londynie, które teraz zdawało jej się odległe o miliony lat, i przypominała sobie, jak bardzo była wtedy nieszczęśliwa. Jej życiową misją było uszczęśliwianie Joe i tak się na niej skupiła, że zrezygnowała ze swoich pragnień, zapomniała, kim jest naprawdę.

Dzień po dniu przypomina sobie swoje życie z Joe, zupełnie jak gdyby oglądała film na wideo. Począwszy od ślubu, który nie był taki, jak sobie wymarzyła, przez ubrania, które zgodnie z jego życzeniem musiała nosić, do choinki, którą zlekceważył i wyśmiał.

Teraz już wie, że ta kobieta, ta JosieJo, nie jest pierwsza. Przypominając sobie wszystko, zmuszona jest przyznać sama przed sobą, że zawsze przymykała oko, nie wierzyła, ale też wierzyć nie chciała.

A wiedziała aż za dobrze. Wszystkie te późne powroty do domu; nagłe, niewytłumaczone zniknięcia, służbowe wyjazdy do hoteli, do których nie chciał podać jej numeru. Nieme telefony do domu. Alice, wbrew temu, co myśli Joe, na pewno nie jest głupia, i nigdy nie była.

Po prostu o niczym nie chciała wiedzieć.

O piątej nad ranem dzwoni do Emily. W Anglii jest już dziesiąta, Alice jednak wie, iż w soboty Emily lubi sobie poleżeć dłużej w łóżku, poleniuchować. Do dzisiaj ze sobą nie rozma-

wiały, lecz Alice nie przestała pisać i wie, że teraz, kiedy jej potrzebuje, Emily jej nie zostawi i choćby nie wiedzieć jak udawała nienawiść, w sytuacji tak poważnej na pewno jej nie zignoruje. Zgłasza się automatyczna sekretarka.

— Em? To ja, Alice. Muszę z tobą porozmawiać. Ja... Joe ma romans... — wyrzuca to z siebie, i gdy wypowiada te straszne słowa na głos, w gardle narasta jej szloch, nad którym nie jest w stanie zapanować. — O Boże — krztusi się. — Myślałam, że już się wypłakałam za wszystkie czasy. Przepraszam, nie chciałam...

— Alice? — Emily przerażona podnosi słuchawkę. — Alice? Co się stało? Usłyszałam cię na sekretarce. Byłam w łóżku. O co chodzi? Stało się coś złego?

— On ma romans.

— Wielki Boże. — W jednej chwili Emily pełna jest współczucia, w jednej chwili na powrót staje się najbliższą przyjaciółką Alice, gotową pomóc jej i wspierać we wszystkim. — Och, Ali. Tak mi przykro. Skąd wiesz? Jesteś pewna?

— Znalazłam e-maile. O Boże. Emily, rzygać mi się chce.

— Zaczynij od początku — uspokajają Emily. — Opowiedz mi, co się stało,

I Alice mówi jej o telefonach, których Joe nie odbiera. O tym, jak oddalili się od siebie. I wreszcie o e-mailach.

— To koniec — mówi wreszcie Alice. — Za bardzo się od siebie oddaliliśmy. Czasem patrzy na mnie i mam wrażenie, że mnie nienawidzi.

— Nie wygłupiaj się, na pewno tak nie jest.

— Przysięgam ci, Em, naprawdę myślę, że mnie nienawidzi. Wiem, że kochał tę mnie, w którą usiłował mnie zmienić, blondwłosą, piękną Alice, która tak wspaniale prezentowała się u jego boku, ale dam sobie głowę uciąć, że prawdziwej mnie nie znosi. Czasem zauważam, jak na mnie patrzy, i dostrzegam w jego spojrzeniu prawdziwe obrzydzenie.

— Chcesz powiedzieć, że nie jesteś już piękną blondynką? — Emily jest wyraźnie zaintrygowana.

— Mam przeszło pięciocentymetrowe, piękne, myszowate odrosty, a ponieważ nie chce mi się chodzić do fryzjera i prostować włosów, więc znowu mam loki, na dodatek całe dni spędzam w ogrodzie, wobec czego przeważnie chodzę w starych, umorusanych dżinsach i brudnych buciorach.

Emily nic nie może na to poradzić, ale mimo powagi sytuacji wybucha serdecznym śmiechem.

— Alice, nie chcę być złośliwa, ale nie jesteś chyba kobietą, na którą Joe by miał szczególną ochotę.

— I o to właśnie chodzi. Em, ja tu jestem taka szczęśliwa, cieszę się, że wreszcie nie muszę się stroić i odgrywać kretyńskiej roli głupiej zdobyczej żony, ozdoby towarzystwa. Uwielbiam pracować w ogrodzie, nie nosić makijażu, nie przejmować się swoim wyglądem. Całą noc o tym myślałam i nie widzę wyjścia z tej sytuacji. Nawet gdybym mu przebaczyła, nawet gdybyśmy spróbowali zacząć wszystko od początku, nie wydaje mi się, żeby nasze małżeństwo miało szansę przetrwać.

Emily nic nie mówi. Czeką, żeby Alice mówiła dalej. Alice wzdycha.

— Em, ja już tak dłużej nie mogę. Nie mogę udawać kogoś, kim nie jestem, a Joe nie może udawać, że kocha prawdziwą mnie, kiedy nie o taką żonę mu chodzi.

— Rozmawiałaś z nim?

— Nie. Dzwonił wczoraj wieczorem i nagrał się, że jest w domu i kładzie się spać, ale ja oddzwoniłam natychmiast, chociaż wiedziałam, że nie ma go w domu.

— Rzeczywiście go nie było?

— Oczywiście, że nie.

— I co teraz?

— Dzisiaj na pewno zadzwoni, będzie udawał, że wspaniale się wyspał, a ja wtedy mu powiem, że wiem o wszystkim.

— Przez telefon?

— Tak. I poproszę go, żeby przyjechał i zabrał swoje rzeczy. — Tego Alice nie chciała powiedzieć, choć rozważała taką

możliwość, słowa jednak wymknęły się jej same i wtedy zrozumiała, że tak właśnie powinna postąpić.

— Jezu, Ali. Jesteś pewna?

— Tak — mówi Alice wolno. — Tak zrobię. On musi odejść, a ja chcę być sama.

Miarowe kołysanie pociągu działa na Joe uspokajająco, choć w głowie kłębią mu się myśli, a serce bije jak szalone.

Wciąż nie może uwierzyć, że był na tyle głupi, by zostawić e-maile w komputerze, dając tym samym Alice szansę na ich znalezienie. Przede wszystkim zaś nie może uwierzyć, że Alice posunęła się do tego, aby w ogóle ich szukać.

Zadzwoił do niej z samego rana, gdy z bajglami i świeżą kawą wracał ze sklepu do mieszkania Josie. Przytrzymując telefon ramieniem, jak zwykle w sobotni poranek posłusznie dzwonił do swojej żony.

— Cześć, kochanie — zaczął. — Próbowałem złapać cię wczoraj wieczorem, ale nie odbierałaś. Położyłaś się wcześniej spać?

Ponieważ Alice milczała, wiedział od razu, że coś jest nie tak.

— Alice? Kochanie? Jesteś tam? Czy coś się stało? Usłyszał, jak wzdycha.

— Alice, co się dzieje?

— Joe, musimy porozmawiać. Serce zaczęło mi bić szybciej.

— O czym?

— Musisz tu przyjechać. Nie chcę załatwiać tego przez telefon. Chcę, żebyś od razu wsiadł do pociągu i przyjechał do Highfield.

Joe stanął jak wryty.

— Alice, co ty w y g a d u j e s z?

— Z dworca możesz przyjechać taksówką — mówi dalej Alice. — Zakładam, że zjawisz się tu w porze lunchu.

— Alice...

— Nie! — krzyczy Alice. — Joe, ja wiem. Okay? Wiem. Znalazłam e-maile. Wiem o Josie. Wiem o was wszystko. Porozmawiamy, jak przyjedziesz. — Po tych słowach odkłada słuchawkę, nie dając Joe nawet szansy, by powiedział coś na swoją obronę.

Joe stoi nieruchomo, stopy wrastają mu w ziemię, krew odpływa z twarzy.

— Kurwa — szepcze. — O kurwa.

Nie wraca do Josie, nie mógłby z nią teraz o tym rozmawiać, wyjaśniać, nie mógłby na nią spojrzeć. Wie, że natychmiast musi wyruszać do Highfield, uspokoić Alice, znaleźć jakieś wytłumaczenie, jakiś rozsądny powód, coś, co pozwoliłoby jej mu wybaczyć.

I oto siedzi teraz w pociągu, usilnie starając się coś wymyślić. Najlepiej chyba będzie, jeśli powie Alice, że to, co łączy go z Josie, to tylko niewinny flirt, tak naprawdę do niczego między nimi nie doszło, uprawiali tylko wirtualny seks, a on uległ pokusie, bo jej, Alice nigdy przy nim nie ma, więc czuje się samotny.

W zasadzie mogło tak być. Alice rzeczywiście nigdy nie ma przy nim, a on przecież jest normalnym, pełnokrwistym mężczyzną. Naturalnie w życiu nie pozwoliłby sobie na nic, co mogłoby zranić Alice, ale powie jej, że pozwolił sobie na drobny flirt, który rzeczywiście może zaszedł nieco zbyt daleko. Oczywiście, że nie ma żadnego romansu, nigdy by tego Alice nie zrobił. Choć dopiero wszystko to układa sobie w myślach, na jego twarzy maluje się prawdziwa skrucha i zaczyna wierzyć, że jak zwykle uda mu się Alice przekonać i udobruchać.

Joe wchodzi i zastaje Alice na kanapie. Obok niej leży Snoop z łbem wspartym na jej kolanach. Na dźwięk otwieranych drzwi unosi łeb, spogląda na Joe złowrogo, po czym kładzie się znowu i przymyka oczy, gdy Alice zaczyna drapać go za uchem.

Alice nie odzywa się ani słowem. Tylko patrzy na męża. Joe ze

z dumieniem stwierdza, że nie przywykł do widoku siedzącej bez ruchu Alice, normalnie zawsze czymś zajętej. Tak go to niepokoi, że nagle nie wie, co powiedzieć, i zaczyna się zastanawiać, czy mimo wszystko nie ocenił sytuacji błędnie. Uderza go myśl, że nie zna już Alice, nie wie, kim ona jest i co tak naprawdę sobie myśli.

Zwykle to on był panem sytuacji, teraz jednak chyba utracił swą władzę nad żoną. Przerażony stwierdza, że opuszcza go zwykła pewność siebie i z wahaniem przystaje w drzwiach, nie wiedząc, od czego zacząć.

Wtedy zauważa torby. Tuż przy drzwiach stoją dwie walizki, jeszcze nie zamknięte, a w nich widzi tych kilka ubrań, które trzymał na wsi, dokumenty, kilka książek, przybory toaletowe.

O cholera.

Siada na kanapie naprzeciwko Alice i ma wrażenie, że jest małym chłopczykiem. Czuje się winny i przestraszony, i nie wie, co powiedzieć. Po raz pierwszy w życiu Joe Chambers zapomina języka w gębie.

Siedzą tak naprzeciw siebie, dwoje ludzi rozdzielonych czymś więcej niż tylko zwykłym stolikiem do kawy. Alice wciąż zapatrzona jest w przestrzeń. Joe gapi się w podłogę, a ciszę przerywają jedynie westchnienia Joe i potężne ziewnięcia Snoopa.

Alice odzywa się pierwsza. Bez końca wyobrażała sobie tę chwilę, wyobrażała sobie, że krzyczy, wścieka się, daje upust całej złości i upokorzeniu, gdy jednak ona w końcu nadeszła, jedyne, co czuje, to tylko wielki, przemożny smutek. Siedzący naprzeciwko Joe wygląda na zagubionego, nie potrafi spojrzeć jej w oczy i Alice jest go niemal żal, przede wszystkim jednak jest jej żal ich małżeństwa.

„On należy do innego świata” — myśli Alice, gdy spogląda na jego ubrania, zegarek, buty. Wie, jak ważne są dla niego wszystkie te atrybuty statusu, najnowsze modele i fasony, piękna żona — lub kochanka — u boku.

I dociera do niej, że doszła do punktu, w którym postąpi wbrew temu, zgodnie z czym dotąd żyła. W wieku trzydziestu sześciu lat wreszcie się dowiedziała, kim jest. Co najważniejsze,

to kim jest, bardzo jej się p o d o b a. Przez całe swoje życie starała się zadowolić innych, teraz jednak wie, iż jedyną osobą którą pragnie zadowolić, jest ona sama.

Myślała, że będzie kipiała złością lecz w ciągu nocy gniew się wypalił, wypłynął wraz ze łzami i teraz Alice zbyt jest zmęczona, by krzyczeć czy nawet się spierać. Nie chce słuchać żadnych wyjaśnień czy przeprosin. Za późno już na to. On zapewne powie, że nie jest tak, jak ona myśli, że nie zrobił niczego złego. Spróbuje być może obwiniać ją zarzuci jej, że nigdy jej przy nim nie ma, bo wiecznie zaszywa się na wsi, czyż można więc mieć do niego pretensje o jakiś niewinny flirt? A może przyzna się, że miał romans, i zacznie ją ze łzami przepraszać i błagać o przebaczenie. Istnieje też szansa, że po prostu oznajmi, iż z nimi koniec.

„Tak byłoby najprościej” — myśli Alice. Gdyby po prostu przyznał się i odszedł. Oczywiście wpadłaby w rozpacz, lecz to, że ich małżeństwo dobiegło końca, pewne jest jak słońce na niebie. Nadeszła pora, by powiedziała to głośno i wyraźnie.

— Nie układa się nam, Joe — odzywa się pierwsza Alice, lecz jej głos i słowa brzmią dziwnie nienaturalnie w przejmującej ciszy.

Joe podnosi wzrok. Spodziewał się wszystkiego, głównie, że będzie ją musiał uspokajać, zapewniać, tłumaczyć, ale na to nie był przygotowany, nie obmyślił więc niczego, żadnego wyjaśnienia, planu obrony.

— Co mianowicie?

— Wszystko. Nie układa się między nami. — Alice przymyka oczy.

— Och Boże, to brzmi tak banalnie, ale nasze małżeństwo się nie układa.

— Alice, wiem, co sobie myślisz. Wiem, co myślałaś, kiedy czytałaś te e-maile...

Alice przerywa mu wpół zdania.

— Nie, Joe. To, co ja myślę, nie ma najmniejszego znaczenia.

— Ależ ma, Alice. Muszę ci wszystko wytłumaczyć. Josie jest tylko...

— Nie! Joe, ty nic nie rozumiesz. Nie obchodzi mnie to. —

Wypowiadając te słowa, Alice jest równie wstrząśnięta jak Joe. Joe dlatego, iż zawsze żył w przeświadczeniu, że Alice kocha go bardziej niż on ją do Alice zaś dociera, że to, co właśnie powiedziała, jest prawdą. Nie obchodzi jej to.

— Ale...

Alice potrząsa głową.

— Nie, Joe — odzywa się ze smutkiem. — Niczego nie musisz mi tłumaczyć. Już mnie nie obchodzi, co masz mi do powiedzenia. Sam przyznaj. Ani ty, ani ja nie byliśmy od dłuższego czasu szczęśliwi. Może tak właśnie musiało się stać, żebyśmy w końcu zrozumieli, jak bardzo się od siebie oddaliliśmy.

Joe milczy. Znacznie łatwiej poradziłby sobie z jej łzami, złością, oskarżeniami. Potrafiłby ją pocieszyć, ukoić, złagodzić cierpienie i przejść nad wszystkim do porządku, jak było dotąd zawsze. Tylko w ten sposób potrafił działać, innego schematu nie znał.

Natomiast to, czemu nie potrafił stawić czoła i na co zupełnie nie był przygotowany, to prawda.

— Joe. Uważam, że nie ma sensu, abyśmy dłużej udawali. Myślałam o tym przez całą noc i kocham cię, ale nie jestem tą, której pragniesz i potrzebujesz. Już nie. Ty także nie jesteś tym, kogo ja potrzebuję. Nie mogę już znieść tego, jak na siebie patrzymy, jak z trudem znajdujemy wspólne tematy, i nie chcę, żebyśmy byli razem tylko dlatego, że jesteśmy małżeństwem, że przywykliśmy i nie chcemy zamieszania. Tutaj jestem naprawdę szczęśliwa. — Alice ręką pokazuje wszystko wokół siebie. — Kocham mój dom, kocham wieś, uwielbiam życie w małym miasteczku, gdzie znam wszystkich sąsiadów. I wiem, jak bardzo ty tego nie znosisz. Nienawidzisz tego równie mocno, jak ja nienawidzę miasta, i nie możemy dłużej udawać kogoś, kim nigdy nie byliśmy i nie jesteśmy.

Joe w milczeniu rozważa słowa Alice. Niczego nie może dodać. Ona ma rację.

— I tyle? Koniec z nami? — Po chwili Joe wskazuje na walizki. — Widzę, że spakowałaś moje rzeczy.

Alice wolno kiwa głową.

— Chciałabym móc powiedzieć, że potrzebujemy trochę czasu, że musimy trochę od siebie odpocząć, ale nie widzę sensu odkładać tego, co i tak jest nieuniknione.

Wtedy Joe po raz pierwszy podnosi wzrok na Alice. Chce jej powiedzieć, że wszystko jakoś się ułoży, gdyby tylko chciała stać się dawną Alice, wtedy znowu będzie dobrze. Przecież o Jo-sie prawie w ogóle nie wspomniała, więc już zdążyła mu wybaczyć niewierność. Jeszcze może im się udać. Zaczyna otwierać usta, nagle jednak zmienia zdanie.

Alice ma rację. I on o tym wie. Raz już udało mu się ją zmienić, ale wtedy była znacznie młodsza, uwielbiała go i nie było rzeczy, której by dla niego nie zrobiła. Teraz jednak jest inaczej. Oboje zaszli za daleko, a czasu nie da się cofnąć, nie można sprawić, by wszystko było jak dawniej.

— Nie mogę uwierzyć, że nasze małżeństwo się skończyło — szepcze Joe, czując, jak pod powiekami zbierają mu się łzy.

— Tylko nie płacz — prosi łagodnie Alice. — Nie zniósłabym, gdybyś i ty zaczął płakać.

— Może spróbujmy jeszcze o tym porozmawiać. Może rzeczywiście musimy trochę od siebie odpocząć? Mogę do ciebie zadzwonić?

— Dajmy sobie spokój na jakiś czas, musimy się przyzwycząić.

Alice zdumiewa jej własny spokój, normalne brzmienie jej głosu, lecz jednocześnie zdaje sobie sprawę, iż tylko dlatego jeszcze się nie załamała, bo nie dociera do niej, że wszystko to dzieje się naprawdę.

Joe opuszcza dom pół godziny później. Kładzie walizki do bagażnika taksówki i odwraca się do Alice, chcąc jeszcze coś powiedzieć, ona jednak kręci przecząco głową.

— Wkrótce porozmawiamy — mówi ze smutkiem. — Na razie powiedzieliśmy już sobie wszystko.

Joe chce ją objąć, lecz mowa jej ciała zdradza mu, aby lepiej

tego nie robił, więc nachyla się tylko i całuje ją w policzek. Alice nie reaguje.

— Trzymaj się — szepcze Joe i szybko się odwraca, by Alice nie zdążyła zauważyć łez w jego oczach, mimo że słyszy je w jego głosie.

Alice obolała spogląda za oddalającą się taksówką, widzi coraz mniejszą głowę swego męża i zaczyna płakać. Od zawsze żył w przekonaniu, że jest niepokonany, nigdy nie powinien mu się noga. A przede wszystkim nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że Alice zdolna jest go odtrącić.

Przez cztery dni Joe nie chce z nikim rozmawiać. Josie próbuje się do niego dodzwonić, on jednak wyłącza kamórkę, nie mogąc się zdobyć, aby z nią porozmawiać. W pracy powiedział, że jest chory, i teraz metodycznie opróżnia swoją piwniczkę z wina.

Latour rocznik 90, Haut-Brion rocznik 86 i Petrus rocznik 63. Topi w winie swoje smutki, robiąc jedynie przerwę na sen lub żeby zamówić pizzę.

Kilka razy podnosi słuchawkę z zamiarem zadzwonienia do Alice. Podłoga w sypialni zasłana jest starymi zdjęciami. Joe i Alice, opaleni i tacy szczęśliwi, obejmują się za szyje, siedząc na leżaku w Cap Juluca, uśmiechając się do zdjęcia, które zrobił im uprzejmy kelner.

Alice, elegancka i piękna, uchwycona przez fotografa „Hello!” na otwarciu nowej restauracji, z blond włosami upiętymi w kok, w głęboko wyciętej białej bluzce, pięknie odbijającej od jej złocistej skóry.

Znowu Joe i Alice razem, na sofie w domu znajomych na wsi, oboje popijają Pimm's, Joe obejmuje nagie ramiona Alice, Alice niezwykle elegancka w czarnej, wiązanej na szyi bluzeczce i z brylantowymi kolczykami.

Joe ogląda je wszystkim wzrokiem zamglonym przez alkohol i chwyta za słuchawkę, wyobrażając sobie, że z drugiej strony odezwie się jego piękna Alice. Alice, którą widzi na zdjęciach i która nagle znowu stanie się rzeczywistością.

Dni jednak mijają, a on stopniowo trzeźwieje i patrząc na zdjęcia, dostrzega, jak bardzo Alice się od tamtego czasu zmieniła.

Kiedy ostatni raz wyglądała tak, jak na tych fotografiach? Kiedy ostatnio włosy miała jedwabiste i rozświetlone blond pasemkami, a ubrania eleganckie i wysmakowane, w stylu tak doskonałym, że angielskie gazety poświęciły im kilka artykułów?

Co powiedzieliby ci sami dziennikarze, gdyby mogli ją zobaczyć dzisiaj?

Joe parska rozbawiony, oczami wyobraźni widząc, jak robią jej z ukrycia zdjęcie w ogrodzie. „Niegdyś piękna, dzisiaj dziadówka” — wyobraża sobie nagłówki. Ubłocone džinsy, znoszoną sportową kurtkę i kalosze trudno raczej uznać za wzór oczekiwań czytelników „Daily Mail”.

„Można wyciągnąć dziewczynę z ogrodu, ale wypłenić z niej ogrodniczki raczej się nie da” — myśli gorzko, wyrzucając ostatnią butelkę po winie do kosza. Dokładnie w tej chwili rozlega się dzwonek domofonu.

— Pan Chambers? Tu portier.

— Słucham, Brandon?

— Przyszła do pana Josie Mitchell.

Joe wpatruje się w domofon. Czy jest już na to gotowy? Da radę?

— Proszę pana? Jest pan tam?

— Tak, Brandonie. Proszę ją wpuścić.

— Boże. Wyglądasz koszmarnie.

— Wielkie dzięki, Josie. Ty natomiast fantastycznie, a poza tym co słychać?

Joe odwraca się i idzie do salonu, Josie podąża za nim, czując, jak ogarnia ją gniew, którego pierwsze oznaki słychać w jej głosie.

— Joe, do ciężkiej cholery, co się dzieje?! Wyszedłeś kupić coś na śniadanie i więcej się nie pojawiłeś. Od czterech dni masz wyłączoną komórkę, nie chodzisz do pracy, nie oddzwoniasz. I wyglądasz jak z krzyża zdjęty. Co się stało?

Joe wzrusza ramionami i uśmiecha się ponuro.

— Skoro musisz już wiedzieć, moje małżeństwo się skończyło.

Josie ze zdumienia otwiera szeroko oczy, nic jednak nie mówi. Bo też nie wie, co mogłaby rzec. Przykro mi? Hurra?

— I dlatego właśnie siedzę w domu — ciągnie Joe. — Przepraszam, Josie, powinienem był zadzwonić, ale chwilę trwało, zanim to do mnie dotarło, i szczerze mówiąc, czuję się koszmarnie. Cóż, niecodziennie się zdarza, że żona dowiadyuje się o twoim romansie i każe ci się wynosić do diabła.

— Och. — Josie siada na kanapie. — Dowiedziała się o nas?

— Tak. Znalazła e-maile. Ale specjalnie jej to nawet nie obeszło. Powiedziała, że od jakiegoś już czasu nam się nie układało, żadne z nas nie było szczęśliwe i że nie ma sensu tego ciągnąć.

— Czy to prawda? — pyta Josie cicho, aż nadto świadoma, że wkracza na grząski grunt. Nie bardzo wie, jak powinna się zachować, bo też sytuacja jest dla niej całkiem nowa. Rola kochanki to jedno, ale rola kochanki, przez którą rozpada się małżeństwo, to już całkiem inna sprawa. I choć cieszy się, że Joe nareszcie jest wolny i do wzięcia, jednocześnie wie też, iż łatwe to nie będzie. Zdaje sobie sprawę — choć stara się tego po sobie nie pokazać — że jest naprawdę głęboko zrozpaczony.

— Prawda — mówi Joe, wruszając ramionami. — Odkąd przyjechaliśmy do Nowego Jorku, nasze małżeństwo stało się farsą. Co prawda, według Alice było farsą już na długo przedtem, ale w tej chwili według niej nic nas nie łączy i nie ma sensu udawać, że jest inaczej.

— Jak się czujesz?

— Kurwa, nie wiem. Czuję się okropnie... czuję się fantastycznie... miała rację... nie układało nam się... ale kiedyś było inaczej, więc może dałoby się... może potrzebujemy trochę czasu... może ja byłem draniem... może Alice nie powinna była zmieniać się aż tak bardzo... ja się pewnie do małżeństwa nie nadaję. .. nie pasowaliśmy do siebie... kurwa, sam już nie wiem... nic już nie wiem.

— Okay. — Josie wstaje. Wpadła, bo się o niego martwiła, była zła, ale na coś takiego nie była przygotowana. Nie potrafi powiedzieć, co sama o tym wszystkim myśli, i zdaje sobie sprawę, że jest zapewne ostatnią osobą, z którą Joe powinien teraz rozmawiać. Najlepiej będzie, zwłaszcza jeżeli ich związek ma jeszcze jakieś szanse na przetrwanie, jeśli zostawi go teraz samego, pozwoli mu wszystko sobie przemyśleć i poukładać. — Żałuję, że przyszłam. Przepraszam. Pójdę już.

— Nie! — krzyczy przerażony Joe, w jednej chwili stając się małym chłopczykiem. Dopiero co stracił jedną kobietę i nie zniesie utraty drugiej. Z wieloma rzeczami potrafi sobie radzić, ale odrzucenie z całą pewnością do nich nie należy. Dwukrotne

— chyba by go zabiło. — Nie — mówi łagodniejszym już głosem. Podchodzi do Josie i ujmuje jej twarz w dłonie. — Proszę, zostań ze mną — nalega, patrząc jej intensywnie w oczy. Josie upuszcza swoją torbę na podłogę. — Potrzebuję cię, Josie. Pragnę cię. Nie zostawiaj mnie.

— Okay — odpowiada Josie szeptem i mocno go obejmuje.

— Nie martw się — uspokaja go, głaszcząc po włosach. — Jestem tutaj. Wszystko będzie dobrze.

— Na pewno nie chcesz, żebym do ciebie przyleciała? — dopytuje się z troską Emily. — Wiesz, że to dla mnie żaden problem. Nie mam zbyt wiele pracy, a ty raczej nie powinnaś być teraz sama.

— Och, Em, bardzo ci dziękuję. Ale nie. Wydaje mi się, że jakiś czas muszę pobyć sama. Chcę sobie wszystko przemyśleć, poukładać. Niemniej jednak bardzo ci dziękuję za chęci. I za to, że mogę na ciebie liczyć.

Przez te ostatnie dni Alice i Emily rozmawiają po trzy, cztery razy dziennie. Żadna z nich nie zapomniała, dlaczego od ostatniego sylwestra ich kontakt się urwał, Emily jednak zdążyła już wszystko Alice wybaczyć, a nawet zapomnieć, jaki to ważny powód kazał jej zaryzykować utratę najbliższej przyjaciółki.

— Na pewno sobie poradzisz? Jak się czujesz?

— Nie wiem. Czasami odczuwam ulgę i wiem, że postąpiłam słusznie. Pod koniec już prawie wcale ze sobą nie rozmawialiśmy, bo nie mieliśmy w zasadzie o czym, i już nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio śmialiśmy się razem. Ja jechałam do miasta, wściekła, że stara się mnie przerobić na własne kopyto, on przyjeżdżał tutaj i nienawidził mnie za to, że nie spełniam jego oczekiwań.

Jestem taka szczęśliwa, że nie muszę więcej jeździć na Manhattan, stać obok Joe i gadać o niczym z nudnymi żonami jego klientów, a po pięciu minutach wpadam w panikę, dosłownie cała trzęsę się ze strachu. Wierzyć mi się nie chce, że wkrótce będę rozwódką, że już nigdy więcej nie obudzę się rano obok Joe. Że nie ma już nikogo, kto by się o mnie zatroszczył, pomógł mi, kiedy będę miała kłopoty.

— Wiem — mówi Emily. — To właśnie jest najgorsze, kiedy człowiek jest sam. Sam musi się o wszystko martwić. Ale są też plusy, na przykład nikt ci nie mówi, co masz robić. Na śniadanie, obiad i kolację możesz sobie na przykład jeść nutellę, jeśli tylko taka twoja wola.

Alice prycha.

— Jeśli jaka twoja wola? Zamienić się w szafę czterodrzwiową?

— Okay, okay, w takim razie nie nutellę. Ale na przykład miętowo-czekoladowe lody bez cukru? Może być?

— Już bardziej — śmieje się Alice.

— Widzisz? Wciąż jeszcze potrafisz się śmiać. Poza tym teraz możesz sobie pozwolić na mnóstwo innych rzeczy. Na przykład do woli wylegiwać się w łóżku. Albo przez całą dobę na okrągło grzebać w ogródku i nikt ci nie będzie buczał nad uchem, że musisz przygotować kolację albo iść na lunch z kimś, na kogo wcale nie masz ochoty patrzeć.

— Prawda. Wiem. Tak sobie właśnie mówię, kiedy cieszę się, że stało się, jak się stało.

— A kiedy się nie cieszysz?

— Wtedy mówię sobie, że się boję i że w życiu nie dam so-

bie rady sama. Boże, Em. Nie mogę uwierzyć, że do tego doszło. Szłam do ołtarza i wierzyłam, że to już na całe życie, że Joe i ja razem się zestarzejemy.

Emily milczy przez chwilę.

— Alice — odzywa się w końcu. — Szłaś do ołtarza, dobrze wiedząc, jaki jest Joe i jakiej żony mu potrzeba. Byłaś gotowa zmienić się zgodnie z jego życzeniem. Dlatego wasze małżeństwo jakoś funkcjonowało.

— Wiem, póki postępowałam zgodnie z zasadami, wszystko było dobrze. Po prostu się boję, boję się być sama, skoro już mi się wydawało, że tę sprawę mam załatwioną.

— Wiem. Ale jak tylko będziesz miała ochotę pogadać, Alice, nieważne, w dzień czy w nocy, zawsze możesz do mnie zadzwonić. I wiesz, że jak tylko poprosisz, natychmiast przyjadę.

— Wiem — wzdycha Alice. — Wiem, Emily.

Alice otwiera boczne drzwi i wchodzi do kuchni Giny. Na blacie stawia wielką misę zrobionej przez siebie sałatki i nieśmiało woła „dzień dobry”.

— Alice? — Głos Giny dobiega z góry.

— Tak. — Alice podchodzi do schodów. — Pomyślałam, że wpadnę nieco wcześniej i przyniosę sałatkę — woła głośniej, aby Gina ją usłyszała.

— Chodź na górę. Właśnie kończę się ubierać.

Alice podchodzi, gdy Gina wyłania się z sypialni i mocno obejmuje Alice na powitanie.

— Co jest, nie zrobisz zatroskanej miny i nie spytasz, jak się czuję?

— Alice odsuwa się i z uniesioną brwią spogląda pytająco na przyjaciółkę.

Gina kiwa głową i robi głęboko zatroskaną minę.

— Jak się czujesz?

Alice udaje, że lituje się sama nad sobą.

— Och, no wiesz — mówi, wzruszając ramionami. — Nie najgorzej.

Gina śmieje się serdecznie.

— A teraz poważnie, Alice. Kiedy widziałyśmy się ostatnio, byłaś w dość kiepskim stanie. A dzisiaj wyglądasz o niebo lepiej, nawet jeśli się tak nie czujesz.

— A teraz poważnie, Gino — przedrzeźnia ją żartobliwie Alice. — Dzisiaj mam dobry dzień. Z tym bywa różnie, bo zdarzają się też i złe dni. To właśnie jest najgorsze, bo kiedy budzę się rano, nigdy nie wiem, czego się spodziewać.

— Rozmawiałaś z nim?

Zaczynają schodzić na dół, do kuchni.

— Rozmawiałam. — Alice kiwa głową. — Zadzwoił wczoraj wieczorem.

— I?

— I to jest bardzo dziwne. Jest moim mężem. Byłam jego żoną przez sześć lat i tak dobrze znam jego głos, ale jednocześnie czuję się trochę dziwnie. Taka dychotomia: znam go aż za dobrze, a jednocześnie nie znam go wcale.

— Żałujesz czy też to rzeczywiście koniec?

Do dzisiaj, choć cała sprawa wyszła już na jaw, Gina nie powiedziała Alice, że widziała wtedy Joe z Josie. Nie chce ranić jej dodatkowo, poza tym Gina nie ma pewności, czy Alice zrozumie, dlaczego nie powiedziała jej od razu.

Gdy jednak wieść do niej doszła, Gina odczuła ulgę, że tajemnica przestała być tajemnicą, że nie musi już kłamać ani niczego przed przyjaciółką zatajać.

Przede wszystkim zaś odczuwa ulgę, że niewierny mąż nie będzie więcej krzywdził Alice.

Od rozstania z Joe minęło już prawie sześć tygodni. Z początku dni wlokły się niemiłosiernie, Alice nie potrafiła znaleźć sobie miejsca, zmusić się do czegokolwiek, więc całymi godzinami przesiadywała ze Snoopem na kanapie, starając się przyzwyczaić do myśli, że nie jest to nic chwilowego, jej małżeństwo skończyło się naprawdę i życie nigdy już nie będzie takie samo.

Właściwie nie tyle chodziło o samego Joe, ile o małżeństwo. Nad nim rozpaczała, nad utratą swoich marzeń. Zawsze myślała, że kiedy skończy trzydzieści sześć lat, otaczać ją będzie gromadka dzieci. Spodziewała się prawdziwego szczęścia, męża, z którym dzielić będzie wszystko, który będzie ją bawił, otaczał miłością i troską.

Marzyła o trójce dzieci i całej menażerii zwierząt. I choć podczas małżeństwa z Joe żadne z tych marzeń się nie spełniło, nie przestawała wierzyć, iż to jedynie kwestia czasu. A teraz już za

późno. Nie dość, że nie dane jej będzie przeżyć tego wszystkiego z Joe, to jeszcze szansa, iż uda jej się to z kimś innym, wydawała się znikoma. Przynajmniej teraz, gdy sprawy tak się przedstawiają.

Odczuwa też głęboki smutek i żal, że oto stanie się kolejną liczbą w statystyce, gdyż w grę wchodzi jedynie rozwód.

Alice nie pyta, jak ani kiedy wszystko się popsuło. Gdy patrzymy wstecz, wszystko jawi nam się wyraźnie i Alice uświadamia sobie, ile wysiłku włożyła, by stworzyć sobie taką, jaką pragnął ją widzieć Joe, co prędzej czy później i tak skazane było na niepowodzenie.

Wiele też trudu kosztuje ją uświadomienie sobie, że Josie z całą pewnością nie była pierwsza. Z ciężkim sercem przyznaje sama przed sobą, że wiele — aż nadto dobitnie — o tym świadczyło, ona jednak wolała na wszystko przymykać oko, udawać, że nic się nie dzieje.

Po przeczytaniu jakiegoś artykułu o uzależnieniu od seksu Alice doszła do wniosku, że Joe nie może się po prostu powstrzymać, że rzeczywiście ją kochał, ale był bezsilny.

Zaczyna rozumieć, iż w żaden sposób nie była w stanie go zmienić czy zapobiec jego zdradom. Przede wszystkim zaś rozumie, że on zawsze będzie taki sam.

Taki sam.

Wraz z tą świadomością nabiera przekonania, że ona sobie poradzi. I tak przez prawie rok żyła samotnie i nie da się ukryć, że specjalnie z tego powodu nie cierpiała.

Życie w pojedynkę wcale nie musi być przerażające, przygnębiające czy samotne. Zaczynając godzić się z nową dla niej sytuacją Alice dochodzi do wniosku, że w sumie nie wyszła na tym najgorzej.

Dzisiaj — Gina i George urządzają grilla (ostatniego tego lata) — Alice po raz pierwszy od rozstania z Joe spotka się jednocześnie z większością swoich sąsiadów. W ciągu tygodnia zaglądała do niej Sandy, wpadała też Sally, w weekendy zawsze zjawiała się Gina, by sprawdzić, czy Alice czegoś nie potrzeba.

Oczywiście wieść rozeszła się w miasteczku lotem błyskawicy — stąd też nagły brak zaproszeń, odwracanie głów i szepty, ilekroć Alice pojawia się na horyzoncie. Podejrzewa, że od czasu Rachel Danbury w tym cichym, spokojnym społeczeństwie, gdzie życie płynie sennie, żaden równie smakowity skandal nie dawał tylu powodów do plotek.

W takich miasteczkach ludzie się nie rozwodzą. Pobierają się z miłości i są ze sobą aż po grób. Mają po kilkoro dzieci, jeżdżą wielkimi, robiącymi wrażenie SUV-ami, hodują czekoladowo-brązowe labradory i działają w szkolnych komitetach rodzicielskich.

Kobiety poświęcają się dla swoich dzieci i nawet jeśli nie są oszałamiająco szczęśliwe jako żony, starannie to ukrywają pod stosami pieluch i działalności charytatywnej.

Mężczyźni uciekają od problemów w pracę, a po powrocie do domu zapominają o bożym świecie, gapiąc się w telewizor, a gdy wracają z Home Depot, dokąd wyskoczyli po jakąś deskę, mijając na Main Street ponętne młode kobiety, puszczają na chwilę wodze fantazji.

Tutaj rozwody nie wchodzi w grę, w małżeństwie trwa się do końca i choć Joe i Alice zjawili się stosunkowo niedawno, wieść o ich rozstaniu rozeszła się równie szybko, jak pienia się chwasty w ogrodzie Alice, i wciąż jest to najgorętszy temat rozmów i plotek.

Co gorsza, Alice, jako od niedawna kobieta samotna, nagle stała się zagrożeniem dla wszystkich szczęśliwych małżeństw. Mężowie są dla niej mili, ich żony jednak spoglądają na nią z podejrzliwością, a zaproszenia, które do niedawna nie mieściły się w jej skrzynce na listy, nagle stały się rzadsze.

Highfield to nie miejsce dla samotnych. Ci, co żyją w separacji bądź zdążyli się już rozwieść, powinni się spakować i wrócić do miasta, na tereny łowieckie, nie ważąc się wracać na przedmieścia, dopóki nie znajdą stałego partnera na miejsce dawnej drugiej połowy.

Alice jednak specjalnie się tym nie przejmuje. Prawdziwi

przyjaciele jej nie opuścili — Gina, Sally i Sandy — a do miasta nie wróciłyby, nawet za obietnicę góry pieniędzy. Dla Alice każdy dzień tutaj jest równie magiczny, jak na początku, gdy dopiero co się sprowadziła, i ma nadzieję, że ludzie, którzy na razie przestali ją zapraszać, szybko przekonają się, że z jej strony nic im nie grozi.

Naturalnie Gina nigdy w ten sposób nie myślała o Alice i choć jedna z miejscowych plotkarek nie kryła swego zdumienia na wieść, iż mimo zaistniałej sytuacji Gina zaprosiła Alice na grilla — Gina nie omieszkała dosadnie jej powiedzieć, co o tym sądzi — niezmiernie troszczy się o Alice i robi, co może, by uciszyć plotki.

Tak naprawdę, nikt nie zna prawdziwej przyczyny, jakkolwiek Kay złośliwie uprzejma była zauważyć, że Joe do najwierniejszych nie należał, bo również i do niej się zalecał po jednym z meczów tenisowych, jest więc absolutnie pewna, że Alice nakryła go z jakąś kochanką.

Kay nie ma pojęcia, czy tak rzeczywiście było, choć my wiemy, iż trafiła w samo sedno, lecz jej podejrzenia szybko zmieniły się w fakty i wszyscy nie posiadają się wręcz z oburzenia, jak można było w ten sposób potraktować uroczą Alice.

— Oburzające — powiadają. — Spójrzcie tylko na nią taka młoda i wciąż sama. — I nie kryją zachwyty, że wraz z nimi spędzi Święto Pracy, kończące sezon letni.

Wielu miejscowych bowiem tego dnia, po raz pierwszy odkąd się dowiedzieli, będzie miało okazję spotkać Alice. Kay, dla której Alice stała się teraz prawdziwym zagrożeniem, szeptem rozpowiada wśród przyjaciółek, jak okropnie Alice wygląda: pod oczami wielkie wory, poszarzała cera, sama skóra i kości.

Gdy jednak goście zaczynają się schodzić, spotyka ich miłe zaskoczenie. Alice, w długiej bawełnianej spódnicy i obcisłym białym T-shircie, jest opalona i prezentuje się znakomicie. Oczy błyszczą jej jak dawniej i nie wygląda na smutną czy cierpiącą, a nawet wręcz przeciwnie.

— Jak się masz? — pytają wszyscy po kolei, obowiązkowo ściskając ją na powitanie.

— Świetnie — odpowiada Alice ze śmiechem.

— Na pewno? — nie dają za wygraną. — Możemy jakoś pomóc?

— Na pewno — uśmiecha się. — I naprawdę nie musicie mi pomagać.

Jedna tylko Kay jest na tyle wredna i prymitywna, by posunąć się dalej.

— Wiesz... — Nachyla się nad Alice, rozjuszona jej kwitnącym wyglądem. — Nigdy nie dowierzałam temu twojemu mężowi.

— Doprawdy? — Alice zamierza odejść, nic jej to bowiem nie obchodzi i chce tylko uwolnić się od tego babsztyla, którego nigdy nie lubiła ani któremu nie ufała.

— Nie. Miał coś takiego w oczach. Typowy babiarz. Pewnie nie powinnam ci tego mówić, bo przecież jesteśmy po tej samej stronie barykady, ale na twoim miejscu ja wolałabym wiedzieć. — Kay bierze głęboki oddech. — Na przyjęciu świątecznym Joe mnie podrywał. — Patrzy na Alice uważnie, by nie przeoczyć jej reakcji, ponieważ jednak Alice jest niewzruszona, mówi dalej: — Oczywiście mu odmówiłam, no wiesz, nie mogłabym tego zrobić innej kobiecie. Po prostu pomyślałam sobie, że powinnaś wiedzieć. Dobrze zrobiłaś. Takim facetom nie można ufać.

Alice wolno kręci głową, starając się ukryć szok i obrzydzenie, że Kay w ogóle zdobyła się na coś podobnego.

— Przyznaję, że jestem zdumiona — powiada bez zajknięcia.

— Naprawdę? — Nie takiej reakcji spodziewała się Kay.

— Owszem. W życiu bym nie pomyślała, że Joe mógł na ciebie zwrócić uwagę. Zwykle interesują go eleganckie, piękne kobiety. Dziwi mnie, że wpadł mu w oko ktoś tak tandetny i wyzywający jak ty. Ale cóż. — Wzrusza ramionami. — Pewnie był pijany. — I z tymi słowami odwraca się, zostawiając Kay z otwartymi z niedowierzania ustami.

Gina ciągnie Alice do kąta.

— Czy słyszałam to, co właśnie słyszałam?

Alice dygocze ze złości.

— Dasz wiarę? Co za głupia suka. Boże, Gina, naprawdę myślisz, że się do niej zalecał? To po prostu koszmar. Przecież to nasza sąsiadka, na miłość boską. Aż taki był niewyżyty?

Gina obejmuje Alice.

— Dam sobie głowę uciąć, że wszystko to zmyśliła. Czuje się zagrożona i tyle. Co prawda nie wiem, kto jest w typie Joe, ale ona rzeczywiście jest tandetna i wyzywająca i wierzyć mi się nie chce, że Joe mógłby na nią spojrzeć.

— Ale grali razem w tenisa.

— Właśnie, i ona pewnie nie może znieść faktu, że nie zwracał na nią uwagi. Popatrz, jak się ubiera. Poza nią nie ma nikogo w minispódniczce i szpilkach. Myśli, że wszyscy faceci są nią zachwyceni, i zapewne wściekała się, że Joe do nich nie należy. Mogę się założyć, że tak właśnie było.

— Serio? — Alice powoli zaczyna się uspokajać.

— Jasne. Ale, Alice Chambers, nosa utarłaś jej koncertowo — chichocze Gina. — Wolałabym ci się nie narazić.

Teraz również i Alice dostrzega zabawną stronę całego zajścia.

— Wierzyć mi się nie chce, że tak jej nagadałam. Takie rzeczy przychodzą mi do głowy na ogół po fakcie. Kiedy już leżę w łóżku i wymyślam, jak też mogłam się złośliwie i dowcipnie odciąć. Bóg jeden wie, skąd mi się to teraz wzięło.

— No więc Mu teraz za to podziękuj. Uśmiech znika z twarzy Alice.

— Gino, czy wszyscy o nas mówią? Gina krzywi się z niesmakiem.

— Co prawda lepiej by było, gdybym skłamała, ale nie mogę. Tak, wszyscy o was mówią.

— O Boże. — Alice chowa twarz w dłoniach. — To okropne. Gina wzrusza ramionami.

— Wiem. Okropne, ale jak najbardziej naturalne. W tym miasteczku to wielki skandal. Dwoje wspaniałych londyńczyków, z takim uroczym akcentem, których życie zdaje się usłane różami, aż tu nagle bach! Wszystko się kończy.

— Wiedzą dlaczego?

— Nikt nic nie wie na pewno. Doszły mnie słuchy, że ty nie mogłaś mieć dzieci, a Joe o nich marzył. Słyszałam też, że on nie mógł mieć dzieci, a ty bardzo ich pragnęłaś. Powiadają także, że on sobie kogoś znalazł. Są i tacy, co wiedzą, że to ty znalazłaś innego.

— Ja? Ja! Jak, do diabła, miałam kogoś znaleźć? Kogo? Znam tu właściwie wszystkich i bez przerwy ktoś mnie widzi. Z kim więc niby to się zabawiam na boku? — Głos Alice aż drży z oburzenia.

— Cii. Cii. Uspokój się. J a o tym wiem.

— I mam nadzieję, że ich wyprowadziłaś z błędu.

— Jasne. Chyba, że chcesz, żebym zaczęła rozsiewać plotki. Jest ktoś, z kim miałabyś ochotę zabawić się na boku?

Alice nie może powstrzymać uśmiechu.

— Och, nieźle mogłybyśmy namieszać.

— Co powiesz na męża tej suki?

— Co, Jamesa?

Gina przytakuje z radosnym uśmiechem.

— Odplaciłabyś jej pięknym za nadobne.

— Nie, nie mogłabym. To byłoby zbyt okrutne.

— No dobrze, może więc Michael Bolton?

— Michael B o l t o n? Co ty wygadujesz?

— No wiesz, mieszka tu niedaleko. I musisz przyznać, że romans ze sławą to byłoby coś.

— Nawet z taką która wygląda jak Michael Bolton? — Alice nie posiada się ze zdumienia.

— Sławna osobistość to zawsze sławna osobistość.

— No i co? — Alice puszcza wodze wyobraźni. — Powiesz im, że kręcę z Michaelem Boltonem? — Zaczyna chichotać. — Gina, jesteś okropna. Tak nie można.

Gina udaje poruszoną.

— Kochanie, nigdy bym tego nie ujęła tak wprost. Ale myślę, że Kay koniecznie musi się dowiedzieć, że jadłaś kolację z Michaelem Boltonem w Cobb's Mill Inn i wyglądaliście na bardzo sobą zainteresowanych.

— No cóż. — Alice wzdycha ze sztuczną rezygnacją. — Jak mus, to mus.

— Święta racja — oświadcza zdecydowanie Gina. — A teraz muszę sprawdzić, jak George radzi sobie z grillem. Chodź, idziemy na dwór, trzeba coś zjeść.

Po jakiejś godzinie Alice nieomal dławi się burgerem, gdy Mary Beth przysiada się obok niej.

— Tom i ja chcielibyśmy was zaprosić — powiada. — Może moglibyście wpaść z Michaelem w przyszłym tygodniu na kolację?

Alice podnosi wzrok na stojącą przy grillu Ginę, która uśmiecha się szeroko i puszcza do niej łobuzerskie oczko.

— To bardzo miłe z waszej strony — krztusząc się, bełkocze Alice. — Pozwolisz, że sprawdzę w kalendarzu i dam ci znać?

— Oczywiście. — Mary Beth nachyla się ku niej konfidencjonalnie. — Może nie powinnam ci tego mówić, ale wersja Michaela *When a Man Loves a Woman* to moja najbardziej ulubiona piosenka pod słońcem.

— Jasne. — Alice patrzy na nią nie bardzo wiedząc, jak powinna się zachować.

— Powiesz mi?

— Naturalnie — uśmiecha się Alice. — A teraz wybacz mi, ale chciałabym jeszcze coś zjeść.

— Smacznego! — woła za nią Mary Beth. — Może w środę albo czwartek? Daj nam znać!

— Załatwione! — odkrzykuje Alice i z trudem kryjąc rozbawienie, podchodzi do Giny, dając jej mocnego kuksańca w bok.

— Auć! A to za co?

— Na miłość boską, myślałam, że tylko żartujesz! Jak mogłaś powiedzieć Mary Beth, że coś mnie łączy z Michaelem Boltonem?

— Niczego takiego nie powiedziałam. Wspomniałam tylko, że ktoś was widział razem i wyraźnie mieliście się ku sobie.

— Kompletnie ci odbiło! — Alice parska śmiechem.

— Czyżby? Sama zobacz.

Gina odwraca Alice w stronę Mary Beth, która szepcze coś właśnie Kay na ucho, Kay spogląda w stronę Alice wyraźnie zaskoczona, po czym szybciotko zmierza, by nieść nowinę innym.

— Widzisz? — bąka Gina półgębkiem. — Mówiłam ci, że to im zajmie tylko moment.

— Biedny Michael Bolton — wzdycha Alice. — Okropnie się czuję, że tak go wykorzystujemy.

— E, przestań się wygłupiać. Przywykł do tego. A zresztą, czy zasługuje na coś lepszego, od tylu lat paradując z tą okropną fryzurą? Póki co — Gina od stóp do głów taksuje Alice wzrokiem — uważam, że ma szczęście.

— Och, Gino. — Alice nachyla się i całuje przyjaciółkę w policzek. — Za to właśnie cię uwielbiam.

— I dobrze. A teraz zjedz hot doga.

— Nie, już nie mogę. Najadłam się jak prosię.

— E tam, daj spokój, kochanie. — Gina nakłada jej na talerz kolejnego hot doga, obficie polanego musztardą, keczupem i smażoną cebulką. — Słyszałam, że Michael Bolton lubi kobiety przy kości.

Zanim wieczór dobiegł końca, Alice zdążyła porozmawiać z prawie każdym gościem przyjęcia. Kobiety z wahaniem pytały ją o Michaela, a na udzielaną przez nią z uroczym uśmiechem odpowiedź: „Żadnych komentarzy” wszystkie zgodnie reagowały śmiechem.

Dopiero gdy z czystym sumieniem może stwierdzić, iż wieczór upłynął jej niezwykle miło, sama przed sobą przyznaje się, jak bardzo się go bała. W końcu po raz pierwszy pojawiła się w towarzystwie jako kobieta samotna. Przedtem nieraz zdarzało jej się bywać bez Joe — a nawet jeśli przyszli gdzieś razem, to i tak najczęściej nie spędzali czasu wspólnie — teraz jednak, gdy ich separacja stała się faktem, sytuacja przedstawiała się całkiem inaczej.

Nie wiedziała, jak będzie się czuła w roli jedynej samotnej

kobiety wśród samych małżeństw, wciąż jeszcze bowiem pamiętała swoje skrępowanie i niepewność w czasach, gdy faktycznie była sama, zanim jeszcze wyszła za Joe.

Dzisiaj jednak po tamtym skrępowaniu, poczuciu niedopasowania nie został nawet ślad. Ze zdumieniem stwierdziła, iż bawi się świetnie, nie musząc bez ustanku zamartwiać się, czy Joe jest zadowolony. Choć z początku obawiała się, jak przyjmą ją inne panie, skoro nagle stała się dla nich potencjalnym zagrożeniem, okazało się jednak, iż rozpuszczona przez Ginę plotka o jej rzekomej znajomości z gwiazdorem położyła kres wszelkim złośliwościom i przejawom wrogości.

Nawet Kay podeszła, by ją przeprosić, co Alice łaskawie przyjęła.

Alice siedzi na brzegu basenu i moczy w wodzie bose stopy. Nagle ktoś podchodzi i siada obok niej. James, mąż Kay.

— Cześć, James. — Odwraca się ku niemu z uśmiechem.

— Cześć, Alice. Słuchaj, chciałem cię przeprosić za moją żonę. Słyszałem, co ci powiedziała — wzrusza ramionami — ale wiesz, czasem zupełnie nie myśli. Chyba nie miała żadnych złych zamiarów, ale mnie jest przykro i głupio, więc chciałem cię przeprosić.

Alice kładzie mu dłoń na ramieniu.

— Nie rób sobie wyrzutów. Po pierwsze, zdążyła mnie już sama przeprosić, a poza tym nie musisz czuć się winny za kogoś. Nie martw się. I tak jej nie uwierzyłam.

James wyraźnie się uspokaja.

— A co tam u ciebie? Dawno cię nie widzieliśmy u nas w szkółce. Martwiłem się.

— Naprawdę? Miło z twojej strony. W zasadzie nie miałam po co przyjeżdżać.

— Jasne. — James kiwa głową. — Ale i tak się martwiłem, bo przyzwyczałem się do twojego widoku. Stęskniliśmy się za tobą, a poza tym pytał o ciebie twój przyjaciel. Chyba miał nadzieję cię spotkać.

— Przyjaciel? Jaki przyjaciel?

— No, ten z Anglii. Harry. Pytał mnie w piątek o ciebie, czy przypadkiem wkrótce się nie zobaczymy.

Alice patrzy na Jamesa, kompletnie nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Harry? James, o czym ty mówisz?

— Harry pracuje w szkółce. Przyjął moją propozycję pracy. Jest już u nas od kilku tygodni.

— Co takiego? Harry jest tu t aj?

— Nie wiedziałaś? Dziwne, sądziłem, że wiesz. — James kręci głową zaskoczony. — Przecież przyjaźnicie się, prawda?

— W pewnym sensie. — Alice wciąż jeszcze nie może otrząsnąć się z szoku. — Spotykał się z moją przyjaciółką. A teraz jest tutaj? W Highfield?

— Tak. I chyba bardzo chciałby się z tobą zobaczyć. Wpadnij, to sobie pogadacie.

Alice milczy. Siedzi cichutko, zapatrzona w swoje zanurzone w ciepłej wodzie stopy.

— Kay pewnie mnie zabije, że z tobą rozmawiam — mruczy James, wstając. — O Boże. Wybacz. Nie chciałem cię urazić.

— Nie przejmuj się. — Alice spogląda na niego z uśmiechem. — Nie uraziłeś. Dzięki, James.

— Za co?

Alice wzrusza ramionami.

— Za przeprosiny. Za... w sumie za nic. Myślę, że uda mi się wpaść w poniedziałek.

— Świetnie! — James rusza w stronę Kay, mierzając go zza drzwi do ogrodu morderczym spojrzeniem. — W takim razie do poniedziałku. Odchodzi.

Joe zaczyna się zastanawiać, czy pomysł z Josie rzeczywiście był taki dobry.

Zdawało mu się, że jest twarda, niezależna, samowystarczalna. Zakładał, że poza wspaniałym seksem nie ma wobec niego żadnych oczekiwań, będzie stosować się do reguł i nie wymagać, by spędzał z nią cały czas, nie stawiać żądań, których nie miał zamiaru spełnić.

Nie wspominając już o tym, że nic tak nie podniecało Joe, jak świadomość, że Josie jest zakazanym owocem, i jak emocje związane z sekretnym romanssem i niebezpieczeństwem, które potencjalnie stwarzał.

W dniu, w którym rozstał się z Alice, wszystko uległo zmianie. Joe jest przekonany, iż winę za to ponosi Josie, postanawiając zostać jego kolejną żoną, i choć jest w tym odrobina prawdy, nie bierze pod uwagę faktu, że to on zaczął się cokolwiek nudzić i że bez elementu ryzyka sypianie z Josie przestało go podniecać.

A biedna Josie całkiem straciła dla niego głowę. Za nic by się nie przyznała, że do Nowego Jorku przeniosła się nie tylko ze względów zawodowych, z chwilą jednak, gdy złożono jej propozycję nowej pracy, od razu wiedziała, iż znowu zacznie się z Joe spotykać.

Przez wszystkie te miesiące w Londynie starała się nie brać pod uwagę możliwości, iż Joe zostawi dla niej żonę. Nie była aż taką naiwną optymistką, zawsze jednak tliła się w niej iskierka nadziei, starała się ją jednak zdusić w zarodku. I oto teraz nagle

jej nadzieja stała się faktem. I choć zdaje sobie sprawę, iż z technicznego punktu widzenia Joe nie dla niej odszedł od Alice, nie może opędzić się od myśli, że być może jednak chciał, aby go przyłapała. Bo jaki w końcu kretyn nie skasowałby potencjalnie niebezpiecznych wiadomości, w rodzaju tych, które nawzajem sobie posyłali? Wierzy też, że Joe potrzebuje kobiety, a ona idealnie się wręcz nadaje, by zająć u jego boku miejsce zwolnione właśnie przez Alice.

Nie da się w końcu zaprzeczyć, że w dniu, w którym się u niego zjawiała i dowiedziała o rozpadzie jego małżeństwa, błagał ją aby z nim została.

Joe jest znacznie bardziej bezbronny, niż kiedykolwiek przypuszczała, i w sposób tak oczywisty nie potrafi o siebie zadbać, że wzbudził w niej instynkty macierzyńskie, o istnienie których nigdy wcześniej siebie nawet nie podejrzewała.

Od sześciu tygodni Josie codziennie gna do mieszkania Joe, by gotować dla niego posiłki. Rano, idąc do pracy, oddaje jego rzeczy do czyszczenia. Urywa się wcześniej z biura, by czekać u niego na przyjście fachowca od kablówki.

Jednym słowem, Josie przejęła na siebie wszystkie dotychczasowe obowiązki Alice. Jest przekonana, iż jeśli stanie się dla niego niezbędna, Joe postanowi się z nią ożenić. Niezachwianie wierzy, że im więcej będzie dla niego robić, im lepiej o niego dbać, tym bardziej będzie jej potrzebował.

Nie dziwi jej, iż ostatnio nie kochają się już tak często jak dawniej: Joe kładzie się obok niej do łóżka, całuje przelotnie w policzek, oznajmia, że jest wykończony, po czym odwraca na bok i w jednej chwili zasypia.

Josie nie zdaje sobie sprawy, iż stając się niezbędnym elementem jego życia, przestaje być dla niego atrakcyjna. Zapewnia mu co prawda wygodne życie, pięknie prezentuje się u jego boku (ale to samo dawała mu Alice przez ostatnie sześć lat), lecz — podobnie jak Alice — z wolna działa na niego odpychająco.

Joe znowu zaczyna się rozglądać. Na przykład dzisiaj siedzi w holu Royalton i popija drinka z Fredem, kolegą z biura. Wokół

siebie widzi mnóstwo pięknych kobiet i mija kilka zaledwie chwil, gdy dwie z nich, Andrea i Kathleen, dołączają do nich.

Andrea, ładniejsza z nich dwóch, flirtuje z nim wręcz bezwstydnie. Joe zerka na zegarek. Wyskoczył tylko na szybkiego drinka i wieczór powinien spędzić z Josie w jej mieszkaniu. Jo-sie szykuje dla niego kolację, po której zamierzają spędzić spokojny wieczór w domu. Spogląda na Andreę, która z lekko uniesioną brwią przygląda mu się kokieteryjnie.

— Tylko mi nie mów, że się dokąds wybierasz? — Jej głos brzmi kusząco, w spojrzeniu czai się niedwuznaczna propozycja.

— Czemu? — pyta Joe z uśmiechem. — Masz lepszy pomysł?

— Mieszkam tuż za rogiem. Może byś wpadł na drinka? Poznaliśmy się trochę lepiej. — Mówiąc to, zrzuca pod stołem pantofel i bosą stopą zaczyna muskać łydkę Joe.

Joe na sekundę przymyka oczy. Nie wolno mu. Nie powinien. Josie czeka. A tam, do kurwy nędzy. Dopiero co rozstał się z żoną. Należy mu się odrobina przyjemności.

— Muszę tylko zadzwonić — mówi.

— Do żony? — uśmiecha się Andrea, choć w gruncie rzeczy wcale jej to nie obchodzi.

Joe kręci przecząco głową.

— Nie. Jesteśmy w separacji. Do kolegi, byliśmy umówieni na kolację.

— I odwołasz?

— A powinienem?

— Jak najbardziej.

— W takim razie pozwolisz, że cię na kilka minut przeproszę. Joe wstaje od stolika i wychodzi przed hotel, gdzie szybko wybiera numer Josie.

— Cześć, to ja.

— Cześć! Właśnie jestem w trakcie gotowania. Gdzie się podziewasz?

— Josie, bardzo mi przykro. Wyskoczyłem z Fredem na drinka i właśnie zjawili się Richard i Don z Goldmansa. Wiesz,

że prowadzą tę wielką sprawę, jestem w nią zaangażowany i zaczęliśmy rozmawiać o pracy. Obawiam się, że będę musiał zostać.

— Och. — Pod Josie uginają się nogi i nic więcej nie jest w stanie wykrztusić. Stoi w swojej małej kuchence, z drewnianą łyżką w ręce, słuchawką telefonu przyciśniętą ramieniem i czeka, żeby Joe powiedział, iż przyjdzie później i choć nie zje kolacji, nad którą ona niepotrzebnie się męczy, zostanie przynajmniej na noc, przepędzi czając się u drzwi samotność.

— Wiem, że przygotowałaś kolację i naprawdę bardzo mi przykro, ale nie mogę teraz ich zostawić. O ile wiem, później gdzieś się jeszcze wybierają, więc myślę, że dzisiaj przenocuję u siebie.

— Okay. — Josie zbiera się w sobie i stara się mówić swobodnie. — Może chcesz, żebym ja do ciebie wpadła?

— Nie, to nam może zająć dużo czasu. Ale zobaczymy się jutro.

— Jak chcesz. Baw się dobrze.

— Na pewno wynudzę się jak cholera, ale musimy to zrobić. Trzymaj się, kochanie. — I Joe się rozłącza, a w kuchni samotna Josie modli się, aby go nie stracić.

Joe idzie z Andream do jej mieszkania. Andrea nawet nie udaje, że rzeczywiście zaprosiła go na drinka. Jeszcze dobrze nie zdążyli wyjść z windy, gdy uwieszą się na nim i już spleceni w miłosnym uścisku, potykając się, docierają do łóżka.

Zawsze w takich sytuacjach, gdy zdarza mu się uprawiać seks z przygodnie poznaną kobietą, Joe jest zachwycony. Andrea wykazuje inicjatywę, energię zdaje się mieć niewyczerpaną, przede wszystkim zaś — co Joe podoba się najbardziej — najwyraźniej lubi poświntuszyć.

Zasypiają objęci, po jakimś czasie budzą go pieszczoty jej och-jakże-wprawnych ust, rano kochają się ponownie, wreszcie Joe wychodzi.

— Zadzwoń, jeśli znowu przyjdzie ci ochota na rozryw-

kową noc — mówi Andrea, machając mu na pożegnanie z łóżka, by po chwili odwrócić się i na powrót zasnąć.

Joe nawet nie sili się, by powiedzieć, że przecież nie zna jej numeru. Po prostu wychodzi, a błogi uśmiech przez cały dzień nawet na chwilę nie schodzi mu z twarzy. Po co mu numer Andrei, skoro wszędzie wokół aż roi się od pięknych — i chętnych — potencjalnych zdobywczy?

Do diabła, przez sześć lat był żonaty. Teraz nareszcie odzyskał wolność. Ani mu się śni od nowa ustatkować. Tylko jak tu w miarę łagodnie pozbyć się Josie?

Zależy mu na niej. Szczerze. Poza tym przywykł, iż ktoś się o niego troszczy i choć Josie z każdym dniem coraz mniej go pociąga, żyje mu się z nią wygodnie.

Czemu niby miałyby się o czymkolwiek dowiedzieć? Dzisiaj już z nią rozmawiał i choć z początku wyraźnie była na niego zła, pod koniec rozmowy udobruchał ją już całkowicie, tym bardziej, że wieczorem obiecał zabrać ją na koncert charytatywny.

Joe jest mężczyzną, który przywykł, że ciastko można zjeść i wciąż je mieć. Jeszcze za wcześnie, by myśleć o pozbyciu się Josie, poza tym nigdy nie był w tym szczególnie dobry — na ogół zaczyna zachowywać się tak źle, by to one odwalają za niego brudną robotę. Na razie więc niczego nie zamierza zmieniać, dalej będzie się z Josie spotykał, nie odrzucając przy tym żadnej nadarzającej się okazji, lecz na Boga, czyż nie jest świeżym kawalerem z odzysku, a przede wszystkim zaś zwykłą, ułomną istotą ludzką?

Do Alice dzwoni od czasu do czasu, uważa to bowiem za swój obowiązek. W zasadzie nie tęskni za nią raczej za przyzwyczajeniem do niej, i chociaż jest przekonany, iż od wielu lat nie był w niej już zakochany, wciąż troszczy się o nią i chce mieć pewność, że u niej wszystko jest w porządku.

Ale jakże cudownie, och, wręcz fantastycznie czuje się, nie musząc jeździć do tej dziury na pustkowiu. Im więcej Joe się nad tym zastanawia, tym bardziej dziwi się, że w ogóle spędzał tam

czas. Cholerna wieś. Cholerne robale. Co go opętało, żeby tłuc się pociągami do Highfield, po czym przez cały weekend cierpieć i nudzić się śmiertelnie.

Teraz wreszcie, z autentyczną ulgą, każdy weekend może spędzać na Manhattanie, bez konieczności tłumaczenia się czy wymyślania jakichś cholernych wymówek, dlaczego znowu nie przyjedzie.

Nie zależy mu, aby rozwieść się jak najszybciej — Bóg jeden wie, jak ciężko harował na swoje pieniądze i wcale mu się nie uśmiecha perspektywa rozstawania się choćby z ich częścią — jednak ogólnie rzecz biorąc, musi przyznać, iż wszystko skończyło się dla niego jak najlepiej. Alice zmieniła się tak bardzo, iż sam sobie się dziwi, że nie rozeszli się dużo wcześniej.

W poniedziałkowy poranek Alice pakuje Snoopa do samochodu i wyruszają do szkoły Sunup. Zatrzymują się przed wejściem i Alice przez przednią szybę wypatruje Harry'ego, z auta jednak nie wysiada.

Wcale tego nie planowała. Poprzedniego wieczoru siedziała w kuchni i myślała o tym, co James jej powiedział. Dziwne jej się wydało, że Harry jest tutaj i nie zadzwonił do niej, zaraz jednak przypomniała jej się trawa, dotyk jego ust i zrozumiała, że nie mógł do niej zadzwonić, wolał zaczekać, aż sama zjawi się w szkółce.

Kiedy jednak już tu jest, nie potrafi zmusić się, by wysiąść z samochodu. Wciąż pamięta smak jego ust, zapach jego skóry, zupełnie jednak nie może sobie przypomnieć, jak wygląda. I co mu powie? „Fajnie, że przyjechałeś?” „Co za niespodzianka?”

Poza tym nie wolno jej zapomnieć o Emily. Dopiero co się pogodziły, jak dawniej zaczęły rozmawiać i śmiać się przez telefon. Już raz Alice nieomal ją straciła i nie chciała, aby się to powtórzyło. I choć uważa Harry'ego wyłącznie za przyjaciela (przynajmniej się stara), od rozpadu jej małżeństwa minęło zaledwie sześć tygodni, nie jest gotowa na związek z kimś innym, o związku z byłym jej najlepszej przyjaciółki nawet nie wspominając.

Jak powie Emily, że spotkała Harry'ego? Jak ma jej powie-

dzieć, że on tutaj jest? Alice wzdycha ciężko i wspiera głowę na kierownicy. Siedzący obok niej Snoop podnosi łeb i spogląda na nią zatroskanym psim wzrokiem.

— Co ja tu robię? — szeptem zwraca się Alice do psa i kręcąc głową zapala silnik. — Chyba mi kompletnie odbiło. Przecież to idiotyczne. Chodź, Snoop, wracamy do domu.

W domu Alice sprząta dokładnie kuchnię, dzwoni w kilka miejsc, po czym z wielkim kubkiem herbaty — na wszelki wypadek wzięła też ze sobą telefon — wychodzi na dwór, by rozkoszować się ciepłem popołudniowego słońca. Nad brzegiem stawu przysiada na ławce i wpatrując się w wodę, myśli sobie, że mimo wszystko miała wyjątkowe szczęście, bo czyż mogła przypuścić, że choć rozpadło się jej małżeństwo, ona będzie taka spokojna i wyciszona?

Ciszę zakłóca przeraźliwy dzwonek telefonu.

— Cześć, stara. — To Emily.

— Cześć, stara — uśmiecha się Alice. — Co słychać?

— Właśnie piszę artykuł o wariatce prowadzącej warsztaty dla kobiet, na których mają się nauczyć, jak odnaleźć w sobie siłę.

— Czemu mówisz, że to wariatka? Mnie się pomysł podoba. Byłaś już na jakichś zajęciach?

— Nie — z jękiem przyznaje Emily. — I to jest właśnie najgorsze. Zaczynam jutro.

— I co w tym takiego strasznego?

— Boże, Ali. Wystarczy ci, jak powiem, że w planie zajęć są lusterka i pochwy?

Alice zaskoczona parska śmiechem.

— Chyba żartujesz?

— Wręcz przeciwnie — mówi ponuro Emily. — Chciałabym, uwierz mi.

— Ale chyba nie przy wszystkich?

— Właśnie przy wszystkich. To, zdaje się, jeden z elementów odnajdywania w sobie siły.

— Może ta wariatka zaspokaja swoje fantazje seksualne?

— A bo ja wiem? Też tak sobie pomyślałam. Boże. Koszmar, no nie?

— Mam nadzieję, że wywoskowałam sobie nogi? — Alice nie może przestać się śmiać.

— Nogi? Wywoskowałam sobie absolutnie wszystko.

— Auć!

— No właśnie, bardzo wielkie „auć”. Myślałam, że umrę.

— Ale przynajmniej będziesz miała najpiękniejszą pochwę ze wszystkich — chichocze Alice.

— Chryste. Szkoda, że ci w ogóle powiedziałam.

— Ale po co ci to?

— Bo to zlecenie z „Elle”, a ja już od lat bardzo chciałam dla nich pisać. To może być moja wielka szansa, więc mam nadzieję, że mi się jednak opłaci. Obawiam się tylko, że czeka mnie jeden z najgorszych dni w moim życiu.

— Em. — Alice bierze głęboki oddech. — Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

— Ohoho. Brzmi poważnie. Czyżby znowu jakieś złe nowiny? — Na chwilę ją zatyka. — O nie, tylko mi nie mów, że jesteś w ciąży. Jesteś?

— Nie. Nie jestem w ciąży. Nic z tych rzeczy. Harry przyjechał. Przez chwilę, zanim do Emily dotarł sens słów Alice, panuje cisza.

— Harry? Mój Harry? — udaje jej się w końcu wykrztusić.

— Tak jest. Ten sam.

— Co to znaczy? Jest tutaj? Mieszka u ciebie?

— Nie! Chryste, Em, w życiu bym czegoś takiego nie zrobiła, no wiesz...

— Dobrze już, dobrze. Przepraszam. No więc wyrażaj się trochę jaśniej.

— Wiem, to kompletne wariactwo, ale w sobotę byłam u Giny i George'a i był tam też James. Pamiętasz, jak w sylwestra żartem zaproponował Harry'emu pracę u siebie? Cóż, wygląda na to, że się zgodził.

— Och. — Następuje chwila milczenia. — Nie miałam pojęcia. Widziałas się z nim już?

— Nie! Emily, mówiłam ci przecież, że nic nas nie łączy. Nie mam zamiaru się z nim spotykać. Uznałam po prostu, że powinnam ci powiedzieć, bo, no wiesz, to małe miasteczko i w każdej chwili możemy na siebie wpaść, a nie chciałam, żebyś wyciągnęła jakieś pochopne wnioski.

Przez chwilę Emily nic nie mówi.

— Em? Jesteś tam?

— Wybacz. Zamyśliłam się. Wiesz co, pasujecie do siebie idealnie.

— Co? — Alice jest w szoku. To była ostatnia rzecz, jaką spodziewała się od Emily usłyszeć.

— No tak. Wiem, że w ubiegłe Boże Narodzenie byłaś zdruzgotana i naprawdę nie musisz mi wszystkiego tłumaczyć od początku. Takie rzeczy się zdarzają, ja miałam mnóstwo czasu, żeby sobie wszystko przemyśleć, i doszłam do wniosku, że ty i Harry to jest właśnie to.

— Emily, wygadujesz bzdury. Po pierwsze Harry wcale mi się nie podoba, po drugie jestem mężatką.

— W separacji.

— Niby tak, ale według prawa wciąż jeszcze mam męża. Sama jestem dopiero od sześciu tygodni. I wcale nie mam zamiaru angażować się z Harrym. Czy z kimkolwiek. Boże! Nawet nie mam ochoty o tym myśleć.

— Ale to prawda, Alice. Jesteście dla siebie stworzeni. I Harry ci się podoba. Sama mi to powiedziałaś, kiedy się z nim spotykałam.

— Może żeby zrobić ci przyjemność.

— Pleciesz. Powinnaś się z nim zobaczyć.

— O Boże. Nie, to niemożliwe. Co ja mu powiem?

— Na początek — chociaż Emily — pozdrów go od Emily.

— Ha, ha, bardzo śmieszne.

— Przywitaj się z nim. Powiedz, że się dowiedziałaś, że tam

pracuje, i przyszłaś go odwiedzić. Potem zaprosz go na kolację i kochaj się z nim szaleńczo na kuchennym stole.

— Emily!—Alice jest zszokowana.

— Och, przestań się krygować. Po pierwsze, w łóżku jest super, po drugie mnie z Colinem jest bardzo dobrze i nie mam nic przeciwko temu, żebyś zaczęła kręcić z Harrym. Przecież wiesz, że chcę, żebyś była szczęśliwa, zwłaszcza po tym, jak traktował cię ten kutas Joe, a z Harrym na pewno ci się uda. Będziecie sobie mogli w szczęściu i harmonii uprawiać ogródek do końca waszych dni.

— Gdybym cię tak nie kochała, kazałabym ci iść do diabła.

— A gdybym ja cię tak nie kochała, na pewno nie pchałabym cię w ramiona mojego byłego. Ale poważnie, naprawdę jestem święcie przekonana, że idealnie do siebie pasujecie. Idź, zobacz się z nim. Proszę. Zrób to dla mnie.

— Wierzyć mi się nie chce, że słyszę coś podobnego.

— A mnie się nie chce wierzyć, że coś podobnego mówię.

— Naprawdę tak myślisz?

— Nigdy w życiu o niczym nie byłam bardziej przekonana.

— Emily, kocham cię.

— Wiem. Ja też cię kocham i dlatego masz moje błogosławieństwo. Zaslugujesz na niego. Do mnie nie pasował, ale poza tym jest cudowny. Tylko pamiętaj: mam być druzną na twoim weselu.

— Och, przymknij się — Alice prychnęła ze złością.

— Ładnie to tak mówić do przyjaciółki?

Przez cały wieczór Alice rozważa wszystko, co usłyszała od Emily. W pewnym sensie nie może się z nią nie zgodzić. Ona i Harry tyle mają ze sobą wspólnego, poza tym on naprawdę jej się podoba, na razie jednak nie ma ochoty na żaden związek — ani z Harrym, ani z nikim innym.

Potrzebuje czasu, by uleczyć rany. Musi się przyzwyczaić do życia w pojedynkę, do myśli, że jest kobietą samotną, niedługo

będzie rozwódką (już na sam dźwięk tego słowa wstrząsają nią dreszcze).

Alice idzie na górę, do sypialni, i wreszcie bladym świtem udaje jej się skończyć *Krętą drogę*. Leży przez chwilę wpatrzona w sufit i myśli o Rachel Danbury, o tym, jak musiała się czuć, i o przedziwnym podobieństwie jej własnego życia do tego, które wiodła pisarka w domu, w którym teraz mieszka ona.

Nie rozumie, czemu Rachel wciąż tu mieszkała, mimo że tak bardzo była nieszczęśliwa. Ten mały domek zauroczył Alice, otoczył ją ciepłem i miłością. Można by pomyśleć, że w swoich ścianach przechował tylko te dobre wspomnienia.

Może pisane było Alice przyjechać tu i zamieszkać, może miała naprawić błędy popełnione przez Rachel Danbury. Gdy tak leży zasluchana w ciszę, dziękuje losowi, iż mimo wszystko nie stała się taka jak ona, że nie spędza bezsennych nocy, podczas gdy w gabinecie na dole Joe wysyła e-maile i planuje eskapady z kolejną z wielu kochanek. Dziękuje Bogu za siłę, którą dał jej, by położyła temu kres.

Alice gasi lampkę przy łóżku i zapada w mocny, głęboki sen.

Ze snu gwałtownie wyrywają Snoop. Z wściekłym szczekaniem zeskakuje z łóżka, biegiem pokonuje schody i jak szalony zaczyna skakać pod drzwiami wejściowymi.

Alice woła, żeby się uspokoił, powoli naciąga na podkoszulek szlafrok i schodzi, aby zobaczyć, o co to całe zamieszanie. Zmierzając ku drzwiom, dostrzega za nimi Harry'ego, zagląającego do środka przez szybkę.

— Dzień dobry. — Uśmiecha się szeroko, jak gdyby widział się z Alice najdalej wczoraj, i mijają, taszcząc kartonową tackę z dwoma kubkami parującej kawy, którą stawia na stole. — Przyniosłem śniadanie.

— Zauważyłam. — Alice, przed chwilą jeszcze pogrążona w głębokim śnie, teraz rozbudziła się kompletnie. — I też się cieszę, że cię widzę, Harry. — Harry usadowił się już przy stole i z torby wyciąga świeże bajgle i bułeczki. — Rozgość się, proszę — dodaje z sarkazmem Alice.

— Okay. — Harry wstaje i przepaszająco skłania głowę. — Chciałem nam zaoszczędzić skrępowania, więc postanowiłem zachowywać się naturalnie, ale najwyraźniej posunąłem się trochę za daleko, udając całą tę swobodę.

— Może rzeczywiście odrobinę. — Uśmiechając się, Alice podchodzi jednak do stołu, skuszona zapachem świeżo pieczonego chleba i siada naprzeciwko Harry'ego. — Ale nic nie szkodzi — dodaje i gestem zaprasza go, by usiadł ponownie. — Uroczą niespodzianka. Chciałabym powiedzieć, że nie miałam pojęcia o twoim przyjeździe, ale dowiedziałam się w weekend od Jamesa. Dlaczego nie pokazałeś się wcześniej?

Harry wyraźnie jest zakłopotany.

— Czuję się jak głupek. James mówił mi, że ci powiedział, a potem widziałem, jak wczoraj podjechałaś, i zrozumiałem, że postąpiłem idiotycznie, nie pokazując się u ciebie. Będę szczery: nie wiedziałem, jak się zachować. — Podnosi głowę i ich spojrzenia się spotykają. Alice nie wytrzymuje i pierwsza odwraca wzrok.

— Zupełnie niepotrzebnie — mówi w końcu.

— Cóż... zresztą, nie chciałem się narzucać. A potem dowiedziałem się o tobie i Joe i nie bardzo wiedziałem, co mógłbym powiedzieć, poza tym może wcale nie chciałaś mnie widzieć, więc uznałem, że będę trzymał się z daleka.

— Aż do dzisiaj?

— Kiedy wczoraj cię zobaczyłem, zrozumiałem, że byłem głupi.

— I przyszedłeś? Mogę? — Alice sięga po bananowo-orzechową bułeczkę i odgryza spory kęs.

— Jasne. I przyszedłem.

— Mniam. Wyśmienite. — Alice popija bułeczkę kawą. — Mimo wszystko muszę zapytać: co, na Boga, tutaj robisz? Mam na myśli w Ameryce, nie t u t aj, oczywiście.

Harry wzrusza ramionami.

— James złożył mi ofertę i była za dobra, żeby ją odrzucać.

— Myślałam, że wtedy tylko żartował. Wszyscy byliśmy pięknie zalani.

— Mów za siebie — szczerzy zęby Harry.

— Pozwolisz, że i za ciebie.

— Pozwolę.

— Dobrze. No i co? Podoba ci się tutaj? Cholera! Wierzyć mi się nie chce, że jesteś tu już tak długo i nawet się nie pokazałeś.

— Wiem, wybacz mi. A jeśli chodzi o twoje pytanie, to tak. Jestem zachwycony. Bardzo mi tu dobrze.

Alice kręci głową z niedowierzaniem.

— Naprawdę nie do wiary, że nic nie wiedziałam. Czemu nikt mi nic nie powiedział?

— James ci powiedział.

— No tak. Ale w dalszym ciągu bardzo mi się to wydaje dziwne. — Zerka na niego. — Zwłaszcza to, że taki jesteś tajemniczy.

— Gorsze rzeczy już o mnie mówili. — Harry wzrusza ramionami.

— Założę się. Od Emily na pewno usłyszałeś niejedno. Harry rumieni się lekko.

— Wybaczyła ci? Znowu się przyjaźnicie?

— Tak i jeszcze raz tak. Ale długo to trwało. Myślę, że teraz wszystko jest już w porządku.

— Cieszę się. Byłyście sobie zbyt bliskie, żeby... no wiesz... tamta noc mogła was rozdzielić.

— Też doszliśmy do tego wniosku.

— Powiedziałaś jej, że tu jestem?

— Tak.

Harry robi wielkie oczy.

— Naprawdę?

— Aha.

— I co ona na to?

— Ach.

Alice zastanawia się, czy powiedzieć mu prawdę. Patrzy na niego znad krawędzi kartonowego kubka i dziwi się, jak to możliwe, aby zaledwie po piętnastu minutach Harry wyglądał, jakby był tu od zawsze, jakby nigdy tej kuchni, tego domu nie opuszczał. Kurtkę przewiesił przez oparcie krzesła, długie nogi wyciągnął pod stołem i z zadowoleniem zajada sezamowego bajgla.

„Może jednak Emily ma rację” — myśli Alice. „Może rzeczywiście jesteśmy sobie z Harrym pisani?” Nie, to niedorzeczność. Był czas, gdy Alice wierzyła w braterstwo dusz, ale to już minęło. Ostatnia rzecz, o jakiej marzy, to związek z drugą osobą. Nawet tak bliską i znajomą jak Harry.

Zwłaszcza z tak bliską i znajomą jak Harry.

— Pewnie nie była zbyt uszczęśliwiona? — dopytuje się Harry.

— W zasadzie wręcz przeciwnie. Ucieszyła się, że znalazłeś w końcu coś dla siebie.

— Myślisz, że będzie jej przeszkadzało, jeśli zaczniemy się częściej widywać?

— Nie. Powiedziała, że powinniśmy. Że powinniśmy zostać... przyjaciółmi. No właśnie, powinniśmy zostać przyjaciółmi.

— Tak powiedziała?

— Mniej więcej. Harry unosi brwi.

— Jestem pod wrażeniem. A ona? Ma kogoś?

— Chyba tak.

— Chyba tak? Alice waha się.

— Nie wiem, ile mogę ci powiedzieć.

— No cóż, cieszę się. Zasługuje na kogoś wyjątkowego.

— Nie na ciebie? Harry wzrusza ramionami.

— Po prostu nie pasowaliśmy do siebie. — Nachyla się i sięga po kolejną bułeczkę.

— Rany boskie, zjesz wszystko, co przyniosłeś? — Alice ze śmiechem spogląda na furę jedzenia piętrzącą się na jej kuchennym stole.

— Mówiłem ci już przecież, że praca w ogrodzie bardzo wzmaga apetyt. Uważasz, że za dużo jem?

— Ależ skąd. Miło patrzeć, jak mężczyzna je ze smakiem. Chcesz trochę soku pomarańczowego?

— Bardzo chętnie.

Alice bosko podchodzi do lodówki, przy okazji ciaśniej otulając się szlafrokiem. Doskonale zdaje sobie sprawę, że dopiero co wyskoczyła z łóżka, i usiłując poprawić ręką niesforne loki, ma nadzieję, że nie wygląda zbyt tragicznie.

Nalewa Harry'emu soku i znowu siada przy stole.

— O której zaczynasz pracę?

— Zwykle o dziewiątej, ale dzisiaj mam wolne. Pomy-

słałem sobie, że może coś byśmy wymyślili, jeśli oczywiście nie masz innych planów.

— Och. Hm... — Alice stara się sobie przypomnieć, co chciała dzisiaj robić. Ma do załatwienia kilka spraw, poza tym umawiała się z Sandy na kawę, ale nie jest to nic aż tak ważnego, by nie mogła tego przełożyć. — W zasadzie nie — mówi. — Masz jakieś propozycje?

— Na początek moglibyśmy pójść ze Snoopem na S-P-A-C-E-R. — Harry literuje słowo i Alice zaczyna się śmiać, bo mimo to Snoop na dźwięk pierwszej litery strzyże uważnie uchem i podskakuje radośnie.

— Niemożliwe! — wykrzykuje Harry. — Czy on umie pisać?

— Tylko kilka słów — uśmiecha się Alice. — Może i jest genialny, ale chyba nie aż tak.

— A co ze słowem P-L-A-Ż-A?

Snoop kręci się w kółko i piszczy jak oszalały.

— Zakładam, że to kolejne słowo?

— Założenie w stu procentach słuszne.

— W takim razie co ty na to? — pyta Harry ze śmiechem. — Wybierzemy się tam?

— Jasne. Możemy pojechać na plażę w Westport. Tylko się ubiorę.

Alice biegnie do łazienki, ze zdumieniem stwierdzając, że się uśmiecha. Zrzuca ubrania i wskakuje pod prysznic, potem wyciera się do sucha, włosy spina w koński ogon i wkłada cienki różowy sweter i wyblakłe džinsy.

Chwilę przygląda się sobie w lustrze, po czym wygrzebuje z szuflady zapomnianą tubkę błyszczyka, którym pociąga usta. Wygląda nieźle. I zbyt oczywiście. Szybko ściera błyszczyk chusteczką. Co się z nią dzieje? Od tak dawna się nie malowała, skąd nagle ten błyszczyk?

No właśnie, skąd.

Chwilę później nieumalowana Alice wraca na dół i cała trój-

ka — Alice, Harry i Snoop — ładuje się do samochodu i wyrusza w stronę plaży w Westport.

Plażę tłumnie wypełniają mamy z dziećmi, niemal każdy jej centymetr zajęty jest przez krzeselka i ręczniki, bo wszyscy chcą się nacieszyć pięknym słonecznym dniem, tym bardziej że lato ma się ku końcowi.

Idą drogą biegnącą wzdłuż plaży. Alice trzyma Snoopa na smyczy i z uśmiechem przygląda się lśniącej w słońcu wodzie.

— Pięknie tu, prawda? — mówi Harry, wolno krocząc u jej boku.

— To naprawdę niesamowite, jak bardzo mi się tu podoba — zwraca się Alice do niego. — Mam wrażenie, że powinnam sprzątać dom, pogrążona w rozpacz, zwłaszcza teraz, kiedy zostałam sama, ale codziennie rano budzę się z przekonaniem, że ten dom i wszystko tutaj dosłownie mnie zauroczyło i nie mam prawa czuć się nieszczęśliwa. Po prostu ciągle muszę się uśmiechać.

Ach. Temat tabu. Harry nastawia uszu, słysząc, jak Alice wspomina o tym, że jest sama. Jak dotąd, docierały do niego wyłącznie plotki i nie sądził, by Alice chciała o tym mówić, ale też z drugiej strony nie spodziewał się, że zastanie ją w tak znakomitym nastroju.

Myślał raczej, że będzie smutna i nieszczęśliwa. Wyobrażał sobie, że się o nią troszczy, przywraca życiu, niczym rycerz w lśniącej zbroi. Tak się na to nastawił, tak przywykł do wizji ratowania jej z opresji, że jest mu trudno odnaleźć się w rzeczywistości, która okazała się tak zupełnie inna.

Jednakże widząc ją znowu, cieszy się niepomiernie. Po tych wszystkich miesiącach, kiedy to myślał o niej bezustannie. Żadna z kobiet — a z kilkoma się spotykał — nie zdołała zainteresować go tak jak ona.

Z niektórymi tylko się umawiał, z paroma sypiał, ale nie odnalazł w nich tego czaru, który z Alice zdawał się wręcz emanować.

Bóg mu świadkiem, starał się o niej zapomnieć. Wiedział, że

jego marzenia są nierealne, bez choćby cienia szansy na spełnienie, kiedy jednak James przysłał mu e-maila z pytaniem, czy nie zechciałby u niego pracować, zgodził się bez wahania.

Tym bardziej, że kończyła mu się właśnie umowa na wynajem mieszkania, a poza kilkoma znajomymi, którzy obarczeni już byli rodzinami i dziećmi i z którymi i tak widywał się coraz rzadziej, w Londynie nic go w zasadzie nie zatrzymywało.

Spodziewał się spotkać Alice już dawno. Jego fantazje z seksualnych zamieniły się w platoniczne — miał nadzieję, że zostaną przyjaciółmi, Joe w jakiś cudowny sposób zniknie z pola widzenia, a on zajmie jego miejsce, w roli, jaką narzuci mu sama Alice.

Jednak nawet mu się nie śniło, że jego marzenia mogą się ziścić. Tym bardziej też nie przypuszczał, że wcale go to nie uszczęśliwi. Choć to może nieodpowiednie słowo. Tak długo wyobrażał sobie, że Alice i Joe się rozstają należałoby więc przypuszczać, że gdy w końcu to się stanie, on nie będzie się posiadał z radości.

Kiedy jednak któregoś dnia James oznajmił mu, że Alice przyłapała Joe z inną kobietą i kazała mu się wynosić, Harry tak bardzo zmartwił się o Alice, że z trudem powstrzymał się, by nie rzucić wszystkiego i nie biec jej na ratunek.

Wiedział jednak, że nie wolno mu tak postąpić. Wiedział, że musi trochę poczekać, zobaczyć, jak sytuacja się rozwinie, żywiąc nadzieję, że któregoś dnia Alice zjawi się w szkółce i wtedy dowie się, na czym stoi.

Kiedy wczoraj zauważył ją w samochodzie, serce w nim zamarło. Zrozumiał, iż musi się z nią spotkać, nie może odkładać tego ani chwili dłużej. James przyznał, że wspomniał Alice o jego przyjeździe i według niego ucieszyłaby się z ich spotkania.

I oto teraz idzie u boku kobiety swoich marzeń, czując się lepiej i swobodniej niż z jakąkolwiek inną kobietą w życiu. Ona nie mieszka już ze swoim mężem i po raz pierwszy Harry zaczyna wierzyć, że może jednak Pan Bóg istnieje.

*

Cóż więcej mogę wam powiedzieć o Alice i Harrym, czego już byście nie wiedzieli? Na pewno nie powiem, że żyli długo i szczęśliwie, bo jak wszyscy wiemy, w prawdziwym życiu tak się nie dzieje, a poza tym to opowieść na zupełnie inną książkę.

Mogę wam jednak zdradzić, że zostali kimś więcej niż tylko przyjaciółmi. Że Alice aż nadto dobrze pamięta, dlaczego zawsze tak bardzo Harry'ego lubiła, i im więcej spędza z nim czasu, tym bardziej jej sympatia się pogłębia. Gdy w sylwestrową noc Alice z Harrym znowu trafiają do ogrodu Sally i George'a, ich pocałunek jest znacznie słodszy i czulszy niż ten sprzed roku, tym bardziej że teraz nie czują się w najmniejszym nawet stopniu winni.

Emily nie posiada się z radości, że Alice i Harry tak blisko się zaprzyjaźnili, i wie, że wkrótce połączy ich coś więcej. Nie ponagla jednak Alice, zwłaszcza gdy usłyszała, że im bardziej przekonuje ją do Harry'ego, tym mniej Alice jest nim zainteresowana. Nie jest to prawdą, ale podstęp się udał i Emily przestała stroić sobie żarty, czekając cierpliwie na telefon, w którym Alice przekaże jej dobre wieści.

Z Colinem się Emily nie udało. Wszystko zawaliło się z hukiem, gdy Emily zaszła w ciążę i wiedząc, że nie jest gotowa na dziecko ani emocjonalnie, ani finansowo, ani w ogóle, zdecydowała się na aborcję. Załamało ją to fizycznie i psychicznie, i choć Colin początkowo jej nie opuścił, z czasem dzwonił coraz rzadziej i zawsze wynajdywał pretekst, żeby się z nią nie spotkać.

Przez jakiś czas Emily była zdruzgotana. Przyszła kolej na Alice, by codziennie dzwonić do przyjaciółki i sprawdzać, jak sobie radzi. Emily jednak nigdy łatwo nie poddawała się rozpacz i wkrótce na nowo zaczęła odkrywać uroki życia w pojedynkę i uszczęśliwiać Alice opowieściami o facetach, z którymi się umawia.

A Joe? Nie udało mu się uwolnić od Josie, zakochanej w nim bez pamięci i troskliwie się nim opiekującej. Choć w pracy nadal cieszy się opinią modliszki, w domu zachowuje się cicho i pokornie jak myszka.

Prawdę rzekłszy, Josie nawet nie przypuszczała, że tak bardzo upodobni się do Alice. Wygląda fantastycznie, zawsze gotowa na wszystko, byle tylko Joe był zadowolony, żyjąca w tak panicznym strachu, że mogłaby go utracić, iż nigdy nie ośmiela się nawet zapytać, gdzie jest ani co robi.

Od czasu do czasu Joe czuje się winny, że sypia z innymi kobietami, jednak nie na tyle, by sobie tego odmówić, a poza tym czy ma to jakiś wpływ na jego związek z Josie? Przecież dopóki Josie o niczym nie wie, nie czuje się skrzywdzona, a Joe za nic w świecie nie chciałby jej skrzywdzić, tak jak nigdy nie chciał skrzywdzić Alice.

Z Alice też mu się poszczęściło. Bogu dzięki, że mu się nie poddała, przestała się nabierać na jego kłamstwa, które w końcu by ją kompletnie zniszczyły.

Alice zaś miała szczęście, że odkryła siebie, zanim było za późno. Na nowo odnalazła swoje marzenia i dostała szansę, by je spełnić.

Na razie nic nie wskazuje na to, by i Josie miała tyle szczęścia. Josie wciąż stara się spełniać wszystkie oczekiwania Joe. Zdumiewające, ale równie łatwo daje sobą manipulować jak niegdyś Alice, choć chyba nawet bardziej jest uległa.

Spójrzcie na nią. Biedactwo. Leży w łóżku i wpatruje się w zegar. Każdy miesiąc jej ciała w napięciu oczekuje powrotu Joe, który już jest spóźniony o całe dwie godziny.

Walczy ze sobą, by do niego nie zadzwonić. Rozpaczliwie pragnie chwycić za słuchawkę i wykręcić numer jego komórki, na szczęście jednak zachowała jeszcze odrobinę godności, poza tym wie, jak wściekły byłby, gdyby się nie powstrzymała. Na pewno powiedziałby, że muszą odpocząć od siebie przez parę dni, a ona nie ma siły przechodzić przez to znowu.

Leży więc, czując narastający ucisk w żołądku, narastającą pogardę dla samej siebie, lecz miną lata, zanim pojmie, jakie szkody poczynił w niej związek z Joe, a jeszcze więcej, nim pozwoli mu zamieszkać z kolejną Josie.

Koniec końców, Josie ułoży sobie życie z Alem, można więc

mówić, że i ją spotkał swego rodzaju „happy end”. Al da jej szczęście, zawsze jednak będzie żyć w przekonaniu, że czegoś w ich związku brakuje. Nigdy nie zakocha się w nim bez pamięci, dopiero będąc dobrze po czterdziestce, zrozumie, że życie z Alem to więcej, niż mogła oczekiwać, że przyjaźń, zaufanie i spokój dają więcej szczęścia niż balansowanie na krawędzi, jakiego doświadczyła przez lata spędzone z Joe.

Mimo to jakaś jej część nigdy nie przestanie tęsknić za niebezpieczeństwem, ekscytacją, ciągłą huśtawką, jaką był związek z Joe.

Na szczęście Alice nie przeżywa podobnych rozterek. W sumie rzadko ostatnio myśli o Joe. Zostawił jej dom w Highfield i nic ponad to. Nie chciała od niego żadnych pieniędzy, nawet alimentów, z ukochanego domu jednak zrezygnować nie potrafiła.

A Joe cieszy się niepomiaralnie, że tak mu się udało. Słyszał wszystkie te przerażające historie o kolegach, których żony pozbawiły co najmniej połowy majątku. Nawet jego adwokat nie posiadał się ze zdumienia, podobnie jak adwokat Alice, który wręcz błagał ją, by zażądała od Joe więcej, powtarzał, że nie zasłużyła sobie na tak niewiele, ona jednak o niczym nie chciała słyszeć.

Swego czasu Alice marzyła o domu na wsi, od frontu porośniętym wistarią, pnącą różą z tyłu. Marzyła o kawałku ziemi, na którym bawić się będzie gromadka dzieci i zwierzaków.

Wistaria rośnie powoli, ale z uporem. Róże krzewią się przepięknie, a Snoopowi towarzyszy labrador o imieniu Floozy, kot Calvin i pięć kur: Maisie, Corny, Mealy, Grainsy i Rice.

O dzieci musimy spytać Harry'ego, Alice jednak ostatnio rozkwitła równie pięknie jak jej ogród, oczy błyszczą jej jeszcze intensywniej niż zwykle, włosy ma gęste i lśniące jak nigdy dotąd. Czyż nie jest to jakiś znak?

Przyjrzyjmy się bliżej jej brzuchowi. Czy to wyobraźnia płata nam figle, czy też rzeczywiście jakby ostatnio bardziej się zaokrąglił? Może to być oczywiście spowodowane szczęściem

i wzrostem apetytu, ale spójrzmy: Alice jakby o wiele częściej dotyka czule swego brzucha, co przedtem zdarzało się nie tak często...
Ale jak wspomniałam wcześniej, to już zupełnie inna historia.